

GINGER
SCOTT

CHÉORAK
TAKI
JAK TU

Young

GINGER
SCOTT

CHŁOPAK
TAKI
JAK TY

Przełożyła
Monika Wiśniewska



Dla taty

Pokażcie mi bohatera, a ja napiszę tragedię.

– F. Scott Fitzgerald

PROLOG

W SUMIE TO NIE MAM PEWNOŚCI, która z nas wymyśliła wyścigi – Taryn czy ja – ale organizujemy je razem. Są *nasze*. Każdego dnia, kiedy dwadzieścia minut po trzeciej szkolny dzwonek obwieszcza koniec lekcji, rozpoczyna się bieg ku drewnianej bramce w uliczce wiodącej do mojego ogrodu.

Mój dom nadaje się do czegoś takiego wprost idealnie. Mieszkam na ostatniej ulicy, na samym jej końcu, a dalej zaczynają się pola kukurydzy i bawełny. Mój ogród jest co najmniej dwa razy większy niż u większości innych osób, mieszkających w południowej części Bakersfield. Na samym końcu znajduje się wzniesienie, wysokie na niecałe dwa i pół metra. Tato mówi, że usypano je po to, żeby do pobliskich zabudowań nie przedostawał się kurz i brud z otaczających je pól.

Ja uważam, że stworzono je do wyścigów.

Panuje dzisiaj skwar, ale wiem, że to nikogo nie spowolni. Założę się, że zjawi się więcej dzieciaków niż podczas całego roku szkolnego, może nawet trzecia klasa w pełnym składzie. To ostatni tydzień szkoły – do wakacji zostały dwa dni. Wszyscy w Bakersfield są gotowi na lato. Baseny zostaną jednak otwarte dopiero w przyszłym tygodniu, stąd taka popularność naszych wyścigów.

– Zamierzasz biec do domu? Czy masz ze sobą rower? – szepcze za mną Taryn. Jej biurko styka się z oparciem mojego krzesła.

– Mam rower. Wyprzedzę wszystkich i wezmę z domu puszkę i bilety – odszeptuję przez ramię, ignorując podejrzliwe spojrzenie pani Grandel. Rozkładam książkę tak, że widzę nauczycielkę i jednocześnie wyglądam,

jakbym czytała. – Masz już nagrody na jutro?

– Tak. Schną w garażu – odpowiada Taryn, nieco zbyt głośno.

– Coś się stało, moje panie? A może jednak pozwoliłybyście, żebym pouczyła was jeszcze przez pięć minut, nim zupełnie wyłączycie swoje mózgi? – Pani Grandel nie musi stać, głos ma na tyle donośny, że może siedzieć przy biurku.

– Tak, psze pani – odpowiada za nas Taryn. Kaszlem maskuję śmiech wywołany oficjalnym zwrotem, użytym przez przyjaciółkę. *Psze pani, ha!*

– Josselyn Winters, przydałoby ci się nauczyć od Taryn trochę szacunku. Dla mnie jej odpowiedź nie jest tak zabawna jak dla ciebie. – Nauczycielka odkłada książkę na biurko i swój wzrok kieruje prosto na mnie.

Nie lubię być zawstydzana w klasie. Wszyscy na mnie patrzą, łącznie z Christopherem, tym dziwnym chłopakiem. Z płonącymi policzkami krzyżuję nogi i wsuwam je pod krzesło. Przechylam lekko głowę, na tyle, żeby dostrzec, iż Christopher zerka na mnie znad podręcznika. Krzywię się do niego i mrużę oczy, a on szybko odwraca wzrok.

I dobrze.

Na szczęście rozlega się dzwonek i zrywam się z krzesła. Chowam podręcznik do niewielkiej skrytki pod blatem, przierzucam plecak przez ramię i wybiegam z klasy. Pędzę do miejsca, w którym zostawia się rowery. Rano nie zawracałam sobie nawet głowy przypinaniem swojego, przierzuciłam jedynie łańcuch przez koło, tak żeby wyglądało, jakbym to zrobiła. Chciałam mieć pewność, że zdążę przed wszystkimi, a moja kłódka jest stara i pordzewiała i bywa, że muszę szarpać cztery albo pięć razy, żeby się otworzyła.

Odpycham się jedną nogą, drugą trzymam już na pedale. Przejeżdżam przez szkolną bramę, a kiedy rower znajduje się na ulicy, przierzucam drugą nogę i zaczynam szybko pedałowac. Przecinam alejkę, lekko zwalniając,

żeby móc lawirować między porozrzucanymi kawałkami szkła. Otwieram furtkę, przeciskam się przez nią razem z rowerem, po czym rzucam go w kąt ogrodu.

Wpadam do domu, a kiedy przebiegam przez kuchnię, głośno wołam „cześć” do mamy. W swoim pokoju plecak zamieniam na puszkę po kawie i bilety, następnie wybiegam z powrotem do ogrodu. Tym razem po drodze uśmiecham się do mamy i daję jej szybkiego buziaka. Śmieje się do mnie, życzy dobrej zabawy i zamyka za mną szklane drzwi.

Wyjmuję z puszeki plastikowy woreczek, otwieram go i wysypuję sproszkowaną kredę tak, aby tworzyła równą linię. Obchodzę powoli ogród, zaczynając od bramy i zmierzając do wzniesienia w celu utworzenia owalnego kształtu. Kredy wystarczy mi jeszcze na jutro.

Kiedy wychodzę za bramę, dostrzegam Taryn: idzie szybko uliczką, jej ciemne włosy przytrzymuje wyszywana paciorkami opaska, a z uszu zwisają kolczyki zrobione z piór. Choć na taką nie wygląda, potrafi być bardzo szybka. Podczas wyścigów bije wszystkich na głowę, zwłaszcza chłopaków. Za nią podąża sznur dzieciaków. Stali bywalcy wyścigów ręce mają wyciągnięte w bok, nie pozwalając nikomu się wyprzedzić. Już oni wiedzą swoje.

Wszyscy zatrzymują się przed bramką, a ja wręczam Taryn rolkę z biletami. Z puszeki po kawie zdejmuję wieczko i trzymam ją przed sobą.

– No dobrze, zawodnicy. Postanowiłyśmy urządzić wyścigi. Wezmą w nich udział ci, którzy dzisiaj dostaną bilety. Jutro odbędzie się finał... z nagrodami! Jeśli nie zdobędziecie biletu, to możecie siedzieć na wzniesieniu i patrzeć. No to teraz się ustawcie.

Taryn odrywa najpierw bilety dla siebie i dla mnie. Chowam swój do kieszeni, żeby przypadkiem go nie zgubić. Dzieciaki w pierwszym rzędzie to grupka, która jest z nami od początku, odkąd latem ubiegłego roku

zainicjowałyśmy wyścigi: bliźniacy Marley (którzy na ogół wygrywają), kuzynka Taryn – Emily – i Noah Santos, chłopak, który pocałował mnie w przedszkolu i przez którego wezwano moich rodziców, bo uderzyłam go w twarz.

Ten dziwny też tu jest. Christopher uczęszcza do mojej szkoły od połowy zeszłego roku. Mieszka z państwem Woodmansee, rodziną zastępczą. Mają dużo dzieci – dwanaścioro, łącznie z Christopherem – z czego połowa to przybrane. Chłopak jednak nie przez to jest uważany za dziwnego.

Codziennie nosi do szkoły te same brązowe sztruksy, które do piątku zdążą się już nieźle zabrudzić. Jego włosy mają odcień mysiego brązu, są trochę dłuższe niż u większości chłopaków z naszej klasy i kręcą się na końcach. Podczas jedzenia nuci pod nosem i siedzi sam przy stoliku niedaleko kosza i wyjścia ze stołówki. Kiedy dzieciaki podchodzą, aby wyrzucić resztki, on nuci głośniej, ale nigdy nie podnosi wzroku. W zeszłym roku parę razy próbowałam siedzieć razem z nim, bo takie wyzwanie rzuciła mi Taryn. Za pierwszym razem, kiedy się dosiadłam do jego stolika, przestał nucić. Przestał także oddychać. Kiedy zemdłał, krzykiem przywołałam nauczyciela dyżurującego. Razem z ratownikami medycznymi zjawiała się pani Woodmansee i po prostu zabrała go do domu. Do końca miesiąca nie pojawił się w szkole.

Dzisiaj po raz pierwszy przyszedł na nasze wyścigi, co mnie zaskoczyło. Widzę, że Taryn go dostrzegła, bo zerka na małą rolkę w ręce, a potem na czekające dzieci – biletów ma tyle, aby starczyło i dla niego. Zatrzymuje się kilka osób przed nim i odwraca w moją stronę. Jej mina mówi mi wszystko.

– Daj mu bilet i już – szepczę, wzruszając ramionami.

Taryn bierze głęboki oddech, po czym opuszcza wzrok na pięć ostatnich biletów. Powoli zaciska na nich palce, chowając je w dłoni.

– On to popsuje – wzdycha.

Jej spojrzenie zatrzymuje się na moich dłoniach i nagle dziewczyna unosi brwi. Widać, że przyszedł jej do głowy jakiś pomysł.

– Daj mi puszkę – mówi i sięga po nią.

Marszczę czoło, ale oddaję pojemnik bez protestów. W naszym duecie ja jestem tą silną i nieustraszoną, za to Taryn miewa najlepsze pomysły.

Dziewczyna odwraca się, odrywa pięć ostatnich biletów i wkłada je do puszek, po czym unosi ją nad głowę i cofa się o kilka kroków.

– Zostało pięć biletów. Pięć *złotych* biletów – oświadcza.

– Nie wyglądają na złote – stwierdza Conner Marley, jeden z bliźniaków.

Taryn piorunuje go wzrokiem.

– Zamknij się, Conner! Wiem, że tak naprawdę nie są ze złota. Chodziło mi o to, że są wyjątkowe, okej? – beszta go, a długi, ciemny kucyk smaga jej ramiona, kiedy odwraca się do pozostałych. Conner robi miny za jej plecami, a ja wybucham śmiechem. – To ostatnie bilety. Aby je zdobyć, trzeba odpowiedzieć poprawnie na proste pytanie. Gotowi? – woła.

Kilka osób odkrzykuje, że tak, ale większość jedynie patrzy na nią, czekając ze ściśniętym żołądkami, wykręcając ręce, nie mając pewności, czy powinni po prostu wykrzyknąć odpowiedź, czy też unieść dłoń. Taryn staje na drewnianej skrzynce, która leży na tej uliczce od niemal roku, i wszyscy natychmiast cichną. Te dodatkowe trzydzieści centymetrów zdecydowanie dodaje jej powagi.

– Pytanie pierwsze: jaki jest mój ulubiony kolor?

W chwili, kiedy kończy wypowiadać pytanie, cztery dziewczyny z końca wołają:

– Fioletowy!

Taryn wybiera z nich tę, którą najbardziej lubi, spokojną Megan, a ta podbiega po swój bilet.

– Pytanie drugie: kto wczoraj wygrał wyścigi?

Tym razem przez chwilę panuje cisza, głównie dlatego, że wszyscy, którzy brali udział we wczorajszych wyścigach stoją już za nami z biletami w rękach. Conner i Kyle Marleyowie zaczynają kaszleć i w końcu kilku chłopców stojących blisko Taryn pojmuje aluzję. Pierwszy wymienia Connera, ale pudłuje. Drugi Kyle'a i w nagrodę otrzymuje bilet.

– Pytanie numer trzy: czyj to dom?

Uśmiecham się znacząco, ale głowę trzymam spuszczoną, żeby się nie zdradzić. To zabawne, ilu dzieciaków nie ma pojęcia, do kogo przyszło. Wiedzą jedynie, że *muszą* tu być.

Cisza się przeciąga i Taryn zaczyna wydawać dźwięk tykającego zegara, jakby czas uciekał. W końcu nieśmiała dziewczynka w sukience unosi rękę, a Taryn skinieniem głowy udziela jej głosu.

– Czy to... twój dom? – pyta. Taryn przechyla głową i marszczy czoło, patrząc na mnie. Unoszę rękę, jakbym się przeciągała, następnie pokazuję na siebie palcem. – Och, to znaczy... to... to jej dom. Jej dom! – poprawia szybko dziewczynka. Nie zna nawet mojego imienia, co z lekka mnie irytuje, ale Taryn zdaje się tym nie przejmować. Wyjmuje z puszek jeden bilet i jej go wręcza. Po chwili uświadamiam sobie, że ja nie znam jej imienia, więc właściwie jest remis.

– Zostały dwa. Kto wygra następny? Hm, przekonajmy się. – Taryn zeskakuje ze skrzynki i robi rundkę wzdłuż rzędu. Wszyscy milczą, czekając. – Już wiem! Pytanie numer cztery. – Posyła mi znaczące spojrzenie. – Kto był pierwszym chłopakiem Joss?

– Taryn! – wołam. Oczy mam szeroko otwarte, a usta zaciśnięte. Na moje policzki wraca rumieniec, tak jak w klasie, kiedy wszyscy na mnie patrzyli. Słyszę kilka chichotów i szybko się odwracam, żeby się przekonać, kto to. Jestem zła, że nie spięłam dzisiaj włosów w kucyk, zamiast tego pasma w

odcieniu brudnego blondu opadają mi na szyję i ramiona. Rankiem było gorąco i założyłam ulubioną żółtą koszulkę na ramiączkach, ale byłam spóźniona, więc zapomniałam o spięciu włosów. Dzięki takiej fryzurze wyglądam na większą twardzielkę, a tego mi właśnie teraz trzeba.

Przy wtórze chichotów jeden z chłopaków z końca rzędu w końcu wykrzykuje imię Kyle'a, a Taryn wręcza mu bilet. Kyle się śmieje i mruczy pod nosem coś o tym, że to było tylko wyzwanie, jakie otrzymał podczas swoich urodzin kilka miesięcy temu, i że całuję się jak kaczką. Pocałowałam go w policzek, bo Taryn mnie do tego zmusiła, i cały ten dzień, kiedy wszyscy nazywali mnie dziewczyną Kyle'a, napawał mnie odrazą. Nigdy więcej nie chcę być niczyją dziewczyną – zwłaszcza Kyle'a Marleya. Odwracam się i kopię go w piszczel.

– Aaaaa! – jęczy. Nie mówi już jednak nic na temat mnie i moich kaczych ust. W duchu mam nadzieję, że pod dzinsami leci mu krew.

Nieświadoma rozgrywającego się dramatu Taryn unosi nad głową ostatni bilet. Boli mnie żołądek z zażenowania, więc zabieram jej puszkę, żeby zająć czymś ręce. Opieram się o murek i unoszę przed twarz pasmo włosów, szukając rozdwójonych końcówek.

– Ostatnia szansa. Musicie mi jedynie powiedzieć, jak brzmi drugie imię Joss – oświadcza moja przyjaciółka dziwnie milczącej grupce dzieciaków. Nie podoba mi się to, że wykorzystuje mnie, ale wiem, że chce, aby to pytanie było naprawdę trudne. Nie jestem pewna, czy oprócz Taryn ktoś zna odpowiedź, więc podejrzewam, że ten ostatni bilet nie zostanie wykorzystany.

Odrywam się od murku i prześlizguję powoli w jej stronę, zostawiając za sobą ślad na piachu. Napotykam jej spojrzenie.

– Zostało pięć sekund – mówi, ponownie naśladowując dźwięk tykania... jak bomba.

Unoszę rękę, żeby wziąć od niej bilet, a w chwili, kiedy muskam palcami papier, jedna sylaba niszczy to, co według nas było planem idealnym.

– Grace – mówi Christopher, wyciągając rękę i szybko mi go zabierając. Ani na chwilę nie podnosząc wzroku, wsuwa karteczkę do kieszeni i przechodzi na drugą stronę murku, gdzie staje obok pozostałych uczestników wyścigu.

Patrzę na Taryn, której usta tworzą literę „o”.

– Powiedz, że nie masz tak na drugie imię – szepcze, ale na tyle głośno, że słyszy je paru stojących najbliżej dzieciaków. Wszyscy prychną, bo nikt tak naprawdę nie chce tutaj Christophera.

– Ale mam. Taryn! Czemu musiałś o to pytać? – mówię, podchodząc do niej. Z mocno walącym sercem rozglądam się i widzę, że parę osób odwraca się z zamiarem odejścia, skoro *on* bierze udział w wyścigu.

– Skąd miałam wiedzieć, że je zna? Jak to w ogóle możliwe? – pyta Taryn, unosząc brwi.

– Nie wiem! W ogóle z nim przecież nie rozmawiam! – Mówię to głośno i wszystkie głosy za mną cichną. Odwracam się z zaciśniętymi ustami i widzę stojącego pod murkiem Christophera. Bilet obraca w rękach.

– Zaczynajmy – oświadcza Taryn, wchodząc przez bramkę do ogrodu.

Dzieciaki z biletami udają się za nią, a te które zostały, żeby patrzeć, wspinają się na wysoki mur, ciągnący się wzdłuż drogi.

– Proszę – odzywa się za mną Christopher. Jesteśmy sami i wiem, że inne dzieci będą stroić sobie z tego żarty. Robię półobrót, nie chcąc patrzeć prosto na niego, i gestem mu pokazuję, aby wszedł.

– Nie, naprawdę. Proszę – powtarza, dotykając mojego ramienia. Wzdrygam się i tym razem odwracam w jego stronę. W ręce trzyma bilet. – Ja... ja... tak naprawdę nie chcę się ścigać – dodaje ze wzrokiem utkwionym w bilecie, który trzyma między kciukiem a palcem wskazującym. Ma długie

rzęsy, przez co nie widzę jego oczu, ale z delikatnego wygięcia ust wnioskuję, że jest mu smutno. Czuję ściskanie w żołądku.

Ma brudne ręce. Kciukiem zdążył już poplamzić bilet. Mój wzrok ześlizguje się na jego spodnie i dostrzegam, że ma nowe buty – lśniąco białe najki, dobitnie odcinające się od wyświechtanych, brązowych nogawek.

– Nowe? – pytam.

Powoli podnosi na mnie wzrok i dostrzegam, że oczy mu błyszczą, podobnie jak mi, kiedy wieczorem słyszę, jak rodzice się kłócą, i próbuję to zagłuszyć, naciągając na głowę kołdrę. Christopher stara się nie rozpłakać.

– Aha, dostałem wczoraj – mówi. Oczy ma niebieskie, tak jak ja, tylko że jaśniejsze.

Słyszę, jak Taryn wzywa zawodników do ustawienia się wzdłuż linii po drugiej stronie murku. Powinnam wziąć ten bilet i pozwolić Christopherowi odejść. Nadal trzyma go między palcami, wyciągając w moją stronę, ale oczy ma smutne, no i dostał nowe buty. Założył je dzisiaj – tutaj, do mojego domu, na mój wyścig, gdzie wiedział, że wszyscy będą się z niego śmiali. Gdzie wiedział, że tak naprawdę nikt go nie chce.

Nikt go nie chce.

– Zatrzymaj ten bilet – mówię. Otwiera szeroko oczy. Patrzy na mnie, ale nie bezpośrednio. Wygląda to tak, jakby nie potrafił inaczej. – Masz fajne buty – dodaję, chcąc powiedzieć coś miłego. Wydaje się przestraszony, a mi wcale nie jest z tego powodu przyjemnie.

Nie jestem w stanie utrzymać dłużej kontaktu wzrokowego, więc przyciskam puszkę po kawie do boku i przerzucam włosy przez ramię. Nie cierpię tego, jak mi się lepią do szyi. Kiedy ponownie zerkam na Christophera, widzę, że mi się przygląda. Uśmiecha się lekko i od razu jest mi lepiej. Nagle czuję się szybsza, jakbym mogła dzisiaj wygrać.

– Do zobaczenia po drugiej stronie. Pospiesz się – rzucam przez ramię.

Oddalam się, wiedząc że mi się przygląda. I ta świadomość nawet sprawia mi przyjemność.

Nie powiem o tym Taryn.

Zasady wyścigu są proste. Trzeba galopować albo podskakiwać. Zwykły bieg jest niedozwolony i jeśli kogoś się na nim przyłapie, zawodnik ten zostaje usunięty z gry. Taryn i ja jesteśmy sędziami. Sprawiedliwymi. Raz ją zdyskwalifikowałam, a ona mnie dwa razy. Jediną osobą, która lubi się stawiać, jest Kyle. Bywa, że Taryn przymyka na niego oko. Dzisiaj jednak Kyle postępuje zgodnie z zasadami.

Wygrywam swój wyścig, bijąc na głowę pięć nowych dziewczyn, dla których jest to pierwszy raz. Taryn przegrywa z bratem Kyle'a, Connerem, a on wypomina jej to przez sześć kolejnych wyścigów, aż w końcu przegrywa – z Christopherem.

Nie miałam pojęcia, że jest taki szybki. Nie oszukiwał. Wiem, bo razem z Taryn bacznie się mu przyglądałyśmy. Po każdym wygranym wyścigu odchodzi od linii mety na koniec ogrodu, gdzie na tarasie stoi plastikowe pudło. Parę razy stuka butami, aby otrzepać je z piachu, a resztę czasu między wyścigami spędza na próbach wytarcia śladów palcami.

– Czemu na niego patrzysz? – pyta Taryn, wrywając mnie z zadumy. Przyglądałam się, jak Christopher dba o swoje buty i myślałam, że pewnie rzadko dostaje coś nowego. Niefajnie czuję się z tym, że przyjaciółka mnie przyłapała.

– Och, wcale na niego nie patrzyłam. Rozmyślałam o tym, jak pobiję Kyle'a – mówię, odwracając się zupełnie od Christophera. Mam ochotę obejrzeć się przez ramię, przekonać się, czy mnie słyszał, sprawdzić, czy udało mu się doczyścić buty, ale nie chcę, aby widziała to Taryn, więc zamiast tego odchodzę razem z nią.

– No, lepiej, żebyś z nim jutro wygrała. Nie chcę, żeby zdobył zrobioną

przeze mnie nagrodę – fuka.

Wspina się na wzniesienie, a jakaś dwudziestka dzieciaków w moim ogrodzie podnosi na nią wzrok, mrużąc oczy w zachodzącym za jej plecami słońcu.

– Okej, przyjdźcie tu jutro po szkole na finał. Zwycięzca otrzyma nagrodę – informuje wszystkich.

– Czyli ja! – woła Kyle, przybijając piątkę z bratem.

– Albo Joss! – odkrzykuje Taryn, posyłając drwiące spojrzenie pewnym siebie bliźniakom, ubranym w ulubione bluzy do futbolu.

– Taa, jasne – śmieje się jeden z nich.

– Nic się nie martw – mówię cicho, stając obok Taryn. – Pobiję go.

Jestem szybsza od Kyle’a Marleya, ale boję się, że to nie z nim przegram.

Christopher odchodzi jako ostatni i patrzę, jak idzie po krawężniku prowadzącym do bramki, stawiając jedną nogę przed drugą, starając się nie nadepnąć na piach. Kiedy dociera do żwirowanej alejki, odwraca się w moją stronę i nasze spojrzenia się spotykają. Nie uśmiecham się i udaję, że nie zwracam na niego uwagi. On także się nie uśmiecha, ale wiem, że obecność tutaj oraz wygrana wiele dla niego znaczą.

W sumie to trochę chcę, żeby mnie jutro prześcignął, ale mu tego nie ułatwię. Będzie musiał zapracować na wygraną.

Zaplanowałam sobie, że znowu przyjadę przed wszystkimi do domu, ale najpierw się okazało, że z koła zeszło mi powietrze, a potem, że kończymy lekcje o dwunastej.

Moi rodzice najwyraźniej także o tym zapomnieli, bo mama dała mi do szkoły drugie śniadanie. Nie zmarnowało się jednak – większość precelków zjadłam podczas czasu na lekturę, a ciastka sprzedałam Connerowi.

Choć podczas ostatniego dnia roku szkolnego jesteśmy mocno zajęci, na ustach wszystkich i tak jest wyścig. Zostało nas czworo – Kyle, ja, szybki chłopak o imieniu Miguel i Christopher. Choć wyścig jest mały, mam przeczucie, że tłum kibiców będzie jeszcze większy niż wczoraj. Dlatego chcę dotrzeć do domu przed wszystkimi. Chcę, żeby tor ładnie wyglądał, no i zamierzam rozłożyć na wzniesieniu kilka ręczników i koców, żeby dzieciaki miały na czym siedzieć.

Od czterech minut podskakuje mi kolano. Na wiszącym nad głową pani Grandel zegarze obserwuję wskazówkę odmierzającą minuty i przysięgam, że w pewnym momencie zaczęła się cofać. Jestem niespokojna, jakimś cudem jednak udało mi się ukradkiem założyć plecak i usiąść na krześle bokiem.

Jakbym znajdowała się w blokach startowych, opieram stopy o metalowe nogi krzesła, a kiedy tylko rozbrzmiewa dzwonek, zrywam się z miejsca i pędzę ku drzwiom. Pierwsza docieram do szkolnej bramy, a gdy znajduję się już prawie na swojej ulicy, odwracam się i zwalniam, zadowolona że nie widzę nikogo za sobą.

Szybko przechodzę przez bramkę i na tarasie zostawiam plecak wypełniony ocenionymi pracami i projektami plastycznymi. Pociągam za przesuwne drzwi, ale nie chcą nawet drgnąć. Walę dłonią w szybę i przyciskam do niej twarz, nie widzę żadnego światła ani niczego, co by świadczyło o tym, że ktoś jest w domu.

Z jękiem frustracji uderzam w szybę, po czym obiegam dom i zatrzymuję się, kiedy widzę, że brama garażowa jest uniesiona, a w środku stoi kombi taty.

Mój tato pracuje w liceum. Jest nauczycielem WF-u i trenerem baseballu. Najwyraźniej on także wrócił wcześniej do domu. Ciekawe, czemu nie słyszał mojego walenia w szybę. Wchodzę do środka i go wołam. Kiedy nie

odpowiada, wołam mamę.

Serce mocno mi wali i choć mam ochotę chwycić kredę, wybiec do ogrodu i narysować świeże linie, nim zjawią się pozostali, nie chcę także wydać żadnego dźwięku.

Coś jest nie tak.

Wysuwam głowę zza rogu, by spojrzeć na korytarz, który prowadzi do sypialni rodziców. Drzwi są zamknięte, ale pali się światło. Sama świadomość, że w takim razie mama i tata pewnie tu są, że nie jestem sama, od razu sprawia, iż czuję się bezpieczniej.

Udaję się w stronę swojego pokoju, a kiedy stoję już przy drzwiach, w końcu słyszę głos taty. To, co mówi, jest niczym koszmar.

– Czy Joss to w ogóle moja córka? Skąd mam wiedzieć, czy w tym przypadku także nie kłamałaś? Skąd mam wiedzieć, że nie jest jego?

Nie... jego?

Przełykam ślinę, przytulam się do futryny i stoję częściowo w swoim pokoju, a trochę na korytarzu, czekając na odpowiedź mamy, która nie następuje. Zamiast tego rozlega się dzwonek i tata otwiera drzwi od sypialni. Jego spojrzenie pada na mnie, a ja na widok jego twarzy chwytam się mocniej framugi. To nie jest radosny mężczyzna, który gra ze mną w piłkę przed domem. Ten mężczyzna wygląda groźnie – uniesione brwi, czerwona twarz i usta zaciśnięte w cienką linię.

Szybko odwraca ode mnie wzrok i gniewnie rusza w stronę drzwi wejściowych. Otwiera je z taką siłą, że aż walą o ścianę. Słyszę, jak wrzeszczy na osobę, która stoi w progu i biegnę za nim, żeby sprawdzić, czy to jeden z moich znajomych. Widzę jakiegoś mężczyznę, który unosi ręce, kręci głową i powtarza, że mu przykro. Ma na sobie dzinsy i bluzę z logo uczelnianym – podobnie ubiera się mama.

– Wypierdalaj z mojego domu! – Tato wali mocno ręką w drzwi, a ja

podskakuję, cofam się kilka kroków, a serce wali mi jak młotem.

Kiedy się odwracam, na korytarzu dostrzegam mamę. Oczy ma czerwone i zapuchnięte. Na mój widok kręci głową i mówi bezgłośnie:

– Przepraszam.

Zamyka powoli oczy, unosi rękę i, potykając się, wraca do sypialni, po czym zamyka za sobą drzwi.

Wchodzę do kuchni i przez okno dostrzegam, że kilkoro dzieciaków stoi już pod murkiem. Tato nadal wrzeszczy po drugiej stronie ściany, a mama zanosi się płaczem w sypialni. Znajduję się w potrzasku.

Kiedy słyszę trzask zamykanych drzwi – zamieram, czekając na odgłos kroków taty. Nic jednak nie słyszę. Najwyraźniej obaj wyszli, albo udali się przed dom. Może dam jakoś radę dotrzeć do Taryn i powiedzieć, że musimy przełożyć wyścigi. A może nikt nie zwróci na to wszystko uwagi.

Zapominając o kredzie, otwieram szklane drzwi, prowadzące do ogrodu, po czym zasuwam za sobą zasłonę, żeby nie było niczego widać z zewnątrz. Dostrzegam Taryn przy bramce – balansuje na niedużej skrzynce i kieruje dzieciaki na wzniesienie, gdzie mogą oglądać zawody. Przyniosła ze sobą nagrody za pierwsze i drugie miejsce i trzyma je właśnie w obu dłoniach. Wczoraj jedynym, o czym byłam w stanie myśleć, było wygranie jednej z nich. Dzisiaj pragnę wymazać z pamięci wyraz twarzy mamy i pozbyć się echa wrzasków ojca.

Może nikt nie zauważy tego, co się tu dzieje. Może wszystko będzie dobrze. Po zawodach wrócę do domu i wszystko będzie... normalne.

Mrugam parę razy, po czym podchodzę do przyjaciółki. Bez względu na to, jak bardzo staram się udawać, nieustannie nasłuchuję tego, co się dzieje po drugiej stronie domu.

Następny zjawia się Kyle. Jego brat stoi tuż za nim, trzyma mu ręce na ramionach i ściska tak, jakby szykował go na walkę. Po kilku sekundach

docierają Miguel i Christopher. Taryn poleca nam zająć miejsca na linii startu.

Wyłączam się, kiedy moja przyjaciółka omawia zasady. Znam je, to ja je wymyśliłam: dwa długie susy, nie wolno biec, nie wolno oszukiwać i nie wolno dotykać innego zawodnika. Ta ostatnia zasada jest stosunkowo nowa. Dodałam ją, kiedy kilka miesięcy Kyle Marley temu podstawiał mi nogę na mecie.

Schylam się, żeby poprawić sznurówki, bo mam wrażenie, że zbyt ciasno je zawiązałam, ale nie, wcale tak nie jest.

Nikt inny zdaje się nie słyszeć krzyków, ja jednak co rusz wyłapuję głos taty. Jest taki jak na boisku, kiedy denerwuje się po przegranej. Jego głos przypomina warkot. Skupiam się na tym tak bardzo, że kiedy Taryn ogłasza początek wyścigu, nie od razu ruszam z miejsca. Udaję, że się potknęłam, bo wolę to, niż się przyznać, że nie słuchałam. Myślami, sercem – całą sobą – przebywam gdzie indziej.

Szybko się prostuję i długimi susami ruszam na tył ogrodu, pokonuję wzniesienie i nabieram prędkości. Wtedy słyszę pisk opon i chrzęst metalu uderzającego mocno o inny metal.

Dźwięk ten zatrzymuje wszystkich i wszystko.

Mój oddech także.

Taryn patrzy na mnie i jestem pewna, że na mojej twarzy nie maluje się nic oprócz pustki i strachu. Schodzę ze wzgórza i zaczynam biec przez środek ogrodu. Biegnę coraz szybciej, w stronę drzwi prowadzących do garażu. Serce szaleńczo wali mi w piersi i nic nie słyszę – ani pytań kolegów, ani krzyków, ani wołania rodziców. W uszach jedynie pulsuje mi krew i szumi wiatr. Wszystko inne otula cisza i ta cisza napawa mnie przerażeniem.

Popycham drzwi i wchodzę do garażu. Na podjeździe stoi mężczyzna, który kłócił się z tatą. Trzyma się za głowę i niczym lew okrążający ofiarę

chodzi wokół swojego samochodu. Rysa na jego sportowym aucie jest długa i głęboka, a mama stoi w drzwiach naszego domu i wrzeszczy na nieznanego, który z kolei krzyczy coś w stronę samochodu.

Oczy mam wielkie jak spodki i sama już nie wiem, w którą stronę patrzeć. Dzieciaki powoli się schodzą i wszyscy to widzą – wszyscy widzą, że coś okropnego przytrafiło się mojej rodzinie. Nie mam tylko pewności, co to takiego i co ma wspólnego z tym ten mężczyzna z niebieskim samochodem i dlaczego mama tak bardzo się tym przejmuje.

Czemu obchodzi ją ten facet? I gdzie jest tata?

W głowie mi się kręci, kiedy się obracam, przenosząc wzrok z jednej rzeczy na drugą i aż mnie kusi, żeby stąd uciec, ale moje nogi pozbawione są wszelkiej siły. Pierwsze pojawia się ogłuszające dudnienie silnika, a zaraz potem dołącza do niego pisk opon. Spod samochodu taty wydobywa się dym. Koła obracają się jak szalone i rozlega się głośny trzask, kiedy przednie opony kombi unoszą się nad niedużym wzniesieniem na podjeździe na co najmniej trzydzieści centymetrów, a potem lądują z hukiem z powrotem na ziemi.

Światła samochodu skierowane są na mnie.

Mój ojciec mnie dostrzega.

Na jego twarzy maluje się przerażenie.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Tato kurczowo trzyma kierownicę, kręcąc nią szaleńczo, a ja zamykam oczy, szykując się na to, co nieuchronne.

Zaraz zginę.

Czuję uderzenie tak silne, że mam pewność, że to koniec – kiedy ponownie otworzę oczy, będę już w niebie, ale coś mnie pcha i jednocześnie ciągnie. Z moich płuc ucieka całe powietrze i walczę o oddech, leżąc na suchej trawie kilka metrów od podjazdu, gdzie teraz stoi dymiące auto taty.

Jego przód wbity jest w sportowy samochód.

Miałam zginąć, ale ktoś mnie uratował.

Próbuję złapać powietrze. Cała jestem odrętwiała i nie mogę oddychać. Powietrze. Powietrze! Jedyne, czego pragnę, to powietrza i chwytam za ciało obok mnie, próbując usiąść, przełknąć ślinę, wydać dźwięk – jakikolwiek! Moje palce zaciskają się na szarym T-shircie i czuję na sobie czyjeś ręce. Chude ręce, tak jak moje. Chyba już nigdy mnie nie puszcza. Tata pędzi w moją stronę. Mama wybiega z domu. Tajemniczy mężczyzna zasłania usta, nadal nie odrywając wzroku od swojego rozbitego samochodu.

A mnie trzyma Christopher.

Zaczynam głośno kaszleć, a uczucie powietrza przechodzącego przez gardło jest niemal nie do zniesienia. Krztuszę się, nachylam, a moi rodzice uczepiają się mnie. Każde z nich chce dotknąć mojej ręki, każde chce mnie uratować.

Ale Christopher nadal mnie trzyma. Nie puszcza, nawet kiedy mu każą. Odgania otaczających nas ludzi. Z czoła kapie mu krew. Nie chcę, żeby mnie puszczał. Chcę, żeby to oni sobie poszli. Chcę, żeby mnie stąd zabrał.

Zaczynam płakać i cała się trzęsę, ale biorę głęboki oddech, bo przyglądają mi się dzieciaki. Wszyscy się przyglądają. Wszyscy się dowiedzą, że dzisiaj wydarzyło się tu coś niedobrego. Christopher ściska mnie jeszcze mocniej, a ja uczepiam się dłońmi jego przedramion, przyciągając je do siebie.

Trzyma mnie, dopóki wszystkie dzieci nie rozchodzą się do domów.

Trzyma mnie, dopóki nie przyjeżdża policja.

Trzyma mnie, dopóki mu nie mówię, że już może mnie puścić.

A potem znika.

Na dobre.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Osiem lat później

ODPUSZCZAM SOBIE DZISIAJ TRENING SOFTBALLU. Nie jest obowiązkowy, ale to wcale nie znaczy, że gdyby był, to bym na niego poszła. Jestem potrzebna do wygrywania, więc zamierzam się zjawiać, kiedy mam na to ochotę. Kiedy nie będę już potrzebna, odejdę.

Czyż mój ojciec nie byłby tym uradowany?

Szczerze mówiąc, pewnie w ogóle by tego nie zauważył. Ostatni raz moją grę oglądał, gdy miałam dziewięć lat. Moje życie poruszało się wtedy w jednym kierunku – perfekcyjna rodzina z pocztówki, na twarzach zawsze uśmiechy, jedzenie na stole, wakacje i te wszystkie pozornie świadczące o doskonałości bzdury. A potem moja mama odeszła w środku nocy po tym, jak tato wbił się samochodem w auto należące do faceta, z którym miała romans. Wyglądało na to, że tata nie powinien się zjawić w domu tak wcześnie i przyłapać jej na pakowaniu się i szykowaniu do ucieczki z jakimś gościem o imieniu Kevin, osiem lat od niej młodszym. Kiedy w końcu wyjechała, taty nie było w domu. Topił wszystkie swoje smutki w jakimś podrzędnym, szemranym barze w Southside.

Wtedy tak naprawdę nie rozumiałam, co się dzieje. Wiedziałam jedynie, że lato będę musiała spędzić u dziadków we Fresno, podczas gdy rodzice zamierzali zająć się „wyjaśnianiem sytuacji”. Wyjaśnianie skończyło się tak, że mama zniknęła na dobre. Nie jestem pewna, co bolało bardziej – fakt, że się nie pożegnała, czy to, że nie chciała zabrać mnie ze sobą.

Nienawidzę jej za to, że odeszła. Taty nienawidzę jeszcze bardziej za to,

że jej nie powstrzymał. Od tamtej pory nie jest sobą, z wyjątkiem tych trzech wiosennych miesięcy, kiedy trenuje drużynę baseballową. Chłopaków z drużyny traktuje jak synów. Mnie? Jestem współlokatorką, której czasem robi wykład, kiedy jest wkurzony na życie i potrzebuje kogoś, na kim może się wyżyć. Dla mnie zostaje facet, który wracając nocą z baru, potyka się, zatacza i mamrocze przeprosiny.

Przeprasza tylko wtedy, kiedy jest pijany. Obietnice dotyczące bycia lepszym ojcem składa jedynie po alkoholu. Bywa, że upija się w gniewie – mówi wtedy prawdę, która mieszka gdzieś głęboko w nim. Rankiem wracam do tego pudełka, w którym mnie trzyma – tego, na którym widnieje kartka: NIE DOTYKAĆ. A raczej: NIE KOCHAĆ.

Kiedy skończę osiemnaście lat, już nie będzie mógł sobie pozwalać na ten luksus. Będzie musiał zacząć się wyżywać na kimś innym. Może na sobie. Choć pewnie i tak to robi.

Mniejsza z tym.

Jest ostatni dzień ferii i na boisku do baseballu koło gimnazjum czekam na Taryn. Ona też zrywa się z treningu. W tym tygodniu trwa nabór nowych osób. Trener wie, co potrafię, a Taryn i tak rzadko gra.

To nasz ostatni dzień wolności przed powrotem do chaosu panującego w liceum South High. W tym roku nie mogę mieć więcej nieobecności. Tata dostał list. Ja dostałam wykład. Początkowo przewracałam oczami, ale potem oświadczył, że jeśli będzie musiał, to przeniesie mnie do Carden. Tam właśnie trafiają porąbańcy. A choć można mnie uznać za porąbaną, Carden nie jest miejscem dla mnie.

Na drugim końcu boiska zatrzymuje się biała furgonetka, wzbijając tumany kurzu. Wysiada z niej trzech chłopaków mniej więcej w moim wieku. Nie znam ich i zastanawiam się, czy przyjechali tutaj dilować. Czasem tak się zdarza, dilerzy uważają, że gimnazjum to ostatnie miejsce, gdzie węszą gliny.

Na boisko nie tak łatwo się dostać, więc radiowóz byłby widoczny z daleka.

Może dlatego chciałam tu przyjechać.

Odzywa mi się telefon w kieszeni. Wyjmuję go i, mając na oku chłopaków z furgonetki, odpisuję na SMS-a Taryn.

TARYN: Zaraz będę. Zapalniczka mi się zepsuła. Musiałam kupić nową.

JA: Przyjechało właśnie trzech kolesi. Może coś mają.

Nie używam niczego twardego, ale czasem lubię zapalić skręta albo łyknąć parę pigułek, takich jak *vike*[1] albo *OC*[2]. Na ostatniej imprezie, na której byłam razem z Taryn, próbowałam *Spice'a*[3], ale miałam po nim straszną paranoję. Nie potrzebuję czegoś, co jeszcze bardziej zwiększa mój niepokój, muszę przed nim uciekać. Nie wydaje mi się jednak, że u tych kolesi coś zdobędę. Z paki zdejmują kije i pojemnik z piłkami, co oznacza, że pewnie tu przyjdą.

Cholera.

Ponownie wibruje mi telefon.

TARYN: Nie chcę dzisiaj żadnego świństwa. Przystojni są chociaż?

Śmiejąc się cicho, przyciskam krawędź telefonu do ust i zerkam na idące w moją stronę trzy postacie. Najwyższy jest ten na środku, ma na sobie granatową bluzę i czarne szorty. Trudno to określić z daleka, ale włosy ma chyba jasnobrązowe i dosyć długie. Pozostała dwójka jest ubrana w szare spodnie dresowe i czarne T-shirty, ten z prawej jest Afroamerykaninem. Nie wydają mi się znajomi i zastanawiam się, czy chodzą do North.

JA: Pewności nie mam, ale wygląda to obiecująco.

W odpowiedzi przesyła mi emotikonkę z uniesionym kciukiem i pisze, że będzie za dwie minuty. Chowam telefon do tylnej kieszeni i odkręcam butelkę. Pociągam łyk wody, dzięki czemu nieco dłużej mogę spokojnie przyglądać się zbliżającym chłopakom. Wiatr przybiera na sile, więc zdejmuję z nadgarstka gumkę, związuję włosy w kucyk, po czym obciążam

rękawy flanelowej koszuli, żeby było mi ciepło w ręce. W Bakersfield generalnie nigdy nie jest zimno, ale w styczniu, kiedy wieje wiatr, piętnaście stopni to zdecydowanie za mało.

Coś mi mówi, że rozmawiają o mnie, kiedy wchodzą na *infield*[4], stają na górcie, a na trawę rzucają pojemnik z piłkami i kije. Ten wysoki zdejmuje czapkę i przygląda włosy, po czym nakłada ją ponownie, tym razem daszkiem do tyłu. Robiąc to, patrzy prosto na mnie, a ja nie odwracam wzroku, mimo że ma niewiarygodnie niebieskie oczy.

Cały jest niewiarygodny. Podwija rękawy i rozmawia z kolegami, ale co rusz zerka w moją stronę. Nie poddaję się i nie odwracam od niego wzroku. Nie uśmiechnę się. On też tego nie robi. Oboje jesteśmy uparci. Jest tak, jakbym była niewidzialna, a on w ogóle nie przyjmował do wiadomości faktu, że na mnie patrzy. Twarz ma pozbawioną wyrazu.

– Co mnie ominęło? – pyta Taryn, siadając obok mnie na trybunach. Podaje mi zapalniczkę, a ja biorę ją od niej, nie odrywając wzroku od boiska.

– Nic – odpowiadam. – Dopiero zdążyli tu przyjść. Tam zaparkowali.

Brodą wskazuję ich samochód, patrząc przez cały czas na najwyższego z chłopaków. Schyla się po piłkę, kilka razy wymachuje ramieniem, żeby się rozgrzać – nie przestając na mnie patrzeć.

– No cóż, przynajmniej są przystojni – stwierdza Taryn.

To prawda. Najniższy ma najbardziej umięśnione ramiona. Jest blondynem... chyba. Nie patrzę na niego zbyt długo, bo nie chcę przegrać konkursu na gapienie się z chłopakiem w czapce. Miałam rację, że ten trzeci to Afroamerykanin. Taryn zaklepuje go sobie w chwili, kiedy ten podciąga nogawki spodni, odsłaniając ciemne, umięśnione łydki. Następnie bierze z trawy kij i robi zamach.

– A niech mnie, laska. Mam nadzieję, że jest tu nowy. Zgłaszam się do komitetu powitalnego – mówi Taryn, nie odrywając wzroku od jego sylwetki.

Nic nie mówię, zamiast tego zbliżam do ust dłoń zaciśniętą w pięść, opieram łokieć o kolano, gryzę knykieć i koncentruję się na chłopaku na górcie. Przestaje na mnie patrzeć, kiedy jego kolega nachyla się za bazą i wali w rękawicę. Teraz, kiedy odwrócił wzrok, mogę mu się przyjrzeć uważniej.

Kilka razy podrzuca piłkę w ręce, następnie staje na górcie i czubkiem buta kopie w twardą ziemię. Należące do gimnazjum boisko jest stare i małe, więc za bazę domową służy im wieko od pudła, ułożone jakieś pięć metrów od miejsca, w którym znajduje się baza młodszych dzieciaków. W końcu zadowolony z warunków miotacz nieruchomieje na kilka sekund, po czym robi zamach i piłka z plaśnięciem ląduje w rękawicy łapacza.

– A niech mnie – odzywa się Taryn. – Szybka piłka.

– Aha. – Usta mam nadal przyciśnięte do knykcii. Uśmiecham się w duchu, ale nie chcę, by ktoś widział, że zrobiło to na mnie wrażenie. Ani Taryn, ani miotacz.

Powtarza rzut sześć czy siedem razy, nim jego kolega w końcu podchodzi do bazy. Nie ma takiej opcji, żeby trafił.

Odchylam się, stawiam stopy na ławeczce przed sobą. Z butów zwisają luźne sznurówki, a łydki opinają džinsy. Pstrykam parę razy zapalniczką i zachowuję płomień tak długo, aż robi mi się gorąco w palce. Przyglądam się, jak chłopak w czapce unosi kolano i wykonuje zamach, następnie posyła piłkę, która mknie z prędkością o co najmniej dwadzieścia kilometrów na godzinę większą niż podczas rozgrzewki. Jego kolega robi zamach kijem i nie trafia.

– Jeeezu – mówi Taryn.

Częstuje mnie papierosem, ale ja kręcę głową. Nie mam ochoty na dymka. Oddaję jej zapalniczkę, a ona wsuwa sobie papierosa do ust, zapala i się zaciąga. Przyglądamy się, jak łapacz odrzuca piłkę chłopakowi w czapce, który potrząsa ręką i ponownie ustawia się na górcie.

– Więc tak to będzie wyglądało? – pyta odbijający. Parę razy wzrusza ramionami i uderza kijem o krawędź bazy.

Łapacz chichocze i mówi cicho coś, co ich wszystkich rozśmiesza. Szkoda, że tego nie usłyszałam, bo chłopak w czapce nachyla się teraz i czeka na sygnał, a kącik jego ust unosi się w najbardziej pewnym siebie, cholernym uśmiechu, jaki miałam okazję widzieć.

Wcześniej urzekły mnie jego oczy. Mają wyjątkowy odcień błękitu, na tyle intensywny, że widzę go z odległości piętnastu metrów. Jednak jego uśmiech... cóż... jest taki, jak powiedziała Taryn – *Jeeezu*.

Szykuje się do następnego rzutu, a ja ponownie się nachylam, obserwując go. Obraca piłkę w rękawicy, a mięśnie przedramion napinają się przy każdym ruchu. W końcu jego palce zaciskają się na piłce tak, jak należy.

Zamierza rzucić podkręconą.

Gdy piłka opuszcza jego dłoń, wstaję i przeskakuję dwa rzędy ławek. Podchodzę do siatki, a w tym czasie jego kolega robi zamach i ponownie nie trafia. Z taką piłką nie miał szansy.

– Cholerny kretyn – burczy odbijający, ale oczy mu się śmieją.

Blondyn łapie piłkę, rzuca ją chłopakowi w czapce, po czym uderza pięścią w rękawicę, żeby pozbyć się piachu.

– Dobry rzut, stary. Zamach też niczego sobie, tylko że on był lepszy – orzeka, klepiąc rękawicą w nogę kolegi.

– Ty mu tak kazałeś? – pyta odbijający.

– No co ty. On nigdy nie rzuca tak, jak mu każe. Sam chciał. – Kołysze się na piętach. – No dobra, pozwól mu w końcu odbić!

Miotacz ponownie poprawia czapkę, tym razem zakłada ją daszkiem do przodu, nisko na czoło. Daszek rzuca cień na pół twarzy, a ja czuję się niepewnie przez to, że nie widzę jego oczu. Ociera przedramieniem czoło, następnie odwraca głowę i na jego ustach pojawia się ten sam uśmieszek, co

przed posłaniem podkreślonej piłki. Patrzę, jak układa sobie piłkę w rękawicy i w końcu nieruchomieje.

– Uważaj na *changeup*[5] – mówię. Palce mam zaciśnięte wokół siatki i opieram się o nią czołem.

Odbijający zerka na mnie i marszczy czoło. Robi minę mówiącą „coś ty u licha za jedna?”, a potem odwraca się w stronę chłopaka w czapce i przybiera odpowiednią postawę. Jego kij już się szykuje na odbicie.

Nie trafi.

Chłopak w czapce wykonuje ruchy takie, jak przy pierwszych dwóch rzutach. Ciało ma imponujące – i nie chodzi tylko o to, że jest przystojny, ale też o to, że ma wygląd sportowca. Mój ojciec byłby nim zachwycony. Nieznajomy sprawuje nad sobą niesamowitą kontrolę. I ma minę, którą mój tata zawsze sugeruje swoim podopiecznym. Zastraszenie to według niego pięćdziesiąt procent gry. Dla mnie od zawsze jest to dziewięćdziesiąt procent.

Gdybym miała nałożyć na siebie nagrania przedstawiające wszystkie trzy rzuty, moment wypuszczenia piłki wyglądałby identycznie. Darem tego chłopaka jest jednak jego umiejętność wysłania piłki tam, gdzie ma na to ochotę, z dowolną prędkością. Odbijający reaguje zgodnie z moimi przewidywaniami i kij nie trafia w piłkę, która ląduje miękko w rękawicy łapacza.

– Co najmniej dwadzieścia pięć wolniej – szepczę do siebie.

Odbijający jednak to słyszy i patrzy na mnie, unosząc jedną brew.

– Stary, Wes, zabójcza piłka. Rzuć tak jeszcze raz. Świetna... świetna! – oświadcza łapacz. Ściąga maskę i rzuca piłkę do miotacza.

Ma na imię Wes.

– Chwila – mówi odbijający, unosząc rękę. Podchodzi do mnie, a ja czuję ściskanie w żołądku. Kiedyś uważałam, że nienawidzę konfrontacji. Wcale nie. Uwielbiam je. I jestem w tym dobra.

– Przewidziałaś *changeup* – mówi. Zaciska usta w cienką linię i przygląda mi się podejrzliwie. Uważa, że zgadłam na chybił trafił, i jest trochę wkurzony tym, że się z niego śmiałam. Pewnie nie powinnam, ale w tej trójce jest coś takiego, co wyzwała we mnie chęć rywalizacji.

– Aha – odpowiadam. Odsuwam się od siatki, ale palce nadal mam zaciśnięte wokół drutów. Zerkam na Wesa, który nadal ma czapkę nisko na czole. Patrzy na mnie, ciężar ciała przenosząc na jedną nogę. Rękawicą wspiera się o biodro. – Mam ci pokazać, jak się trafia w taką piłkę?

Łapacz zaczyna się śmiać i zasłania usta dłonią zaciśniętą w pięść.

– A niech mnie. Rzuciła ci wyzwanie, TK! – woła.

TK przerzuca kij z ręki do ręki, usta ma zaciśnięte, a brwi wyczekująco uniesione. Chichoczę i spuszczam wzrok, kręcąc głową.

– Och, a więc tak naprawdę wcale nie chcesz pokazać? Tak? – pyta drwiąco, cofając się powoli do prowizorycznej bazy domowej.

– Nie bądź dupkiem, TK. Ona chciała być jedynie miła – oświadcza łapacz. Fajnie, że bierze mnie w obronę, ale nie ma racji, wcale nie chciałam być miła. Rzeczywiście rzucałam TK wyzwanie.

Zerkam na Taryn, która wie, że nie odejdę stąd, dopóki nie poślę piłki z powrotem w stronę miotacza. Śmieje się cicho i przesiada do pierwszego rzędu. Obchodzę siatkę, przesuwając po niej ręką, aż docieram do końca. Zatrzymuję się i schylam, żeby zawiązać buty, następnie zdejmuję flanelową koszulę i wiążę ją sobie w pasie. Pod nią mam czarną koszulkę z wymalowaną pośrodku różą. Moje ręce marzną od wiatru. Nie potrafię jednak odbijać, kiedy coś otula mi ręce, więc pocieram je kilka razy.

– TK – mówię, biorąc od niego kij. Obracam go i odczytuję cyferki, jest jakieś sto pięćdziesiąt gram cięższy od tego, do którego jestem przyzwyczajona. Kilkukrotnie stukam jego końcem o but, po czym zamykam jedno oko i zerkam na partnera sparingowego. – To skrót od Techniczna

Katastrofa?

Śmieje się, a dźwięk ten aż rezonuje w jego klatce piersiowej. Uśmiecham się, bo przypomina mi Connera, tyle że jego śmiech jest donośniejszy, bo dzięki ciastom swojej mamy chłopak waży blisko sto kilo.

– O nie, Wisienko. Oznacza on Thomasa Kennedy’ego.

– Wisienko? – Krzywię się, uderzając kijem o dłoń, jakbym była większą twardzielką niż w rzeczywistości.

– Aha, policzki masz czerwone i okrągłe. Wyglądają jak wiśnie. – Słowom towarzyszy znajomy śmiech. Przyłączam się, zerkając na przyjaciółkę, która siedzi teraz pośrodku trybun. Kręci głową, bo mnie zna, nie uznaję ksywek, zwłaszcza takich w rodzaju *wisienki*.

– Ach, rozumiem – mówię, podchodząc do bazy. Wes szturcha butem piach na górcie. Z bliska dostrzegam pod daszkiem jego oczy. Przewraca nimi, a jego usta tworzą cienką linię. Nie jest rozbawiony i uważa, że to strata czasu.

– Myślałam, że wisienka to komentarz dotyczący mojego dziewictwa – mówię, stając na rozstawionych nogach. Dwa razy robię zamach kijem, po czym opieram go na ramieniu. Cała trójka zamiera, słysząc słowo „dziewictwo”. – Jeśli o to właśnie chodzi, TK... to żadna ze mnie wisienka.

Blondyn zaczyna kaszleć, próbując zatuszować spowodowany zaskoczeniem śmiech. TK i Wes milczą. Pierwszy ociera ręką usta, drugi zaś patrzy na mnie z dezaprobatą. Pieprzyć go. Teraz to rzeczywiście zamierzam przyłożyć mu w rzepkę.

– Rzucasz? Czy będziesz tak stał i mnie osądzał?

Taryn gwizdże cicho, a TK ze śmiechem cofa się o kilka kroków.

– No dobra, Wes. Zobaczmy, co ona dla nas ma – mówi łapacz, nachylając się i kilka razy uderzając w rękawicę.

Wes odwraca głowę, chowa brodę w ramieniu i dociska piłkę do uda.

Rozchyła usta i mówi coś do siebie. Nie słyszę, ale mam pewność, że to nic miłego.

Zapieram się nogą, a tymczasem on zmienia pozycję, szykując się do rzutu.

– Pokaż mu, jak się to robi, Wisienko! – woła Taryn z trybun. Uciszam ją ręką, a ona jeszcze głośniej się śmieje. Jestem pewna, że pokazuje mi środkowy palec, ale nawet się nie odwracam.

Wes potrząsa dłonią, leniwym spojrzeniem omiata bazę, odchyła się i rzuca piłkę, która łukiem leci w stronę łapacza. Opuszczam kij i trafiam w nią.

– Nie rób tak – mówię, kręcąc głową. Liczę na to, że siła, z jaką odrzucam piłkę, podkreśli moje słowa. Patrzy na mnie zmrużonymi oczami i przygryza wewnątrz policzka. – Nie traktuj mnie, jakbym była gorsza od ciebie.

Płoną mi policzki. Pozwalam, aby mnie wkurzył i to jeszcze dodatkowo mnie denerwuje. Ponownie robię zamach kijem i opieram go o ramię. Wes kilka razy podrzuca piłkę w dłoń. Następnie cofa się na górkę i powtarza te same ruchy, co wcześniej, tyle że nie zmienia położenia piłki w ręce. Zamierza rzucić mi *heat*.

Dobrze.

Początek jest taki sam, a ja z wyprzedzeniem napinam mięśnie, wiedząc, że będę musiała zrobić szybki zamach. Mój kij znajduje się w bazie w tej samej sekundzie, co piłka – uderzam w nią, posyłając ją za ogrodzenie, gdzie rośnie mnóstwo chwastów.

– Ty będziesz jej szukać – oświadcza TK.

– Nie ma sprawy – odpowiadam skinieniem głowy, każąc Wesowi rzucić kolejną piłkę.

Schyła się i z pudła wyjmuje piłkę, wyciera ją o spodenki, kciukiem

obraca w dłoni, aż w końcu jego palce zatrzymują się na szwach. Nie poprawia jej i wiem, że chce spróbować mnie zaskoczyć.

Drażni się ze mną, a wszystko w moim świecie zwalnia – słyszę, jak mój oddech zamiera i widzę, jak jego bluza marszczy się wokół pasa, dostrzegam, jak spodenki wiszą mu nisko na biodrach i jaki płaski ma brzuch. Zaciska usta, okazując powściągliwość, a w jego oczach maluje się skupienie. Kiedy wypuszcza piłkę, patrzę, jak ta się obraca, po czym robię zamach na tyle duży, aby ją posłać za linię trzeciej bazy.

Nie wybiłam jej w jego stronę, tak jak zamierzałam, ale uderzyłam w nią mocno. Pokazałam, co potrafię. A fakt, że Wes z rękami na głowie przygląda się, jak moja piłka zatrzymuje się jakieś sto metrów dalej, daje mi więcej satysfakcji niż bycie na haju.

– Jestem Levi Stokes i chyba chcę się z tobą ożenić – odzywa się łapacz, biorąc ode mnie kij.

Śmieję się cicho. W sumie to urocze. I choć większość dziewczyn pewnie zachwyciłaby się facetem o jego wyglądzie – jasne włosy, zielone oczy, umięśniona sylwetka – to Levi Stokes nie jest w moim typie. Choć wcale tego nie chcę, to wiem, że mam swój typ, a Wes stanowi uosobienie moich największych słabości.

– Dzięki, Levi – mówię, zerkając na górkę, po której chodzi teraz Wes. Podrzuca w ręce piłkę i widać, że jest już mną znudzony. Jego obojętność boli i wkurzam się, że się tym przejmuję. – Ale ja nie chcę opiekować się facetem przez całe życie – dodaję, licząc na reakcję. Moje słowa zwracają uwagę Wesa, który robi kilka kroków w naszą stronę. – Małżeństwo jest do bani. Bez urazy. Możesz jednak odwiedzić do domu mnie i moją koleżankę.

– Załatwione – odpowiada Levi, wyciągając rękę w moją stronę. Jego uścisk jest silny, męski.

– A niech mnie, Wisienko. Niezłe to było – orzeka TK, wyciągając rękę

do żółwika. Uśmiecham się drwiąco i przybijam lekko.

– Dzięki – mrugam. – I możesz mówić na mnie Joss.

– No nie wiem, jesteś słodka jak wiśnia – śmieje się.

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Wisienką, to ci przyłożę – mówię szybko.

Kręci głową ze śmiechem i pokazuje na mnie palcem.

– Okej, Joss. Joss-boss – puszcza do mnie oko.

Przewracam oczami, ale kiedy się odwracam, na mojej twarzy widnieje uśmiech, no bo boss jest o wiele lepszy niż wiśnia.

– Pogramy jeszcze trochę. Zaczekacie? – pyta Levi.

– Spoko – odpowiadam. Obchodzę siatkę i zajmuję miejsce obok Taryn.

– Zaczekamy, żebyśmy mogły, no wiesz, udzielać ci dalszych wskazówek.

– Ha... ucz mnie, czego tylko chcesz, Bossie – rzuca TK, wracając na swoje miejsce.

Wstaję, rozwiązuję rękawy flanelowej koszuli i ponownie ją zakładam. Pozwalam jednak, aby jedno ramię opadało na tyle, żeby było widać czarne ramiączko koszulki. Levi patrzy na nie, oblizuje usta, po czym zakłada maskę i kuca obok TK, ale nie dla niego to zrobiłam.

Wes ponownie ma czapkę nasuniętą nisko na czoło. Poprawia ją i grzebie czubkiem buta w ziemi. Liczy, że rzucony przez daszek cień zapewni mu ochronę, ale ja i tak widzę jego oczy, które patrzą na mnie. Z krzywym uśmiechem ściągam z włosów gumkę. Kiedy siedzę i obserwuję boisko, jasne pasma kręcą mi się i powiewają na wietrze. Przerzucam je przez ramię, zadowolona z tego, że Wes obserwuje mój każdy ruch. A pomiędzy rzutami te jego oczy... one zawsze wędrują w moim kierunku.

Chłopcy grają jeszcze przez pół godziny, a w tym czasie Taryn i ja

wypalamy po papierosie. Gaszę właśnie swojego, kiedy TK przeskakuje przez ogrodzenie, żeby poszukać odbitą przeze mnie piłkę. Podchodzi do nas i szturcha mnie pudłem z piłkami.

– To niezdrowe, wiesz? Powinnaś rzucić – mówi, wskazując na leżącego na ziemi peta.

– Taa, cóż. Mam całą listę tego, co powinnam rzucić, TK. Uwierz mi, że dymek raz na jakiś czas to najmniejszy z moich problemów. – Uśmiecham się do niego, on jednak nie wygląda na rozbawionego. Trochę mnie to krępuje i szybko odwracam wzrok, po czym schylam się po niedopałek. Może i mam całe mnóstwo niedobrych nawyków, ale śmiecenie do nich nie należy. Podchodzę do kosza, a potem dołączam do TK. Po drugiej stronie mam Taryn. Levi i Wes idą kilka kroków przed nami. Levi parę razy ogląda się przez ramię, Wes jedynie przyspiesza, jakby nie mógł doczekać się, kiedy pozbędzie się Taryn i mnie.

– No dobra, Boss – odzywa się TK. Wzdycham, ale na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Choć niechętnie przyznaję, że nawet podoba mi się ta nowa ksywka. Podoba mi się też to, że porzucił temat mojego palenia i innych wad. – Nieźle machasz kijem – mówi. – Grasz, no nie?

Nim zdążę udzielić odpowiedzi, Taryn parska. Przewracam oczami i popycham ją lekko, przez co się potyka.

– Joss Winters to najlepszy łącznik w Kalifornii – oświadcza. Pokazuje mi język i robi krok w bok, żebym znowu jej nie szturchnęła.

– Ach, nie wydaje mi się – stwierdza TK. – Z tego, co mi wiadomo, to ja jestem najlepszym łącznikiem w Kalifornii.

Opuszczam wzrok na buty i się uśmiecham. Wyjmuję z kieszeni telefon i udaję, że odbieram.

– Słucham? Kogo pan szuka? TK? – mówię do wyimaginowanego rozmówcy. Podaję telefon TK, a on marszczy czoło. – To prezydent. Chce ci

przekazać, że tak naprawdę jesteście numerem dwa.

Po kilku sekundach śmiech TK rozbrzmiewa pełną parą. Podoba mi się to, że mogę się z nim droczyć.

– Wszyscy chodzicie do North? – pyta Taryn.

Widzę, że tak naprawdę zależy jej jedynie na odpowiedzi TK. Nigdy nie była dobra w ukrywaniu swoich uczuć i teraz przygryza dolną wargę jak dziecko proszące Mikołaja o zabawkę, będącą aktualnym hitem.

– W poniedziałek zaczynamy naukę w South. Właśnie się tu przeprowadziliśmy – wyjaśnia TK.

Taryn kiwa głową i posyła mi radosne spojrzenie. Przez kilka sekund przetrawiam jego słowa i zerkam na chłopaków idących przed nami.

– Wszyscy się przeprowadziliście? – pytam. Widzę, że Wes w ogóle nie reaguje na moje pytanie. Zaczynam mieć przeczucie, że wcale go nie cieszy fakt, iż odwożą nas do domu.

– Aha – odpowiada Levi, odwracając się i idąc przez chwilę tyłem. – Jesteśmy braćmi.

Kiwam głową i zasysam wargę, próbując to rozgryźć bez dodatkowych pytań.

– Chodzicie do ostatniej klasy? – Najpierw decyduję się ustalić ich wiek.

– Blisko, Wisie... – zaczyna TK, ale urywa w pół słowa, kręci głową i się śmieje. – Kurde, szybko się przyzwyczaiłem. To znaczy Bossie. I nie... chodzimy do przedostatniej. A wy?

– My też – odpowiadam, otulając się ciaśniej koszulą. Słońce chyli się ku zachodowi i wzmaga się wiatr.

Jesteśmy coraz bliżej samochodu, a Wes nie odezwał się jeszcze ani słowem. W sumie to nawet nie wiem, czy w ogóle potrafi mówić. Pierwszy dochodzi do zamkniętej bramki, unosi nogę i stawia ją na łańcuchu, po czym bez żadnego wysiłku przeskakuje na drugą stronę. Odwraca czapkę daszkiem

do tyłu i podchodzi do bramki, żeby wziąć od Leviego pudło z piłkami. Nim jednak to robi, jego wzrok ucieka na chwilę w moją stronę. Trwa to ułamek sekundy, poza tym stoję tuż przed nim, więc gdzie indziej miałby patrzeć? Niemniej mam wrażenie, że tym razem to nie przypadek, tak jakby przez całą drogę szedł kilka kroków przed nami po to, żeby mieć teraz szansę na tę milczącą konfrontację, na możliwość zerknięcia na mnie właśnie tak, jak teraz, na tyle blisko, że mógłby mnie dotknąć, gdyby nie dzieląca nas metalowa bariera. Żołądek zwija mi się w supeł i pod tym baczным spojrzeniem zaczynam się czuć niepewnie – odbieram je jako ostrzeżenie.

To nie fair, że właśnie tak patrzą na mnie takie oczy.

– Hej, chwila... – mówi Levi, przekazawszy pudło. Wes zdążył się już odwrócić, więc całą uwagę skupiam na Levim. – Nie jesteś przypadkiem spokrewniona z Erikiem Wintersem?

Zamykam dłoń na mankiecie, uderzam knykciami w udo i zaciskam usta, po czym uśmiecham się z przymusem. To nie wina Leviego, że takim entuzjazmem napawa go moja relacja z trenerem Wintersem. Gra w baseball i mój ojciec będzie nim zachwycony. Właściwie to całą trójką. A Eric Winters to w Kalifornii nie byle kto. Siedem tytułów stanowych, ponad czterdziestu zawodników w drużynach uczelnianych i kilkunastu powołanych do pierwszej ligi. Niestety jego statystyki w kategorii „ojciec” są o wiele gorsze.

– To dlatego jesteś taka dobra! – oświadcza, robiąc krok w tył, jakby był zaskoczony.

Powtarzam sobie w myślach, że ta reakcja to nie jego wina. To normalne, każdy czyni takie założenie. Niemniej czuję irytację i kusi mnie, żeby udzielić swojej zwyczajowej odpowiedzi. Tak, oto klucz do mojego sukcesu, Levi. Dobrze to ująłeś. Mam spektakularne geny, jeśli chodzi o bieganie do baz i rzucanie piłki. Nie trzeba do tego żadnego wysiłku ani talentu z mojej strony.

– A może po prostu bardziej od ciebie przykłada się do treningów. – Mój wewnętrzny dialog przerywa głos Wesa. Przewraca oczami do Leviego i odbiera nad ogrodzeniem kije, stając w mojej obronie. Jego spojrzenie jeszcze raz prześlizguje się po mnie, po czym chłopak się odwraca, a ja mrugam.

W sumie to dokuczał bratu, ale powiedział także to, czego ja nie byłabym w stanie. Dzięki. To słowo przemyka mi przez głowę, ale znika w chwili, kiedy Wes odwraca się i podchodzi do samochodu.

– No tak, nie... nie chodziło mi o to. Chciałem powiedzieć, że to super i w ogóle – bąka Levi, a potem przechodzi przez ogrodzenie, skupiając się na dłoniach i stopach. Widzę, że kręci głową, jest zażenowany.

– Wiem, o co ci chodziło. Taa, jest... super... chyba – mówię, patrząc na Taryn. Wsuwam stopy w otwory w ogrodzeniu, żeby się na nie wspiąć. Moja przyjaciółka zaciska usta, bo wiele ze mną przeszła i aż za dobrze jest świadoma wszystkich uchybień mojego ojca. Nie ma jednak sensu teraz tego wyciągać przy wszystkich.

Przechodzimy przez ogrodzenie i Wes zabezpiecza sprzęt na pace. Levi i TK wskakują do tyłu, nalegając, abyśmy ja i Taryn jechały w szoferce. Wchodzę do niej niechętnie, nie bardzo mając ochotę na siedzenie tak blisko Wesa, ale Taryn nie idzie za mną. Powinnam się domyślić, że wybierze jazdę na pace blisko TK. Zostanę tu z nim – Panem Rozmownym – zupełnie sama. W sumie to pewnie większość czasu będę mu udzielać wskazówek, jak dojechać do mojego domu.

Przesuwam się bliżej drzwi i zamykam je, po czym sięgam po pasy. Słyszę, że drzwi od strony Wesa także się zamykają, ale nie patrzę na niego. Odruchowo zaczynam wstrzymywać oddech, jakby to było jakieś wyzwanie i jakbym siedziała zamknięta w skrzyni razem z chłopakiem, który co prawda jest przystojny, ale ma za to braki w charakterze.

Pas nie chce się zapiąć. Zaczynają mnie boleć płuca od braku powietrza, a im dłużej majstruję przy metalowym zapięciu, tym większa ogarnia mnie panika.

Wes kaszle, następnie wyciąga rękę w moją stronę. Otwieram szeroko oczy na widok zbliżających się ku mnie palców. Puszczam zupełnie pas, ale nim zdąży się zwinąć, łapie go Wes. Patrząc mi w oczy, bez problemu zapina go tak, jak należy.

– Robiłaś to w odwrotną stronę – mówi, a kącik jego ust unosi się na chwilę, dzięki czemu w policzku ukazuje się dołeczek. Moje spojrzenie skupia się właśnie na nim.

– Och, dzięki – odpowiadam. Trzęsą mi się ręce od adrenaliny, której przypływ odczuwam podczas naszej rozmowy – tak blisko – sam na sam. Zaciskam dłonie i kładę je na kolanach. Nie podoba mi się, że nie mam nad tym kontroli.

Wes zapina swój pas, po czym przekręca kluczyk w stacyjce. Ten ułamek uśmiechu i kilka słów to wszystko, na co mogę liczyć – w tej chwili chłopak skupia się całkowicie na lusterkach i drodze.

Naciągam rękawy na dłonie i patrzę na krótkie, pozadzierane paznokcie. Zerkam ukradkiem w lewo i dostrzegam, że spojrzenie Wesa znajduje się na moich dłoniach, więc pociągam rękawy jeszcze mocniej i wsuwam ręce pod uda. Kiedy to robię, jego wzrok przesuwają się ponownie na drogę.

– Więc ty, TK i Levi... jesteście... braćmi? – Serce wali mi nieco mocniej niż zwykle. Nie jestem dobra, jeśli chodzi o nowe znajomości. Najczęściej albo ich unikam, albo od samego początku staram się dominować, uznając, że ludzie albo się ugną pod moim agresywnym stylem, albo będą się trzymać na dystans, ale Wes onieśmiela mnie bardziej niż większość osób. Wcale mi się to nie podoba.

Nie udziela mi werbalnej odpowiedzi. Zamiast tego odwraca się w moją

stronę i kiwa głową.

– Fajnie – mówię i od razu jest mi głupio, że wyskoczyłam z takim pytaniem.

Po naszej stronie szyby panuje milczenie, tymczasem z tyłu chłopcy i Taryn śmieją się głośno i prowadzą wesołą rozmowę. Tutaj ma miejsce jedynie pełna powagi tolerancja.

– Który z was... – zaczynam, ale urywam, nie mając pewności, jakich krążących w mojej głowie słów powinnam użyć. Nie mam pojęcia, czemu czuję się w obowiązku prowadzenia rozmowy, czemu w ogóle się tym przejmuję. Może powodem jest to, że będę go widywała w szkole, a nawet i poza nią, zważywszy na jego umiejętności i miłość mojego ojca do miotaczy takich jak on.

Stanie się nowym ulubieńcem taty.

Wyjmuję z kieszeni koszuli zapalniczkę i parę razy nią pstrykam. To mój nerwowy zwyczaj. Czasem bardziej chce mi się coś trzymać i dotykać, niż rzeczywiście palić.

– Który jest adoptowany? Tylko TK? A może... ty? – W ogóle nie są do siebie podobni, skóra TK ma odcień ciemnego brązu, Levi ma jasną cerę i piegi, a Wes znajduje się gdzieś pośrodku.

Furgonetka zatrzymuje się powoli na granicy drogi gruntowej i Wes nachyla się do przodu, i mrużąc oczy w świetle zachodzącego słońca, patrzy w prawo i w lewo. Światło tańczy na kosmykach wystających spod czapki, nadając im złoty odcień.

– Wszyscy – odpowiada zwięźle. Przed nami przejeżdża ciężarówka z naczepą i Wes skręca w lewo w drogę ekspresową. Otwieram usta, żeby zacząć udzielać mu wskazówek dojazdu, ale mi przerywa, zerkając na moją dłoń, bawiącą się nerwowo zapalniczką. – Palisz? – pyta.

Wie, że tak. Mam wrażenie, że to podstęp.

– Czasami – odpowiadam, nie chcąc dodawać niczego więcej, ale głos w mojej głowie mówi dalej. *Czasami robię wiele rzeczy i od lat nikogo to nie obchodzi, więc nie udawaj, że w twoim przypadku jest inaczej.*

Kusi mnie trochę, żeby zapalić teraz papierosa, tylko po to, aby zobaczyć reakcję Wesa. Jednak tego nie robię. Chowam zapalniczkę z powrotem do kieszeni i wsuwam dłoń pod uda. Spojrzenie skupiam na rzędach domów, przesuujących się za szybą po mojej stronie.

– Kiedy byłem mały, mieszkałem u rodziny zastępczej. Mama dużo paliła. Umarła na zawał, jak miała... ile lat? Czterdzieści? – mówi i usta ma uchylone, jakby chciał dodać coś jeszcze. Szybko je jednak zamyka i zerka w drugą stronę, zmieniając pas.

– No tak... jak już mówiłam. Palę tylko czasami. – Nie powiedział, żebym przestała. Nie powiedział, że mi to szkodzi. Smagnął mnie jedynie małą dawką poczucia winy.

Dupek.

Dojeżdżamy do świateł na ulicy sąsiadującej z moją, a ja prostuję się. Jestem gotowa, aby mu powiedzieć, gdzie skręcić, on jednak wrzuca kierunkowskaz i sam zjeżdża na lewy pas, więc gryzę się w język. Skąd on, u licha, wie, gdzie mieszkam?

Ponownie rozlega się śmiech na pace i pozwalam, aby ten dźwięk wypełnił próżnię, gdy tymczasem Wes skręca w wąską uliczkę i manewruje między samochodami zaparkowanymi po obu stronach.

– Więc wszyscy jesteście... Stokesami? – pytam, nie spuszczać z niego podejrzliwego wzroku.

Wes zerka w lusterko wsteczne. Znowu pojawia się mały dołeczek, a jego widok sprawia, że szybciej bije mi serce.

– Aha. Niedobre trojaczki – rzuca, kierując się w stronę mojego domu.

Patrzę przez chwilę na drogę, po czym przenoszę wzrok na niego. Przez

tylną szybę dobiega głos Taryn i słyszę, jak obaj chłopcy śmieją się razem z nią. Może to ona podała mu nasz adres, kiedy ja byłam zajęta majstrowaniem przy pasach.

– Mój dom jest trzeci po lewej – mówię, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Drga mu mięsień w brodzie, ale kiwa powoli głową.

Cholera. Może to stalker. Przystojny, niemniej – stalker.

W chwili, kiedy zajeżdża pod mój dom, odpinam pas i otwieram drzwi. Wes nie wysiada. Taryn i ja żegnamy się z Levim i TK i czekamy przed bramką, podczas gdy oni wsiadają do szoferki.

– Ty też wyjaśniłaś mu dojazd? – pytam Taryn, z jakiegoś powodu nie chcąc przyznać, że nie podałam mu adresu. Nie chcę, żeby moja najlepsza przyjaciółka się martwiła. To pewnie nic takiego. No ale z drugiej strony wcale nie mam takiego wrażenia. Wręcz przeciwnie – uważam, że powinnam się temu przyjrzeć.

– Nie, wiesz, jaka jestem w tym beznadziejna. Uznałam, że ty to zrobiłaś. Czemu pytasz, zgubił się? – zadaje pytanie, zerkając na mnie, ale tylko przelotnie. Uśmiecha się i macha do TK.

– Trochę – kłamię. Przygryzam dolną wargę i wstrzymuję oddech. Gorączkowo szukam w myślach powodu, dla którego Wes Stokes miałby wiedzieć, gdzie mieszkam. Tuż przed odjazdem patrzy na mnie przez szybę i na widok niebieskich tęczywek przez ułamek sekundy mam przed oczami znacznie młodszą twarz. I wtedy Wes mruga.

Znajome uczucie szybko mija, ale pozostawia po sobie ślad czegoś. Wspomnienie. Wes Stokes już tu kiedyś był. Czuję ściskanie w piersi, kiedy zerkam na trawnik przed domem – kilka metrów za mą – na miejsce, gdzie pewien chłopiec uratował mi kiedyś życie i przez kilka długich sekund oddaję się temu wspomnieniu, po czym znowu ukrywam je pod tym wszystkim, co przyrzekłam sobie zapomnieć.

[1] *Vike* – skrót od „Vicodin”, silny lek przeciwbólowy, wyłącznie na receptę (przyp. tłum.).

[2] *OC* – skrót od „OxyContin”, silny lek przeciwbólowy, wyłącznie na receptę (przyp. tłum.).

[3] *Spice* – syntetyczna marihuana (przyp. tłum.).

[4] *Infield* – część boiska do baseballu (przyp. tłum.).

[5] *Changeup* – rodzaj rzutu (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DRUGI

CHRISTOPHER.

To zabawne, w jakim stopniu to imię stało się częścią mojego życia. Jego twarz. Jego oczy. To, jak jego szybki oddech synchronizował się z dudnieniem mojego serca tego dnia, kiedy powinnam zginąć. Czasem budzę się z sennych koszmarów, słysząc ten dźwięk. Co nie znaczy, aby był niedobry. Wprost przeciwnie. Szum jego ciężkiego oddechu jest dźwiękiem, który mnie budzi – ratuje przed tym, co złe i ma się wydarzyć w mojej głowie.

Kiedy byłam młodsza, zasypiałam, wyobrażając sobie, jak mnie trzyma. Otulałam się ciasno kołdrą, żeby czuć się bezpiecznie – tak, jak się czułam w jego ramionach. Nie robiłam tego od lat... aż do zeszłego wieczoru. Kołdra nie okazała się równie skuteczna jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Pewnie dlatego, że teraz rozumiałam, czym są fantazje i udawanie.

Choć wiem, że nie potrafię przywołać tamtego uczucia z przeszłości, nadal lubię wyobrażać sobie jego twarz. To akurat jest coś, co robię każdego wieczoru od dnia, w którym zniknął. Czasami chłopiec, na którego patrzę w swojej głowie, to ten z tamtego dnia – jakbym próbowała trzymać się kurczowo jego wspomnienia, nie zapomnieć detali. Bywa jednak, że leżę i wyobrażam sobie, jak wygląda obecnie. Jediną radosną stałą rzeczą w moim głównianym życiu są myśli o nim.

Trzymam to w tajemnicy z tak wielu powodów. Pytałam o niego, nim wysłano mnie na wakacje do Fresno. Słyszałam, że został ranny, kiedy mnie ratował, że samochód taty uderzył w niego w chwili, kiedy mnie odciągał.

Mówiły o tym okoliczne dzieciaki. Leciła mu krew, kiedy jednak próbowano mu pomóc, on się wzbraniał, zamiast tego jeszcze mocniej mnie obejmując. Wszyscy nazywali go dziwolągiem, ale dla mnie nie był już wcale taki dziwny. Tak się pewnie dzieje, kiedy ktoś ci ratuje życie.

Po tym, jak mama nas zostawiła, tato jeszcze kilka razy rozwalił samochód podczas jazdy po pijaku, a kiedy wróciłam z Fresno, dzieciaki gadały tylko o mojej porabanej rodzinie i o tym, że mój tato straci prawo do opieki nade mną, jeśli nadal będzie się tak zachowywał. To jednak wcale nie przeszkadzało mu w piciu. Powstrzymywał go baseball i ryzyko utraty stanowiska. To dzięki temu nauczył się ograniczać chodzenie do baru na końcu ulicy, a do pijackich awantur i wybuchów dochodziło tylko w naszym domu.

Christopher stał się bladym wspomnieniem, a kiedy poruszałam jego temat, słyszałam: „Och, on... tak...” i widziałam obojętne wzruszenia ramion. Tematy rozmów szybko ulegały zmianie i nie minęło dużo czasu, a jego imię znaczyło coś więcej już tylko dla mnie. Zniknął. Plotki, że z powodu obrażeń trafił do szpitala, okazały się nieprawdziwe, a kiedy zmusiłam Taryn, żeby pojechała rowerem do oddalonego o siedem kilometrów domu państwa Woodmansee, przyjaciółka dowiedziała się tylko tyle, że Christopher wrócił pod kuratelę opieki społecznej i że nie mieszka już w ich domu. To właśnie tego dnia usłyszałam od Taryn, że wygląda to tak, jakbym czuła miętę do Christophera Woodmansee. Oświadczyłam jej, że jest głupia i więcej o nim nie wspominałam.

Taryn nie rozumiała. Nikt by nie zrozumiał. To nie było żadne zadurzenie, obsesja ani nic z tych rzeczy. To był chłopak, który uratował mi życie i czułam, że muszę mu za to przynajmniej podziękować. Chciałam się upewnić, że chociaż u niego wszystko jest okej.

Trzymam tę głupią notkę z podziękowaniami, którą zrobiłam dla niego,

kiedy miałam dziewięć lat, w pudełku razem z klasowymi zdjęciami i kilkoma urodzinowymi kartkami, które na przestrzeni lat przysłali mi dziadkowie. Nie ma w nim kartek od mamy. Ani listów. W sumie to można uznać, że niedotrzymanych obietnic także nie ma. Choć z drugiej strony uważam, że kiedy rodzi ci się dziecko, w duchu sobie przyrzekasz, że zawsze będziesz się nim opiekować. Więc tej akurat obietnicy nie dotrzymała, to pewne.

Moja mama, Kristina Winters, wiodła podwójne życie. Była kobietą, która uśmiechała się do mnie, przytulała mnie tak, jak sądziłam, że mamy przytulają córki i rozpieszczała, kiedy wracałam ze szkoły, ale była także kobietą, której w ogóle nie znałam, może poza faktem, że kłamała i tak naprawdę nigdy nie zależało jej na życiu ze mną tutaj, w Bakersfield. Ta Kristina była niepracującą mamą, która wypełniała sobie dzień od mojego wyjścia do szkoły do powrotu z niej przebywaniem w motelowych pokojach i w samochodach zaparkowanych na obrzeżach miasta z mężczyzną, z którym naprawdę pragnęła być.

Cieszę się, że nie mam w pudełku żadnych kartek od niej. Źle bym się czuła z tym, że leżą obok tej dla Christophera.

To musiał być on. Przez cały wieczór żałuję, że nie zrobiłam choćby jednego zdjęcia Wesowi Stokesowi, samym jego oczom. Według mnie są takie same, ale teraz martwię się, że tylko to sobie wyobrażam – fragmenty moich marzeń próbują przedostać się do rzeczywistości.

Wyjmuję z pudełka kartkę, po czym kładę ją z powrotem na podłodze pod toaletką. Papier zdążył pożółknąć, brzegi są lekko pozaginane, ale nadal widać narysowany przeze mnie wazon z kwiatami. Wtedy uważałam się za artystkę. Teraz ten obrazek wydaje się taki prosty, ale kiedy go rysowałam, czułam, że to naprawdę ważne. Otwieram kartkę i czytam swoją dziecięcą wiadomość.

Dziękuję, że uratowałeś mnie przed samochodem.

Cieszę się, że byłeś na wyścigu.

Chciałam, żebyś wygrał.

Mam nadzieję, że nic ci się nie stało.

Twoja przyjaciółka, Joss.

Uśmiecham się. Nie oglądałam tej kartki od dnia, kiedy wróciłam z Taryn z domu państwa Woodmansee. Kiedy przyjaciółka zaczęła się ze mną droczyć, schowałam ją przed nią. Wkładam ją teraz do segregatora do algebry, a moje policzki płoną z zażenowania. Po tylu latach nadal nie chcę, aby inni sądzili, że zabujałam się w tym dziwnym chłopcu.

Taryn trąbi dwa razy, więc zapinam plecak, a kiedy przechodzę przez kuchnię, biorę z szafki paczkę ciastek z wiśniami. Tato wcześniej wyjeżdża do szkoły – otwiera siłownię na poranne treningi dla swoich zawodników. Czasem nikt się nie zjawia, ale on i tak to robi, bywa że nawet w weekendy. Myślę, że woli po prostu jechać samochodem w pojedynkę. Tych kilka razy, kiedy jechałam z nim do szkoły, przez całą drogę się kłóciliśmy. On mi mówił, że marnuję swój talent, niewystarczająco intensywnie trenując i urywając się z zajęć, a ja ripostowałam, że posłucham go w dniu, kiedy zacznie mnie traktować jak córkę, a nie jak jednego ze swoich podopiecznych. Zawsze i tak kończy się to tym, że wypływa temat mamy. Jest naszą kartą przetargową, wyciągamy ją, kiedy chcemy naprawdę sobie dokopać. Ja mówię, że odeszła z jego powodu, a on się śmieje i oświadcza, że jest dokładnie na odwrót. Prawda wygląda tak, że nie chciała żadnego z nas, więc ostatecznie oboje przegrywamy.

– TK miałby używanie na widok twojego śniadania – stwierdza Taryn, pokazując na moje ciastka.

Uśmiecham się drwiąco i przewracam oczami. Burczy mi w brzuchu, kiedy rozrywam opakowanie i wgryzam się w jedno z ciastek z nadzieją

wiśniowym.

– Przyjechałaś dobre dwadzieścia minut przed czasem. Nie możesz się doczekać, kiedy kogoś zobaczysz, Taryn? – przekomarzam się z nią.

Napisała mi wczoraj wieczorem, że do niej zadzwonił. Nie podała żadnych szczegółów, bo kiedy wysyłała mi SMS-a, ich rozmowa jeszcze nie dobiegła końca. Zakładam, że właśnie dlatego dziś spieszy się tak do szkoły.

– Już na mnie czeka – wyjaśnia z uśmiechem. – Przegadaliśmy pół nocy. Na treningu polegnę jak nic.

– No proszę – odpowiadam z pełnymi ustami. Uśmiecham się do niej i kiwam głową. – Gdzie więc zamierzacie się spotkać? Gorąca randka na boisku?

– Nie! – Krzywi się, zerka na mnie z ukosa, po czym znowu koncentruje się na drodze. – Prawdę mówiąc, to wybiera się na trening do twojego taty. Obiecałam, że spotkamy się pod siłownią.

Warczę coś, a z ust wypadają mi okruchy. Zgarniam je z kolan, drugie ciastko zawijam w serwetkę i chowam do plecaka na później.

– Nie musisz wchodzić do środka. Poza tym twój tato i tak jest zawsze zajęty. Nawet nas nie zauważy – mówi Taryn.

Milczę, bo wiem lepiej. Zauważy. Będzie się zastanawiał, czemu zjawiałam się tak wcześniej i nie trenuję. Potem będzie mnie ignorował na oczach wszystkich, co tak naprawdę jest gorsze niż ciosanie mi kołków na głowie za to, że jestem leniwa.

– W porządku, wyrzucę cię przed szkołą, żebyś nie musiała iść ze mną. Możesz poczekać w bibliotece. – Wzrusza ramionami. Wet za wet, bo wie, że nie znoszę biblioteki. Nie chodzi o to, abym miała coś przeciwko książkom czy czytaniu, po prostu jest to miejsce, do którego często trafiaam za karę po lekcjach.

Nie mam samochodu, więc zawsze zabieram się z Taryn. Dostała auto od

babci, która nie była w stanie nim dłużej jeździć. To wielki, biały Ford Crown Victoria, który wygląda jak nieoznakowany radiowóz. Stroiłabym sobie z niego żarty, ale sama nie będę miała samochodu, dopóki sobie na niego nie zarobię. Nie mam, co liczyć na babcię, która wręczyłaby mi kluczyki.

Taryn zatrzymuje się przed wejściem do szkoły. Nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Opuszcza osłonę przeciwsłoneczną, żeby sprawdzić w lusterku stan swoich ust pomalowanych krwiście czerwoną szminką. I tak będzie musiała wszystko zmyć, więc nie wiem, po co w ogóle zawraca sobie głowę makijażem.

– No to do zobaczenia na historii – rzucam, po czym, nie patrząc w jej stronę, otwieram drzwi, wysiadam i zamykam je tyłkiem. Od razu odjeżdża, kierując się na drugi koniec terenu należącego do szkoły.

Jest na tyle wcześnie, że na korytarzach panują pustki. W zeszłym roku zdemontowano wszystkie szafki na ścianach. Dyrektor oświadczył, że to ze względów bezpieczeństwa – jedno miejsce mniej, w którym dzieciaki mogą ukrywać broń. Myślę jednak, że chodziło głównie o dragi. Dostyc łatwo jest zdobyć tu tabletki i inny syf. Wątpię, aby likwidacja szafek powstrzymała dilerkę na szkolnym parkingu.

Nie pomalowano jeszcze ścian, więc na razie pełno w nich dziur i jasnych śladów tam, gdzie wcześniej wisały rzędy metalowych szafek. Wygląda to jak strefa działań wojennych, co w sumie odpowiada prawdzie.

Biblioteka mieści się na końcu głównego holu, od którego odchodzi pięć korytarzy, prowadzących do różnych części szkoły. Kiedy otwieram jedno skrzydło podwójnych drzwi, dostrzegam, że przy stolikach siedzi kilkoro uczniów. Nie podnoszą na mnie wzroku, więc mijam ich, kierując się na sam koniec. To pierwszy dzień po feriach. Kto, u licha, teraz się uczy?

Rzucam ciężki plecak na stolik, następnie kładę obok niego nogi. Pani

Tierney – bibliotekarka – kaszle, zatacza palcem kółko i kieruje go ku podłodze. Marszczę czoło, a ona unosi brwi i powtarza wcześniejszy gest. Chce, żebym postawiła nogi na podłodze. Zrozumiałam za pierwszym razem, tyle że nie lubię, jak wymierza we mnie ten swój patykowaty palec.

Opuszczam nogi, ale kiedy tylko bibliotekarka odwraca wzrok, opieram czubki butów o metalowy występ tuż pod blatem i odchylam się razem z krzesłem. Wystukuję SMS-a do Taryn: *Zoła z ciebie, że muszę tu teraz siedzieć.*

W odpowiedzi przyjaciółka przysłała mi zdjęcie swoich ust. Przewracam oczami i przeglądam aplikacje. W końcu decyduję się na grę, w której wrzuca się do kosza papierowe samoloty. Tato nie chce mi kupić samochodu, ale za telefon płaci. Dobrze, że mam chociaż tę grę w samolociki.

Po mniej więcej dziesięciu minutach udaje mi się pobić swój dotychczasowy rekord i w tym momencie dostrzegam, że drzwi do biblioteki znowu się otwierają. Wchodzi Wes z jakąś kartką w jednej ręce. Z ramienia zwisa mu plecak. Dzisiaj ma na głowie inną czapkę – ta jest z brązowej siateczki w stylu kierowcy ciężarówki. Wygląda na zagubionego, przez co wydaje mi się jeszcze bardziej fascynujący. Przygryzam wewnątrz policzka, walcząc z ochotą zerwania się z miejsca i zaoferowania swojej pomocy, nim zrobi to jakaś inna dziewczyna. Co w sumie jest głupie, bo oprócz mnie znajdują się tu jeszcze dwie dziewczyny, które bardziej są pochłonięte nauką niż operą mydlaną, którą jest Wes Stokes i to, jak się wpasowuje w mój pokręcony świat.

W końcu podnosi na mnie wzrok, a moje stopy zsuwają się z występu, krzesło wychyla się do przodu, a tyłek ześlizguje mi się lekko. Muszę się nachylić i chwycić blatu, żeby nie spaść.

Cholera. Co za żenująca sytuacja.

– Hej – mówi, nieporuszony moimi akrobacjami. Kładzie przede mną

pogniecioną kartkę, która wygląda tak, jakby wyjął ją przed chwilą z kieszeni. Odsuwam z twarzy włosy, żeby zobaczyć, co mi pokazuje. Plan lekcji, tak jak myślałam.

Obracam kartkę jednym palcem. Mamy razem pierwszą lekcję. W milczeniu przebiegam wzrokiem po rozpisce i czuję zarazem smutek i ulgę, że chodzimy razem jeszcze tylko na jedno zajęcia – fotografię. Musiałam wybrać przedmiot fakultatywny, a robienie zdjęć wydawało się prostsze niż rysowanie. Założę się jednak, że Wes jest w tym kierunku uzdolniony. Kaszle cicho, a ja przesuwam w jego stronę plan lekcji. Dociera do mnie, że nie odezwałam się jeszcze ani słowem.

– Zgubiłeś się? – pytam, unosząc brew.

Jego niebieskie oczy atakują mnie w chwili, kiedy podnoszę wzrok. Zaciskam dłonie na krawędziach krzesła i myślę o mającej niemal dekadę kartce schowanej w plecaku. Przysięgam, że należy do niego – to jest Christopher.

– Planowałem zjawić się wcześniej, żeby wszystko sobie spokojnie obejrzeć, ale na siłowni dźwigaliśmy ciężary. – Urywa i bierze z blatu kartkę, po czym mruży oczy i jedną ręką pociera kark. Choć ta głupia czapka jest taka urocza, to mrużenie i pocieranie karku okazuje się jeszcze lepsze. Albo gorsze, zależnie od tego, w jaki sposób na to się patrzy. Burzy to mój plan opierania się Wesowi.

– Mój tato gorąco wierzy w budowanie siły... w każdej wolnej chwili – mówię i śmieję się cicho. Gdzieś głęboko czuję ukłucie spowodowane utratą relacji, jaka łączyła mnie kiedyś z tatą. Jako mała dziewczynka przyglądałam się, jak podnosi ciężary, a on mi wtedy mówił, że dzięki mięśniom zdobędę dominującą pozycję jako odbijająca. Kąciki ust Wesa wyginają się w lekkim uśmiechu. On także jest uroczy i na jego widok ukłucie staje się mniej bolesne.

– Taa, wczoraj już dostałem wykład dotyczący treningów. Dlatego wybraliśmy się na boisko – mówi.

Wstrzymuje oddech i przygląda mi się w milczeniu, a na jego twarzy pojawia się nerwowy uśmiech. Czuję, że znowu mam przewagę i nieważne, że dzieje się tak dlatego, iż ja wiem, dokąd się wybieram, a on nie. Potrzebuję tej przewagi i już.

– Razem mamy pierwszą lekcję. Pokażę ci, w której klasie.

Zapinam plecak i jakoś udaje mi się wstać, nie robiąc przy tym żadnej sceny. Wychodzimy razem z biblioteki i prowadzę go długim korytarzem. Wes podąża kilka kroków za mną i kusi mnie, żeby się odwrócić i przekonać, czy patrzy na mnie, czy też jego uwagę przyciągają nowe klasy i inni uczniowie. Nie robię tego, bo coś mi mówi, że jednak to drugie, a o tak wczesnej porze nie jestem gotowa na rozczarowanie. Pozostanę przy swojej fantazji, w której on mnie pragnie – przynajmniej do czasu, aż potwierdzę przeczucia związane z przeszłością.

– To tutaj – mówię. Odwracam się szybko i opieram plecami o ścianę. Wes wpatruje się w swój telefon – w każdym razie nie we mnie – i czuję się tak, jak przewidywałam. Jestem rozczarowana.

– Dzięki – rzuca, skupiając się na pisanej wiadomości.

– Nie ma sprawy – odpowiadam.

Unoszę brwi, zaciskam usta, biorę głęboki oddech i wchodzę do klasy. Odwracam się, żeby nie musieć patrzeć, jak mnie ignoruje. Podziękował. Niemniej brzmiało to... nie wiem... niegrzecznie?

Podchodzę do ostatniego rzędu pod oknem i kładę plecak pod środkową ławką. Kilka sekund później zjawia się Wes, kiwa mi głową i zajmuje miejsce dokładnie przede mną.

Marszczę brwi, patrząc, jak wygodnie się mości. Zerkam na puste krzesła obok siebie. Czemu tutaj?

Odruchowo skupiam się na tym, jak wygląda z tego miejsca... z tyłu. Ma szerokie ramiona i chyba niedawno obcinał włosy. W każdym razie nie widać żadnych rozdwojonych końcówek. Są na tyle długie, że opadają mu na kołnierzyk. Widzę, że schował czapkę do plecaka. Uśmiecham się pod nosem, bo wygląda na to, że Wes przestrzega zasad. *Dress code* nie pozwala na noszenie czapki w klasie. Głupia zasada, bo to przecież nie jakieś cylindry czy inne ustrojstwa odwracające uwagę, a prawdę mówiąc, to niektórym dobrze by zrobiło, gdyby ten syf, który mają na głowie, ukryli pod czapką.

Do dzwonka zostało jeszcze dobre pięć minut, więc nachylam się i stukam ołówkiem w wystającą mu spod T-shirta metkę.

– Widać ci instrukcję prania – mówię.

– Dzięki – rzuca przez ramię, po czym unosi rękę i chowa metkę, ucinając rozmowę.

– Okej – mrużę do siebie, odchylając się na krześle. Zbieram włosy w węzeł i wsuwam w niego ołówek, żeby przytrzymał je na miejscu. Jest zima, a termometr pokazuje prawie dwadzieścia pięć stopni. Gorąco mi.

Do klasy wchodzi kilkoro uczniów. Od razu zwracają uwagę na Wesa. Trudno go przeoczyć. I nie tylko dlatego, że jest trochę przystojniejszy od wszystkich innych chłopaków w South, ale i potężniejszy. Żeby się zmieścić w ławce, musi siedzieć pod dziwnym kątem. Śmieję się w duchu na myśl, że wygląda jak olbrzym na popołudniowej herbatce, ale im dłużej pozwalam sobie na niego patrzeć, tym większa mnie ogarnia ciekawość.

– Hej – mówię, ponownie nachylając się w jego stronę. Nie odwraca się, a jedynie lekko przechyla głowę. W dłoniach nadal trzyma telefon. Tchórzę i nie pytam, czy przypadkiem nie nosił kiedyś imienia Christopher, zamiast tego poruszam temat SMS-ów. – Jakiś kryzys czy co? Ta klawiatura rozgrzana jest już do czerwoności.

Wzdycha i pochyla głowę. Wyłącza telefon, po czym chowa go do tylnej

kieszoni. Odwraca się na krześle w moją stronę, a w chwili, kiedy to robi, odnajduję dom w tych niebieskich oczach.

Christopher.

– TK zrywa się z pierwszej lekcji. – Wzrusza ramionami.

Śmieję się cicho, przyglądając się jego twarzy.

– No to Taryn pewnie też – stwierdzam, przypuszczając, że pewnie nie zobaczymy ich aż do lunchu.

– TK podejmuje czasem głupie decyzje – wzdycha Wes, a ja od razu jestem gotowa stanąć w obronie przyjaciółki.

– Co to znaczy? – pytam, marszcząc czoło.

– Nic – odpowiada i odwraca się. Schyla się, żeby wyjąć z plecaka zeszyt i ołówek. Nie podoba mi się sposób, w jaki ten chłopak kończy rozmowy. Zawsze do niego należy ostatnie słowo.

– To duży chłopiec – rzucam w jego stronę.

Odpowiada westchnieniem i wiem, że przewraca oczami. Dostrzegam, że znowu widać mu metkę i uśmiecham się drwiąco. Tym razem zachowam to dla siebie. *Mała wygrana...* – No więc... – zaczynam ponownie, zerkając na kilku ostatnich uczniów, którzy wchodzi do klasy. Pan Coughlin jeszcze się nie zjawił, mam czas. A teraz, kiedy jestem trochę wkurzona na Posłusznego Wesa, czuję się na tyle odważna, aby sprawdzić swoją teorię. – Dopiero co się przeprowadziliście, ale czy mieszkałeś tu już wcześniej?

Czekam na jego reakcję. Po chwili bierze głęboki oddech.

– Mieszkaliśmy w Nevadzie – mówi. Trzyma ołówek w dwóch palcach i stuka nim o zeszyt.

– Chodziło mi o to, że może... nie wiem, zanim zostałeś adoptowany? – pytam.

– Też w Nevadzie. – W jego głosie słychać znudzenie. Kiwam głową. Mój rozum akceptuje Nevadę, ale przecucie mówi zupełnie coś innego.

– Och, okej. Po prostu... – Urywam i zaczerpuję tchu, żeby na pewno powiedzieć to tak, jak należy. – Przypominasz mi kogoś... – Obserwuję jego ramiona, licząc na... coś, ale on jedynie nimi wzrusza. – Hej, skąd wiedziałeś, jak trafić do mojego domu? – zadaję jeszcze jedno pytanie i w tym momencie do klasy wchodzi pan Coughlin. Klaszcze w dłonie, co mu zostało po nauczaniu pierwszych klas. To zabawne, że siedemnastolatki podskakują wtedy tak samo jak siedmiolatki.

– Wiedzieliśmy, gdzie mieszka trener – rzuca Wes przez ramię. Mrużę oczy, nie mając pewności, czy mu wierzyć. – Mówił, że możemy wpadać, kiedy tylko będziemy czegoś potrzebowali, a na koniec wczorajszego treningu podał nam adres. Twój tata wygląda na porządnego gościa, powiedział, że zawodnicy są dla niego jak rodzina. Dla ciebie to pewnie dziwaczne, że ktoś wpada na kolację, czy coś w tym rodzaju.

Śmieje się cicho, wyobrażając sobie otwarty i serdeczny dom. Mocno zaciskam usta, powstrzymując pełen bólu śmiech.

– Taa, dobry z niego trener – mówię spokojnie.

Prawda jest taka, że nie licząc Kyle'a, żaden z zawodników taty nigdy nie *wpadał na kolację*. Gdyby tak się jednak stało, niewątpliwie zostałby potraktowany po królewsku, a nie jak rodzina. Gdyby jego zawodnicy byli jak rodzina, czuliby się jak duchy wędrujące po naszym domu, dostrzegane tylko wtedy, kiedy coś zepsują. Chciałabym, żeby rodzinę traktował tak, jak swoich podopiecznych.

Osuwam się lekko na krześle i oddaję marzeniom. Wracam do myślenia, że Wes Stokes to seksowny, nowy chłopak w szkole, który ma trudny charakter. I prawie już jestem do tego przekonana, kiedy pan Coughlin odczytuje listę obecności.

– Jak wolisz, żeby na ciebie mówić? Wes czy...

– Wes – wtrąca szybko, a ramiona mu nagle sztywnieją. – Po prostu Wes.

– Rozumiem, więc to drugie imię... – mówi, przewijając w komputerze listę uczniów.

– Po prostu Wes – powtarza, tym razem z nieco większą stanowczością.

– O co chodzi z tym drugim imieniem? – pytam cicho, w zasadzie szeptem.

Odwraca lekko głowę w moją stronę i wiem, że mnie słyszał, ale pochyla się nad ławką, zwiększając odległość między naszymi ciałami. Założę się, że żałuje teraz, że wybrał sobie takie, a nie inne miejsce.

Zgodnie z moimi przewidywaniami TK i Taryn zjawili się dopiero w czasie lunchu. Przyłapałam go na podgryzaniu jej szyi przed stołówką. Na mój widok czmychnął na parking, a tam wsiadł do furgonetki razem z braćmi.

Podczas lunchu dłubałam we frytkach, a tymczasem Taryn nawijała o TK – od baseballu woli futbol, dobrze całuje i w weekend mają randkę. Sobotnie wieczory spędzamy najczęściej u Connera i Kyle’a, wygląda więc na to, że czeka mnie samotny spacer. Mieszkają tylko kilka przecznic ode mnie, a z lekka ryzykowne nocne wyjście i tak jest lepsze niż siedzenie w domu i czekanie na powrót taty. Albo – co gorsza – jego telefon i błaganie, żebym po niego przyjechała. To okrutne – jego samochodem wolno mi jeździć tylko wtedy, kiedy odbieram go z baru.

Staram się nie nabijać z Taryn i TK. Tylko że ona już tak ma – zadurza się, wszystko przyspiesza do stu pięćdziesięciu na godzinę, a po kilku dniach tkwi z tym facetem w dusznym związku. Wszyscy tracą dla niej głowę i to nieźle. Taryn Rodriguez jest śliczna. Ma krągłą figurę i duże piersi. To jedyne, czego jej od zawsze zazdrozczę. No i jeszcze życia rodzinnego – ma dwie starsze, studiujące siostry i rodziców, dla których jest ósmym cudem

świata, nawet jeśli pakuje się w kłopoty. Owszem, zaprzedałabym duszę diabłu za jej cycki i kolację w gronie jej rodziny.

Kiedy po treningu wkładamy piłki do kosza, Taryn nadal nawija o TK. Zaczyna się powtarzać i w normalnych okolicznościach przywołałabym ją do porządku, ale tym razem rozprasza mnie chłopak, który niecałe trzysta metrów dalej stoi obok mojego ojca.

Oczywiście, że tato go lubi. Nie tylko lubi, ale wręcz upaja się faktem, że może trenować Wesa Stokesa. W czasie studiów był miotaczem, dopóki nie uszkodził sobie ręki. Tuż przed końcem nauki, po trzech latach związku, on i mama wzięli ślub. Myślę, że liczyła na jego wielki *comeback* i powołanie do drużyny. Zamiast tego została żoną nauczyciela WF-u i trenera, który wolał małe miasteczko od L.A.

Mama kochała to miasto. Kompromisem okazało się Bakersfield. Tato stał się tutaj trenerem-legendą i na pewno nigdy się stąd nie wyprowadzi. Co do tego mam pewność. Mama także musiała ją mieć.

Obserwując Wesa, zachowuję ostrożność. Taryn już pytała, czy przypadkiem nie wpadł mi w oko, a ja odparłam, że jest niezły, ale zachowuje się jak dupek. W sumie to prawda, nawet jeśli pominęłam kilka detali, jak na przykład swoją pokręconą teorię, że jest moim bohaterem z dzieciństwa.

Pracuje teraz z tatą nad techniką chwytu. Rozpoznaję to po tym, jak wymieniają się piłką, a potem Wes obraca ją w dłoni, trzymając rękę za plecami. Chłopak nie jest zbyt dobry w ukrywaniu swoich ruchów, stąd wiedziałam, jaką piłkę zamierza rzucić. Tato od razu to wychwytał i teraz stara się temu zaradzić. To dobrze. Jednocześnie zbiera mi się na mdłości, bo tak bardzo jestem do niego podobna.

Może ja też nigdy nie wyprowadzę się z Bakersfield.

– Próbujesz pogodzić się z faktem, że to dupek, co? – żartuje Taryn,

rzucając mi piłkę, która odbija się od mojego uda. Cholera. Przyłapała mnie.

– Nie – wzdycham, oglądając się na nich kilka razy. – Obserwuję jego i tatę. Naprawdę go lubi.

Zaciskam usta w cienką linię i skupiam się na piłkach. Sprawdzam ustawienie stóp i szykuję się na uderzenie, nim jednak zdążę machnąć kijem, Taryn bierze piłkę do ręki.

– Taryn, nie rób tego – protestuję. Zupełnie opacznie to wszystko odczytuje.

– Powinnaś pogadać z tatą, Joss. Powiedz mu, jak bardzo tęsknisz za waszą bliskością. Wiesz, że jemu też tego brakuje. Chętnie by wrócił do tych czasów, kiedy też tak z nim stałaś – mówi, kiwając głową w stronę Wesa i mojego ojca.

– Takie rozmowy już były, Tar. Nie działają. Wiesz, że nie, bo potem za każdym razem mieszkam u ciebie przez tydzień. – Wyciągam rękę po piłkę. Kładzie ją dla mnie na wyrzutni, a ja biorę zamach. Schylam się i zastępuję piłkę nową, gotowa do ponownego odbicia. – I nie jestem zazdrosna o najnowszego pupilka taty. Wkurzam się tylko, że pokazuje mi, jak ukrywać swoje zamiary. Teraz nie będę już mogła odczytywać sygnałów.

Przygotowuję kolejną piłkę, ale Taryn znowu ją zabiera.

– Taryn, po prostu daj spokój... – mówię, ocierając z czoła krople potu. Opuszczam kij na ramię.

Moja przyjaciółka obraca piłkę w dłoniach. Usta ma uchylone, ale po kilku sekundach zamyka je i odkłada piłkę na miejsce, następnie cofa się o kilka kroków, żebym mogła wziąć zamach.

– W porządku, no to chyba nie mam racji – stwierdza. Trafiam w piłkę, a ona odbija się rykoszetem od palika przy siatce. – Ale... – zaczyna znowu. Oddycham ciężiej, co jest winą upału i setek uderzeń. Jestem zbyt zmęczona, żeby się z nią kłócić. Patrzą na nią z zaciśniętymi ustami. Jakoś zniosę

jeszcze jeden wykład. – Skłamałaś w jednej z tych kwestii, Joss. – Kręcę głową i przewracam oczami. – Albo jesteś zazdrosna o Wesa Stokesa, albo czujesz do niego miętę. A może nawet jedno i drugie.

Chcę zaprotestować, ale chcę także porzucić temat, bo Taryn ma rację. Większą niż sądziłam, bo rzeczywiście... jedno i drugie, ale to nie ma znaczenia.

Trener Adams dmucha w gwizdek, kiedy słońce zaczyna chować się za linią horyzontu, ale ja nie schodzę z boiska razem z resztą drużyny. Od zawsze jestem typem samotniczki i Taryn to jedyna koleżanka z drużyny, z którą utrzymuję bliskie relacje. Pozostałe dziewczyny za bardzo się ode mnie różnią. Skupiają się na tym, żeby kolor wstążek pasował do butów, natomiast dla mnie najważniejsza jest rywalizacja i świętowanie po zawodach – przy pomocy alkoholu i czasem kilku pigułek, dzięki którym świat robi się zamazany i odległy. Poza tym wszystkie wracają do domów, do szczęśliwych i radosnych rodzin. Jestem pewna, że część boryka się z własnymi problemami, ale w niczym nie przypominają mojej rodziny.

Odkładam kosze z piłkami na miejsce i zamykam bramkę do klatki. Kiedy to robię, zauważam, że na ławce rezerwowych siedzi Wes, także sam. Chichoczę w kułak, bo choć jest ulubieńcem taty, on także nie jest w stanie rywalizować z godziną osiemnastą, czyli *happy hour* w barze Pete's, do którego mój ojciec z pewnością już zmierza.

Wes pochyla się i majstruje coś przy butach. Przechodzę na koniec klatki, gdzie siatka jest cieńsza i mam lepszy widok. Wtedy dociera do mnie, że wyciera z butów kurz i brud. Ta scena sprawia, że wstrzymuję oddech.

Przesuwa rogiem ręcznika po palcach i bokach, następnie chowa go do torby i wstaje z ławki.

Akurat ta część boiska wysypana jest ziemią, taką samą, jaką można znaleźć na farmach parę kilometrów stąd. Nie da się po niej przejść, nie

wzbijając przy tym tumanów kurzu. Wes zatrzymuje się, przerzuca torbę przez ramię, następnie przechodzi powoli wzdłuż granicy, aż dociera do wąskiego pasa betonu, prowadzącego do głównego chodnika. Ani na chwilę nie spuszcza z niego wzroku, on jednak mnie nie widzi.

Minęło osiem lat, odkąd patrzyłam, jak pewien chłopiec balansuje na murku, nie chcąc dopuścić do pobrudzenia ulubionych butów. I serce mi mówi, że właśnie byłam świadkiem tego, jak ten sam chłopak robi to ponownie.

ROZDZIAŁ TRZECI

TARYN I TK ZADALI KLAM PRAWU ŚREDNICH i choć widać, że są w sobie zadurzeni, na razie nie mają siebie dość. Tydzień to rekord, jeśli chodzi o związki Taryn Rodriguez, ale wygląda na to, że zostanie pobity.

Czekam niecierpliwie, aż lepiej poznam jej nowego chłopaka. Przyjaciółka namówiła go na przyjście dzisiaj do Kyle'a i Connera. Wydaje mi się, że Marleyowie także go lubią. Conner zdaje się dogadywać z całą trójką Stokesów, Kyle jednak nieszczególnie pozytywnie wyraża się o Wesie. Myślę, że po prostu czuje się zagrożony. Swoją wiedzę opieram tylko na tym, co zaobserwowałam podczas treningów, ale nawet z daleka widać, że Wes jest o wiele lepszym miotaczem niż Kyle.

– Czemu zjawiłaś się tak wcześnie, Joss? Hm? – pyta Kyle, mijając mnie z dwiema zgrzewkami piwa.

– To jasne. W tajemnicy jaram się tobą i zawsze mi ciebie mało, Kyle – mówię, przybierając znudzony ton.

Śmieje się, po czym cmoka mnie przyjacielsko w nagie ramię i idzie do kuchni.

Kyle to ja. Ja to Kyle. Choć Taryn jest moją najlepszą przyjaciółką, to do Kyle'a się zgłaszam, kiedy mam nastrój destrukcyjny, kiedy jestem wkurzona i mam ochotę się wyładować, kiedy muszę pokazać swoją nefajną stronę i powiedzieć prawdę. Razem się wychowaliśmy i oboje jako dzieci rzucaliśmy piłkę tacie. Kyle zawsze był jego ulubieńcem. Choć generalnie mój tato zmienia ulubieńców równie często, jak ja marki papierosów. Kyle popadł w niełaskę, kiedy został przyłapany na wyścigach samochodowych. Razem ze

mną. Mój tato był zbyt pijany, żeby odebrać mnie z komisariatu, więc do domu odwiózł mnie pan Marley.

Tato przez dwa tygodnie trzymał Kyle'a na ławce rezerwowych i choć żal mi było przyjaciela, fajna była świadomość, że tata się zdenerwował tym, że ktoś naraził mnie na niebezpieczeństwo, ale potem podsłuchałam jego rozmowę z Kyle'em. Oświadczył mi, że nie mam na niego dobrego wpływu i że zrujnuję jego szansę na dotarcie w baseballu na kolejny poziom. Kyle mu odparł, że nigdy się mnie nie wyrzeknie, i nazwał go żalonym. Od tamtej pory zawsze był ostatni w kolejce. Do końca zeszłego sezonu jakoś udało mi się odbudować wcześniejszą pozycję, ale tylko dlatego, że posyła szybkie piłki. Piłki Wesa są jeszcze szybsze, nie sądzę, aby w tym roku Kyle miał znowu tyle szczęścia.

– No więc, co się dzieje z twoją kumpelą i TK? – Kyle unosi brew, rozrywa jeden sześciopak i zaczyna pakować piwo do lodówki.

Rodzice Kyle'a się rozwiedli, a jego tata jest strażakiem, dzięki czemu w weekendy chłopaki mają na ogół wolną chatę i jeśli tylko obiecamy pomóc w niedzielnym sprzątaniu, chętnie nas u siebie goszczą.

– Nie wiem. Moja kumpela nieźle zadurzyła się w waszym nowym łączniku. Sprawia wrażenie porządnego gościa – mówię. Stukam paczką papierosów o dłoń i częstuję Kyle'a.

– Dzięki, ale rzuciłem – odpowiada, a ja marszczę czoło. To on jest powodem, dla którego palę. – No co? Wolno mi rzucić. To gówno jest naprawdę szkodliwe i ty też powinnaś się z nim pożegnać.

Ignoruję jego słowa i wkładam sobie papierosa do ust, po czym wstaję, żeby z tylnej kieszeni spodni wyjąć zapalniczkę.

– Wracając do TK? Taa... spoko gość. Pasuje do drużyny – stwierdza Kyle, a ja wiem, że o czymś mi nie mówi.

– A Wes i Levi? – pytam, obszukując kieszenie z przodu oraz podłogę.

– Też są w porządku. Wes jest trochę... nie wiem... cichy. – Urywa i wyczuwam, że czai się w tym zazdrość. Odpuszczam mu jednak. Udaję, że tego nie wyłapuję.

– Stary, widziałeś moją zapalniczkę? – pytam i raz jeszcze wsuwam dłonie do tylnych kieszeni, jakby jednak mogła się w nich skrywać. W chwili, kiedy się odwracam, stoję twarzą w twarz z Wesem. Uśmiecham się z papierosem w ustach i czuję się jak idiotka.

– Pewnie zapomniałaś. Jak zawsze – oświadcza Kyle za moimi plecami.

– Aha – mówię, wyjąwszy papierosa z ust. Chowam go do paczki, którą położyłam wcześniej na blacie.

– I tak powinnaś rzucić – odzywa się Wes, siadając na krześle sąsiadującym z tym, z którego przed chwilą wstałam.

– Pewnie tak – odpowiadam, nie patrząc mu w oczy. – Ostatnio często to słyszę.

Kyle chichocze, a ja pokazuję mu środkowy palec, co jeszcze bardziej go rozbawia.

– Joss! Mam wrażenie, że nie widzieliśmy się od czasu, kiedy dokopałaś mojemu bratu na boisku – mówi Levi, obdarzając mnie uściskiem. Zaskoczona, klepię go z zakłopotaniem po plecach. Ponad jego ramieniem dostrzegam twarz Kyle'a, zaśmiewającego się do łez. Posyłam mu kwaśne spojrzenie, co skutkuje jeszcze głośniejszym śmiechem.

– Joss ci dokopała? – pyta w końcu, nachylając się nad blatem i podając piwo Wesowi.

Ten bierze od niego puszkę i pociąga spory łyk, czym mnie zaskakuje. Nie spodziewałam się, że Pan Wzorowy pije. Nie spodziewałam się także, że Kyle wykaże się względem niego taką gościnnością. Wygląda na to, że to wieczór obfitujący w niespodzianki.

– Owszem – odpowiada Wes. Kiwa głową i pociąga kolejny długi łyk, co

przysięgam, że robi tylko po to, aby mi pokazać, że rzeczywiście zdarza mu się łamać zasady. Patrzę, jak jego usta odrywają się od puszkę i mam wrażenie, że dzieje się to w zwolnionym tempie. Spuszczam wzrok po tym, jak kącik jego ust ponownie się unosi. Uśmiecha się, bo mnie przyłapał na tym, że mu się przyglądam. A ja się krzywię, bo wiem, że wszyscy to widzieli.

– To dlatego, że nie wiesz, jak maskować swój chwyt. – Wzruszam ramionami i ośmielam się podnieść na niego wzrok, jakby patrzenie na niego nie sprawiało mi problemów.

– Pracujemy nad tym – odpowiada z cichym śmiechem, dochodzącym z głębi klatki piersiowej.

Odwracam głowę i zerkam na jego tors. Mięśnie opina mu ciemnoszara koszulka, widzę także cienki łańcuszek i kawałek złotej skóry. Wstaję i przechodzę na drugą stronę blatu do Kyle'a, żeby przestać się na niego gapić i wziąć się w garść.

– Wiedziałam, że spodobasz się tacie – mówię cicho ze wzrokiem wbitym w puszkę, którą obejmuję teraz dłońmi. Kyle szturcha mnie lekko stopą i wiem, że chce mi w ten sposób przekazać, że nic się nie dzieje, że Wes jego także zastąpił.

– Kto ma ochotę zagrać w *Ja nigdy?* – Do kuchni wpada Taryn. Obejmuje ją TK, który w drugiej ręce trzyma zgrzewkę piwa. Stawia ją na blacie i wita się z Kyle'em. Chwilę później ściska mnie, a ja śmieję się głośno. Jest tak, jakby TK należał do naszej paczki od zawsze.

Puszczam go i pozwalam wrócić do Taryn, która szybko wtula się w jego ramiona. Mocno się zabujała, chociaż mam wrażenie, że tym razem to coś znacznie poważniejszego. Dostrzegam, że Wes wstaje, zgina puszkę, obchodzi blat i pyta Kyle'a, gdzie może ją wyrzucić. A ta puszkę nie jest jeszcze nawet pusta. Wydaje się niespokojny. Szuka czegoś, czym mógłby

się zająć, zamyka się w sobie. Levi i TK czują się tutaj jak u siebie w domu, Wes trzyma się na uboczu, nie do końca potrafiąc znaleźć sobie miejsce.

W salonie dostrzegam Connera, więc kiwnięciem głowy pokazuję Wesowi, żeby poszedł za mną. Nie jestem pewna, czy tak właśnie robi, ale kiedy siadam na wysłużonej, skórzanej sofie, on zajmuje miejsce obok mnie.

Conner ustawia na ławie kubeczki, a Wes przechyla głowę i ma dziwną minę. Rozpoznaję ją, więc mówię szybko:

– To bliźniacy.

– Aaach, no tak. Są... identyczni – mówi Wes, przyglądając się Connerowi z takim samym zdumieniem, z jakim by obserwował wylęganie się kurcząt.

– Aha, identyczni. W tym rzecz. – Uśmiecham się. Kręci lekko głową i posyła mi krzywy uśmiech. – W Nevadzie nie ma takich wybryków natury?

– Ha, taa... są. Tylko... nie wiedziałem, że jest ich dwóch. – Pokazuje na kuchnię, gdzie Kyle nadal rozmawia z braćmi Wesa.

– Ale pod względem charakteru jesteśmy kompletnie różni – odzywa się w końcu Conner. Obchodzi ławę i wymienia z Wesem uścisk dłoni. Rzadko zabiera głos, bo po prostu nie jest równie towarzyski, jak jego brat. Bracia Marley, identyczni, jasnowłosi przystojniacy z zielonymi oczami – choć tylko Kyle ma ciało surfera – obrali w życiu zupełnie różne ścieżki. Conner najpewniej ukończy liceum z najlepszymi ocenami, tymczasem jego brat ledwie się prześlizgnie. Kyle z kolei potrafi posłać piłkę z prędkością stu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, podczas gdy Conner nie wybiłby nawet szyby kamieniem.

– Zawsze taka chętna, żeby się dobrać do alko, Joss. Połowy tego, co pijesz, to chyba nawet nie smakujesz – stwierdza Kyle, wypełniając mój plastikowy kubek aż po brzeg. Wie, że większość wypiję, jeszcze zanim zaczniemy grać.

Wes patrzy na mnie, ale nic nie mówi.

– Taa, cóż, potrafię sporo wypić i ty o tym doskonale wiesz – mówię, po czym mrugam do niego i w kilka sekund opróżniam kubek.

– Ooooo, ta laska nie zamierza dzisiaj się patyczkować. Taryn, mam nadzieję, że później odwieziesz kumpelę do domu – przekomarza się Kyle, ponownie napełniając mi kubek. Wes porusza się obok mnie, opiera ramiona na kolanach i splata dłonie.

Czuję jego odrazę.

Zaczynam opróżniać drugi kubek, ale Taryn sięga ponad stołem po moją rękę i lekko mnie za nią pociąga. Patrzy mi w oczy, wyraźnie mnie ostrzegając.

– No co? – pytam bezgłośnie ponad krawędzią kubka. Nie znoszę smaku piwa, ale uwielbiam to, jak dzięki niemu się czuję. Wystarczy odpowiednio dużo wypić, a wszystko to, co złe, staje się łagodniejsze.

– Przestań – szepcze Taryn, a między jej oczami pojawia się pionowa zmarszczka.

Zaciskam usta, zastanawiając się, czy pójdę w tango, tak jak zawsze, czy też posłucham przyjaciółki i nie zepsuję jej wieczoru z TK. Kyle to ja, a ja to Kyle i nikt nie testuje mojej odwagi tak jak on. Lubi mnie namawiać do różnych rzeczy, a ja chętnie mu na to pozwalam. Fatalnie, że rzucił fajki, bo to przez niego w ogóle zaczęłam palić i część mnie ma ochotę po prostu nawalić się mu na złość, ale Taryn ma rację. Poza tym właśnie tego chce Kyle. I myślę, że częściowo popisuje się przed Wesem, prezentując łączącą nas więź po to tylko, aby udowodnić nowemu w grupie, że wcale nie jest ulubieńcem wszystkich.

Odstawiam kubek na ławę i rozpieram się na sofie, gotowa na grę. W końcu i tak zakręci mi się w głowie, a chętnie zaczekam tę godzinę, nim rzeczywistość czekająca mnie w domu ulegnie złagodzeniu.

Taryn zaczyna od rzeczy prostych, mówiąc coś w rodzaju: „Nigdy nie całowałam się więcej niż z jedną osobą w jeden wieczór”, czy „Nigdy nie spałam nago”. Piję w obu przypadkach, bo ja zrobiłam jedno i drugie. Czuję na sobie przy tym spojrzenie Wesa.

Z czasem wyznania zyskują na pikanterii, a ja nie napiłam się tylko w kilku przypadkach. Nie aresztowano mnie – oficjalnie – więc nie piję za to, i nigdy nie całowałam się z dziewczyną. Kyle mówi to za każdym razem, kiedy gramy, i wiem, że robi tak, bo chce, żebym w końcu to odhaczyła i pocałowała Taryn na jego oczach. Na pewno nie dzisiaj.

Dostrzegam, że Wes prawie w ogóle nie pije i zastanawiam się, po co tu przyszedł. Dziewczyna Connera – Layla – zjawiała się dosyć późno razem z kuzynką Taryn – Emily – naszym kumplem Noah i dwiema znajomymi dziewczynami. Wszyscy piją więcej niż Wes. Jest jasne, że wpadł przez to nowym dziewczynom w oko. Siedzi, trzymając w jednej ręce pół kubka piwa, drugą ma położoną na oparciu sofy. Koszulka podkreśla jego bicepsy i to niemal zabawne, jaki jest przystojny. Nie pasuje do tego ciemnego pokoju w biednej części Bakersfield, w domu z oliwkową wykładziną i boazerią na ścianach. I Boże, jak on pachnie. Piwo zdążyło uderzyć mi nieźle do głowy i jedyne, co trzyma mnie w pionie, to woda kolońska Wesa. Co rusz próbuję przemycić ten zapach do marzeń, ale za każdym razem, kiedy to robię, kończy się to tak, że gapię się na niego.

– Muszę siku – oznajmiam. Wstaję niezdarnie i zrzucam ze stołu kilka napełnionych do połowy kubków.

– Cholera, Joss. Strasznie bałaganisz – mówi Kyle ze śmiechem. Jest równie pijany, jak ja.

Potykając się, idę korytarzem do łazienki, a załatwiwszy, co trzeba, przez kilka minut patrzę na siebie w lustrze. Powieki mam ciężkie, a włosy rozpuszczone. Opadają mi na ramiona spletanymi pasmami. Ściągam z

nadgarstka gumkę i związuję je, po czym przesuwam palcem pod oczami, wycierając trochę rozmazanego eyelinera. Głowa mi opada i śmieję się cicho, kiedy dociera do mnie, jak niedorzecznie się zachowuję. Próbuję wyglądać ładnie dla Wesa, chcę także zmusić go do przyznania, że jest Christopherem – poza tym pragnę, żeby przestał patrzeć na mnie tak, jakbym robiła coś złego. Nie ma pojęcia, jak to jest mieszkać w moim domu. Sobotnie wieczory to dla mnie jedyna ucieczka, a przynajmniej do czasu, aż zadzwoni mi telefon i wróci poczucie rzeczywistości.

Na razie jednak nie dzwoni. Może dzisiaj będę miała spokój. Myję ręce i gaszę światło, po czym wychodzę na korytarz i wpadam prosto na Wesa. Moja dłoń ląduje na jego klatce piersiowej, a on łapie mnie za nadgarstek i pomaga zachować równowagę, kiedy wydaję zaskoczony okrzyk.

– Sorki, nie wiedziałem, że wychodzisz. Czekałem na swoją kolej – mówi z tym swoim głupim, krzywym uśmiechem.

– W porządku – odpowiadam i uśmiecham się do niego. Znowu patrzę na niego maślanym wzrokiem, więc kiedy zdaję sobie z tego sprawę, od razu się prostuję, zaciskam usta i wyrywam dłoń z jego uścisku. – Zaczekamy na ciebie z grą, Christopherze.

Pozwalam, aby mi się to wymknęło. Serce wali mi jak młotem, a resztki trzeźwości nakazują nonszalancję, kiedy obserwuję twarz Wesa, czekając na jakąś reakcję. On jednak nawet nie drgnie. Unosi brew i pokazuje na siebie.

– Jestem Wes i myślę, że wystarczająco już wypiałś – mówi.

– Wcale nie Wes, tylko Christopher – upieram się, mrużąc oczy i szturchając go palcem w klatkę piersiową. Zerkam na niego, a jego spokój jeszcze bardziej mnie wkurza. – I nie jestem jeszcze ani trochę pijana.

Zostawiam go na korytarzu, ale nim zdążę skrócić za róg, wpadam na Kyle'a. Chwyta mnie za łokcie, kiedy się potykam. Patrzy za mnie i spogląda mi w oczy. Widzę, że znowu zerka na Wesa, nim ten znikną za drzwiami

łazienki. Kyle posyła mi pytające spojrzenie.

– Czekał, żeby skorzystać z łazienki i cholernie wystraszył mnie w ciemności – wyjaśniam.

To prawda, ale brzmi jak kłamstwo. Wyrywam się Kyle’owi i stawiam krok bliżej Taryn i TK, którzy praktycznie rozłożyli się na podłodze. Wracam na swoje miejsce na sofie i nalewam sobie piwa do kubka, po czym szybko je wypijam, nim do pokoju zdążą wrócić Kyle i Wes.

McKenna, jedna z dziewczyn, wcisnęła się po drugiej stronie Wesa. Mało tam miejsca, więc nogę przykleja do jego nogi, kiedy próbuje dzielić z nim jedną poduszkę. W mało subtelny sposób tak manewruje ciałem, że spódniczka podjeżdża jej na tyle wysoko, aby zwrócić jego uwagę. To działa. Ba, wszyscy, którzy właśnie nie przytulają się na tej cholernej podłodze, gapią się teraz na jej nogę – łącznie ze mną. I czuję łaskoczącą, potęgowaną alkoholem zazdrość.

– Pograjmy jeszcze – proponuje Kyle. – Ja... – Staje pośrodku pokoju, obraca się powoli, mierząc palcem po kolei do każdego z nas, jakby był kołem fortuny, a my nagrodami. Zatrzymuje się na mnie i jego prawy kącik ust unosi się.

Cholera.

– Ja... nigdy, ani razu nie obściskiwałem się z Josselyn Winters.

Wypowiada te słowa z wyraźnym zadowoleniem, po czym szybko zbliża kubek do uśmiechniętych ust, opróżnia go i głośno odstawia na ławę przed Wesem. Uczynił ze mnie trofeum, które wygrał. Większość osób obecnych w pokoju przewraca oczami, wiedząc o tych kilku razach, nikt się tym jednak nie przejmuje, ale jego słowa nie były przeznaczone dla nich, lecz dla Wesa. Kyle chciał udowodnić, że już mnie miał, jako pierwszy. Wes trzyma kubek w obu dłoniach, między kolanami, obraca go powoli, usta ma zaciśnięte i drga mu nerw w brodzie. Byłoby to urocze, gdyby powodem tego była

zazdrość, tak jednak nie jest – on po prostu nie lubi, jak zwraca się na niego uwagę. Zupełnie jak Christopher.

Uderzam ręką w stół, żeby przyciągnąć uwagę wszystkich osób, a kiedy tak się dzieje, prostuję się i biorę do ręki kubek.

– Już mam! Nigdy, ale to naprawdę nigdy nie udawałam, że jestem kimś, kim nie jestem – oświadczam na tyle wyraźnie, że wszyscy mnie słyszą.

Wstrzymuję oddech i powoli omiatam spojrzeniem zgromadzone tu osoby, zatrzymując je na Wesie. Czekam, aż się napije, ale on tylko na mnie patrzy, marszcząc lekko czoło, a na jego twarzy maluje się niepokój, może nawet rozczarowanie. Patrzę na niego, oddychając powoli i spokojnie, kiedy nagle coś przychodzi mi do głowy. Może udaje, że jest kimś innym, ale robią to przecież wszyscy tu obecni. Kyle, Taryn... wszyscy moi przyjaciele – ja również! Udajemy, że nie przeszkadza nam fakt, gdzie mieszkamy, że żadnego z nas nie stać na studia i że wszystkie dzieciaki mieszkające w północnej części miasta mają fajne samochody i oboje rodziców, którzy do pracy chodzą w garniturach i garsonkach, biorą udział w spotkaniach biznesowych i eleganckich przyjęciach. Udajemy twardych, dorosłych i gotowych – ale wcale tacy nie jesteśmy. Ani trochę.

– Wszyscy jesteście cholernymi kłamcami – mówię, przykładając kubek do ust i wstrzymując oddech. Patrząc Wesowi w oczy, przechylam kubek i dopijam resztę tego, co zostało po ostatniej kolejce. W kieszeni wibruje mi telefon, więc go wyjmuję, upewniam się, że na wyświetlaczu widnieje numer taty, po czym odkładam go i po raz ostatni odwracam się w stronę Wesa. – Wiem, kim jesteś. Czemu wstydzisz się do tego przyznać? Dlatego, że nie warto mnie było ratować? Właśnie dlatego?

Ze zmarszczonym czołem patrzy mi prosto w oczy. Kręci lekko głową, jakby próbował zrozumieć moje słowa. Dla reszty tu obecnych to moje zwyczajowe, pijackie, pozbawione sensu wywody, o których rankiem nikt

nie będzie pamiętał. Oprócz mnie.

I Wesa.

– Wychodzę, Kyle. Jak zawsze dzięki, że choć na chwilę mogłam uciec od swojego bagna – mówię, potykając się o nogi dziewczyn, których w gruncie rzeczy nie znam, i przytulam mocno Kyle’a.

– Mam cię odprowadzić? – pyta, a ja ściskam mu ramię i zbliżam twarz do jego twarzy.

– Nie, dam sobie radę – odpowiadam, wzruszając ramionami.

Kopię stopy Taryn, a ona przechyla głowę. Czuje się winna, bo zazwyczaj to ona podrzuca mnie do domu, ale wiem, że dzisiaj zostanie z TK. Wystarczająco naoglądała się mojego koszmaru. Zasługuje na wolny wieczór.

– Dam sobie radę, obiecuję – powtarzam, potykając się lekko o jej nogi. Śmieję się, ale szybko przywołuję się do porządku, unoszę rękę i rysuję nią sobie krzyż na sercu.

– Okej, zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała – mówi, leżąc w objęciach TK. Unoszę telefon i macham nim do niej. Nie zadzwonię, a ona nie odbierze, nie dzisiaj. I ja to rozumiem.

– Było super, TK... Levi – mówię, przybijając z nimi zółwika.

Wychodzę z salonu. Conner i jego dziewczyna zniknęli już dawno temu, a pozostałymi nie zawracam sobie głowy. Zamiast tego skupiam się na telefonie.

Dopiero kiedy jestem na dworze, odsłuchuję nagraną wiadomość. Taka sama jak zawsze, a głos taty raz cichnie, raz robi się głośniejszy, bo pewnie trzyma telefon w różnej odległości od twarzy.

– Cholerne dupki mówią, że musisz po mnie przyjechać – sapie niewyraźnie. – Będę czekał przed barem. Możesz wziąć mój samochód...

– Cholera – burczę, patrząc na godzinę nagrania wiadomości. Czuję

wibracje następnego telefonu od taty. Minęły dopiero dwie minuty. Jednak tak jest zawsze. Dzwoni, aż w końcu odbiorę albo zjawię się po niego. Już dawno przestałam odbierać, bo to wcale nie sprawi, że szybciej po niego pojedę, a przynajmniej mam kilka minut spokoju, zanim będę musiała z nim rozmawiać.

– Podwieźć cię? – Rozlega się za mną jego głos. A pode mną, przez tę całą buzującą adrenalinę, uginają się nogi.

– Ch-ch-cholera – mówię, przyciskając wibrujący telefon do piersi.

– Sorki. – To Wes. Chyba nawet lekko się krzywi.

– Poradzę sobie. Wracaj na imprezę. – Kręcę głową i wzdycham z ulgą, kiedy wibracje ustają. Chowam telefon do kieszeni i odwracam się, aby odejść. Wes nie rusza się jednak z miejsca.

– Jesteś wstawiona – mówi. – Wolę, żebyś nie wracała sama w nocy.

Śmieję się głośno i odwracam twarzą do niego. Przez chwilę idę tyłem.

– Witaj w moim sobotnim świecie, Christopherze – wołam, rozkładając szeroko ręce.

– Okej, eee... jestem Wes. – Kiwa głową, a ja śmieję się jeszcze głośniej. Przykładam ręce do brzucha, ale on nie daje za wygraną. – Nie powinnaś chodzić sama po ciemku. Odwiozę cię do domu.

– Ach, no tak, bo przecież wiesz, gdzie mieszkam! – oświadczam, unosząc palec. – Odpuść. Chciałam ci jedynie podziękować za to, co zrobiłeś, ale skoro chcesz udawać, że nim nie jesteś, to niech ci będzie.

Mówię coraz bardziej niewyraźnie i mam wrażenie, że moje stopy są coraz cięższe. Już wiem, że przekroczyłam granicę i że w każdej chwili mogę puścić pawia, najpierw jednak muszę dotrzeć do baru. Wes odchodzi, a ja odwracam się, bo przez to chodzenie do tyłu kręci mi się w głowie. Telefon wibruje mi w kieszeni, tym razem go wydłużam i się rozłączam.

Staram się iść w miarę szybkim krokiem i zbliżam się już do końca

przecznicy, kiedy słyszę za sobą znajomy pomruk silnika furgonetki Wesa. Zatrzymuję się z chichotem i odwracam, kciuki trzymając w kieszeniach.

– Zostawiłaś bluzę, Joss. Mam ją w aucie. Po prostu... wsiadaj – mówi i jest tak, jakby Matka Natura stała po jego stronie, bo wiatr się nasila, przyklejając cienki materiał koszulki do mojego brzucha.

– Niech ci będzie – burczę i w kieszeni znowu czuję wibracje. Tym razem odpuszczam, a kiedy zamykam za sobą drzwi furgonetki, słyszę, jak komórka dalej wibruje.

– Musisz to odebrać? – pyta Wes.

Mówię sobie w myślach, że on jeszcze nie zna tego tańca, więc będę uprzejma – albo na tyle uprzejma, na ile jestem w stanie być z pieczeniem w przełyku i gorzkim smakiem żółci w ustach.

– Nic się nie dzieje. On jeszcze zadzwoni – wyjaśniam, grzebiąc przy pasach. W tym samochodzie nic nie działa jak należy. Wes odciąga ode mnie pas i poprawnie go zapina, po czym kładzie ręce na kierownicy.

– Kto jeszcze zadzwoni, Joss?

– Mój tato. To... zawsze dzwoni mój tato. W porządku, po prostu... zawieź mnie do baru Jim's. To naprawdę blisko. Pewnie wiesz, gdzie to jest, no bo ty w sumie wiesz wszystko. – Moje słowa brzmią zarazem śpiwnie i jędzowato. Wcale tego nie chcę, więc się poprawiam: – To dobrze, że wszystko wiesz. To znaczy... nieważne, okej?

Wzdycha głośno i, opierając czoło o kierownicę, wrzuca bieg. Przykładam głowę do szyby, modląc się o to, żeby nie zwymiotować.

– Nie wiem, gdzie jest Jim's – warczy Wes, a ja odwracam się i napotykam jego spojrzenie. Głowę opiera na dłoniach i wygląda na równie sfrustrowanego, jak ja się czuję za każdym razem, kiedy wibruje moja komórka. Może on nie zna tego baru. Może w ogóle niczego nie wie. Może sięgnęłam dna i wszystko sobie wymyślam, bo chcę czuć się tak, jak wtedy,

kiedy ramiona Christophera chroniły mnie przed całym złem tego świata. To był ostatni raz, kiedy czułam się bezpieczna i to był dzień, w którym mała nie zginęłam. Od lat szukam tego uczucia i może tak bardzo go pragnę, że cierpię na urojenia.

– Róg Piątej i Washburn – odpowiadam szeptem, bo jestem niemal pewna, że jeśli będę mówić głośniej, to zwrócę wszystko, co mam w żołądku.
– Przejedź trzy przecznice i skręć w lewo w Piątą. Zobaczysz ten bar.

Jego jedyną odpowiedzią jest głośne westchnienie. Rusza z miejsca. Przy każdym zakręcie czuję ściskanie w żołądku, a kiedy podjeżdżamy pod bar, wyskakuję z auta i wymiotuję na żwir, którym wysypany jest parking. Nienawidzę tego smaku w ustach. Nienawidzę w tym miejscu wszystkiego, ale nie na tyle, żeby za tydzień nie zrobić tego samego. Robiłabym to codziennie, gdybym mogła, ale w tygodniu tata za często jest w domu. Co nie znaczy, że by go to obchodziło, ale to trochę za wiele, jeśli oboje żyjemy we mgle. Zawsze mogę jednak liczyć na soboty. Pewnie nie będzie mnie stać na studia, ale Jim – jeśli w ogóle taki istnieje – dzięki mojemu ojcu jeździ najpewniej mercedesem.

– Dobrze się czujesz? – pyta Wes, dotykając niepewnie moich pleców. Wzdrygam się, a on cofa rękę. Natychmiast tego żałuję.

– Dobrze – odpowiadam, rękawem bluzy ocierając usta. Odsuwam się od wymiocin. Rzeczywiście jest mi lepiej na żołądku, ale wiem, że nastąpi powtórka. Mam tylko nadzieję, że uda mi się zdążyć z tym przed powrotem do domu. Nie chcę zwymiotować w samochodzie Wesa.

Tak jak zawsze, tata siedzi na ławce przed barem. W ręce trzyma telefon i co chwilę wciska przycisk z zieloną słuchawką.

– Przestań do mnie wydzwaniać, jestem tutaj – rzucam, po czym biorę jego rękę i przerzucam sobie przez ramię. Wes staje po drugiej stronie i większość ciężaru mojego ojca bierze na siebie. Czuję zażenowanie, ale także

jestem mu wdzięczna, że nie muszę go ciągnąć i się przewracać, jak to zazwyczaj ma miejsce.

– Josselyn, do cholery! Nie przyprowadzaj go do naszego bajzlu – stęka mój tato, a oczy ma mokre od zwyczajowego płaczu i uzalania się nad sobą.

– To nie nasz bajzel, tato, ale twój. Zawsze twój – mówię przez zaciśnięte zęby.

Może rzeczywiście jest nasz, ale ja przynajmniej nie potrzebuję pomocy, żeby wrócić do domu. Jestem jak kot, którego nikt nie chce – można mnie porzucić na końcu świata, a ja i tak odnajdę drogę do domu.

– W porządku, panie Winters. Pomogę – odzywa się Wes, a ja macham ręką, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Nie kłopotz się. On niczego nie będzie pamiętał.

– Wszystko pamiętam! – przerywa mi tata. Kręcę głową. Nigdy nie pamięta naszych rozmów. Pamięta tylko to, co robię nie tak jak trzeba.

Pierwsza pakuję się do szoferki, a Wes pomaga wsiąść mojemu tacie, zapina mu pasy i zamyka ostrożnie drzwi, uważając, żeby nie przytrzasnąć mu nóg. Kręcę ponownie głową, a on obchodzi samochód i siada za kierownicą. Nasze ciała się stykają. Szkoda, że nie mogę się tym delectować.

Od baru nie jest daleko do naszego domu. Dlatego właśnie ojciec tam chodzi. Chodzi, a w zasadzie biega w każdą sobotę późnym popołudniem, a potem wlewa w siebie whisky, aż przestaje widzieć na oczy. Czasem udaje mu się dotrzeć do domu samodzielnie, ale to zdarza się coraz rzadziej.

Kiedy zajeżdżamy pod dom, spojrzenie mam utkwione w przedniej szybie. Nie dokuczają mi już mdłości, zaczynam jednak czuć pulsowanie w głowie. I nie jestem na tyle pijana, aby zapomnieć o tym wszystkim, przez co ból jest jeszcze bardziej dojmujący.

– Otworzę drzwi – mówi spokojnie Wes.

Czuję obok siebie jego miarowy oddech i żałuję, że nie jesteśmy złączeni,

bo wtedy mógłby oddychać także za mnie. Zamyka za sobą drzwi, a kiedy obchodzi samochód, z ust mojego ojca wydostaje się słowo „suka”. Cieszę się, że Wes tego nie słyszał, bo by tego nie zrozumiał. Wiem, że tata nie ma tego na myśli. Jest pijany, a kiedy wytrzeźwieje, traktuje mnie z chłodną obojętnością, ale nigdy z nienawiścią. Nienawiść pojawia się tylko wtedy, kiedy dopada go tęsknota za mamą i zaczyna zrzucać winę na mnie.

– Chodźmy, trenerze. – Wes pociąga mojego tatę za rękę i pomaga mu wysiąść z furgonetki. Kiedy jego stopy lądują na chodniku, zaczyna się opędać od pomocy. Wsiadam i podchodzę do niego, ale mnie także odgania.

– Nie jesteś nawet moja! – syczy, mając problem ze skupieniem wzroku na mnie. Zatacza się do tyłu na niepewnych nogach i przewraca na zaniehbany trawnik. Wiem, że to nieprawda, bo po odejściu mamy zrobił stosowne badania, ale i tak czuję ból. Czuję ból za każdym razem, kiedy to mówi.

Wes podchodzi do mnie, a ja obejmuję się ramionami, milcząco prosząc go, aby zostawił wszystko tak, jak jest.

– Nic się nie dzieje – mówię.

To moja mantra.

Ależ ze mnie kłamczucha.

– Jesteśmy już w domu, tato. Pora spać. – Traktuję go jak małe dziecko. Ponownie wyciągam do niego rękę, ale on ją odtrąca. Klęka niezdarnie i w końcu chwiejnie wstaje. Choć pragnę go nienawidzić, nie potrafię. Tęsknię za nim. I źle mi z tym, że Wes widzi go w takim stanie.

– Marnujesz czas – oświadcza tato, wskazując na mnie trzęsącym się palcem. Przez ułamek sekundy w jego oczach zachodzących łzami, widać odbicie mężczyzny zagubionego w samym sobie. Pewnie zaraz ujmie w obie dłonie moją twarz, ale to ciepłe uczucie szybko mija i mój ojciec nachyla się,

wymiotuje na siebie, po czym pada na ziemię i zasypia.

– Kurwa! – wołam tak głośno, że mój głos odbija się echem od wszystkiego, co nas otacza. Chwytam się za włosy i próbuję zamknąć oczy, ale powieki odmawiają posłuszeństwa. Choćbym próbowała, nie potrafię uciec od tego koszmaru.

Wes chwilę później bierze mojego ojca na rękę, a ja otwieram usta, żeby zaprotestować, szybko jednak je zamykam i pozwalam wnieść go do domu. Wlokę się za nimi, otwieram drzwi i pokazuję na długi korytarz.

– Ostatni pokój. Połóż go po prostu na łóżku – mówię.

Wes idzie przez korytarz, po czym kładzie mojego tatę na narzucie, którą babcia podarowała rodzicom w ślubnym prezencie. Mama bardzo ją lubiła i fakt, że ojciec zawsze zaściela nią łóżko, stanowi symbol tak wielu niewłaściwych rzeczy w tym domu.

Wes zaczyna zdejmować tacie buty, ale ja lekko dotykam jego ramienia. Zamiera, czując na skórze moje palce.

– Naprawdę, zostaw go. Rano nie będzie nic pamiętał.

W końcu powoli kiwa głową, przełyka ślinę i patrzy mi w oczy. W jego spojrzeniu widać współczucie.

– Nie patrz tak na mnie – mówię, po czym odwracam się i idę w stronę drzwi wejściowych.

Wes idzie za mną powoli, a kiedy dociera do drzwi, zatrzymuje się i otwiera usta, żeby coś powiedzieć. Nie wydostają się z nich jednak żadne słowa. Przez kilka kolejnych sekund patrzy mi w oczy, a ja zanurzam się w jego spojrzeniu, odnajdując to, co znajome. Akurat w tej chwili nie obchodzi mnie, czy tylko wmawiam to sobie. Kręci mi się w głowie, a coś w Wesie sprawia, że czuję się lepiej.

Poddaję się. Robię krok w jego stronę, pozwalam czołu opaść na jego klatkę piersiową, a sama obejmuję go w pasie, zaciskając palce na koszulce.

Jego broda powoli opada na czubek mojej głowy. Wes również mnie obejmuje, początkowo niepewnie, aż w końcu jego dłonie z czułością zataczają na mojej skórze powolne kółka. Czerpię siłę z jego objęć i robię coś, czego od razu zaczynam żałować.

Płaczę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

NIEDZIELA OZNACZAŁA UKRYWANIE SIĘ. Taryn zadzwoniła, żeby sprawdzić, co u mnie. Zna sobotnią rutynę. Powiedziałam jej, że wszystko w porządku, ale nie czuję się zbyt dobrze. No bo to była prawda. Choć sobotnie wieczory na kilka godzin zapewniają odrętwienie, to pozwalają zapomnieć także o tym, że nadejdzie następny dzień. Minusy zdecydowanie przeważają nad plusami.

Jedyną pociechę stanowił Wes. Kiedy w sobotnią noc w końcu odsunął się ode mnie, wpisał sobie do telefonu mój numer, podał swój i błagał, żebym zadzwoniła, gdybym czegoś potrzebowała, a mnie cieszyło to, że jest po prostu sobą, a nie jakimś duchem z przeszłości.

Kiedy nadszedł poniedziałek, wszystko w moim życiu się wyzerowało, tak jak zawsze. Tata wcześniej pojechał do szkoły, żeby otworzyć siłownię, a po mnie przyjechała Taryn. Zamierzała spotkać się z TK po tym, jak on skończy ćwiczenia ze sztangą. Ta rutyna trwała przez cały tydzień, a kiedy wieczorem spotykałam się z ojcem w domu, naszym kontaktom towarzyszyła w najlepszym przypadku akceptacja. Sobotnia scena dla niego stanowiła niewyraźną plamę, a dla mnie nie była niczym więcej jak jedną z wielu.

Było... dobrze.

Zaczęłam także przyzwyczajać się do spędzania poranków w bibliotece. Panuje w niej spokój i fajnie tu przebywać, kiedy nikt do tego nie zmusza. Wróciłam nawet do czytania. Dawniej je uwielbiałam, ale dałam sobie z nim spokój, kiedy książki nie zapewniały mi wystarczającej odskoczni od rzeczywistości. Paru nauczycieli, widzących mnie w bibliotece, nawet pochwaliło moją ciężką pracę. Pozwoliłam im wierzyć w to, co chcieli, bo

dobrze mi z tym, nawet jeśli do biblioteki przychodzę tylko dlatego, żeby gdzieś przeczekać poranki.

W zeszłym semestrze zabijałam czas, siedząc na murku za szkołą i paląc. Bywało, że nie zjawiałam się na większości porannych lekcji, taka byłam zajęta paleniem i rysowaniem markerem po murze. Te wagary zawsze kończyły się dla mnie koniecznością zostania po lekcjach, więc i tak lądowałam w bibliotece. Teraz jedynie omijam kilka etapów. No i od kilku dni nie palę.

Chyba rzucę też fajki.

Przez cały tydzień funkcjonuję w przyjemnym trybie autopilota. Cieszę mnie treningi i nawet mi dobrze wśród koleżanek z drużyny. Nawet. Nadal są młode, pełne życia i nalegają, żebym przed meczami pozwalała im zaplatać swoje włosy w warkoczyki. I ozdabiać je wstążkami – wielgachnymi wstążkami. Tego chyba nigdy nie będę w stanie zrozumieć, ale po raz pierwszy... cóż... zastanawiałam się, czy nie wyrazić zgody.

Na treningach nie oszczędzam się, a podczas krótkich przerw obserwuję Wesa i tatę. Dla moich oczu ten pierwszy jest niczym magnes – przyciąga moje spojrzenie, dzięki czemu od razu wiem, gdzie się znajduje. Rozmawialiśmy ze sobą tylko kilka razy, na lekcji angielskiego i zajęciach z fotografii, którym na razie towarzyszy tylko teoria. Wes ani razu nie skomentował tego, czego był świadkiem, a kiedy mu podziękowałam, pokręcił głową i posłał mi spojrzenie mówiące, że ja także powinnam o tym zapomnieć. Nie powiedziałam mu tego, że choć generalnie jestem dobra w puszczaniu w niepamięć scen z udziałem mojego ojca, to tym razem mam problem – przez niego.

Mój ojciec uwielbia Wesa. W kontaktach z nim jest zupełnie inny, niż kiedy trenuje Kyle'a i myślę, że Kyle także to dostrzega. Widzę, że go to boli. Jeszcze rok temu był złotym chłopcem. Przestał nim być wiele miesięcy

temu i chyba zaczynał się do tego przyzwyczajać. Nie powiedziałam mu jeszcze o tym, ale myślę, że mój ojciec faworyzowałby Wesa bez względu na to, co Kyle zrobił, czy powiedział. Chodzi po prostu o ich umiejętności. Tata w Wesie widzi siebie, tylko że lepszego. W tym tygodniu przestał nawet chodzić co wieczór do baru, a zamiast tego ogląda w zwolnionym tempie nagrania z Wesem, natomiast w necie szuka informacji na temat nowych technik treningowych.

– Zostaliśmy zastąpieni – stwierdza Kyle, szturchając moje nogi. Siada okrakiem na murku, kładzie się na plecach i podrzuca piłkę nad twarzą.

– To cud, że masz jeszcze zęby – żartuję.

– Ha, ha – odpowiada, nie przerywając podrzucania, i jednocześnie kopie mnie lekko prawą stopą.

Czekam, aż Taryn wyjdzie z przebieralni i będę mogła jechać z nią do domu, ale także obserwuję tatę i Wesa na boisku.

– To ty zostałeś zastąpiony. Ja nadal jestem tylko dziewczyną, która uprawia ten niemądry sport wymyślony dla żeńskiej populacji, a w międzyczasie imprezuje i marnuje sobie życie. – Głos mam jednostajny i skupiam się na obserwowaniu, jak Wes stoi na górcie i wykonuje powolne ruchy, zaś mój ojciec skacze wokół niego i dokonuje poprawek.

– Jesteś lepsza od nas wszystkich – zapewnia Kyle. Siada i opiera się o mnie. Zabawne jest to, że wiem, iż naprawdę tak uważa. Nigdy by nie powiedział tego przy innych, ale kiedy jesteśmy sami, zawsze jest moim największym fanem.

Przechyliłam głowę, patrzę na niego i posyłam mu krzywy uśmiech.

– Dzięki – mówię, spuszcżając wzrok na swoje paznokcie, pod którymi widać brud po dzisiejszym treningu. – Wiesz, nie był nawet na jednym meczu z moim udziałem.

– Kto, twój stary? – pyta, ponownie opierając się na przedramionach.

Zaczyna pluć pestkami słonecznika na chodnik.

– Ani na jednym.

Przez kilka minut oboje w milczeniu przyglądamy się, jak tata ściska Wesowi dłoń i klepie go po plecach. Następnie powoli idzie w naszą stronę. Wes zostaje na miejscu i dalej trenuje. Słońce chyli się ku zachodowi, a część nieba zakrywają ciemne chmury.

Ojciec zbliża się do nas, a my przyjmujemy postawy uczniów podstawówki, którzy zostali tu odesłani za karę. W akcie nieposłuszeństwa Kyle wypluwa kolejną łuskę słonecznika w stronę nóg taty, a ja chichoczę.

– Wes zaczyna w poniedziałek – oświadcza tato.

Spuszczam wzrok, żałując, że nie mogę zniknąć i zapewnić Kyle'owi odrobiny prywatności. Nawet bez patrzenia czuję emanujące z niego rozczarowanie. Wiedział, że tak się stanie, ale mówienie o tym w mojej obecności jest niczym sypanie soli na ranę.

– Okej – mówi teraz spokojnie, choć wiem, że w środku się gotuje.

– Joss. – Tato się nie porusza, czeka, aż podniosę wzrok. Nie spieszę się, bo jedyne, co mogę zrobić, żeby okazać Kyle'owi wsparcie, to kazać ojcu czekać. Po kilku sekundach patrzę mu w końcu w oczy. – W dzinach miałaś paczkę papierosów. Znalazłem je w rzeczach do prania. Mówiłaś, że już nie palisz.

– Bo nie palę – odpowiadam, zerkając na Kyle'a, który uśmiecha się do mnie drwiąco, bo tydzień temu zmyłam mu głowę za to, że rzucił fajki. Wzruszam ramionami i przenoszę wzrok z powrotem na tatę.

– Uwierzę, jak zobaczę. Masz w zwyczaju nie doprowadzać niczego do końca. – Wyjmuje z kieszeni telefon i odczytuje wiadomość. Nie mówiąc nic więcej, zaczyna odchodzić, jednak nim skręca za róg, postanawiam wykazać się odwagą.

– Rzucę, jak ty rzucisz – mówię, na tyle głośno, że zatrzymuje się na

chwile, prostuje, wyjmuję z kieszeni jedną rękę i zaciska ją w pięść. Wstrzymuję oddech i czekam, aż się odwróci, tak jednak się nie dzieje. Wymierzyłam do niego z jego własnej broni i od tego nie ma odwrotu.

– Nie musiałaś tego robić. – Kyle nachyla się i podnosi z ziemi sportową torbę. – Wiedziałem, że to będzie Wes, a nie ja. Naprawdę, pogodziłem się z tym.

– Ale i tak zachował się jak dupek – upieram się i odwracam głowę w jego stronę. Uśmiecha się do mnie. – I bez urazy, ale bardziej miało to związek ze mną, niż z tobą. W poprzedni weekend... nie było fajnie.

Kyle powoli kiwa głową, wstaje i do mnie podchodzi. Kładzie mi jedną rękę na kolanie, nachyla się i całuje w głowę.

– Przykro mi, Joss. – Pozwala, aby nasze czoła zetknęły się ze sobą. Mówi poważnie. Kiedy nikt nas nie widzi, Kyle potrafi być niesamowicie słodki.

– Dzięki – pociągam nosem. – Wes... był tam. Pomógł.

Przyjaciel robi krok w tył i wiem, że powodem jest to, że wspomniałam imię Wesa. Nie chciałam jednak, żeby dowiedział się o tym od kogoś innego. Jeśli Wes pierwszy powiedziałby mu o tym, Kyle uznałby, że ukrywam to przed nim z innych powodów. A ja nie mówiłam dlatego, że chciałam zapomnieć. Tato jednak przywołał właśnie to wspomnienie.

– Cieszę się, że nie byłaś sama – mówi Kyle. Tyłem do mnie wkłada do torby ręcznik, po czym ją zamyka. – Hej, to widzimy się jutro, tak? Wybieramy się na Wieczór Horrorów?

Kyle, Conner, Taryn i ja pierwszego lutego od zawsze jeździmy do kina samochodowego, to znaczy odkąd byliśmy na tyle dorośli, aby wybrać się rowerami aż tak daleko. Dawniej musieliśmy zakradać się w pobliżu projektora i udawać, że przyjechaliśmy z rodzicami, pokazując na stojące kawałek dalej samochody. W zeszłym roku przywiózł nas tam Kyle, a ja

zasnęłam przy wtórze krzyków i dźwięków wydawanych przez piły mechaniczne. Obudził mnie, kiedy dojechaliśmy pod mój dom, i patrzył na mnie tak, jakby chciał mnie pocałować, ale tak *naprawdę* – jakby ten pocałunek miał coś znaczyć, w przeciwieństwie do wcześniejszych, które były tylko dla zabawy. Od tamtej pory się nie całowaliśmy.

– Za nic bym tego nie przegapiła – zapewniam.

Dopada mnie dziwne poczucie winy, kiedy widzę, jak Kyle odchodzi, starając się na mnie nie patrzeć. Choć ukrywa swoje uczucia, ja i tak wiem, o co mu chodzi. Skorzystałam z pomocy Wesa, a nie jego. Unosi rękę i zaczyna szybko iść w stronę parkingu. Wsiada do samochodu i odjeżdża, jeszcze raz mi machając. Nie uśmiecha się jednak.

Kiedy jego samochód znika mi z oczu, moje spojrzenie wraca na boisko, gdzie Wes trenuje rzuty piłką. Wstaję z murku, zakładam plecak i z rozwiązanymi butami wlokę się powoli w jego stronę.

– Mogę łapać piłkę... jeśli chcesz – odzywam się.

Na dźwięk mojego głosu odwraca się zaskoczony.

– Och... Eee... dzięki, ale nie trzeba, prawie już skończyłem – odpowiada, poruszając jedną ręką tak, jakby była zmęczona i obolała. Tylko że dzisiaj prawie w ogóle nie rzucał. Wiem, bo mu się przyglądałam.

– Wiesz, w końcu będziesz musiał ugąć się pod faktem, że jestem godnym przeciwnikiem – mówię, posyłając mu spojrzenie, w którym maluje się wyzwanie.

Śmieje się cicho do siebie, po czym przygryza wargę, opuszcza czapkę niżej na czoło i w końcu kiwa głową.

– Niech ci będzie – ustępuje i pokazuje na bazę domową.

Podchodzę do siatki i rzucam mu kilkanaście piłek, które tam wylądowały, a on chowa je po kolei do stojącej u stóp torby. Rękawicą wycieram piach z bazy, następnie staję na ugiętych nogach. Przez kilka

sekund trwam w takiej pozycji, a Wes patrzy na mnie i w końcu kręci głową ze śmiechem.

– No co? – wołam, opuszczając ręce na kolana. Nie znoszę łapać piłki. Robiłam to tylko dlatego, że chodziło o niego, że potrzebował pomocy. *Chciałam pomóc*. A teraz on się ze mnie śmieje?

Zaczyna biec w moją stronę, a ja prostuję się i opieram rękawicę o biodro. Na czarne, obcisłe legginsy Wes ma założone granatowe szorty i w przeciwieństwie do innych chłopaków z drużyny taty, całkiem dobrze wygląda w takim stroju – jak prawdziwy gracz. Kiedy się zbliża, odwracam wzrok i cofam się o dwa kroki, on jednak unosi rękę i chwyta mnie za łokieć. Zerkam na jego dłoń, po czym podnoszę wzrok i widzę, że ma taką samą minę jak ja.

– Sorki – mówi, puszczając mnie szybko. A ja od razu tęsknię za jego dotykiem.

Kuca i pokazuje, żebym zrobiła to samo. Zdejmuje rękawicę i kładzie obie dłonie po wewnętrznej stronie ud.

– Ty siedzisz tak. To chwiejna pozycja, no i szybko się zmęczysz – wyjaśnia, a jego spojrzenie prześlizguje się po moich nogach. Oblizuje usta i bierze głęboki oddech, następnie kładzie jedno kolano na ziemi, zbliża rękę do mojej nogi, zerka szybko na mnie, pytając wzrokiem o pozwolenie, i dotyka palcami mojej rzepki. Jego dotyk jest ostrożny, ale pewny.

– Jeśli się odwrócisz... o tak... a potem przeniesiesz ciężar ciała... – mówi, pociągając delikatnie za moje kolano. Chrząka, a jego spojrzenie wędruje w górę mojego uda. Raptownie wstaje, a ja przyklękam na jedno kolano, żeby dać odpocząć nogom. – Tak sobie pomyślałem, że może nigdy dotąd nie łapałaś i że coś ci pokażę, ale ty już pewnie to wiesz, więc...

– Dzięki – wchodzę mu w słowo, a on od razu zaczyna się oddalać. Żałuję tego. – Naprawdę – dodaję. Wes zerka na mnie przez ramię. – Tata

pokazywał mi takie rzeczy, ale... to było dawno temu.

Posyła mi współczujące spojrzenie, po czym podrzuca piłkę w dłoni.

– No to spróbujmy kilka rzutów – mówi, wracając na swoją górkę.

Klękam tak, jak mi pokazał, i początkowo trzęsą mi się nogi, więc poprawiam pozycję, czyniąc ją bardziej stabilną.

– Jestem gotowa – mówię, uderzając ręką w środek rękawicy.

Wes kiwa głową i przybiera pozycję miotacza. Rzuca *changeup* i wiem, że zrobił tak dlatego, bo nie chce, żeby stała się mi krzywda, gdy łapię szybszą piłkę. Mój duch walki ma ochotę splunąć i kazać mu rzucić jak należy, ale dziewczynie, którą jestem – tej, która lubi, jak Wes na mnie patrzy – odpowiada fakt, że chce mnie chronić.

– Nieźle – mówię, odrzucając mu piłkę. Uśmiecha się krzywo i opuszcza czapkę nisko na czoło, po czym szykuje się do kolejnego rzutu. Pochwaliłam go, a jemu to się spodobało.

Mi też.

Rzuca jeszcze z dwadzieścia razy, a w którymś momencie na ławce rezerwowych siada Taryn i przygląda się nam. Widziałam, jak tu idzie, ale Wes zauważa ją dopiero po ostatnim rzucie. Na jej widok zdaje się wycofywać do swojej skorupy.

– Dzięki za pomoc, Joss. Sorki, nie chciałem jej zatrzymywać – rzuca do Taryn. Zdejmuje czapkę i ociera ręką spocone czoło. Jestem tak tym zafrapowana, że nie zauważam, jak przyjaciółka staje obok mnie.

– No więc jesteś teraz łapaczem, co? – pyta z błyskiem w oku, przekomarzając się ze mną.

– Pracował akurat nad czymś. Zobaczyłam, że tata mu pomaga – odpowiadam, wzruszając ramionami. Kiepsko mi wychodzi okłamywanie Taryn, więc przełykam powoli ślinę, chowam rękawicę do plecaka i przerzucam go sobie przez ramię.

– Wiesz, możliwe, że muszę gdzieś teraz jechać. Właściwie to na pewno muszę. Tak. Właśnie sobie przypomniałam... nie mogę odwieźć cię do domu – mówi Taryn, kiedy stoję plecami do niej. Odwracam się i patrzę jej w oczy, gotowa do ochrzanienia jej za to, że wystawia mnie teraz za to, że nie byłam gotowa i nie czekałam na nią przed przebieralnią. Kiedy jednak nasze spojrzenia się spotykają, dostrzegam na jej twarzy cień uśmiechu i przyjaciółka puszcza do mnie oko.

– To nie tak – wzdycham, pokazując gestem, aby odeszła stąd razem ze mną.

– Pewnie, że nie. Hej, Wes? Muszę gdzieś jechać, a jestem już spóźniona. Dałbyś radę odwieźć Joss do domu?

Patrzę na nią szeroko otwartymi oczami, wypowiadam bezgłośnie słowo „małpa”, a ona ponownie do mnie mruga.

– W porządku – odpowiada Wes, a ja przymykam na chwilę oczy, bo mniej podekscytowania w jego głosie już być nie może.

– Dzięki – mówi Taryn. Szepcze, żebym później do niej napisała.

Patrzę, jak odchodzi. Wes robi kilka kroków, po czym zatrzymuje się i odwraca.

– Gotowa? Muszę zabrać braci, ale każę im jechać na pacy – rzuca.

Taryn bawiła się w swatkę, a jemu w głowie logistyka.

– Wiesz co, nie trzeba. Nie mieszkam daleko, przejdę się.

W odpowiedzi marszczy czoło. Sekundę później podchodzi do mnie i pociąga za mój plecak. Protestując, trzymam mocno paski, ale on jest silniejszy. Rzuca mój plecak na swoją torbę, następnie nie oglądając się za siebie, rusza w stronę samochodu.

– Przestań być takim uparciuchem – mówi. – Chodź.

Pozwalam, aby dzieliła nas odległość kilku kroków. Ma perfekcyjnie umięśnione plecy, co widać przy każdym jego ruchu. Przez ramię ma

przerzucone obie nasze torby. Jest niczym młody bóg. A ja mam na sobie spodnie dresowe z nogawkami obciętymi na różnych wysokościach i koszulkę o dwa rozmiary za dużą. Im dłużej za nim idę, tym bardziej głupio się czuję i tym mniej myślę o tym, że Wes to być może chudy dzieciak z mojego dzieciństwa.

Jego bracia już czekają w szoferce. Na mój widok obaj wysiadają, ale ja unoszę ręce i wołam:

– Serio, mogę jechać na pace!

Nie damę im wyboru, tylko przierzucam nogę przez krawędź, po czym sadowię się wygodnie, opierając o szybę.

Wes wzdycha i kręci głową. RzUCA nasze torby na pakę, następnie wsiada do szoferki. Krzyżuję nogi i otulam zimne dłonie brzegiem koszulki, szykując się do drogi. Słyszę, jak drzwi zamykają się i opuszczam powieki, zła na Taryn, że przez nią znalazłam się w takiej krępującej sytuacji. Zanim zdążę jednak zamknąć oczy, dostrzegam, jak Wes gramoli się na pakę obok mnie. Puka dwa razy w szybę, dając braciom znać, że mogą ruszać. Odwraca się i patrzy mi w oczy.

– Uparciucha – mówi, akcentując każdą sylabę. Wzruszam ramionami i wsuwam dłonie głębiej pod koszulkę.

Nim dojeżdżamy do głównej ulicy, Wes zdejmuję przez głowę bluzę z długimi rękawami, odwraca się i, nie dając wyboru, naciąga mi materiał na głowę. Opiera się plecami o szybę, opuszcza czapkę nisko na czoło i krzyżuje ręce na piersi.

Przez kilka sekund siedzę tak z jego bluzą wokół szyi. Szybko jednak poddaję się, bo coraz mocniej wieje. Wsuwam ręce w rękawy i obciągam materiał. Na końcu rękawów znajdują się otwory, więc wkładam w nie kciuki i zaciskam dłonie na materiale. Choć bluza jest cienka, okazuje się zaskakująco ciepła. I pachnie nim.

– Dziękuję. – Oddycham powoli, żeby nie przyłapał mnie na wączaniu materiału. Podciągam kolana i kładę na nich głowę. Wes na mnie nie patrzy, ale uśmiecha się i przysuwa nieco bliżej.

– Nie ma za co – mówi.

Większość drogi milczymy i jakoś tak się dzieje, że siedzi coraz bliżej mnie. W pewnym momencie nasze dłonie leżą płasko na pace, a kiedy samochód podskakuje na wyboju, mały palec Wesa dotyka mojego. Oboje spuszczaemy wzrok i szybko zabieramy ręce.

Została jeszcze jedna przecznica do skrętu w moją ulicę, więc ściągam z włosów gumkę, a te zaczynają powiewać na wietrze. Nie lubię tego, bo podczas jazdy włosy robią mi się splątane i suche, ale pokusa rozpuszczenia ich przy Wesie jest silniejsza. Chcę, żeby zobaczył we mnie delikatną dziewczynę, a nie tylko uszczypliwego *uparciucha*. To jednak desperacki krok i żałuję go w chwili, kiedy wiatr zaczyna szarpać mi włosy. Zbieram je w dłoń i przytrzymuję przy karku. Nie jestem ładną dziewczyną. Nie dla mnie wstążki i kokardy. Jestem głupia i tyle.

– Chciałem cię o coś zapytać. – Z zamyślenia wyrywa mnie głos Wesa. – Mógłbym kiedyś do ciebie zadzwonić?

W pierwszej chwili mam ochotę powiedzieć mu, żeby spadał i zapytać, po co miałyby to robić. Instynkt każe mi zamknąć się w sobie i trzymać go na dystans, bo jestem porąbana, mam całe mnóstwo problemów i nie chcę sobie pozwolić na to, aby go polubić, ale trzymam ręce blisko twarzy, a jego bluza jest ciepła i miękka, no i ładnie pachnie i choć nie powinnam ulegać czemuś takiemu, nie mogę się powstrzymać.

– Jasne, z pewnością odbiorę – mówię.

Jasny gwint, zabrzmiało to tak, jakbym z nim flirtowała. Próbuję ukryć uśmiech za rękami. Właściwie to chowam w nich całą twarz. Jesteśmy już pod moim domem i wiem, że powinnam oddać Wesowi bluzę, ale nie chcę.

Chcę ją zatrzymać. Chcę ją zatrzymać na zawsze, więc szybko zeskakuję z furgonetki, biorę swój plecak i macham braciom Wesa, pilnując się, żeby nie spojrzeć mu w oczy. Idę szybkim krokiem, wchodzę do domu i dopiero wtedy pozwalam sobie oddychać.

– To był Wes? – pyta ojciec, wychodząc z kuchni z kubkiem w ręce. Już dawno temu przekonałam się, że to nie kawa.

Kiwam głową, ale odwracam wzrok i ruszam w stronę swojego pokoju. Ojciec zatrzymuje mnie jednak, kładąc rękę na moim ramieniu. Trzyma ją tak długo, aż w końcu patrzę mu w oczy.

– Zostaw w spokoju tego chłopaka – mówi, po czym zbliża kubek do ust. Patrzę, jak przełyka i czekam, aż jego spojrzenie się zaszklę, tak jednak się nie dzieje. Puszczą mnie i wchodzi do salonu. Siada na fotelu, na którym ma w zwyczaju oglądać telewizję. Przez cały wieczór, do oporu. Wygląda na to, że dzisiaj nie będzie nagrań z boiska.

Stoję w bezruchu. Powoli zbliżam nadgarstek do nosa i wdycham zapach Wesa. Myślę o ojcu Taryn i o tym, jak bez przerwy ostrzega ją przed chłopcami, bo według niego żaden nie jest wystarczająco dobry dla jego córki. Zupełnie inaczej jest z moim tatą. On martwi się o Wesa, dlatego że ja oznaczam kłopoty. Pewnie ma rację, ale to on do tego doprowadził. I nie sądzę, abym potrafiła trzymać się z dala od Wesa Stokesa, nawet gdybym próbowała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

WCZORAJ POSZŁAM SPAĆ W BLUZIE WESA. Kiedy obudziłam się rano, szybko ją zdjęłam, złożyłam i schowałam pod kołdrę, poduszką i stertą leżących na łóżku ubrań. Sama nie wiem, czy zrobiłam to po to, żeby ją sobie zostawić, czy też głupio mi było, że tak bardzo tego pragnę.

Jednak prawdziwe upokorzenie czułam przez to, że przez cały wieczór sprawdzałam, czy nie przysłał mi SMS-a, rankiem robiłam dokładnie to samo. Doprawdy tylko krok dzielił mnie od ozdobienia włosów wstążkami i brokatem.

Zamiast czekać na to, co i tak się nie wydarzy, wkładałam spodnie do biegania, do uszu wkładałam słuchawki i pozwalałam, aby najnowsza playlista dodawała mi energii. W pierwszej klasie biegałam codziennie rano. Miało to miejsce wtedy, kiedy jeszcze naiwnie sądziłam, że jeśli będę wystarczająco mocno się starać, to zaimponuję ojcu. On jednak nigdy tego nie zauważał. Oskarżał mnie o lenistwo bez względu na to, jak ciężko pracowałam, o której wstawałam i ile kilometrów przebiegałam. Więc odpuściłam bieganie.

Nie mam pewności, co dzisiaj rano mnie do tego popycha. Gdy jednak otwieram oczy i widzę, że dopiero co wzeszło słońce, czuję się jakoś inaczej. Drzwi do sypialni taty są otwarte i kiedy ją mijam, widzę pościelone łóżko. Kręcę głową, bo najpewniej wyszedł wczoraj wieczorem i nie wrócił na noc. I nie zadzwonił.

Zamykam drzwi i chowam klucz oraz iPoda do kieszonki w spodniach. Przez kilka minut robię ćwiczenia rozciągające, po czym zaczynam biec. Pieczenie w mięśniach pojawia się szybciej niż podczas dawnych treningów.

Tak już jest, jeśli nie biega się przez wiele miesięcy.

Tempo mam powolne, ale się nie zatrzymuję. Po przebiegnięciu sześciu czy siedmiu przecznic – zawracam. Błądzą ulicami bez celu, ale nieustannie szukam wzrokiem furgonetki Wesa, zastanawiając się, w którym mieszka domu. Ta ciekawość każe mi biec coraz dalej, jeszcze jedną przecznicę, jeszcze pół kilometra, aż w końcu docieram do licealnego boiska do footballu. Bieżnia jest pusta, a środek porastają chwasty, bo w naszej szkole football traktuje się bez większej uwagi. Jesteśmy szkołą nastawioną na baseball. Oddycham ciężko, więc przechodzę w szybki marsz, aż w końcu zatrzymuję się przed trybunami i splatam ręce za głową.

Kiedyś to było takie proste. Wszystko. Teraz wydaje się niemożliwe. Płuca płoną mi żywym ogniem i złapała mnie kolka. Podnoszę wzrok na trybuny i widzę przebłyski dzieciństwa. Tato lubił biegać. Zawsze mówił, że fakt, iż jest za stary na grę, nie oznacza, że nie może biegać szybciej od innych. Więc biegał tutaj podczas weekendów, a ja do niego dołączałam. Moja dłoń odruchowo dotyka małej, dziesięcioletniej blizny na podbródku – śladu po tym, jak poślizgnęłam się na schodkach i uderzyłam w metalową barierkę. Tato zaniósł mnie do domu, przyciskając mi do brody swoją koszulkę, żeby powstrzymać krwawienie, a potem zawiózł na pogotowie – na szycie. Pierwsze z wielu.

Nadal ciężko oddycham, ramiona mam spięte, a nogi błagają, żebym dała im spokój. Wyjmuję z kieszonki iPoda, podgłaśniam i zaczynam wbiegać po schodkach. Dopiero po kilkunastu stopniach odnajduję swój rytm. Docieram na samą górę, dotykam barierki, a potem odwracam się i pozwalam, aby mój ciężar poniósł mnie przez sześćdziesiąt schodków na dół. Robię to jeszcze raz, tym razem szybciej, a podczas zbiegania zwalniam, żeby czuć, jak pracują mięśnie. Powtarzam całość sześć razy, aż potykam się na ostatnim stopniu i ląduję na ławeczce, iPod wyślizguje mi się z kieszeni. Chwytam

palcami za przewód, ale niechcący go wyciągam i słyszę, jak urządzenie odbija się od metalowych wsporników, aż w końcu dwanaście metrów niżej rozpada się na kawałki.

Kurwa.

Kładę głowę na chłodnym schodku i przekręcam się na plecy. Jedną ręką przyciągam kolana do klatki piersiowej, drugą wyjmuję z uszu bezużyteczne słuchawki. Zwijam je w dłoni, a potem uderzam nią kilka razy w metal. Nie znoszę biegać bez muzyki. Nie mam pojęcia, jak mi to się uda jutro rano.

Może po prostu dam sobie spokój.

– Właśnie tak! Tak, jeszcze raz. Dokładnie tak. – Głos mojego taty odbija się echem od budynku sali gimnastycznej, a ja szybko wstaję, żeby sprawdzić, skąd dochodzi.

Opieram się o ostatnią ławkę i patrzę na parking i korty tenisowe, ale nikogo nie widzę. Wspinam się na barierkę, dzięki czemu mam widok na jeszcze większy obszar. I w chwili, kiedy dostrzegam tatę na boisku – na drugim końcu terenu, należącego do szkoły – znowu słyszę jego głos.

– Tak! – Dociera do mnie jego krzyk.

Tato łapie piłki Wesa. Jest siódma trzydzieści w sobotę, a mój ojciec kuca na piachu, tak jak kiedyś ze mną. To wspomnienie jest niczym cios w tak wyczerpaną klatkę piersiową. Klękam, po czym opieram twarz o metalową barierkę. Patrzę, jak dzieje się coś niesamowitego – beze mnie.

Mój ojciec chwali Wesa po każdym rzucie. Jest taki podekscytowany i pełen wigoru, że mam wrażenie, jakbym obserwowała nieznajomego. Co rusz zdejmuje rękawicę i podbiega do Wesa i prezentuje mu różne techniki chwytu. Im dłużej na to patrzę, tym większy czuję ból.

Nie zamierzam okłamywać samej siebie. Jestem zazdrosna. Pozwalam, aby po policzku spłynęła mi łza, kiedy ukrywam się tutaj niczym bezdomny kot. Na chodniku leży roztrzaskany iPod i chyba nawet nie pójdę go zbierać.

Powinnam bardziej nim się przejmować, ale całą moją uwagę pochłania to, co dzieje się kilkaset metrów dalej.

Kiedy nie jestem w stanie dłużej wytrzymać, wypełniam płuca oczyszczającym powietrzem i postanawiam więcej na nich nie patrzeć, ale nie odejdę. Nie odpuszczę tego, co zaczęłam. Robię jeszcze dziesięć rund w górę i w dół trybun, aż nogi mam jak z waty i nie czuję palców u stóp. Cała jestem spocona, ale dałam radę. Jediną osobą, której chciałam coś udowodnić, byłam ja.

Nim odchodzę, zabieram z ziemi roztrzaskanego iPoda i liczę, że jakimś cudem uda mi się go poskładać. Biegnę do domu, tym razem wolniej. Biorę prysznic i wychodzę, żeby spędzić dzień u Kyle'a. Nie zostawiam tacie żadnej kartki. Nie sprawdzam, czy Wes do mnie napisał. Nikogo nie obchodzi, gdzie jestem, więc mam to gdzieś.

W ostatniej chwili biorę bluzę Wesa – pewnie po to, żeby później zadrećczać się myślami o nim – i wkładam ją do plecaka obok butelki z tym, co zostało z Jima Beama. Co jakiś czas podkradam tacie coś z barku. Zamyka go, ale kluczyk wiesza jakieś trzydzieści centymetrów dalej – przejaw maksymalnej apatii.

Kiedy się zjawiam u Kyle'a, ten już jest w nastroju filmowym. Puszczają właśnie *Halloween*. W połowie filmu zjawia się Conner i siada między nami na sofie. Oboje go szturchamy i chwilę później całą trójką uprawiamy zapasy. Kyle przerzuca mnie sobie przez ramię i obraca, próbując trafić moimi nogami w brata.

– Nie jestem twoją bronią! Postaw mnie! – wołam. Kyle klepie mnie mocno w tyłek, a ja walę go w brzuch, przez co zgina się wpół na sofie. Kotłujemy się na niej ze śmiechem, kiedy wchodzi Taryn razem z TK, Levim i Wesem.

– Jesteście niepoprawni – orzeka Taryn.

– Nie wiedziałem, że będziesz miała towarzystwo – mówi Kyle, pozwalając, aby jego dłoń zsunęła się po moim ramieniu i wylądowała na nodze.

Patrzę na ten gest z ciekawością, następnie zerkam na Wesa, który także przygląda się, jak Kyle naznacza mnie swoim dotykiem. Zirytowana, odpycham jego rękę i zsuwam się z kolan. Wstaję i pokazuję mu środkowy palec.

– No co? – pyta niewinnie, a mnie jeszcze bardziej to wkurza.

– Nie jestem twoją własnością – warczę. Odwracam się i patrzę na niego spod zmrużonych powiek, żeby miał jasność, co myślę o jego zachowaniu. Ponownie zerkam na Wesa, który udaje, że nic nie słyszał, następnie na Taryn – ona z kolei uśmiecha się znacząco. Jej też pokazuję środkowy palec.

Uciekam do kuchni, ale Taryn idzie tam za mną. Początkowo ją ignoruję. Wyjmuję z plecaka butelkę i pociągamy spory łyk whisky. Znajome ciepło rozlewa mi się w klatce piersiowej i przynosi błogie odrętwienie. Podaję butelkę przyjaciółce, ale ona jedynie krzywi się i siada na blacie.

– Jak sobie chcesz. – Wzruszam ramionami, biorę jeszcze jeden łyk, tym razem mniejszy i odstawiam butelkę.

– Jednemu z tych chłopaków będziesz musiała powiedzieć dzisiaj prawdę, wiesz? – Nie odpowiadam, a jedynie wpatruję się w nią takim wzrokiem, jakbym nie miała pojęcia, o co jej chodzi. – Lubisz Wesa, a do Kyle’a nie żywisz tego rodzaju uczuć.

– Już to przerabiałam z Kyle’em. Wie, że jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– To nie znaczy, że zamierza poddać się bez walki – odparowuje. Martwią mnie jej słowa. – A Wes...

Nim zdąży skończyć, drzwi się otwierają i wszyscy wpadają do kuchni. Taryn przez chwilę patrzy mi w oczy, następnie zerka na Wesa.

Wesa, który wygląda po prostu perfekcyjnie. Ciemne, luźne dżinsy, biały

T-shirt i szara czapka, jak zawsze nasunięta nisko na czoło. Każdy związany z nim detal jest prosty, ale doskonały: włosy wystające spod czapki, brązowy pasek zegarka na tle opalonej skóry, buty vansy, no i do tego ta cholerna woda kolońska. Ja mam na sobie podniszczoną bluzę sportową sprzed dwóch lat i czuć ode mnie whisky. Włosy związałam w kucyk, kiedy jednak przesuwam palcami po końcówkach, okazuje się, że całe są splątane, bo ich nie wysuszyłam po wzięciu prysznicza.

On i ja – zupełnie do siebie nie pasujemy.

– No więc rzucałeś rano z tatą – mówię, siadając na taborecie na końcu blatu. Wes patrzy na mnie zaskoczony. Moje słowa zainteresowały także Kyle’a. Wiem, że będzie czuł zazdrość z powodu tego, że mój ojciec poświęca Wesowi dodatkowy czas. W sumie to chyba chcę, żeby był równie zazdrosny jak ja.

– Tak, eee... zaproponował to po treningu. Powiedział, że i tak będzie na boisku – mówi Wes, zerkając z ukosa na Kyle’a. To nie fair, stawiam go w niezręcznej sytuacji. – Coś o tym mówił?

Posyła mi spojrzenie spod daszku, a jego oczy są tak krystalicznie czyste, że praktycznie lśnią. Na chwilę się w nich zatracam, ale szybko się otrząsam. Kręcę ze śmiechem głową i przenoszę uwagę na Kyle’a.

Czuję jednak na sobie spojrzenie Wesa. To nie jego wina, że ma talent. To nie jego wina, że od mojego taty otrzymuje to, o czym ja od lat mogę tylko marzyć. Nic z tego nie było jego winą, a mimo to i tak miałam do niego pretensje.

Kino otwiera się dopiero za kilka godzin. Dla zabicia czasu Kyle prezentuje nam do wyboru kilka swoich filmów. Taryn jak zawsze okazuje się najbardziej przekonująca, więc oglądamy Szczęki. Co prawda nie do końca jest to horror, ale wszyscy uwielbiamy ten film. Przez dwie kolejne godziny naśmiewamy się z zażywających kąpiele naiwniaków, a Taryn i ja na

widok rekina dosłownie się przekrzykujemy. TK uznaje jej dziewczęce piski za urocze i nim film dobiega końca, moja przyjaciółka siedzi między jego nogami, opierając się plecami o jego tors, a tymczasem on muska ustami jej szyję.

Taryn także zazdrozczę. Nie tego, że jest z TK, ale że jest w związku i że coś takiego przeżywa. Ja nigdy tego nie doświadczyłam. Nigdy tak naprawdę nie chciałam, ale ostatnio...

Siedzę na sofie między Kyle'em i Wesem i przez ostatnie pół godziny filmu cała nasza trójka pozostaje w kompletnym bezruchu. Napięcie jest przytłaczające, a kiedy tylko pojawiają się napisy końcowe, daję krok ponad ławą i pozostawiam ich samych. Wycofuję się do kuchni, gdzie ukradkiem raczę się whisky.

– Nie za wcześnie trochę na to?

Wes mnie zaskakuje. Nie odwracam wzroku, a przy ustach nadal trzymam butelkę. On opiera się o ścianę naprzeciwko mnie i wsuwa kciuki w kieszenie. Unoszę butelkę i pozwalam, aby ciepło ponownie zalało mi gardło i klatkę piersiową. Nie odrywając wzroku od Wesa, powoli idę w jego stronę, aż znajduję się na tyle blisko, że gdybym chciała, to mogłabym go dotknąć. Pokazuję mu butelkę i unoszę brew. On jedynie odpycha moją dłoń i robi krok w bok.

– Dziękuję. Nie przepadam za whisky, zwłaszcza o wpół do piątej, przed seansem w kinie – mówi, a jego słowa ociekają pogardą.

– Nie jesteś moim rodzicem – oświadczam. Wypowiadam te słowa z rozmysłem. Wymierzam w niego palec, pozostałymi obejmując butelkę. Zaciskam usta w cienką linię. Myślę, czy nie wypić jeszcze więcej, na złość Wesowi. Nie robię tego, bo jego reprimenda jednak na mnie podziałała. Trochę. A nawet bardzo. – Poza tym, dzięki temu film staje się o wiele lepszy – dodaję i zakręcam butelkę, tonąc we własnym koktajlu złożonym z

alkoholu i wstydu.

Odstawiam butelkę, odwracając się do niego plecami. Mam nadzieję, że sobie stąd pójdzie. *Mam nadzieję, że do mnie podejdzie.* On jednak w ogóle się nie rusza. Słyszę, jak bierze oddech, żeby coś powiedzieć. Już go nie onieśmielam, co w sumie było moim celem, ale przez to sama czuję się bezbronna.

– Widziałaś nas – mówi. Automatycznie zaciskam usta i cała się spinam, ale nie odwracam się. Zamiast tego wkładam rękę do plecaka i zaciskam palce na jego bluzie. – Wnioskuje to z tego, jak zareagowałaś, kiedy cię zapytałem, czy tata ci powiedział. Nie zrobił tego i dlatego jesteś zła. Powinnaś była podejść, skoro nas widziałaś. Założę się, że twój tata by się ucieszył.

Ha! Nie chcąc dłużej bawić się w psychoanalizę, wyjmuję z plecaka jego bluzę. Obracam się na pięcie, ujmuję jego dłoń i wciskam w nią bluzę, po czym zamykam wokół niej jego palce. Knykcie robią mi się natychmiast sztywne, odmawiając puszczenia jego dłoni. To przez whisky tak się czuję, a to oznacza, że powinnam przystopować. Robię krok w tył, żeby zachować między nami dystans, ale nie odrywam wzroku od jego twarzy. Kiedy się odzywam, głos mam spokojny.

– Nie jestem zła o to, że mi nie powiedział, Wes. Jestem zła o to, że wybrał ciebie zamiast mnie. I nie... nie ucieszyłby się, gdybym do was dołączyła. W tym właśnie problem. Mój ojciec... on tak naprawdę wcale mnie nie lubi – wyznaję. Czuję ściskanie w gardle. W oczach Wesa pojawia się cień zrozumienia, które szybko zostaje zastąpione współczuciem, a od niego tylko krok do litości, tego uczucia akurat nie chcę. – Dzięki za bluzę – dodaję. Sięgam do plecaka po coś jeszcze. – I wiesz mi nowego iPoda. Mój zepsuł się, kiedy próbowałam dotrzymać ci kroku w tym, jak bardzo jesteś wspaniała, więc... proszę.

Wkładam mu odtwarzacz w drugą dłoń, potrząskanym ekranikiem do góry, a potem wychodzę do salonu, gdzie udaje mi namówić się resztę, żebyśmy wcześniej pojechali do kina i zajęli dobre miejsca.

Taryn zabiera się z braćmi Stokes, a ja wskakuję na tylne siedzenie samochodu Kyle'a. Psuję tym plany Connerowi, który zamierzał siedzieć obok swojej dziewczyny. Na ten wieczór mam jednak dość chłopaków, więc kiedy odmawiam kontaktu wzrokowego, Conner w końcu ustępuje i siada z przodu.

A mi towarzyszy Layla. Lubię ją. Jest spokojna i nieśmiała. Chętnie przebywa w naszym towarzystwie, ale tak naprawdę rzadko się udziela. I nigdy nie zadaje pytań. Koniec z pytaniami. Jeśli mam być szczerą, to dzisiaj najchętniej w ogóle bym już się nie odzywała.

Kiedy podjeżdżamy pod kino, brama jest już otwarta, a ponieważ zjawiamy się tak wcześnie, trafiamy na idealne miejsca. Porzucam wszystkich i udaję się do baru z przekąskami, a potem przechadzam się od ekranu do ekranu, racząc się popcornem oblanym masłem, aż w końcu zaczyna mnie boleć brzuch. Jednak bez względu na to, jak daleko odchodzę, moje spojrzenie i tak co rusz odnajduje siedzącego na furgonetce Wesa.

Słońce w końcu zaczyna chować się za horyzontem, malując niebo fioletowymi i pomarańczowymi smugami. Przez te kolory robię się śpiąca, ale czuję także spokój. Niegotowa na powrót do chaosu, podciągam się na drewnianym ogrodzeniu, oddzielającym miejsca dla samochodów od rzędów plastikowych krzeseł. Dwie dziewczynki bawią się w piaskownicy. To, co zaczyna się jako wspólne budowanie zamku, wkrótce przeradza się w walkę o to, która z nich ma decydować o wyglądzie królestwa. Przypominają mi Taryn i mnie, tylko że ja nigdy się nie kłóciłam. Po prostu ustępowałam przyjaciółce, a kiedy naprawdę nie miałam na to ochoty, odchodziłam i bawiłam się sama. W przypadku tej dwójki tak jednak się nie dzieje i nie mija

wiele czasu, a piach lata w powietrzu, kiedy zaczynają kopać wieże i piszczeć.

– Hej, dziewczyny – zagajam, ale żadna nie zwraca na mnie uwagi. Trafia mnie piasek, więc wkładam palce do ust i głośno gwizdzę. Dopiero teraz nieruchomieją. Dziewczynka z prawej pozwala, aby piasek przesypywał się jej przez palce, a ja uśmiecham się do niej.

– Chodźcie tutaj – mówię, przywołując je do siebie. Początkowo wydają się nieśmiałe, ale kiedy jedna robi krok w moją stronę, druga szturcha ją w ramię i nagle obie puszczają się sprintem. – Jesteście przyjaciółkami, tak?

Patrzą na siebie i marszczą nosy, po czym kręcą głowami, bo nadal są złe i nie chcą przyznać się, że się kumplują. To oznacza, że są najpewniej najlepszymi przyjaciółkami.

– Mam dla was propozycję. Zapomnijcie o zamku, piasku i całym tym szajsie... – mówię i chichoczę, kiedy ich oczy robią się wielkie jak spodki na słowo „szajs”. – Weźcie sobie resztę mojego popcornu i zjedzcie go podczas pierwszego filmu.

Ta z ciemnymi włosami, wyraźnie grająca rolę Taryn sprzed lat, bez słowa bierze ode mnie torebkę, gdy tymczasem druga stoi za nią, a na jej twarzy powoli pojawia się uśmiech.

– Powinnyśmy umyć ręce – mówi do przyjaciółki, sepleniąc lekko przez brak jedynek.

– E tam – rzucam, zeskakując z ogrodzenia i wycierając w dzinsy palce tłuste od masła. – To tylko piach. Zarazki to ściema.

Mrugam do nich i odchodzę. Towarzyszy mi ich chichot. Jestem dumna. Choć może nie było to zbyt mądre, udało mi się coś wielkiego. Możliwe, że uratowałam przyjaźń.

W kieszeni wibruje mi telefon i od razu opuszczają mnie wszystkie przyjemne uczucia. Mamy sobotę. Jest jeszcze wczesnie, ale... już tak kiedyś

się zdarzyło. Rozglądam się, próbując ocenić, czy Kyle'owi uda się stąd wyjechać, gdyby musiał mnie gdzieś zawieźć. Kino mieści się daleko, ale w sumie mogłabym pójść pieszo. A tato mógłby zaczekać. Wolę, kiedy musi czekać.

Wzdycham ciężko i wyjmuję z kieszeni telefon, gotowa na nieprzyjemne uczucie, które dopada mnie za każdym razem, kiedy muszę przez to przechodzić, ale to nie tata, lecz Wes.

Dobra robota w piaskownicy. Film zaczyna się niedługo. TK przemycił puszkę coli. Zaklepałem jedną dla ciebie.

Czytam tę krótką wiadomość kilka razy. Głowę mam spuszczoną, żeby nie widział mego uśmiechu. Trzepotanie w piersi jest o wiele fajniejsze niż to, co wcześniej robiła ze mną whisky. Odpisuję: *Dzięki. Zaraz będę.*

Wysławszy wiadomość, podnoszę wzrok i widzę, że obok Kyle'a zaparkowała Emily. Zauważam także, że obok Wesa siedzi dziewczyna. To McKenna, ubrana w sukienkę... w jeden z najchłodniejszych wieczorów w roku. Materiał powiewa na wietrze, a ona obejmuje się i pociera dłońmi gołe ramiona. Wyczuwam, co się stanie, jeszcze zanim docieram na miejsce. Więc kiedy wchodzę na parkę i widzę McKennę otuloną bluzą, w której spałam zeszłej nocy, mogę tylko się roześmiać.

Czuję się jak idiotka.

– Cola? – pytam Wesa, unosząc brew. Udaję niewzruszoną faktem, że centymetry dzielą go od tej Barbie rodem z Malibu.

– Tutaj postawiłem – mówi i odwraca się, żeby wyjąć ją z za McKenny, widzi jednak, że ta trzyma już puszkę w dłoniach i pociąga długi łyk.

– Wiesz co? Nie trzeba. – Pokazuję na samochód Kyle'a, gdzie zostawiłam plecak i gdzie planuję ukryć się na kilka następnych godzin.

– Joss, zaczekaj. – Wes ześlizguje się z dachu, na którym wcześniej siedział, i z głuchym odgłosem zeskakuje na ziemię. McKenna wychyla się i

obserwuje jego każdy ruch, a kiedy jej spojrzenie dociera do mnie, posyłam jej pocałunek, który ściera uśmiech z jej twarzy.

– Suka z ciebie, Joss – warczy do mnie.

– Z ciebie też, Kenna. Z ciebie też – ripostuję, kręcąc głową. Nie zamierzam poświęcać jej więcej swojego czasu.

– Co to ma być, Joss? – Jestem tak zaszokowana tym, że Wes mówi do mnie coś choćby z lekka ganiącego, że zamieram i wlepiam w niego wzrok. I mrugam. – Czemu musisz wszystko tak cholernie utrudniać?

Nadal mrugam. Po kilku sekundach wracam spojrzeniem do McKenny, która stuka palcami w puszkę, udając, że nie przysłuchuje się naszej rozmowie. Boże, przez chwilę, kiedy do mnie napisał, sądziłam, że coś do mnie czuje i sprawiło mi to przyjemność. To niesamowite, że w czasie dwóch sekund przez moją głowę przemknęły scenariusze, w których on mnie całuje, ja trzymam go za rękę, leżę mu na kolanach i razem oglądamy te głupie filmy. Kiedy teraz jeszcze raz odtwarzam tę wiadomość, dociera do mnie, że on jedynie napisał, że zaraz zacznie się film i że czeka na mnie coś do picia.

– Niczego nie utrudniam, Wes – mówię i zerkam na dach furgonetki. – Och, twoja koleżanka wygląda na zmarzniętą. Nie powinnam cię zatrzymywać.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i wykonuje taki ruch, jakby chciał zrobić krok w moją stronę, ale to ignoruję. Odwracam się, wsiadam do samochodu Kyle'a i zatraskuję za sobą drzwi. Wyciągam z plecaka butelkę i to, co w niej pozostało. Owszem, utrudniam, ale wiem, jak to się skończy. Wes to ulubieniec taty, a ja jestem dziewczyną, która nie jest wystarczająco dobra. Jestem jedynie bezwartościową pomyłką, która zakończyła małżeństwo swoich rodziców – a przynajmniej tak to postrzega ojciec. Niech Wes go sobie ma.

– Co pijemy? – pyta Kyle, otworzywszy drzwi z drugiej strony.

Wślizguje się obok mnie.

Oboje opieramy stopy na oparciach przednich foteli i się opuszczamy. Choć wkurzyło mnie wcześniejsze zachowanie Kyle'a, mam nadzieję, że Wes nas teraz widzi. Kładę mu na kolanach butelkę.

– Nie powinienem... prowadzę – mówi, przystawiając butelkę do ust.

– Aha, jakby to cię kiedyś powstrzymywało. – Przechylam butelkę, tak że płyn wlewa mu się do ust. Szarpie głową i odrobina wylewa mu się na klatkę piersiową.

– Kurwa, Joss, teraz będę cuchnął jak gorzelnia. – Prostuje się i zaczyna trzeć koszulę. Odwraca głowę w moją stronę i wygląda na autentycznie wkurzonego. Lewy kącik jego ust zdradza jednak prawdę. – W sumie to równie dobrze mogę teraz pić.

– O tak, Marley – mówię i stukam go kolanem, on zaś pociąga długi łyk, następnie głęboko oddycha, kiedy płyn wędruje mu wzdłuż przełyku.

Przez pięć następnych godzin Kyle i ja siedzimy na tylnej kanapie jego samochodu. Wychodzę tylko raz, kiedy muszę siku, i choć staram się nie rozglądać, dostrzegam kątem oka, że Wes siedzi na dachu furgonetki, a obok niego McKenna. W drodze powrotnej zmuszam się do ignorowania tego widoku i szybko wsiadam do samochodu.

Kiedy w domu chowałam butelkę do plecaka, była w połowie pusta, ale jej zawartość i tak wystarczyła, żebyśmy razem z Kyle'em nieźle się wstawili. Ostatni film zaczyna się o jedenastej i widzę, że przyjaciel robi się niespokojny. Otwiera drzwi i przechodzi na tył samochodu. Nie zawraca sobie głowy chodzeniem do toalety, tylko sika właśnie tam i słyszę, jak Taryn go beszta. Wysiadam ze śmiechem i grożę, że zrobię to samo.

– Wy dwoje zawsze musicie się nawalić – mówi Taryn, rzucając w nas garścią żwiru.

– To jest właśnie najlepsze i doskonale o tym wiesz! – wołam, obracając

się w kółko z rozpostartymi ramionami. Robię to powoli, ale i tak zaczyna kręcić mi się w głowie i się potykam. Nim zdążę na coś wpaść, natrafiam plecami na ciepłe dłonie, a kiedy podnoszę wzrok, widzę wpatrującego się we mnie Wesa.

– Powinniśmy odwieźć cię do domu – mówi i zaciska usta w cienką linię. Przez kilka sekund rozważam dostępne opcje i cieszę się jego dotykiem. Jeszcze bardziej odchylam głowę. Jest na tyle wysoki, że góruje nade mną, a kiedy czołem stykam się z jego tarsem, patrzę mu prosto w oczy. I znowu zalewa mnie to uczucie, jakie pamiętam z naszego pierwszego spotkania.

– Och, Christopherze. – Unoszę rękę i oplatom nią jego szyję. – Nie słyszałeś? Nie... jesteś... moim... rodzicem.

Czuję, jak wzdycha i zaczynam się śmiać, ciesząc się, że go frustruję. Chwilę później tracę grunt pod nogami i Kyle niesie mnie w stronę swojego auta.

– Hej – chichoczę. Jestem trochę pijana. W sumie to nawet bardziej niż trochę. Powinnam zaprotestować, ale zbyt podoba mi się to, że ktoś mnie niesie. I to, że Kyle jest taki zaborczy, nawet jeśli to nie on jest chłopakiem, którego pragnę.

– Musimy się pościgać, Stokes. Spadajmy stąd. Jedźmy na dawną ekspresówkę – mówi Kyle, machając kluczykami. Parę osób z sąsiednich samochodów każe mu się uciszyć. – Oglądajcie ten cholerny film! – odkrzykuje.

– Kyle, przestań. Nie będę z tobą się ścigał, stary. Uspokój się. – Wes unosi dłoń i kręci przeproszająco głową do zirytowanych ludzi.

Kyle macha ręką, drwiąc z Wesa.

– Stary, Wes... jest tak, jak mówiła Joss... nie jesteś moim cholernym rodzicem – oświadcza ze śmiechem, po czym nachyla się i pluje na ziemię. – A teraz zabieraj swój tyłek na Fairfax Road, mięczaku.

Kyle wsiada do samochodu i zamyka ciężkie drzwi swojego grata. Przekręca kluczyk w stacyjce i gazuje. Ja stoję po stronie pasażera z jedną nogą w środku, opierając rękę o otwarte drzwi.

– Nie rób tego, Joss – odzywa się Taryn. Podchodzi do mnie, nachyla się i zagląda do środka, żeby przyjrzeć się Kyle’owi. Przez kilka sekund wymieniamy spojrzenia, gdy tymczasem Kyle woła, żebym wsiadała. Już mam olać wszystkich, trzasnąć drzwiami i wyruszyć w długą drogę do domu, kiedy za Taryn staje Wes.

– Nie wsiadaj do tego samochodu, Joss – mówi, a mi od razu podnosi się ciśnienie.

Marszczę brwi i uśmiecham się diabolicznie.

– Powstrzymaj mnie – rzucam, po czym szybko wsiadam i zamykam drzwi. Walę pięściami w deskę rozdzielczą. – Jedź, jedź, jedź! – wrzeszczę.

Kyle’owi nie trzeba tego powtarzać. Gazuje, wzbijając tumany kurzu. Wkurzeni ludzie zaczynają wysiadać ze swoich aut, gotowi, żeby go zaatakować. Są jednak za wolni, a on kilka sekund później przejeżdża przez bramę. Klękam na siedzeniu, obejmuję rękami oparcie, patrzę przez tylną szybę i odliczam sekundy, aż w końcu widzę za nami furgonetkę Wesa.

– Jedzie. Mamy co najmniej siedem sekund przewagi – mówię, odwracając się. Przed nami rozciąga się pusta droga i Kyle dodaje gazu, pędząc w stronę Fairfax.

Po obu stronach znajdują się pola, a wewnątrz auta wypełnia dudniący dźwięk silnika.

– Potrzebna nam szybka muzyka! – wołam i przelatuję przez stacje radiowe, aż w końcu natrafiam na coś dobrego. W głośnikach słyszę Foo Fighters. Ściągam przez głowę bluzę, pod którą mam cienką bluzkę na ramiączkach, po czym wychylam się przez opuszczoną szybę i trzymając bluzę za kaptur wymachuję nią jak flagą.

– Aaaaaaaa! – wołam. Z gumki wydostają się luźne pasma włosów i chłószczą mi twarz. – Są coraz bliżej, Kyle. Lepiej daj gaz do dechy!

Kyle zerka na mnie i wybucha śmiechem.

– Joss, jeszcze nigdy tak szybko nim nie jechałem!

Kiedy odwraca głowę z powrotem w stronę drogi, samochodem zarzuca, a ja tracę na moment równowagę. Wrażenie, że niemal lecę, sprawia, że w ciele czuję buzującą adrenalinę i w ciągu sekundy przerażenie zmienia się w zachwyty.

Widzę jedynie światła furgonetki Wesa. Mruga nimi i trąbi, przez co Kyle i ja śmiejemy się jeszcze głośniej. Ponownie siadam na krawędzi szyby, unoszę wysoko bluzę, aż w końcu pozwalam, aby kaptur wyslizgnął mi się z palców. Patrzę, jak bluza wiruje w powietrzu, a potem uderza w jedno ze światel Wesa.

– Ups! – mówię, zasłaniając ze śmiechem usta.

– Nie wracamy po nią – mówi Kyle, a za każdym razem, kiedy odrywa spojrzenie od drogi, samochodem zarzuca, a mnie znowu przepełnia to cudowne uczucie.

– Joss!

Odchyłam się, zaciskam palce na dachu auta i patrzę, kto woła moje imię. Od strony kierowcy wystaje głowa Wesa i wygląda na to, że Levi trzyma kierownicę i wciska gaz.

– To nie jest bezpieczne, Wes! – krzyczę, nie potrafiąc zachować powagi dłużej niż przez sekundę.

– Joss, każ Kyle’owi się zatrzymać!

– Chce, żebyś się zatrzymał – mówię, pochylając się, żeby Kyle mnie słyszał.

– Każ mu się odpierdolić – oświadcza i nachyla się nad kierownicą, robiąc wszystko, aby jego Chevrolet Impala jechał jeszcze szybciej.

– Kyle każe ci się odpierdolić! – wyję.

Wes zaciska usta i uderza dłonią o drzwi furgonetki. Chowa głowę do środka.

Właśnie tak, Wesleyu Christopherze, czy kim ty tam, kurwa, jesteś. Z pewnością nie jesteś naszym rodzicem, więc możesz się odpierdolić!

Światła miasta dawno zostały za nami, przez co gwiazdy wydają się jeszcze jaśniejsze. Z rozpostartymi ramionami odchyłam się i patrzę na linię, gdzie kończą się chmury, a zaczynają wirować gwiazdy. Jest pięknie i mam ochotę czuć się tak już zawsze, nigdy nie wrócić do domu. Zatracić się w tym niebie.

Pozwalam, aby powieki zaczęły mi opadać i w tym momencie samochodem znowu gwałtownie zarzuca, a ja czuję, jak moje stopy prześlizgują się za daleko.

Natychmiast krew krąży mi szybciej w żyłach, ale jest dobrze. Niesamowicie. Odlotowo.

To śmierć.

Wszystko dzieje się tak powoli, gwiazdy nade mną łączą się w jeden ciąg światła, gdy samochód pode mną próbuje utrzymać się na drodze, a moje ciało poddaje się przeznaczeniu. W pewnym momencie postanawiam, że nie chcę przegrać. Gorączkowo szukam czegoś, czego mogłabym się chwycić, żeby nie wylądować na asfalcie.

I wtedy auto Kyle'a zaczyna ścigać w lewo, opony ześlizgują się na pobocze. Kyle walczy z kierownicą. Auto przegrywa. Kyle przegrywa. Ja przegrywam. Zaraz wypadnę z samochodu, czuję, jak moje nogi tracą podparcie. Otwieram usta, żeby krzyczeć z przerażenia i w tym momencie obejmują mnie ręce Wesa. Trzyma się otwartych drzwi swojego auta, a na miejscu kierowcy teraz siedzi jego brat. Odbija się od drzwi, przyciągając mnie mocno do siebie, i oboje turlamy się zwirowym poboczem w stronę

wysokich traw i kanału irygacyjnego pobliskiej farmy.

Cichnie wszystko oprócz oddechu Wesa. Palcami jestem uczipiona jego pleców, twarz mam ukrytą w zgięciu szyi, łokcie zdarte i krwawiące, nogi poobijane. Jego klatka piersiowa unosi się i opada, a ręce mocno mnie obejmują.

Mam wrażenie, że leżymy tak całą wieczność, jakby zmysły zaczęły mi działać dopiero po kilku godzinach. Słyszę swoje imię, głos Taryn i odgłos wydobywającej się pary z samochodu Kyle'a. Pierwszy dopada nas TK.

– Nic jej nie jest? – pyta.

– Chyba nie. – W uchu wibruje mi głos Wesa. Nie żyjemy? Umarliśmy? Mocniej się w niego wtulam, pragnąc usłyszeć bicie jego serca, ale dudnienie w mojej piersi tłumi wszelkie dźwięki. Czuję jednak, jak jego dłonie powoli przesuwają się po moim ciele i już wiem, że nic mu się nie stało.

– Leci ci krew, Wes. Kurwa, stary... musimy zawieźć cię na pogotowie – mówi TK.

– To jej krew. Ja... mi nic nie jest, ale ona jest ranna. Ręce. Widzisz? Nie mogę jej puścić – odpowiada Wes, a wszystko we mnie uczipia się tych ostatnich słów.

Nie mogę jej puścić.

– Okej, stary. Trzymaj się. Myślę, że nic jej nie będzie. – TK kuca i patrzy mi w oczy. – Hej, Joss. Przyjrzyj się twoim rękom, dobrze?

Wzdrygam się, czując jego dotyk, i jeszcze mocniej uczipiam się Wesa, nagle cofając się w przeszłość o osiem lat – samochód taty rozbity, rodzina w rozsypce, przyjaciele przerażeni, wszyscy patrzący na mnie. Wes trzyma mnie mocno i opiera brodę o moją głowę.

– W porządku, Joss. Pozwól mu. Ja tu zostanę. Jestem przy tobie – szepcze mi do ucha.

W porządku. Zostanę.

Poluźniam uścisk, pozwalając, aby TK obejrzał moje ręce. Zdejmuje koszulkę i owija mi nią jeden łokieć, żeby powstrzymać krwawienie.

– Trzeba to oczyścić, żeby nie wdało się zakażenie, ale ręka nie wygląda na złamaną. Może uderzyła się w głowę? Wes... powinniśmy zawieźć ją na pogotowie – mówi.

– Wiem – szepcze Wes, a ja sztywnieję i ponownie wczepiam się w niego.

– Cholera! Joss! Joss! – Kyle podbiega do nas, pada na kolana i wyszarpuje mnie z ramion Wesa. – Joss, kurwa, Chryste! Tak strasznie cię przepraszam. Nic ci nie jest? Błagam, powiedz, że nic ci nie jest! – woła, tuląc mnie do siebie.

– Co ty sobie myślałeś?! – wrzeszczy Taryn i uderza go mocno w ramię, nie zważając na to, że trzyma mnie w ramionach.

Korzystam z okazji i wycofuję się z powrotem do Wesa, który siedzi teraz z nogami ugiętymi w kolanach i otrzepuje się z kurzu. Kiedy widzi, że czołgam się w jego stronę, ponownie mnie przytula.

– Nie wiem. Ja... kurwa, Taryn. Mogłem ją zabić. – Kyle próbuje się uspokoić. Wstaje, chwieje się, ręce splata na czole i patrzy na swój samochód. – Cholera! Nie ma mowy, żebym dojechał nim do domu.

– Nie ma mowy, żebyś czymkolwiek dziś jechał – warczy Wes, podtrzymując mnie i pomagając wstać.

– Wiem, wiem. Masz rację, stary. Przepraszam. Joss! Joss... – Kyle podchodzi do mnie i wyciąga ręce. Nim zdąży mnie jednak dotknąć, Wes odwraca się tak, że stoi między nami.

– Nie dotykaj jej! – woła i pokazuje palcem na furgonetkę. – Wsiadaj na pakę. Jutro pomyślimy, jak ściągnąć twoje auto.

– Nie ukrywaj jej przede mną, dupku. Muszę ją zobaczyć i się przekonać, czy nic jej się nie stało. – Kyle chwyta Wesa za ramię, ale ten odpycha go

mocno. Kyle przewraca się na ziemię.

– Jutro możesz ją zobaczyć. Na dzisiaj wystarczy – oświadcza. Z każdego jego ruchu emanuje gniew.

– To moja wina – chrypię cicho za nim. Zaskakuję go tym, zaskakuję wszystkich. – Nie złość się na niego. To moja wina. To zawsze moja wina. Nie musiałam wsiadać do samochodu. Nie musiałam siadać na szybie. Złość się na mnie.

– Och... uwierz mi. Jestem na ciebie strasznie zły! – wrzeszczy Wes i patrzy na mnie z rozczarowaniem. Przez kilka sekund mierzę się z jego gniewem i ciężko oddycham.

Wpatruję się w niego na tyle długo, że w końcu kręci głową i klnie coś pod nosem, a ja robię krok w stronę Kyle'a i pomagam mu wstać. Splatam palce z jego palcami i razem podchodzimy do furgonetki. Zaczynam się wspinać na pakę, żeby usiąść obok przyjaciela. Już, już mam to zrobić, kiedy słyszę głośnie stąpienie i przede mną staje Wes.

– Możesz na mnie mówić, jak tylko chcesz. Możesz się wkurzać i twierdzić, że cię niańczę. Mam to w dupie, ale nie będziesz tutaj siedzieć. Nie po tym, jak oboje sturlaliśmy się na pobocze. Nie po tym, jak koszulka mojego brata zatamowała ci krwawienie. I z całą pewnością nie wtedy, gdy będę odwoził do domu tego cholernego złamasa. Wsiadaj do kabiny! – Wes zdejmuje czapkę i rzuca ją na asfalt. Okazuje emocje, co z kolei wyzwala we mnie chęć walki.

– Nie! – wołam, próbując kopnąć go obolałą nogą, ale jedynie lekko muskam go butem.

Nie mówi nic więcej, zamiast tego przerzuca mnie sobie przez ramię, schodzi z paki i pomimo moich protestów, wkłada mnie do szoferki. Kiedy zamykają się za mną drzwi, chwytam klamkę i próbuję ją nacisnąć, ale opiera się o nią TK. Na jego twarzy maluje się litość. Nie znoszę, kurwa, litości.

Próbuję się przeczołgać na fotel kierowcy, kiedy widzę, że Wes schyla się po czapkę, ale wszystko mnie boli i kulę się na boku, krzywiąc z bólu.

– No co? – pyta Wes, wsiadając do kabiny. – Boli cię w boku? Żebro? – Chwyta za dół mojej koszulki, a ja odpycham jego rękę.

– Nie ma mowy, dupku! – wołam.

– Do cholery, chcę jedynie sprawdzić, czy nie masz innych obrażeń, czy nie masz na przykład krwotoku wewnętrznego. Dość tego, jedziemy do szpitala – oświadcza. Zapina pasy i przekręca kluczyk w stacyjce, po czym zerka przez ramię, aby sprawdzić, czy wszyscy pasażerowie siedzą na swoich miejscach.

– Nie, nic mi nie jest. Nie chcę do szpitala – mówię, chwytając go za ramię. Oboje patrzymy na moją dłoń, a ja szybko ją zabieram i wracam na swoje miejsce. – Naprawdę... nienawidzę szpitali. Proszę. Nic mi nie jest.

– Pewnie złamałaś żebro – wzdycha i głowa opada mu na bok.

Wstrzymuje oddech i modłę się w myślach, aby wrócić do tamtej króciutkiej chwili, kiedy wisiały nade mną gwiazdy i czułam się wolna. Pragnę przypisać tę chwilę do uczucia, jakie mnie przepelniało, kiedy znajdowałam się w jego ramionach. Tych kilka prostych rzeczy to moje szczęście, jakkolwiek żalodne może się to wydawać. Jego ramiona i gwiazdy, to mi wystarczy.

Podciągam lekko koszulkę i obmacuję żebra. Skóra jest obolała i już tworzy się wielki siniak, ale nie wydaje mi się, żeby coś było złamane.

– Nic mi nie jest – szepczę.

Spojrzenie Wesa ześlizguje się na moją odsłoniętą skórę, po czym wraca do twarzy. Kiwa głową, odwraca się ku kierownicy, zamyka oczy, bierze głęboki oddech i dopiero wtedy rusza z miejsca.

Po kilometrze albo dwóch przypominam sobie o plecaku i pustej butelce. Nie chcę, aby Kyle tym się zadręczał.

– Mój plecak! – Prostuję się i odwracam głowę, żeby spojrzeć przez tylną szybę. Wes kładzie mi rękę na kolanie, ale zabiera ją od razu, gdy obracam się w jego stronę.

– Levi go wziął. Jest z tyłu – mówi i przełyka ślinę, zerkając w lusterko wsteczne.

– Dzięki – mówię cicho.

W przeciwieństwie do poprzedniego razu, kiedy jechałam w kabinie razem z Wesem, teraz pasażerowie na pace są cicho. Nikomu nie jest do śmiechu. Mówiłam poważnie – to moja wina. Zawsze to moja wina.

Najpierw podjeżdżamy pod dom Kyle’a. TK, Taryn i Kyle zeskakują z paki.

– Taryn mnie później podrzuci – mówi TK i przybija z bratem żółwika.

– Dzięki, Wes. – Oczy Kyle’a są przekrwione. Był zbyt pijany, żeby siadać za kierownicą. A ja zbyt pijana, żeby dokonywać rozsądnych wyborów.

To moja wina.

Kyle wsuwa rękę do kabiny, tak jak przed chwilą zrobił to TK. Wes patrzy na nią przez chwilę, po czym wzdycha, uderza knykциями w jego pięść i szybko odjeżdża.

– Wyrzucę tylko Leviego, a potem odwiozę cię do domu – mówi, nie patrząc na mnie.

– W porządku.

Wykorzystuję tych kilka minut na to, aby mu się przyglądać. Patrzę na jego ruchy, szukając wskazówek co do tego, jak bardzo się potłukł. I dociera do mnie, że nic mu się nie stało. Ma rozerwane dzinsy i koszulkę brudną od błota i trawy. Widać parę zadrapań, ale to wszystko. Otulił mnie swoim ciałem i przyjął na siebie impet upadku, a mimo to w ogóle nie ucierpiał.

Podjeżdżamy pod nieduży, biały dom. Na werandzie pali się jedna

lampka. Pod wiatą stoi stare kombi, a pod drzwiami siedzi rudy kot i czeka, aż ktoś go wpuści.

Levi schodzi z paki i uderza ręką w drzwi furgonetki. Wes opuszcza szybę i się wychyla.

– Niedługo wrócę – mówi do brata. – Chcę po prostu mieć pewność, że dotrze do domu. Jeśli jeszcze nie śpią, powiedz, żeby się nie martwili.

– Okej, okej. Hej... – Levi nachyla się do środka i patrzy na mnie. – Cieszę się, że nic ci się nie stało, Joss.

Chcę mu podziękować, ale wiem, że jedyny powód, dzięki któremu w ogóle mogę mówić, siedzi właśnie obok mnie. Więc zamiast tego uśmiecham się blado i żegnam go uniesieniem ręki.

– No dobra. To na razie – mówi, a Wes podnosi szybę i zjeżdża z krawężnika.

Od mojego domu dzieli nas tylko kilka przecznic, więc choć mam wielką ochotę milczeć, uciekając od kolejnych osądów, nie chcę marnować czasu.

– Nie jesteś ranny – odzywam się, obserwując jego reakcję.

– Hmm? – Zerka w lusterka, po czym porusza rękami i obmacuje sobie klatkę piersiową i boki. – Nie jestem. Chyba nic mi nie jest. Parę zadrapań i tyle.

Ja nie pytałam, a jedynie stwierdzałam fakt. Wes nie jest ranny. Otulał mnie sobą i moje ciało wygląda jak po przecięnięciu przez szatkownicę. On jest brudny. I tyle.

Skręcamy w moją ulicę i przygryzam wnętrze policzka, próbując rozgryźć, co to oznacza – wygląda jak Christopher i jeśli to on, to już dwa razy uratował mi życie. I nic mu się nie stało. Nic a nic. Lekko kręci mi się w głowie, w ustach czuję suchość i zjadłam dzisiaj zdecydowanie za mało popcornu, żeby zniwelował skutki picia. Jestem jednak na tyle przytomna, aby wiedzieć, że nie wyobrażam sobie tych faktów i że jedno należy dodać

do drugiego. Nie wiem jedynie, jaki jest wynik tego równania.

Okazja ku temu, abym zapytała o to jeszcze dzisiaj, mija w chwili, kiedy zajeżdżamy pod dom i mój ulubiony dzień tygodnia odsłania swoje brzydkie oblicze. Mój tato na czworakach wymiotuje na trawę.

– Mówił, że tak nie zrobi – wzdycha Wes i wyskakuje z szoferki, nim zdążę go powstrzymać.

Mówił?

Wychodzę za nim i górę nade mną biorą wydarzenia dzisiejszego wieczoru. Uginają się pode mną kolana i chwytam się drzwi furgonetki. Przyglądam się bezradnie, jak Wes schyla się i pomaga mojemu ojcu wstać, po czym szybko wprowadza go do domu. Żaden z nich nie ogląda się na mnie.

Biorę z paki swój plecak, a kiedy kończę go zakładać, Wes już idzie w moją stronę i mówi coś do siebie. Zaciskam mocno powieki – modląc się, żebym nie upadła, kiedy puszcze drzwi – i robię pierwszy krok. Wszystko mnie boli, ale jestem w stanie iść. To nie powstrzymuje Wesa, który bierze mnie na ręce i bez żadnego wysiłku wnosi do domu. Łokciem zamyka za nami drzwi.

– Nie możesz żyć w taki sposób, Joss. Wy... zabijacie się – mówi.

Mam wrażenie, jakby jego słowa nie były skierowane do mnie. On jedynie coś mówi. Podsumowuje moją żalosną egzystencję.

– Łazienka?

– Tędy, obok pokoju taty – wyjaśniam, parząc mu w oczy. Wygląda na zmęczonego i smutnego.

To moja wina.

Sadza mnie na krawędzi wanny i powoli odwija z mojej ręki koszulkę brata. Cała jest przesiąknięta krwią. Na ten widok robi mi się niedobrze i zasłaniam usta drugą ręką.

– Dobrze się czujesz? Będziesz wymiotować? – pyta szybko i wsuwa mi dłoń pod pachy, gotowy, aby pomóc wstać. Kręcę głową i pokazuję na koszulkę.

– Dużo krwi – burczę.

Składa ubranie, przez co plama wydaje się nieco mniejsza, i wzdycha.

– Aha. Zostanie ci po tym blizna. To... co zrobiłaś... – mówi, przenosząc spojrzenie z mojej ręki, którą trzyma teraz pod kranem, na moją twarz – to było głupie, Joss. Przykro mi, ale to było po prostu...

– Wiem – przerywam i spuszczam wzrok. Czuję pieczenie i nie pozwalam sobie odwrócić wzroku od spływającej do odpływu krwi. Wes mokrym ręcznikiem usuwa błoto, fragmenty asfaltu i kamyczki. Za każdym razem, kiedy to robi, do wody spływa jeszcze więcej krwi.

Po kilku minutach zakręca wodę i z szafki wyjmuje spirytus i bandaż. Wygląda na to, że jesteśmy przygotowani na skręcenia, ale nie skutki pijackich wypadnięć z samochodu.

– Użyję tego, bo tylko to macie – mówi Wes.

Wkładam rękę do zlewu, a on owija ją elastycznym bandażem, w miarę luźno, żeby rana mogła oddychać.

Po wszystkim wyrzuca puste opakowania do kosza i chowa spirytus do szafki. Zaczyna zamykać lustrzane drzwiczki, ale nieruchomieje, kiedy coś przyciąga jego spojrzenie. Serce mi zamiera, bo wiem, co to takiego, a kiedy jego wielka dłoń zamyka się na trzech niemal pustych fiolkach, uznaję, że lepiej nie czekać na jego pytania.

– Kiedy byłam mała, tato przyłapał mamę na zdradzie. Wpadł w szal i próbował przejechać tego faceta. Chłopiec, którego znałam... – Próbuję uchwycić jego wzrok, on jednak wpatruje się w trzymane w ręce buteleczki ze środkami przeciwbólowymi. – Christopher. – Ponownie milknę i przyglądam mu się uważnie. Drgają mu lekko brwi i podnosi na mnie wzrok.

– Odciągnął mnie na bok. W... ostatniej... chwili. Powinnam zginąć. Od tamtej pory jestem... nie wiem... uszkodzona? A na pewno porąbana. Zdecydowanie jestem porąbana. I czasem to wszystko to dla mnie zbyt wiele.

Stukam się kilka razy palcem w głowę, po czym zaciskam dłoń w pięść, przykładam ją do piersi i lekko uderzam. Cały mój ból – zamknięty w głowie i w sercu.

– One nie są na twoje nazwisko – mówi Wes, obracając w palcach jedną z fiolek.

Przechyliłam głowę i przyglądałam się małemu drukowi, próbując sobie przypomnieć, jak się czuję akurat dzięki tej pigułce. To zabawne, nawet nie pamiętam. Kiedy jednak łykałam je latem, wciąż było mi za mało.

– Nie – odpowiadam, patrząc mu w oczy. Przełyka głośno ślinę, dzięki czemu wiem, że rozumie. – Nie kupuję ich od miesięcy.

– Twój tata ich tu nie znalazł? No bo są... no wiesz... na widoku? – pyta Wes.

– Musiałoby to najpierw go obchodzić – odpowiadam i sięgam po jedną z fiolek. Na chwilę zaciska na niej palce, ale ja kręcę głową i wtedy puszcza. Otwieram opakowanie i wysypuję na dłoń cztery tabletki. Takie maleńkie. Tak silnie działające. Przechyliłam dłoń i pozwalam, aby wpadły do ubikacji, po czym to samo robię z dwiema pozostałymi fiolkami. Z wodą spuszczam swoje najmroczniejsze dni.

Te dni miały miejsce wcale nie tak dawno temu. Przed Wesem. A te tabletki – to nie jedyne, co ukrywałam.

Wes opiera się o futrynę i przykłada rękę do czoła, jakby nie miał pojęcia, co ze mną zrobić. Ułatwię mu to.

– Nic mi nie jest. Możesz jechać do domu. Zaraz albo zasnę albo puszczę pawia i bez urazy, ale jedno i drugie wolę zrobić bez świadków – mówię z cichym, nerwowym śmiechem. Ponownie siadam na brzegu wanny i patrzę

na swoje rany, następnie posyłam Wesowi wymuszony uśmiech. Usta ma zaciśnięte, tak jak wtedy, kiedy w końcu udało mu się wsadzić mnie do szoferki. – Naprawdę, dam sobie radę.

Nie odwraca wzroku. Stoi z rękami skrzyżowanymi na piersi i powoli oddycha przez nos. Nie chce mnie zostawiać i na tę myśl robi mi się tak bardzo przyjemnie. Gdyby tylko chciał tu zostać z mojego powodu. Tak jednak nie jest. Mogę być kimkolwiek. On po prostu czuje się... odpowiedzialny.

– Nie jesteś moim rodzicem i... – Unoszę rękę, nim zdąży dojść do błędnego wniosku. – ...Chodzi mi o to, że nie musisz poczuwać się do odpowiedzialności za mnie... za... cokolwiek.

Wbijam wzrok w swoje stopy i powoli kiwa głową. Tak bardzo chcę, żeby został, ale równie mocno pragnę, żeby sobie poszedł. Chcę, żeby poszedł, bo czuję się jak idiotka. Bo zachowałam się jak idiotka. I dlatego, że w ogóle nie jest ranny, a jego twarz... Boże, ta twarz. Jest znajoma, ale kręci mi się w głowie i sama już nie wiem, co jest prawdziwe, a co nie.

Wiem jednak, co stało się dzisiejszego wieczoru. Kyle nie wyszedłby cało z takiego upadku. Nikt by nie wyszedł.

A on tak.

– Okej – odzywa się, wrywając mnie z zadumy. Nasze spojrzenia na chwilę się spotykają i robi mi się gorąco w klatce piersiowej, przyjemniej niż po whisky. I czuję się lepiej, niż kiedy zwiisałam z samochodu. Przeraza mnie to, jakimi uczuciami przepelnia mnie jego spojrzenie. Ono mnie... uzależnia.

– Odprowadzę cię – mówię. Wstaję i czuję, że nogi mam jak z waty. Wes podchodzi i chwyta mnie za ramię, a ja wciągam głośno powietrze i zamykam oczy, bo jego dotyk wyzwala we mnie taką samą falę emocji.

– Znam drogę.

Oczy mam nadal zamknięte, ale wyczuwam jego twarz blisko swojej.

Czuję jego oddech, jego ciepło – to, jak zmienia się powietrze, którym oddycha. Nie otwierając oczu, przygryzam wargę i kiwam lekko głową.

– Chodź. Gdzie masz swój pokój? – pyta i bierze mnie znowu na rękę.

Tyle razy miało to miejsce dzisiejszego wieczoru, że nawet się przyzwyczaiłam. I wcale nie czuję się przez to słaba. Czuję się wyjątkowa. I to także mnie przeraża.

– Po drugiej stronie korytarza. Jest tam... bałagan – wyznaję, unosząc jedną powiekę.

Wes chichocze i wyczuwam policzkiem vibracje jego klatki piersiowej.

– Dzielę pokój z braćmi. My to dopiero mamy bałagan. Obiecuję, że nie będę cię osądzał – mówi, a lewy kącik jego ust lekko się unosi. Wes na chwilę zatrzymuje się w ciemnym korytarzu, a nasze nosy znajdują się na tyle blisko, że lada chwila się dotkną. Ten moment nie trwa długo, ale oboje zwróciliśmy na niego uwagę. Nie wyobraziłam sobie tego. To działo się naprawdę.

Wes jedną ręką otwiera drzwi. Nie zapalając światła, wnosi mnie do pokoju. Czuję ulgę, bo nie żartowałam z tym bałaganem. Mam tu nawet jedzenie, bo nie lubię opuszczać swojego pokoju. Mimo wszystko czuję zażenowanie, że musi lawirować między ciuchami i innymi rzeczami, żeby dostać się do łóżka. A kiedy kładzie mnie na nim, muszę zepchnąć na podłogę stertę brudnych ubrań, żeby znaleźć koc. Wsuwam rękę pod poduszkę i moje palce szukają jego bluzy, tylko że jej tam nie ma... bo mu ją oddałam, a on z kolei dał ją McKennie. Ta myśl jest dobijająca.

– Na pewno dasz sobie radę?

– Na pewno – odpowiadam i wzdycham ciężko.

– Okej, zamknę za sobą drzwi od środka – mówi.

– Okej. – Moje ciało już zaczyna się poddawać potwornemu zmęczeniu. Świat lekko się kręci, więc pozwalam, aby sen wziął mnie w objęcia, nie

chcąc czuć niczego nieprzyjemnego aż do rana. Słyszę, jak drzwi mojego pokoju zaczynają się zamykać i udaje mi się wybudzić na tyle, żeby spojrzeć jeszcze na Wesa. – Hej, Wes?

– Tak? – Opiera głowę o drzwi, a ja cieszę się, że to ostatnie, co zobaczę dzisiejszej nocy. Wyraz jego twarzy jest taki słodki i tylko mój.

– Dziękuję – mówię, próbując nie zamknąć oczu.

On jedynie się uśmiecha, ale to wystarcza. Cicho zamyka za sobą drzwi, a chwilę później słyszę, jak uruchamia auto. Krótco potem telefon wibruje mi w kieszeni. Cała zeszywniała, próbuję się do niego dostać. Tata jest w domu, więc wiem, że to nie on, ale Taryn pewnie się o mnie martwi.

W końcu udaje mi się wyciągnąć komórkę. Zbliżam ją do twarzy i w tym momencie słyszę, że Wes odjeżdża. SMS jest od niego.

Naprawdę mnie dzisiaj wystraszyłaś. I nie dlatego, że bałem się, iż komuś stanie się krzywda. Bałem się, że TOBIE stanie się krzywda.

Jego słowa są przejmujące i smutne, niemal od razu z moich oczu zaczynają spływać łzy. Jednocześnie serce mi śpiewa. Może nie powinno, i to pewnie oznaka egoizmu, ale tak się dzieje i już. Ściskając telefon w dłoni, zastanawiam się, co odpisać, ale potrzeba snu okazuje się silniejsza, więc wysyłam jedynie krótkie: *Przepraszam*. Nie będę obiecywać, że więcej go nie przestraszę, ale przyrzekam sobie, że spróbuję. Spróbuję, bo zależy mi na Wesie. I nie chcę, żeby się bał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MOJE CIAŁO PRZEZ KILKA TYGODNI będzie mi boleśnie przypominać o niemądrych decyzjach. Rana na łokciu okazuje się głęboka, w nocy krew przesączała się przez bandaż i zaschła, przez co po przebudzeniu odniosłam wrażenie, że mam rękę w gipsie. Zamiast odrywać bandaż i ryzykować otwarciem rany, wzięłam prysznic, pozwalając, aby woda rozmiękczyła opatrunek. Nie wygląda to dobrze i będę potrzebowała czegoś więcej niż elastycznego bandażu.

Zakładam luźną bluzę i spodnie do biegania, a mokre włosy chowam pod ulubioną czapką z daszkiem z logo Gigantów. Muszę iść do apteki, mieszczącej się jakieś dwa kilometry od mojego domu. W normalnych okolicznościach zadzwoniłabym do Taryn albo Kyle'a, prosząc o podwózkę, ale nie jestem gotowa na stanięcie twarzą w twarz z żadnym z nich, z różnych powodów. I coś mi mówi, że im też przyda się trochę oddechu ode mnie.

Jestem zbyt obolała, żeby biec. Po wczorajszym treningu mam potworne zakwasy, a reszty dokonało wypadnięcie z jadącego samochodu. Tak więc – idę. Powoli. Po godzinie docieram do apteki i ostatnią dwudziestkę, którą babcia przysłała mi latem na urodziny, wydaję na gazę, maść na rany, wielką pakę cukierków Reese's i kartkę z podziękowaniem. Od sprzedawczyni pożyczam długopis i piszę krótką wiadomość dla Wesa. Zaklejam kopertę po drodze na Sycamore Street – ulicę, na której mieszka Wes.

Sama świadomość, że znam jego adres, sprawia, że czuję się lepiej. Dzięki temu nie jest on już dla mnie taką tajemnicą, niemniej wzmaga to tylko moją ciekawość. Obudziłam się, myśląc o tym, co zrobił, o przysłanym

SMS-ie i fakcie, że wyszedł z upadku zupełnie bez szwanku. Nie jestem na tyle głupia, żeby wierzyć w istnienie superbohaterów, ale Wes... jego postać naprawdę za tym przemawia.

Im bliżej jestem jego domu, tym większe żywię przekonanie, że zjawienie się tutaj to fatalny pomysł. W sumie to mogę jeszcze się wycofać, ale nim mój mózg zdąży przekazać stopom sygnał „biegnijcie”, na pace furgonetki prostuje się TK, z wiadrem w jednej ręce i szmatą w drugiej.

– Hej! Kogóż to widzą moje piękne oczy? Ktoś najwyraźniej powstał z umarłych! – Śmieje się chrapliwie, po czym zeskakuje i niespodziewanie mocno mnie przytula. Stoję zakłopotana i przez kilka sekund pozwalam się obejmować. W rękach trzymam żalostną kartkę z podziękowaniami i rozpuszczające się czekoladowe cukierki z masłem orzechowym.

– Hej... eee... aha – mówię, kiedy się rozdzielamy, i wbijam wzrok w swoje stopy. – No więc... przepraszam za to, przez co musieliście wczoraj przejść...

– Przestań – przerywa mi i macha ręką. Podnoszę na niego wzrok i mrużę oczy z powodu jaskrawego słońca. TK uśmiecha się łagodnie i mało brakuje, abym poczuła się przez to jeszcze gorzej. Chyba już wolałabym, gdyby na mnie się wkurzał. Tak jednak się nie dzieje. – Po prostu cieszymy się, że nic ci nie jest. Rozmawiałaś już z Taryn?

Kręcę głową i ponownie wbijam wzrok w sportowe buty z dziurą na palcu.

– Powinnaś do niej zadzwonić. Wczoraj bardzo się zdenerwowała. Nie... nie na ciebie, ale tobą, jeśli rozumiesz, co mam na myśli,

Uśmiecham się blado i kiwam głową.

– Zadzwonię wieczorem. Jeśli będziesz z nią rozmawiał, powiedz jedynie, że nic mi nie jest – mówię.

TK przytakuje, po czym zdejmuje z paki wiadro z wodą, kuca i zabiera

się za mycie felg. Całe są oblepione zaschniętym błotem.

– To po wczoraj? – pytam.

Unosi głowę, śmieje się lekko i odpowiada:

– Aha, ten wóz jeszcze nigdy nie był tak blisko *off-roadu* jak wtedy. Ma szesnaście lat. W sumie to dziwię się, że dał radę.

– Przepraszam – bąkam.

TK jedynie macha ręką i wraca do pracy. Przyglądam mu się przez kilka minut, co rusz zerkając na dom, bojąc się zapytać, czy zastałam Wesa. Kładę na ziemi reklamówkę z zakupami, wydaję z wiadra drugą szmatę i przechodzę na przód samochodu, gdzie zaczynam szorować koło.

– Nie musisz tego robić – mówi TK ze śmiechem.

– Chcę. – Moja obolała ręka nie do końca sobie radzi z zaschniętym błotem we wszystkich możliwych wgłębieniach. Sporo udaje mi się zmyć, ale najcięższą robotę zostawiam dla TK. – To wasz wspólny samochód?

– Aha, generalnie taki układ się sprawdza, bo jeździmy w te same miejsca. Staramy się szanować siebie nawzajem i nie zabierać go na długo, jeśli wiemy, że pozostali mają plany albo muszą gdzieś jechać. No a w razie potrzeby możemy pożyczyć auto od mamy albo taty. Oni jednak tyle pracują, że ich samochody są rzadko dostępne.

– Super. Pewnie fajnie jest mieć dwóch braci. Zawsze byliście ze sobą tak blisko? – Jestem głodna informacji na temat Wesa, a wygląda na to, że TK i Levi stanowią nieodłączny element jego życia.

– Zawsze. Zostaliśmy adoptowani mniej więcej w tym samym czasie, kiedy mieliśmy dziewięć lat – wyjaśnia.

Analizuję jego słowa. *Dziewięć lat*. Mniej więcej tyle lat miał wtedy Christopher.

– Bijecie się czasem? – pytam.

Czekam kilka sekund na odpowiedź i zaczynam myśleć, że mnie nie usłyszał, więc otwieram usta, żeby powtórzyć pytanie. W tym momencie oblewa mnie od tyłu lodowata woda, mocząc mi spodnie i bluzę.

– Lubimy polewać się wodą. I właśnie zostałam ochrzczone, Joss! – woła Levi, trzymając w ręce wąż ogrodowy. Strumień wody jest cienki i precyzyjny. I całkiem bolesny.

– Ty skunksie! – wrzeszczę. Zanurzam szmatę w wiadrze z mydlinami, po czym rzucam nią w Leviego. Z głuchym plaśnięciem trafia go w klatkę piersiową, ale on śmieje się głośno i celuje z węża w moje nogi. Uciekam na drugą stronę furgonetki.

– Daj spokój, Joss. Nie masz szans – oświadcza TK.

Stoję za jednym z przednich kół, żeby schować nogi, wiadro zostawiłam po drugiej stronie, więc jestem zupełnie nieuzbrojona, ale także szybka, nawet jeśli przy każdym ruchu nogi mi płoną. Może jednak się uda. I w tym momencie na mokrych plecach czuję dotyk czyjejś dłoni. Odwracam się zaskoczona i patrzę w oczy Wesowi. Nie wydaję żadnego dźwięku, kiedy widzę, że trzyma palec na ustach. Jestem pewna, że wyczuwa dłońią bicie mojego serca.

– Wyjdę, kiedy odłożycie swoją broń – mówię głośno, patrząc Wesowi w oczy i grając na zwłokę. Kąciki jego ust lekko się unoszą i nagle mam wielką ochotę go pocałować.

– Nie ma mowy, siostrze. Równie dobrze możesz od razu się poddać! – woła Levi.

Dłoń Wesa po omacku odnajduje moją, a mi zapiera dech w piersi, kiedy czuję jego dotyk. Ponownie przykładą palec do ust i na ułamek sekundy jego spojrzenie ześlizguje się na moje wargi.

Coraz trudniej mi się oddycha.

Odchodzimy kilka metrów od samochodu, skąd być może uda się nam

pobiec za dom. Wes ciągnie mnie za rękę i razem pędzimy, już po chwili opieramy się plecami o ceglana ścianę. Puszcza moją dłoń i od razu tęsknię za jej ciepłem. Słyszymy, jak TK naśmiewa się ze mnie. Jest przekonany, że nadal ukrywam się za samochodem. Wes i ja tłumimy śmiech.

– Po drugiej stronie jest wąż. Musimy być szybcy. Chodź – szepcze mi do ucha. A ja cieszę się, że na rękach mam gęsią skórę od zimnej wody, bo jego oddech na mojej szyi wywarłby ten sam efekt, a nie chcę, aby Wes to widział.

Biegniemy na tył domu i z przytwierdzonego do ściany haka, ściągamy ciężki wąż. Wes zgina go, odcinając dopływ wody i pokazuje mi, żebym odkręciła wodę na maksa. Tak robię, następnie podchodzę do niego blisko, tak że boki naszych ciał się stykają. Ma na sobie dresowe spodnie i dziurawą koszulkę, odsłaniającą częściowo brzuch i żebra. Kiedy powoli zakradamy się, żeby dopaść jego braci, rozprasza mnie myśl o wsunięciu dłoni pod jego koszulkę i dotknięciu twardego ciała, szybko otrząsam się jednak z tej fantazji, kiedy Wes zerka na mnie i ponownie kiwa głową.

– Lepiej uciekajcie, frajerzy! – wrzeszczę, a w tym czasie Wes puszcza wąż i kieruje strumień wody na Leviego i TK. Obaj rzucają się do ucieczki, porzucając drugi wąż. Podnoszę go szybko z ziemi i każde z nas oblewa jednego z braci, którzy w końcu wskakują na pakę, chwytają ostatnie wiadro i wylewają na nas jego zawartość.

Wes szybko potrząsa głową, a krople wody fruną we wszystkich kierunkach. O słodki Jezu, jak ten chłopak pięknie wygląda, kiedy jest mokry.

TK pociąga za mój wąż i wyrywa mi go z rąk, po czym szybko kieruje strumień wody w moją stronę, nie pozostawiając na mnie suchej nitki. Wes rzuca mi się na ratunek i tak długo celuje w twarz brata, aż ten musi się odwrócić, puszcza przy tym wąż.

Przez dziesięć kolejnych minut gonimy się po podjeździe, chowając się na zmianę za furgonetką, oblewając się i zanosząc śmiechem. Tak pewnie wygląda wychowywanie się w domu pełnym braci. Od uśmiechania się aż bolą mnie policzki.

Wojna w końcu dobiega końca, kiedy obok furgonetki zatrzymuje się stary sedan, z którego wysiada krępy mężczyzna z wąsami i brodą. Pod pachą trzyma jakiś karton. Obchodzi samochód i mierzy wzrokiem auto chłopaków.

– Wiecie, mycie ma sens tylko wtedy, jeśli oblewa się *samochód* – mówi wesoło, unosząc jedną brew.

W tym momencie dostrzega mnie. Stoję za furgonetką, opierając się rękami o tylną klapę. Mężczyzna uśmiecha się szeroko, po czym omiata spojrzeniem braci Wesa.

– Jest za ładna dla was, chuliganów. Któryś przedstawi mnie naszemu gościowi? – Wręcza karton Wesowi i otrzepuje dłonie o brzuch.

– To Joss. Jest córką naszego trenera – wyjaśnia Levi.

Wes skupia się na kartonie. Nie wiem czemu, ale chcę, żeby coś dodał, żeby uczynił ze mnie... kogoś więcej. Nie jestem córką trenera, dla Wesa jestem kimś. Na pewno tak jest.

– Miło cię poznać, Joss. Zjesz z nami lunch? – pyta, zsuwając okulary na czubek nosa i zerkając na mnie ponad ich krawędziami.

– Och, nie... dziękuję. Ja tylko wpadłam na chwilę – mówię, przypominając sobie o kartce i czekoladkach, które najpewniej leżą teraz na podjeździe przemoczone i roztopione.

– Powinnaś zostać – odzywa się Wes, nie podnosząc wzroku znad kartonu. Wydaje się spięty, a fakt, że na mnie nie patrzy znaczy więcej, niż gdyby to robił. Uśmiecham się wbrew sobie, a w moim żołądku zaczynają harcować motyle. To okropne. To cudowne.

– Okej. Eee... tak, jasne. Dzięki. – Uśmiecham się do ojca chłopców. Nie

wiem, jak ma na imię, ale zbyt bardzo krępuję się, żeby o to zapytać. No i mam pewność, że pod przemoczoną bluzą odznacza mi się stanik.

TK i Levi przez chwilę rzucają w siebie gąbkami, w końcu biorą do ręki wiadra i podchodzą do Wesa. Oni także zagląдают do kartonu.

– Super. Tacie udało się zdobyć część – mówi Levi, wyjmując z niego coś chromowanego, zapewne jakiś element do samochodu.

– W przyszły weekend się tym zajmę – oświadcza Wes i zanoszą pudło do garażu.

– Widzimy się w domu, Joss – rzuca do mnie TK. Trzepie Leviego w tył głowy i rusza w stronę drzwi. Brat biegnie za nim.

Wes zamyka drzwi garażu i wraca do mnie. Lekko drzę, kiedy wiatr chłodzi moją mokrą skórę.

– Wasz tata sprawia miłe wrażenie – mówię.

Uśmiecha się. Pocierając ręką kark, staje obok furgonetki, po czym opiera się o nią. Przeczesuje palcami włosy, odgarniając z oczu niesforne pasma.

– Bo jest miły. W domu przedstawię cię, jak należy – mówiąc to, nie patrzy mi w oczy. Jego spojrzenie prześlizguje się po moim ciele, po czym zatrzymuje na trawniku. Nagle robi mi się duszno i nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym powiedzieć. Wybawia mnie Wes. – Nie zapomnij o torbie. – Pokazuje na podjazd, a ja na wspomnienie oryginalnego planu czuję ściskanie w żołądku. Teraz on wydaje się jeszcze bardziej niemądry.

– No tak. To... no bo ja... przyniosłam coś dla ciebie – dukam, po czym z uniesionym palcem podbiegam do reklamówki, podnoszę ją z ziemi i wracam. Zatrzymuję się bliżej Wesa i kładę reklamówkę na masce. Obserwuje moje dłonie, unikając oczu. Oddycha głęboko i zasłania usta dłonią.

– Proszę. – Wręczam mu kartkę i ciężkie opakowanie cukierków Reese's.
– Kartka z podziękowaniem. To... to głupie. Nie wiedziałam jednak, co

innego mogłabym zrobić, więc...

– To miłe. Dzięki. – Bierze ode mnie kartkę, a roztopione cukierki kładzie na masce obok siebie.

– Nie przemyślałam kwestii czekoladek – śmieję się cicho.

– Włożę je do lodówki. – On także chichocze i w końcu patrzy mi w oczy. Nie odrywa wzroku od mojej twarzy, a ja stoję w bezruchu i wstrzymuję oddech. Uśmiecham się z lekkim zażenowaniem i zaciskam dłonie w pięści. Im dłużej spojrzenie Wesa nie pozwala mi odwrócić wzroku, tym szybciej bije mi serce. Jego oczy są niebieskie i doskonałe, dokładnie takie, jak sobie wyobrażam, kiedy zamykam swoje.

Powoli jego spojrzenie ześlizguje się na moje usta i brodę, a chwilę później na klatkę piersiową i bluzę. Dostrzegam drgnięcie jego ust, kiedy przygląda mi się dłużej, niż chyba by wolał, aż w końcu zasłania usta dłonią i znowu patrzy mi w oczy.

– Mogę ci pożyczyć jakieś suche ciuchy – mówi, a ja otwieram szeroko oczy, kiedy dociera do mnie, co się stało. Opuszczam wzrok i widzę sugestywny zarys swoich piersi, widocznych pod mokrym materiałem, klejącym mi się do skóry. Chłodne powietrze sprawiło, że brodawki mi stwardniały i jestem dojmująco świadoma faktu, że Wes im się przygląda.

– O mój Boże. – Krzyżuję ręce na piersi i opieram się o ciepły samochód. Dotykam czołem maski, odsuwając się lekko od Wesa. Mam ochotę umrzeć.

O mój Boże!

– Chodź – chichocze. Ujmuje moją dłoń, odwraca się i pociąga mnie za sobą. – Trzymaj się po prostu blisko mnie.

Robię krok w jego stronę i Wes nieruchomieje, kiedy nasze ciała się stykają. Wzdycha, a ja opieram głowę o jego plecy, jednocześnie zażenowana i podniecona.

– Przepraszam – wyrzucam z siebie, czując, jak głęboko oddycha.

– Jesteś piękną dziewczyną. Nie przepraszaj – mówi i przechyla głowę tak, że mam widok na linię jego żuchwy i brodę. Rzuca mi spojrzenie przez ramię, po czym robi jeszcze jeden głęboki wdech i ciągnie mnie za sobą. Kiedy wchodzimy do domu, ja raz za razem odtwarzam w głowie jego słowa.

Jesteś piękną dziewczyną.

– Wystarczą ci kanapki, Wes? – woła jego ojciec z drugiego końca domu.

– Jasne! – odkrzykuje. Zanim wchodzimy do jego pokoju, zerka na boki, zapewne rozglądając się za braćmi.

– Twojej koleżance też? – tym razem w głosie jego taty słychać nutkę rozbawienia.

Wes krzywi się, opiera głowę o drzwi i patrzy na mnie.

– Tobie też? Pewnie z szynką albo indykiem. Zawsze są z szynką albo indykiem – szepcze.

Kiwam głową i cicho się śmieję.

– Tak, Joss lubi kanapki. Dzięki. Zaraz przyjdziemy pomóc. Tylko się wytrzymaj!

Zamyka starannie drzwi i ponownie opiera o nie głowę. Stoję za nim, ręce mam nadal skrzyżowane na piersi i przysięgam, że czuję, jak coś nas do siebie przyciąga. Wes przekręca klucz w zamku, następnie podchodzi do komody i wyjmuje z niej spodnie od dresu. Cofa się kilka kroków, schyla się i podnosi z podłogi czarną bluzę z kapturem i dwie koszulki, które przykłada do nosa.

– Nie żartowałeś w kwestii waszego pokoju – mówię lekko się uśmiechając.

– Aha, straszny robimy tu chlew. Sorki za to. – Rzuca koszulki na leżącą w kącie stertę i podnosi z podłogi dwie kolejne.

Szara w końcu zyskuje jego aprobatę. Odwraca się i podaje mi ubrania.

– Są czyste... w miarę. – Kręci głową i śmieje się cicho, nadal pilnując

się, aby nie patrzeć w moją stronę.

– Dzięki – mówię. – Wiesz, jestem jeszcze ubrana. Możesz na mnie patrzeć.

Ponownie chichocze i podchodzi do drzwi. Otwiera je i opiera czoło o futrynę, prześlizgując się po mnie wzrokiem.

– Lepiej nie, Joss. – Stuka knykciami parę razy w drzwi i odwraca się ze śmiechem. – Lepiej nie. Zaczekam na korytarzu.

Drzwi zamykają się za nim, a ja się uśmiecham. Naprawdę lubię tego chłopaka. Zbliżam jego ubrania do twarzy i wącham, zadowolona, że te rzeczy pachną nim. Odklejam mokre ciuchy od ciała, łącznie z przemoczonym stanikiem i majtkami, po czym zakładam spodnie i koszulkę Wesa, pozwalając, aby miękki materiał otulił moje ciało.

Przed założeniem bluzy wydaję z reklamówki świeże bandażę i zastępuję nimi mokry opatrunek. Z naręczem swoich ciuchów wychodzę na korytarz i dostrzegam, że Wes czeka oparty o ścianę. Zdążył już się przebrać. Kiedy uśmiecha się do mnie, śmieją się także jego oczy.

– Dzięki, że mi to pożyczyłeś. Masz jakąś reklamówkę czy coś w tym rodzaju? No i jeszcze wyniosę buty na trawnik, żeby przeschły – mówię.

– Daj, wrzucę wszystko do suszarki – proponuje i wyciąga ręce.

Bez namysłu wręczam mu swoje rzeczy i udaję się za nim do małego pomieszczenia sąsiadującego z garażem. Wes otwiera suszarkę i pozwala, aby mokre ciuchy zsunęły się z jego rąk do bębna. Kończy się to tak, że na wierzchu lądują majtki i stanik.

– Ty... eee... wszystko zdjęłaś, tak? – pyta, głośno przełykając ślinę.

– Musiałam – odpowiadam i odkasłuję.

– No tak. Nie... oczywiście. – Uruchamia suszarkę i odwraca się twarzą do mnie. Choć jestem ubrana, to z jakiegoś powodu, kiedy spojrzenie Wesa ląduje na mojej twarzy, czuję się bardziej naga niż kiedykolwiek wcześniej.

– Podano lunch. – W korytarzu rozlega się głos jego taty, wyrywając nas oboje z transu.

Wes w końcu patrzy mi w oczy i pokazuje głową drzwi, po czym jeszcze raz z trudem przełyka ślinę. Idę przed nim do kuchni, wkładając mnóstwo wysiłku w każdy krok. Celowo kołyszę biodrami, a kiedy dociera do mnie, że próbuję zwrócić jego uwagę na swój tyłek, czuję się jak idiotka. Naprawdę niewiele mnie w tej chwili dzieli od wstążek i brokatu we włosach.

Kurwa.

– Joss, naprawdę cieszę się, że w końcu mogę cię poznać – mówi tata Wesa, kiedy podchodzę do blatu i biorę z niego jeden z sześciu talerzy z kanapką i frytkami. – Chłopcy wiele opowiadali mi o dziewczynie, która trafia w podkręconą piłkę Wesa. – Wybuchają śmiechem, kiedy Wes przewraca oczami i wzdycha.

– To nie była podkręcona, ale *changeup* – wyjaśniam i siadam obok Leviego na długiej ławie. Wkładam sobie frytkę do buzi i zerkam na Wesa, posyłając mu zadowolony z siebie uśmiech.

– To był *slider* – poprawia mnie i unosi wyzywająco brwi. Bierze talerz i siada naprzeciwko mnie.

Wytrzymuję jego spojrzenie przez kilka sekund i czekam, aż wgrzyzie się w swoją kanapkę. Odchylam się, kładę jedną nogę obok niego, po czym wkładam do ust kolejną frytkę.

– Akurat – mówię.

Wes unosi brew i zamiera w połowie kęsa, ja zaś opieram się na łokciach i patrzę w te jego hipnotyzująco niebieskie oczy. Zatracam się w nich, ale pozostaję przy zdrowych zmysłach, mimo że jest najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego znam.

– *Change. Up* – wypowiadam powoli, po czym posyłam mu uśmiech.

TK tak się śmieje, że aż krztusi się kanapką.

– Podoba mi się ta dziewczyna – orzeka tata Wesa i siada na ławie obok niego.

W oczach Wesa dostrzegam rozbawienie, a kiedy w końcu znowu zaczyna żuć i jednocześnie się uśmiecha, robi mi się ciepło na duszy.

– A tak w ogóle, Joss, to mów mi po imieniu. Bruce. – Jego tata wyciera rękę w papierowy ręcznik, po czym podaje mi ją ponad stołem. Ujmuję ją zdecydowanie, żeby mu pokazać, że nie jestem słaba, i widzę, że nie umyka to jego uwadze. – Jak tam kanapka?

– Dobra, proszę pana... to znaczy Bruce. Dziękuję – odpowiadam, ani na chwilę nie odwracając wzroku od chłopaka, który zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

Ze sportowcami tak już jest, że nie tracą czasu na długie jedzenie. Nie mija kilka minut, a wszyscy mamy puste talerze. Pomagam Leviemu sprzątnąć ze stołu. Zmywamy talerze, wycieramy je i chowamy do szafki. W telewizorze w salonie słychać mecz Warriorsów i idę tam za Levim. On przeskakuje ponad oparciem wysłużonej, niebieskiej sofy, siada na niej i klepie miejsce obok siebie.

– Och, nie... dziękuję. Powinnam się zbierać – mówię, zerkając na Wesa, którego spojrzenie przeskakuje między telewizorem a mną. Gdyby chciał, żebym została, pewnie by mnie o to poprosił, a przynajmniej wykazałby większe zainteresowanie.

– Daj spokój, Joss. Nie możesz wyjść w samym środku meczu. Coś takiego przynosi pecha – stwierdza Bruce, wznosząc toast butelką wody. Uderza mnie ironia tej sytuacji: w moim domu ta ręka trzymałaby butelkę z piwem.

Niechętnie obchodzę sofę i zajmuję miejsce w rogu. TK i Levi sprawiają wrażenie bardziej zainteresowanych koszykówką niż Wes i Bruce i panowie w końcu dzielą się na dwa obozy: jeden analizuje, kto z Warriorsów

powinien zostać powołany, a drugi rozmawia o przywiezionej przez Bruce'a części do samochodu.

Choć Wes jest pochłonięty rozmową z ojcem, jego spojrzenie co rusz ucieka ku mnie, co sprawia mi przyjemność. Parę razy przyłapuję go na tym, uśmiecham się, a nawet pokazuję uniesione kciuki, aby pokazać, że wszystko okej. Po kilku minutach podnosi się z sofy i mówi, że zaraz wraca. Wstaję, żeby wyjść razem z nim, on jednak unosi rękę.

– Muszę tylko zerknąć na tę część, którą przywiózł tata – mówi. Cieszy mnie, że nie chce, abym jeszcze wychodziła, więc cofam się na sofę i tym razem siadam na drugim końcu, bliżej jego ojca.

TK i Levi są pochłonięci koszykówką. Warriorsi grają z Lakersami, więc to rozumiem.

– Macie ulubioną drużynę baseballową? – pytam i natychmiast uzyskuję trzy różne odpowiedzi. TK kibicuje Dodgersom, Levi drużynie Padres, Bruce zaś jest fanem Texasu. Śmieję się z tego, jak bardzo się różnią.

– Maggie, to znaczy moja żona, lubi Jankesów – oświadcza Bruce, a ja krzywię się, bo należę do fanek Red Soxów. Śmieje się z mojej reakcji. – Wiem. I pomyśleć... – Zniża głos do szeptu, nachylając się – ...że i tak się z nią ożeniłem.

Ponownie opiera się i śmieje tak, że aż trzęsą mu się ramiona. Choć znam go zaledwie od godziny, mam wrażenie, że to mój wujek. Lubię Bruce'a. Lubię całą rodzinę i założę się, że jego żona także przypadłaby mi do gustu.

– Dzięki za gościnę – mówię i podciągam pod siebie nogi, żeby siedzieć bokiem i móc z nim rozmawiać. Tak właśnie powinny wyglądać niedziele. Pamiętam mętnie, że nasze też takie były. Byłam mała, za mała, żeby te wspomnienia wryły się w moją pamięć, ale przed odejściem mamy też robiliśmy takie rzeczy. Razem z tatą oglądałam mecze w telewizji, a mama szykowała nam przekąski. Wszystko było idealne. Sztuczne... ale idealne.

– Wes... on cię lubi, wiesz? – Słowa Bruce’a mnie zaskakują, staram się jednak nie dać tego po sobie poznać.

– Jest naprawdę fajny – mówię i oblewam się rumieńcem. Bruce uśmiecha się, prezentując dołeczki w policzkach, i bierze łyk wody. Przejrzał mnie na wskroś i wie, że ja także lubię Wesa.

– To prawda – przytakuje i śmieje się cicho. – Wiesz, Mags i ja często rozmawiamy o tym, co najbardziej kochamy w naszych chłopcach. Co sprawia, że jesteście z nich dumni. Levi na przykład jest lojalny.

– Jak pies – rzuca Levi przez ramię i z jego gardła wydobywa się szczeknięcie. TK daje mu kuksańca w ramię, ale on nie reaguje, ponownie koncentrując się na meczu.

– TK to nasz rodzinny wesolek. Sprowadził radość do tego domu w chwili, kiedy wskoczył mi na barana i pozwolił przenieść się przez próg – kontynuuje Bruce. TK pokazuje gestem, że chętnie to zademonstruje, ale Bruce unosi rękę, powstrzymując go przed tym. – Teraz to się nie uda. Jesteś dwa razy większy ode mnie. – Splata ze śmiechem ręce na brzuchu, a TK idzie do kuchni po coś do picia.

– A co z Wesem? – pytam, nie pragnąc niczego bardziej, niż siedzieć tu godzinami i słuchać opowieści o chłopcu ukrywającym się w garażu.

– Cóż, Wes jest dobrym człowiekiem. Chciałbym móc rzec, że tak go wychowaliśmy, ale już taki do nas trafił. Adoptowaliśmy go jako dziewięciolatka, po kilku miesiącach bycia jego rodziną zastępczą – mówi, wpatrując się w swoje dłonie. Uśmiecha się na to wspomnienie. – Jeszcze przed oficjalną adopcją wyprawiliśmy mu przyjęcie urodzinowe. Mags straciła nieco wcześniej pracę w banku, ale nie rozmawialiśmy przy dzieciach o takich sprawach. Jednak Wes... musiał nas chyba usłyszeć. Dzień przed przyjęciem wtulił się w Mags na sofie i powiedział, że nie chce żadnych prezentów. Kiedy zapytała go o powód, pokręcił jedynie głową i odparł, że

niczego nie potrzebuje, ale ona wiedziała... i ja też. Nie chciał, żebyśmy wydawali na niego pieniądze, kiedy mieliśmy ich naprawdę mało.

– To słodkie – mówię i czuję ściskanie w piersi. Próbuję wyobrazić sobie małego chłopca, który wykazał się taką wrażliwością. Przed oczami od razu staje mi Christopher. W tym momencie drzwi się otwierają i wraca Wes, a jego widok przyćmiewa sobą wszystko inne.

– Niewłaściwy rozmiar, ale dzięki, tato, za dobre chęci – oznajmia, wycierając ręce w szmatę, którą przyniósł z garażu. – Widziałem paragon. Jutro wymienię na to, co trzeba. Żaden problem.

– A niech to. Przykro mi. Myślałem, że będzie dobry – mówi Bruce.

Wes stoi koło drzwi z kluczykami w ręce, więc wstaję z sofy.

– Powinnam się zbierać – mówię i podaję rękę Bruce'owi. – Jeszcze raz dzięki za kanapkę. I towarzystwo.

– Zawsze do usług. – Klepie wierzch mojej dłoni, po czym ją puszcza i ponownie rozsiada się na sofie.

Odwracam się w stronę Wesa.

– Dasz mi moje rzeczy? – pytam, opuszczając wzrok na pożyczone ubrania.

– Jasne, chwila. Odwiozę cię – odpowiada, po czym zamyka drzwi i szybkim krokiem idzie w stronę pralni. Kiedy stoję w progu, on akurat wyjmuję z suszarki moje ubrania. Wychodzi w tym momencie, kiedy ja zamierzam wejść i wpadamy na siebie. Dzielą nas trzymane przez niego gorące ciuchy.

– Sorki – mamroczę.

– Nic się... nie stało – mówi, nie ruszając się z miejsca. Oblewam się rumieńcem, kiedy widzę w jego dłoniach swój stanik i natychmiast sobie wyobrażam, jak mnie dotyka. – Buty nie do końca wyschły. W sumie to są bardziej gorące niż suche. Przykro mi.

– W porządku. – Przygryzam górną wargę, starając się nie utopić w jego oczach. Powoli kładę ręce na swoich rzeczach i biorę je od niego.

– Przyniosę ci torbę – rzuca Wes i wychodzi do garażu. Idę za nim, a on bierze skądś reklamówkę i otwiera ją, żebym mogła wrzucić swoje ubrania. Robię to szybko, na dnie umieszczając bieliznę. Zawijuję rączki na supeł, następnie przyciskam ciepłą torbę do piersi. – Przeczytałem kartkę. – Wbija wzrok w swoje stopy, a prawy kącik jego ust unosi się lekko. W końcu spogląda mi w twarz. Od razu zalewa mnie fala upokorzenia. Kupując kartkę, zachowałam się spontanicznie i niemądrze. Napisałam, że uważam go za swojego bohatera i że nie jestem pewna, jak udało mu się mnie uratować, ale cieszę się, iż to zrobił i cieszę się, że to był właśnie on. Tak się nakręciłam, że zapisałam pochwałami całą stronę i musiałam nawet narysować strzałkę, kładącą mu przekreślić kartkę, żeby mógł dokończyć czytanie moich wypocin.

Głupia dziewczyna.

– Nie jestem aż taki wyjątkowy, Joss – mówi, przechylając głowę. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy, więc tylko wzruszam ramionami.

– W sumie jesteś.

Jego tata miał rację: Wes to rzeczywiście dobry człowiek, ale to nie cała historia i tak bardzo bym chciała dowiedzieć się reszty. Aby to jednak zrobić, musiałabym zadawać pytania. Musiałabym podzielić się fragmentami siebie.

Wyczuwam, że robi krok w moją stronę, a moje serce zaczyna bić coraz szybciej i szybciej. Palce Wesa muskają moją brodę, unosi ją, zmuszając, żebym na niego spojrzała. I choć to delikatny ruch, mam wrażenie, że jest najbardziej przerażającym, najszczerzym gestem, jakiego doświadczyłam w swoim życiu.

– Uwielbiam to, jak mnie postrzegasz. Naprawdę – mówi. Wstrzymuje oddech przy ostatnim słowie. Na jego twarzy maluje się łagodność, ale i powaga. – Dzięki tobie pragnę dorosnąć do twoich oczekiwań. Boję się

jednak, że cię zawiodę.

– Nie mam żadnych oczekiwań, Wes. Dawno temu poznałam, czym jest rozczarowanie. Chciałam jedynie, abyś wiedział, że doceniam to, co zrobiłeś. I tyle – kłamię. To kłamstwo, bo dawniej rzeczywiście niczego nie oczekiwałam. Nie miałam nadziei, marzeń ani planów. Miałam tylko kolejny dzień. I kolejny. A czas pomiędzy nimi wypełniałam tym, co po prostu potrafiło przyciągnąć moją uwagę i pozwolić przetrwać.

A potem w moim życiu pojawił się Wes Stokes i wszystko się zmieniło.

Gdybym mogła, ukryłabym się we wnętrzu siebie. Nie podoba mi się to uczucie – to, które mi towarzyszy podczas rozmowy o emocjach. Wołałabym wrócić do żartowania sobie z jego rzutów albo wodnej wojny i pogawędki o koszykówce. Teraz... teraz czuję się skrępowana.

– Powinam wracać do domu. Mogę iść pieszo... naprawdę – mówię. Rozwiązuję reklamówkę i wyjmuję mokre buty.

Wes dotyka mojej ręki.

– Buty masz takie mokre, że tylko się dorobisz pęcherzy. Wsiadaj do furgonetki, uparciuchu. – Mruga do mnie i nie czekając na odpowiedź, przechodzi na stronę kierowcy, wsiada do szoferki i przekręca kluczyk w stacyjce.

Więc wsiadam, od razu czując presję, jaką wywołuje niewielka, zamknięta przestrzeń. Stawiam torbę między nogami i czekam. Po kilku sekundach patrzę na Wesa i wzruszam ramionami.

– Czemu nie jedziesz?

Śmieje się i przez chwilę wygląda przez przednią szybę, po czym odwraca głowę w moją stronę, opierając się ramieniem o kierownicę.

– Wprowadzam pewną zasadę. To nowa zasada i w sumie robię to przez ciebie – oświadczam.

– Okej... – Przęłykam ślinę, nie do końca pewna, dokąd to wszystko

zmierza.

– Zawsze, kiedy jestem za ciebie odpowiedzialny, na przykład wtedy, kiedy odwożę cię do domu, masz przestrzegać wszystkich możliwych zasad bezpieczeństwa. To oznacza zapięte pasy i zablokowane drzwi, bo nie chcę, aby w tajemniczy sposób otworzyły się podczas ostrego zakrętu. – Robi pauzę, jakby czekał, aż przyznam mu rację. Przez chwilę patrzę mu w oczy i mam ochotę zaprotestować, tak dla zasady, jednak w jego głosie i spojrzeniu jest coś takiego, co każe mi się uśmiechnąć, zapiąć pas i zablokować drzwi. – I co, naprawdę to było takie trudne? – śmieje się, ruszając z miejsca.

– Żebyś wiedział – wzdycham, na co on reaguje jeszcze głośniejszym śmiechem. Zagryza wargę i kręci głową.

Następnie włącza radio, przełącza kilka stacji i wybiera klasycznego rocka.

Uśmiecham się, kiedy widzę, jak jego usta poruszają się przy piosence Journey. Uwielbiam ten zespół. Tata puszczał go kiedyś w garażu, kiedy rzucał mi plastikowe piłki i pozwalał wbijać je do siatki. To dobre wspomnienie. Słyszając głos Steve'a Perry'ego uśmiecham się, rozsiadam wygodnie i do szczęśliwych myśli, związanych z tymi dźwiękami dodaję śpiewającego bezgłośnie Wesa.

Między nami leży karton z niepasującą częścią samochodową. Zaglądam do niego i Wes wyjaśnia, co to takiego.

– To główna część do skrzyni biegów, odpowiedzialna za... po prostu prawidłowe działanie – mówi. Zerka na mnie z ukosa, po czym ponownie koncentruje się na drodze. Zauważam, że trzyma kierownicę w pozycji „za dziesięć drugą”. On rzeczywiście poważnie traktuje kwestie bezpieczeństwa. Uśmiecham się.

– Wasza się zepsuła? – pytam. Nie znam się na samochodach. Nie zawracam tym sobie głowy, bo w ogóle nie jeżdżę. Co prawda mam prawko,

ale mój ojciec pozwolił mi je zrobić tylko dlatego, żebym mogła wozić babcię podczas jej odwiedzin. Wiedział, że on na ogół nie będzie w stanie. Wykupił mi najniższe możliwe ubezpieczenie, więc wiem, że dopóki nie pójdę do pracy, będę jeździć stopem i biegać.

– Dziwnie się zachowuje – odpowiada i zerka na mnie.

Ponownie przyglądam się leżącej w kartonie części, nie bardzo rozumiejąc jej działanie. Podczas ostatniej jazdy furgonetką wszystko wydawało się w porządku, choć muszę przyznać, że dzisiaj silnik wydaje się głośniejszy. Wsłuchuję się w niego i w to, jak coś zaczyna brzęczeć podczas dodawania gazu. Przenoszę wzrok na Wesa, a on – choć wiem, że wyczuwa na sobie moje spojrzenie – nie przestaje patrzeć przed siebie. Usta ma zaciśnięte, chowając w nich prawdę.

– To po wczorajszym wieczorze, prawda? Kiedy musiałeś szybko jechać, żeby dogonić Kyle’a?

Nie odpowiada, ale po kilku długich sekundach podjeżdża pod mój dom, wzdycha głośno i w końcu na mnie patrzy. Nie musi odpowiadać. Wystarczy mi jego spojrzenie.

– Przepraszam – mówię.

– Nie przepraszaj. To stare auto, zresztą i tak szykowało się parę napraw.

Znika przyjemne uczucie, które towarzyszyło mi podczas słuchania Journey. Teraz gryzą mnie po prostu wyrzuty sumienia. Wsiadam z furgonetki, zabierając ze sobą torbę z wilgotnymi rzeczami. Obchodzę samochód i szykuję się, żeby odwrócić się i pomachać na pożegnanie. Nie spodziewam się, że z drugiej strony czeka Wes.

Silnik nadal pracuje i co rusz słyszę jakieś zgrzyty. Rozumiem, dlaczego zamierza wymienić tę część. Skrzynia biegów długo nie wytrzyma, więc naprawa jest absolutnie niezbędna.

– Naprawdę cię przepraszam, Wes – mówię, nie będąc w stanie spojrzeć

mu w oczy. On szybko ujmuje moją brodę, zmuszając, żebym na niego spojrzała. Uśmiecha się do mnie ciepło i szczerze.

– Joss, proszę... nie przepraszaj. To stary samochód. Naprawdę. – Jego spojrzenie namawia mnie do zaakceptowania jego słów. Kłamie, ale kłamie dla mnie. A ja czuję się jednocześnie paskudnie i wspaniale.

– Wes, co tu robisz?

Słyszając głos ojca, odruchowo robię krok w tył, jak dziecko przyłapanie na dotykaniu czegoś kosztownego i delikatnego. Wes jednak w ostatniej sekundzie chwytą moją dłoń i jej nie puszcza. A mój ojciec to widzi.

– Cześć, trenerze. Joss wpadła do nas na lunch. Odwiozłem ją do domu – wyjaśnia, jakby to było coś normalnego, jakby moje wizyty w jego domu były czymś naturalnym i częstym – czymś, co mój tato akceptuje. Tak jednak nie jest, co dobitnie podkreśla wyraz jego twarzy.

– To miłe z twojej strony, Wes. Joss, jestem pewny, że czeka na ciebie praca domowa albo coś, co już dawno powinnaś zrobić. Zajmij się tym. Ja porozmawiam sobie z Wesem o pierwszym tygodniu sezonu – rzuca przez ramię. Widać, że jest spięty.

– Nie mam pracy domowej – wzdycham.

– I może to właśnie stanowi problem. Ma same tróje – dodaje szybko, niemal dumny z tego, że może poinformować Wesa o moich niepowodzeniach. Czując ściskanie w żołądku, tłumię pokusę odpyskowania czegoś.

– Jasne – mówię i gryzę się w język.

Unoszę rękę, mówię do Wesa bezgłośnie „dziękuję” i ruszam w stronę domu. Przystaję koło garażu i otwieram torbę, żeby wyjąć mokre buty. Korzystam z okazji i spoglądam na Wesa i tatę. Wyglądają tak, jakby rzeczywiście rozmawiali o baseballu, aczkolwiek coś mi mówi, że tematem ich rozmowy jestem ja.

Wes ściska w ręce kluczyki i przytakuje tacie, zerkając w moją stronę. Kiedy mój ojciec kładzie mu rękę na ramieniu, wiem że rozmowa dobiegła końca. Walczę z supłem na torbie, starając się szybciej dostać do butów.

– A teraz na co tracisz czas? – pyta tata, po czym wyjmuję mi torbę z rąk i szybko radzi sobie z supłem. Wyjmuję z niej jeden mokry but i przechyla głową.

– Bawiliśmy się w polewanie wodą – mówię i kiedy tylko te słowa wydostają się z moich ust, żałuję że podzieliłam się z nim czymś, co wydarzyło się dzisiaj w moim życiu.

Ojciec robi głośny wydech, wyjmuję z torby drugi but, rzuca oba na podjazd, gdzie świeci słońce, po czym oddaje mi reklamówkę z ubraniami.

– Powinnaś znaleźć sobie pracę i przestać marnować czas na to, co cię doprowadzi donikąd. Może wtedy skupisz się także bardziej na nauce – oświadcza, idąc w stronę domu. Kopie po drodze moją torbę sportową. Mam wrażenie, jakby to mnie kopnął. – W tym miesiącu ureguluję jeszcze twój rachunek za telefon. Za miesiąc sama się tym zajmij. I, Joss...

Nie podnoszę nawet głowy. Moje imię brzmi jak rozczarowanie, kiedy tak stoi, jedną nogą w domu. Wbijam spojrzenie w trzyletnią, rozpadającą się torbę, której rączki przyszyłam żyłką wędkarską, którą dostałam od taty Taryn.

– Nie zawracaj Wesowi głowy swoimi... dramatami. Ten chłopak ma talent.

Nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. Oczekuje posłuszeństwa. Drzwi zamykają się za nim, a ja myślę, że pewnie powinnam spełnić jego polecenie, ale potem w mojej głowie pojawia się myśl, że ja także mam talent i że człowiek, który powinien we mnie wierzyć ma to kompletnie gdzieś.

Gdzieś po drodze... zapomniał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– NIE BĘDZIE TAK ŹLE, JOSS. Czasem nawet będziemy pracować razem.

Przez cały ranek Taryn nawija o pracy, jaką mi załatwiła w klubie Spider's Jungle Gym. Ona pracuje tam w niedziele, więc kiedy zadzwoniłam do niej wczoraj, po otrzymaniu od taty ultimatum, przed wyjściem porozmawiała z kierownikiem. Jedyne, co muszę zrobić, to wypełnić wniosek, podrzucić go w tym tygodniu i voilà – praca jest moja.

Pewnie powinnam się cieszyć, że tak łatwo poszło. No i ta praca to nic trudnego. Mam nadzorować salę zabaw i trzy albo cztery razy w tygodniu sprzątać klub po zamknięciu. Bonus jest taki, że mój ojciec nie będzie już mógł na mnie liczyć w sobotnie wieczory, bo głównie dlatego mnie zatrudniono – odeszła osoba pracująca w soboty i Taryn pomyślała, że mogłabym zająć jej miejsce. Jestem pewna, że tata i tak będzie dzwonił, no ale będzie musiał czekać. I może... może... w końcu da sobie spokój z dzwonieniem.

– Wiem. Dzięki za załatwienie tej pracy, T. W sumie to i tak myślałam, żeby coś sobie poszukać. Wkurzam się jedynie na tatę, że musiał tak postawić sprawę – mówię. Wcale nie chodzi o to, że nie chcę pracować, po prostu nie rozumiem decyzji taty.

– Dziewczyno, wiesz, że mi też to tata kazał znaleźć sobie robotę. Skończyłam szesnaście lat i zaraz następnego dnia musiałam pożegnać się z kieszonkowym – śmieje się.

Wychodzimy z szatni z torbami i kierujemy się do autobusu, czekającego niedaleko głównego boiska. Podeszwy naszych butów uderzają głośno o

chodnik. Gramy dzisiaj mecz wyjazdowy z North. Zjawi się na nim rodzina Taryn. Lubię, jak to robią, bo wtedy kibicują także mi. Bez nich nie miałabym na trybunach żadnej życzliwej duszy.

Chłopcy grają mecz na miejscu i kiedy wsiadam do autobusu, dostrzegam Wesa, który rozgrzewa się na boisku. Obok niego stoi mój ojciec i specjalnym pistoletem mierzy prędkość jego piłek.

Widzę także, jak Kyle wybiega z szatni na boisko i czuję ulgę. Nie było go dzisiaj w szkole i zignorował SMS-a, do którego wysłania zmusiłam Taryn. Ja nadal za bardzo się krępuję, żeby z nim się kontaktować. Nie wiem, co powiedzieć. Cieszę się jednak, że tu jest. Nawet jeśli nie będzie miotał, jestem pewna, że weźmie udział w meczu. Kyle jest za dobry, żeby tata kazał mu siedzieć na ławce rezerwowych.

Razem z Taryn siadamy z tyłu autobusu. W naszej drużynie tylko my dwie chodzimy do ostatniej klasy, więc jesteśmy najstarsze. I najtwardsze. Nie jestem pewna, jak to się stało, że zostałam kapitanem drużyny. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że pozostałe dziewczyny po prostu się nie nadają. Nadal próbują mnie namawiać na wstążki i warkocze, więc raczej ich zbyt nie onieśmielam. Dzisiaj ustąpiłam i zgodziłam się na jedną wstążkę – nalegała na to Shelby, nasza łapaczka. Kiedy jednak nie patrzyła, przekształciłam kokardę w zwykły węzeł. Widzę, że to dostrzega i że palce aż ją świerzbą, żeby temu zaradzić. Nie wiem, co zrobię, jeśli znowu dotknie mi głowę.

– Wygląda na to, że Wes ma dzisiaj fanklub – oświadcza Taryn, pokazując coś ponad moim ramieniem.

Prostuję się i odwracam w samą porę, aby zobaczyć, jak w stronę boiska idzie McKenna w towarzystwie kilku innych dziewczyn. Wszystkie mają na sobie króciutkie szorty, podkolanówki i czerwone bluzy baseballowe.

– Nieważne – mówię. Wyciągam z torby słuchawki i włączam muzykę w

telefonie. Taryn nie spuszcza ze mnie wzroku i uśmiecha się znacząco. Wie, że przejmuję się tym bardziej, niż to okazuję, ja jednak nie wyjmuję z uszu słuchawek i nie zaszczytam fanek Wesa kolejnym spojrzeniem.

Możliwe, że czuję ukłucie zazdrości.

Stan baterii telefonu wynosi tylko trzydzieści procent, więc po kilku piosenkach wyłączam muzykę. Zostawiam jednak w uszach słuchawki, żeby nie odpowiadać na żadne pytania dotyczące Wesa, McKenny... czy lunchu w domu Stokesów. Taki jest problem z tym, że Taryn spotyka się z TK – powiedział jej, że byłam u nich w niedzielę, a kiedy jej o tym nie poinformowałam, wypomniała mi to z uniesionymi podejrzliwie brwiami i błyskiem w oku. W końcu będę musiała odpowiedzieć na jej pytania, ale nie przed meczem – i nie w autobusie pełnym podekscytowanych pierwszo- i drugoklasistek, które dosłownie umierają, żeby się dowiedzieć, że Joss Winters ma motyle w brzuchu z powodu chłopaka.

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, chowam telefon i słuchawki, wychodzimy z Taryn jako ostatnie z autobusu. Dziewczyny z North są w tym roku całkiem dobre, a nasza drużyna jest młoda. Spodziewam się, że nam dokopią, ale nie zamierzam poddać się bez walki.

Rozpakowujemy się, przeciągamy i rozgrzewamy, a potem wychodzimy na boisko. Po raz pierwszy tego dnia czuję, że stres i gniew opuszczają moje ciało. To sport drużynowy, ale kiedy tam stoję, jestem sama. Nikt mi nie mówi, co mam robić – po prostu wolno mi *być*. Czysto chwytam w polu gry, nie dopuszczam do podwójnych autów, a nawet daję nura ku piłce, czym zwracam na siebie uwagę przeciwnej drużyny. Widzę, jak szepczą między sobą i czuję podekscytowanie. Ich strach dodaje mi siły.

Jestem w domu.

Odbijać jako czwarta to zaszczyt. Tak zawsze powtarzał tata. Kiedy jednak trzy pierwsze dziewczyny zostają wyautowane, bycie czwartą zdaje

się być przekleństwem. Nasze jedyne auty to dwie piłki rzucone do mnie, aż w końcu ktoś łapie wolną piłkę i przekazuje ją Shelby. Tak się cieszę, że ją złapała, że jestem niemal skłonna pozwolić, aby znowu mi zawiązała kokardę we włosach.

North ma jedną z najlepszych miotaczek w stanie, która naprawdę potrafi posłać szybką piłkę. W pierwszym rzędzie na trybunach zauważam kilku mężczyzn w uczelnianych marynarkach. Każdy z nich w jednej ręce trzyma prędkościomierz, w drugiej telefon. Mam nadzieję, że nagrywają, kiedy szykuję się do odbicia, bo mam w planach powstrzymać jej piłkę, poruszającą się z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Staję na swoim stanowisku i odbijam dwie, aż w końcu dziewczyna rzuca strike. Celowo odpuszczam tę piłkę.

Nie odbijaj żadnych strike'ów, kotku. Bierz zamach na te porządne.

Choć między nami jest jak jest, słowa taty rozbrzmiewają w mojej głowie za każdym razem, kiedy wchodzę na boisko. Nigdy się od niego nie uwolnię, jesteśmy ze sobą nierozzerwalnie spleceni w tej grze, którą kocham. To przez wspólne godziny odbijania przeze mnie piłki w ogrodzie i jego wskazówek, jak mam to robić w poprawny sposób. To przez ten moment, kiedy zamachnęłam się kijem i w końcu odbiłam tak, jak należy. To przez mój pierwszy *home run*, po którym tata zniósł mnie z boiska na barana. Tak jak słuchanie Journey, ta gra przypomina mi czasy, kiedy wszystko było dobrze. I choć Eric Winters okazał się fatalnym ojcem, zawsze był rewelacyjnym trenerem.

Następna piłka będzie tą właściwą – widzę to, jeszcze zanim unosi się w powietrzu. Przenoszę ciężar na drugą nogę i szykuję się do zamachu, a kiedy piłka leci w moją stronę, odbijam ją tak daleko, że nawet nie muszę patrzeć, aby mieć pewność, że zniknęła.

Home run.

Słyszę, jak słowa te wypowiada sędzia, ale w głowie mam głos taty. Okrażam bazy, a kiedy dobiegam do bazy domowej, pozwalam, aby koleżanki z drużyny ścisnęły mnie i wskakiwały na plecy.

Udaje mi się zagrać jeszcze tylko dwa razy. Powodem jest zachodzące słońce i kiepska forma dziewczyn z mojej drużyny, które zachowują się tak, jakby ich celem było zdobycie jak największej liczby punktów, tyle że przez drużynę przeciwną. Za każdym razem dobiegam jednak do bazy. Raz odbijam tak nisko, że w oczach miotaczki pojawia się przerażenie. Po trzecim odbiciu posyłam całusa Taryn, a sędzia daje mi ostrzeżenie. Jestem do nich jednak przyzwyczajona, kiedy więc sędzia się odwraca, jemu także posyłam całusa.

Ostatecznie przegrywamy dwanaście do dwóch, ale głowę trzymam wysoko uniesioną, bo wiem, że te dwa punkty zdobyliśmy dzięki mnie. Droga powrotna okazuje się łatwiejsza i nie czuję potrzeby chowania się za muzyką i słuchawkami. Daję nawet za wygraną i pozwalam Shelby zawiązać mi we włosach kokardę. Bardzo się z tego cieszy, a kiedy Taryn stroi sobie ze mnie żarty, zakazuję jej śmiać się z umiejętności wiązania kokard przez moją kumpelę Shelby. Ta z kolei cała się rozpromienia, kiedy słyszy, że nazywam ją swoją kumpelą. Fajnie, że te dziewczyny liczą się ze mną.

– Wygląda na to, że chłopaki jeszcze grają – oświadcza Taryn.

Kilka dziewczyn przed nami opuszcza szyby i gwizdzą głośno w stronę boiska. Na górze stoi właśnie Kyle.

– Pewnie zamyka mecz – mówię do przyjaciółki, pokazując na naszego przyjaciela.

– TK w tych spodniach wygląda cholernie seksownie – odpowiada, nawet mnie nie słysząc.

Śmieję się, bo... no tak, oczywiście – właśnie na to moja przyjaciółka zwraca uwagę.

Wysiadamy z autobusu i razem z Taryn i Shelby podchodzimy do trybun. Zostawiamy torby i wchodzimy na samą górę. Nam kibicowało kilkanaście osób, ale mecz baseballu za każdym razem gromadzi ich co najmniej setkę. Ja to rozumiem, też bym tu siedziała, gdybym sama akurat nie grała.

Kyle rzuca mocno i wynik to cztery do trzech – dla nas. Mój tato znajduje się tam, gdzie zawsze podczas meczy: w pozycji łapacza kuca przed ławką rezerwowych, a jego dłonie przemieszczają się szybko między uchem, nosem i kolanem. Daje łapaczowi sygnały. Gdybym chciała zmarnować mu dzień, mogłabym przejść na drugą stronę i podpowiadać przeciwnikom, jaką piłkę rzuci zaraz Kyle.

Ale nie zrobiłabym tego przyjacielowi. No i to pierwszy mecz Leviego na pozycji łapacza, więc jemu także nie chciałabym nabruździć. Jeśli mam być szczerą, to nadal mam w sobie coś z tej małej dziewczynki, która lubi patrzeć, jak jej tatuś wygrywa... nawet, jeśli nie zostaną uwzględniona podczas świętowania.

To pierwszy rzut w ostatniej rundzie. Pałkarz pułkuje, TK zdobywa punkt, a Taryn piszczy jak rasowa cheerleaderka.

– Wow, jeśli masz tak robić, to idę na dół – mówię, pokazując na drugi koniec trybun. Taryn przewraca oczami, nie przestając podskakiwać.

Zostawiam ją z Shelby, ale nie dlatego, że żenuje mnie jej zachowanie. Niemal od razu rozpoznaję sylwetkę Wesa, który opiera się o siatkę koło ławki rezerwowych. Umieram z ciekawości, jak sobie poradził. Mam także ogromną ochotę znaleźć się między nim a pierwszym rzędem trybun zajętych przez jego rozchichotany fanklub. Celowo staję przed nimi, po drodze posyłając McKennie cierpki uśmiech.

– Wciąż masz nadzieję, że tatuś pozwoli ci grać z chłopakami, Josselyn?
– po tych słowach ona i jej przyjaciółki wybuchają śmiechem.

Od razu podnosi mi się ciśnienie, ale biorę się w garść, odwracam na

pięcie i patrzę jej w oczy.

– Z tymi chłopakami mogę grać, kiedy tylko mam na to ochotę, McKenna – rzucam z satysfakcją i się odwracam.

– Nie z każdym chłopakiem. Czemu nie zapytasz Wesa o plażę w ten weekend?

Od razu rozlegają się szepty i prychnięcia, ale ja nie pozwalam się sprowokować. Gdybym nie znajdowała się już niemal przed siatką, wróciłabym na swoje poprzednie miejsce, nie chcę jednak dać satysfakcji McKennie, pokazując, że jej słowa mają dla mnie znaczenie. Mimo że nie powinny.

– Hej. – Głos Wesa jest chrapliwy. – Miałem nadzieję, że wrócicie przed końcem meczu. Miotalem w sześciu rundach. Położyłem jednak home run. Wygląda na to, że nadal widzą mój *changeup*.

– Ach, a więc jednak przyznajesz, że to *changeup*, a nie *slider*? – pytam, wplatając palce w dzielącą nas siatkę. Czuję na sobie wzrok McKenny.

– Niczego nie przyznaję – odpowiada Wes i krzywi się, kiedy przenosi ciężar ciała na drugą nogę i przykłada do ramienia woreczek z lodem. – Tobie rzuciłem *slidera*. Jego także odbiłaś.

Unosi głowę na tyle, że dostrzegam jego oczy. Ten chłopak wygląda doskonale nawet w biało-czerwonym stroju drużyny South High Toro.

– Wygląda na to, że pałeczkę przejął Kyle – mówię, opierając się czołem o siatkę.

Oboje przyglądamy się, jak Kyle rzuca drugą piłkę. Zaledwie kilka chwil dzieli drużynę od wygranej – pierwszej wygranej Wesa.

– Szczerze? Uważam, że jest lepszy ode mnie. To on powinien zacząć – stwierdza. Nie robi tego dlatego, żeby być miłym. On naprawdę tak myśli.

– Wcale nie. – Czekam, aż Wes w końcu spojrzy mi w oczy. Kiedy to robi, widzę, że mi nie wierzy. – Naprawdę, mój tata wcale cię nie wystawił

dlatego, żeby ci sprawić przyjemność, bo jesteś nowy i w ogóle. On gra, żeby wygrać, bez względu na wszystko.

Po kilku sekundach Wes kiwa głową i powoli opuszcza woreczek z lodem. Syczy przy tym z bólu.

– Kontuzja? – pytam.

– E tam. Jutro pewnie będę mógł rzucać. Szczerze? Nie znoszę tego całego obkładania lodem. Boli wtedy jeszcze bardziej – mówi ze śmiechem i wrzuca woreczek do lodówki. Zakłada bluzę, a ja przyglądam się, jak przeczesuje palcami potargane włosy, nim znowu chowa je pod czapkę.

– Gdybyś rzeczywiście uszkodził sobie ramię albo łokieć, założę się, że nie narzekałbyś tak na lód. – Myślę o tym, że pewnie sama powinnam tak robić. Nigdy nie chłodzę sobie mięśni, bo podobnie jak Wes nienawidzę zimna.

– Taa, pewnie masz rację – mówi, po czym wchodzi na ławkę i siada na oparciu, dzięki czemu odległość między nami ulega zmniejszeniu.

Oglądam się na rząd fanek i widzę, że przygląda się nam tylko McKenna. Udaje, że wcale tego nie robi, lecz mnie nie oszuka – sama wielokrotnie patrzyłam tak na Wesa.

– No więc... twoja fanka wspomniała coś o wycieczce na plażę? – Od razu ściska mi się żołądek, gdy pozwalam tym słowom wydostać się z moich ust. Odkąd usłyszałam to od McKenny, zastanawiałam się, jak taktownie wypytać Wesa, czy się z nią umówił. Głupio się czuję, poruszając ten temat, no i boję się jego odpowiedzi.

– No tak... – mówi. Wstaje i nie kończy zdania. Przechodzi na drugi koniec ławki i obserwuje boisko, bo pałkarz przeciwników właśnie wybił piłkę na prawe pole. Goni za nią jeden z naszych i w ostatniej chwili robi wyskok, dzięki czemu udaje mu się ją złapać.

– Taaaaak! – woła Wes i wbiega na boisko, gdzie razem z resztą drużyny

rzuca się na Kyle'a, obdarzając go niedźwiedzim uściskiem. Jeszcze nigdy nie widziałam Wesa Stokesa tak ożywionego. Gratuluje Kyle'owi, ale coś mi mówi, że to on przyczynił się do wygranej. Sześć rund to niemało.

Drużyna wycofuje się na ławkę rezerwowych, a ja czuję się coraz bardziej niezręcznie. Odwracam się, żeby wrócić do Shelby i Taryn, ale one schodzą już w moją stronę, tak samo jak McKenna i jej koleżanki.

W tym całym chaosie i zderzających się grupach towarzyskich, jakoś przegapiłam fakt, że przyszedł mój tato i kiedy odwracam się, spodziewając się, że zobaczę Wesa, z lekkim zdziwieniem widzę jego zmęczoną twarz. Trzyma w ustach wykałaczkę – robi tak w szkole, bo nie może tutaj żuć tytoniu. Król hipokrytów gani mnie za to, że palę, a sam wydaje majątek na używki.

– Wygrałyście? – pyta.

– Nie. Rzucała Regina Foles. Większość dziewczyn nie potrafiła odbić – mówię ze wzrokiem wbitym w wykałaczkę. Cała jest pogryziona. Mój ojciec musiał się nieźle stresować.

– Ty odbiłaś? – Wyjmuje ją z ust i rzuca na ziemię. Lekko mnie dziwi jego zainteresowanie moją grą, więc odpowiedzi udzielam dopiero po dłuższej chwili.

– Tak. – A kiedy napotykam jego spojrzenie, przez ułamek sekundy widzę w nim dumę.

– To dobrze, nie powinnaś bać się prędkości – mówi i odwraca się w stronę TK i Leviego, którzy udają, że chcą mu wylać na głowę wodę z lodówki. – Chyba nie zamierzacie tego zrobić po zaledwie jednym meczu, panowie? Doprowadźcie to do końca, wygrajcie mistrzostwa, a potem bierzcie się za lodówkę. Zróbcie to wcześniej, a sporo czasu spędzicie na bieganiu do bazy.

TK zerka na mnie szybko, a ja kiwam głową i wymuszonym uśmiechem

potwierdzam, że mój ojciec nie żartuje. On nigdy nie żartuje, kiedy w grę wchodzi wygrana.

– Przepraszamy – mówi TK, odstawiając lodówkę i zaczynając zbierać z ławki swoje rzeczy.

– Gówniarze wygrywają jeden mecz i wydaje im się, że mają co świętować – ojciec mówi do mnie, ale wzrok ma utkwiony w parkingu. Nie odpowiadam. Zresztą on tego nie oczekuje. Zawsze ma rację w kwestii swoich metod i wygrywania.

– Zdobyłam trzy punkty na trzy – mówię zamiast tego. Sama nie wiem, czemu czuję, że muszę się pochwalić, ale po raz pierwszy od dawna chcę mu opowiedzieć o swojej grze. Jego spojrzenie przeskakuje na mnie, ale wyraz twarzy pozostaje obojętny.

– No i słusznie. Wybiłaś jakiś aut? – pyta.

– Jeden – odpowiadam i prostuję palce na wspomnienie uderzenia piłki o kij. Na mojej twarzy zaczyna pojawiać się uśmiech.

– Stać cię na więcej – oświadcza ojciec i uderza dłonią o murek. Po tych słowach zabiera podkładkę do pisania i rusza przez boisko w stronę swojego biura.

– Chodziło mu jedynie o to, że jesteś naszą najlepszą zawodniczką – odzywa się Taryn, wchodząc natychmiast w tryb „poprawmy humor Joss”.

– Wcale nie – wzdygam. – Chodziło mu o to, że nie jestem wystarczająco dobra. W porządku. Mam to gdzieś.

Nim zdążę zacząć uzalać się nad sobą, staje za mną Kyle, obejmuje mnie, przerzuca sobie przez ramię i kilka razy obraca.

– Zaraz puszczę pawia. Postaw mnie! – wołam ze śmiechem.

Nie rozmawialiśmy ze sobą od paru dni, więc kiedy stawia mnie na ziemi, napięcie między nami jest wręcz namacalne. W tym momencie dostrzegam wokół jego oka siną obwódkę i nagle cały mój niepokój zastępuje

troska o przyjaciela.

– Kyle, o mój Boże! – Zbliżam dłoń do jego twarzy. Ujmuje ją i kręci głową.

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest – mówi. Ściąga z głowy czapkę i ociera ramieniem czoło. Puszczą moją dłoń, z powrotem zakłada czapkę i patrzy mi w oczy. Siniak wygląda na świeżego i zastanawiam się, czy nabawił się go podczas meczu.

– Dostałeś piłką? Myślałam, że miotałeś tylko w ostatniej rundzie? – Próbuję go dotknąć, ale on się wycofuje.

Podchodzą do nas wszyscy bracia Stokes.

– Wes walnął go w szatni tuż przed meczem – wyjaśnia Levi i uśmiecha się szeroko, wyraźnie ciesząc się z tego, że to on może pierwszy donieść na brata.

Faceci.

– On... uderzył cię? – pytam, patrząc raz na Wesa, raz na Kyle'a. Obaj wydają się zmieszani.

– No tak. Przez to Kyle się spóźnił i trener kazał mu pobiec przed meczem do kanału i z powrotem – mówi TK.

– Sorki za to, stary. Nie chciałem, żebyś się spóźnił – bąka Wes. Nie zdążył jeszcze zdjąć rękawicy. Robi to teraz, rzuca ją na ziemię i wyciąga rękę do Kyle'a. – Przepraszam. To był tani chwyt. Między nami zgoda? – pyta.

Kyle przez kilka sekund przygląda się jego ręce i dostrzegam, że drga mu nerw w zuchwie, co pewnie jest widoczne tylko dla mnie. Denerwuje się. Nie jestem pewna, czy boi się, że Wes znowu go uderzy, czy chodzi o coś zupełnie innego. W końcu jednak ujmuje dłoń Wesa i ścisną ją mocno. Drugą rękę kładzie na przedramieniu chłopaka i czeka, by ten spojrzął mu w oczy.

– Żebyśmy mieli jasność. Wiem, że sobie na to zasłużyłem. Więcej tak

nie zrobię – mówi, a Wes lekko się wzdyga. Ostatecznie jednak kiwa głową. Zerknąwszy na mnie, zbiera swoje rzeczy i rusza w stronę szatni.

McKenna i kilka innych dziewczyn, które zostały razem z nią, szybko go doganiają. Liczę, ile razy dotyka jego ramienia, przerzuca włosy przez ramię, śmieje się i wykonuje jeszcze z tuzin gestów, które nie bez powodu są uważane za stereotypowe. Chciałabym wiedzieć, co Wes myśli o nich... o niej.

– Powiesz mi, o co poszło? – pytam Kyle’a, nie odrywając wzroku od obiektu mojego zadurzenia.

Zadurzenia. Zadurzyłam się.

– Powiedział, że jeśli jeszcze raz narażę cię na niebezpieczeństwo, to mnie zabije. A ja na to przystałam. – Kyle patrzy mi w oczy i nie mówi nic więcej. W końcu śmieje się cicho do siebie i schyla po swoją torbę. Moją także podnosi.

– Co cię śmieszy? – pytam i krzyżuję ręce na piersi. Idę tak, kiedy dociera do mnie, że wyglądam, jakbym się dąsała. Wsuwam więc kciuki do tylnych kieszeni, przenosząc wzrok pomiędzy przyjacielem u mego boku a Wesem idącym z przodu.

– Nic, Joss. Absolutnie nic – odpowiada Kyle ze wzrokiem wbitym przed siebie. – Po prostu dotarło do mnie, że nigdy nie będziesz patrzeć na mnie tak jak na niego. Co gorsza, godzę się z tym. Wes... to facet, na którego zasługujesz. I może po prostu kocham cię tak bardzo, że chcę dla ciebie tego, co najlepsze. Tyle że to cholernie boli, nie będę kłamał, że jest inaczej.

Zwalniam, aż w końcu się zatrzymuję. Kyle kilka metrów dalej robi to samo i wzdycha. Nie odwraca się w moją stronę, ale kieruje twarz ku niebu, po czym mówi: – Nie czuj się z tym źle. Dam sobie radę. – Patrzy w bok, a ja dostrzegam ból w jego oczach. – A teraz chodź, odwiozę cię do domu.

Doganiem przyjaciela i pomagam mu zapakować nasze rzeczy do

furgonetki jego ojca. Macham do Taryn, dając jej znać, że nie potrzebuję podwózki i że może jechać z TK. Levi i Wes właśnie wyjeżdżają z parkingu. Między nimi siedzi McKenna, a na pace chichoczą jej koleżanki. Tak naprawdę ich nie znam, ale żywię do nich nienawiść.

– Tata pozwolił ci wziąć to auto? – pytam, chcąc udawać, że wszystko jest po staremu, że może tak być.

– Taa... tak jakby – wzdycha Kyle, po czym przekręca kluczyk w stacyjce i w końcu patrzy mi w oczy. Uśmiecha się z przymusem, ale w jego oczach kryje się prawda. Ma złamane serce. – Kupuje nowe, ale muszę zarobić na to. Wygląda na to, że będziemy razem pracować w Jungle Gym.

Uśmiecham się na tę myśl.

– Naprawdę? Ty też wiesz Taryn przysługę? – pytam.

– Aha – odpowiada i skupia się na drodze. Włącza wsteczny bieg i wyjeżdża z miejsca parkingowego. – Możliwe, że czasem uda się nam pracować na tej samej zmianie, ale ja będę tym szczęściarzem, który rano obsługuje bar z przekąskami. O piątej rano będę szykował te wszystkie wyśmienite hot dogi i wsypywał ser do kubków, a potem włókł się do szkoły.

– Bo jeszcze ci pozazdrozczę – śmieję się. Zapinam pasy i opieram stopy o deskę rozdzielczą, żeby rozwiązać buty.

– Tak właśnie myślałem. Wiem, jak lubisz te gówniane nachosy z serem – mówi z udawaną powagą. Żadne z nas się nie śmieje, ale oboje wiemy, że żartujemy. Jest między nami niemal normalnie, choć w głębi duszy wiem, że pewnie już nigdy nie będzie tak, jak do tej pory.

ROZDZIAŁ ÓSMY

PRZEZ CAŁY KOLEJNY TYDZIEŃ JEŹDŻĘ Z TARYN. Pilnuję także własnego boiska: podczas treningów i po nich nie zapuszczam się na część baseballową. Dzięki temu trzymam się z dala od Wesa i od uczucia skrępowania, jakie towarzyszy mi teraz w obecności Kyle'a. Co ważniejsze, unikam tego całego koszmaru, którym jest znalezienie się między Wesem a Kyle'em. Szerokim łukiem omijam również McKennę.

Dzisiaj w drodze do szkoły wypaliłam papierosa. Winą obarczam ten cały stres. No i znowu mój licznik dni bez fajek ulega wyzerowaniu. W sumie to wracając do domu, także mogę wypalić jednego. Idę pieszo, bo jazda z Kyle'em na razie za bardzo mnie stresuje, a Taryn pojechała razem z TK do siebie, bo akurat ma wolną chatę.

Mija mnie samochód ojca, który ignoruje znak nakazujący ustąpienie pierwszeństwa. Nie ma takiej opcji, żeby mnie nie widział, bo to ja jestem powodem, dla którego sygnalizacja nad przejściem mruga na żółto.

Jest piątek, dzień lekkiego treningu, o czwartej już jesteśmy wolni. Pewnie stąd wziął się ten wypad na plażę. Słyszałam o nim, ale nie otrzymałam oficjalnego zaproszenia. Wszyscy moi przyjaciele albo wybierają się na plażę, albo mają inne plany, wygląda więc na to, że mogę zacząć dzisiaj pracę w Jungle Gym – zgodnie z tym, o co początkowo prosił Mike, mój szef.

Czterdzieści dolców nie chodzi piechotą.

Wes i Levi odjechali jeszcze przed moim ojcem. Z parkingu skręcili w prawo, w stronę ekspresówki, co znaczy, że wybierają się razem ze

wszystkimi do Pismo. Ja skręciłam w lewo, kierując się ku domowi, do którego dawniej biegałam jak na skrzydłach. Teraz to po prostu miejsce, w którym mój tato składa alkohol, a ja w nim sypiam, kiedy nie mam dokąd pójść.

– A co to za rozczulanie się nad sobą? – rozlega się głos Kyle’a, a ja wzdrygam się, bo będę musiała z nim rozmawiać. I dlatego, że ma rację.

– Jestem po prostu zmęczona – mówię, wzruszając ramionami.

– Nie potrafisz kłamać. Bierz tyłek w troki i wsiadaj. Jadę po Connera i Layle, a ciebie wyrzucę pod twoim domem, żebyś mogła się przebrać. – Nachyliła się i otwiera drzwi od strony pasażera. A ja stoję w bezruchu.

– Po co mam się przebierać? – pytam. Znam odpowiedź, ale powstrzymuję się od prezentowania wymówek, bo... cóż... muszę najpierw jakąś wykombinować.

– Nie pogrywaj sobie ze mną. Innym możesz wciskać kit, Joss, ale oboje wiemy, że jesteś wkurzona z powodu McKenny i plaży i że chcesz tam jechać. Zachowujesz się tak tylko dlatego, bo jesteś zła na Wesa, że cię nie zaprosił, ale wiesz co? To wcale nie był jego pomysł. To McKenna wymyśliła to całe ognisko... a ona nie chce cię tam widzieć i właśnie dlatego powinnaś jechać. No więc, czy możemy oszczędzić sobie dziesięciu minut udawania, że nie zamierzasz tego robić i po prostu jechać?

Bardzo staram się zgrywać twardzielkę, ale usta zaczynają mi rozciągać się w uśmiechu.

– Ale z ciebie palant, Kyle. Wiesz? – mówię. Wrzucam na pakę swoją torbę i sprzęt, a sama wsiadam do szoferki.

– Aha, zdarzyło ci się już tak mnie nazwać. Mam rację i doskonale o tym wiesz.

Po chwili wraca uczucie niezręczności i powód, dla którego unikałam Kyle’a. Zerkam na niego podczas jazdy, ale on robi wszystko, żeby tylko na

mnie nie patrzeć. Na twarzy ma wypisany dyskomfort, a mnie dopadają wyrzuty sumienia. W sumie to nawet jestem o to na niego zła, choć wiem, że to nie fair. Na uczucia nie ma rady, ale Kyle to ja – potrzebna mi moja druga połowa. Zabrał ją w chwili, kiedy powiedział o swoich uczuciach, dlatego że ja nie jestem w stanie ich odwzajemnić.

– Możesz już przestać patrzeć na mnie z litością – odzywa się w końcu.

Uśmiecham się blado.

– Nawet by mi to nie przyszło do głowy – mówię poważnie. To kłamstwo.

– Słuchaj, ty i ja... przyjaźnimy się od bardzo dawna. I nie jestem głupi... ach... nie zaprzeczaj – mówi, unosząc rękę. Śmieję się, bo rzeczywiście miałam już to zrobić. – Nie zamierzam tracić najlepszej przyjaciółki tylko dlatego, że nie darzy mnie ona *takim* uczuciem. Wtedy mówiłem serio: jakoś to sobie poukładam, ale nie możesz mnie ignorować ani unikać. To sprawia ból i jest podłe. Bardziej podłe niż twoje normalne dogryzanie.

Oboje milczymy. Widzę, jak drga mięsień w jego żuchwie i jak Kyle przygryza wargę. W końcu wzdycham i choć skrępowanie nadal jest obecne, wydaje się mniejsze niż jeszcze przed chwilą.

– Nazwałś mnie podłą, stary. To boli... tutaj – oświadczam, uderzając się pięścią w klatkę piersiową.

– Taa, cóż, potrafisz być niezłą suką. – Do jego tonu wraca znajome przekomarzanie się.

Daję mu kuksańca w bok, przez co samochód lekko skręca.

– Kurwa, Joss! – chichocze, ale szybko poważnieje. Prostuje się i zaciska dłonie na kierownicy. – Nie rób takich rzeczy, kiedy prowadzę. Mówiłem poważnie, Wesowi także. Nie zamierzam więcej ryzykować. Za bardzo mnie przeraziłaś.

Tym razem dopadają mnie zupełnie inne wyrzuty sumienia. Wypadek nie

był winą tylko Kyle'a. Nie musiałam wychylać się przez szybę.

– Czemu zabierasz mnie na plażę? – pytam szeptem.

Zerka na mnie kilka razy, po czym znowu skupia się na drodze. Marszcząc brwi, skręca w moją ulicę.

– Czemu, Kyle? Wiesz, że chcę tam być tylko z powodu Wesa. Sam zresztą to powiedziałeś. Czemu mi pomagasz? Dlatego, że czujesz się winny z powodu wypadku? Chcesz, żeby on cię za to nie nienawidził? – Wstrzymuję oddech i czekam na jego odpowiedź. Zatrzymuje się przed moim domem. Podjazd jest pusty.

– Może wszystko po trochu – mówi w końcu i przesuwa dłonie na dolną część kierownicy. Odwraca głowę w moją stronę, a po kilku sekundach robi wydech nosem i wzrusza ramionami. – Poza tym uważam, że McKenna to suka.

Pozwalam, aby uśmiech zagościł na mojej twarzy i po chwili wahania kładę rękę na dłoni Kyle'a. Ściskam ją lekko, następnie podnoszę wzrok i widzę, że szczerze się do mnie uśmiecha.

– Naprawdę cię kocham, wiesz? – mówię i czuję ściskanie w piersi, kiedy Kyle bierze głośny wdech, potwierdzający, że wie, co mam na myśli, że wie, o jaką miłość mi chodzi. Nie jest to uczucie, jakim on darzy mnie, niemniej jest szczere.

– Taa, taa. – Poprawia się na fotelu i wrzuca luz. – Idź się przebrać. Za dziesięć minut będę z powrotem.

Kiwam głową, wyskakuję z szoferki, zdejmuję z paki swoje rzeczy i klepię ręką maskę, żeby dać mu znać, iż może już jechać. Tak robi, ani razu się nie odwracając.

W ciągu kilku kolejnych minut udaje mi się zestawić siedem potencjalnych strojów. Nie jestem dobra w tego typu sprawach i żałuję, że nie mogę liczyć na pomoc Taryn. W końcu decyduję się na to, co wybrałam

jako pierwsze: luźne džinsy z dziurami na kolanach, vansy i czarny top od bikini. Biorę jeszcze biały sweter, który się przyda po zachodzie słońca, i wybiegam z domu z niewielkim plecakiem, do którego chowam telefon, portfel i czapkę. W nowej pracy nie zarobiłam jeszcze nawet centa, więc cała moja gotówka to kilka ćwierćdolarówek.

– Tak się ubrałaś? – pyta Kyle, wskazując na mój sweter, kiedy wsiadam do szoferki Layla i Conner siedzą przytuleni na niewielkim fotelu za nami.

– No co? Wieczory są chłodne – protestuję. Nie przestaje na mnie patrzeć i w kącikach jego ust czai się uśmiech. – Kurde... niech ci będzie. Zdejmę go – mówię, po czym wsiadam z samochodu i ściągam sweter.

Wracam do środka, chowam sweter do plecaka i zapinam pasy. Następnie spoglądam na Kyle'a, który nadal nie wrzucił biegu. Tym razem przygląda mi się z uniesionymi brwiami, więc posyłam mu rozdrażnione spojrzenie.

– Jezu... co tym razem?

– Nic – odpowiada i przełyka głośno ślinę, po czym w końcu rusza z miejsca. Po jakichś dwóch kilometrach kończy swoją myśl: – Po prostu McKenna nie będzie wiedziała, co zrobić. Nie ma mowy, żeby tak wyglądała, bez względu na to, w jakim pojawi się stroju.

Od razu płoną mi policzki. Nie jestem przyzwyczajona do tego, że chłopcy zwracają uwagę na mój wygląd. Jestem postrzegana jako twardzielka, świetna pałkarka, córka Erica Wintersa, balansująca na granicy dobrego i złego, ale nie jestem jednak uważana za piękną.

– Dzięki – mówię i przygryzam dolną wargę. Moje palce bawią się zamkiem plecaka.

Kiedy zerkam na Kyle'a, on także posyła mi spojrzenie, pociera dłonią usta i brodę, aż w końcu z powrotem skupia się na drodze. I tak robi przez następne półtorej godziny. Wszyscy pozwalamy, aby ciszę wypełniała muzyka i kiepskie dowcipy Connera.

Parkujemy obok furgonetki Wesa i odruchowo zaczynam szukać go wzrokiem, kiedy tylko moje stopy dotykają piasku. Razem z braćmi Marley i Laylą podchodzę do miejsca na ognisko, jakieś sto metrów od linii wody. Kyle przywiózł stary koc i pomagam mu go rozłożyć, żebyśmy mieli gdzie położyć swoje rzeczy. Jednak przez cały czas strzelam oczami na boki.

Zamiast Wesa udaje mi się wypatrzyć Taryn i TK. Mimo wszystko czuję ukłucie na myśl, że najlepsza koleżanka porzuciła mnie, żeby tu przyjechać. Zachodzę ją od tyłu i nim TK zdąży ją ostrzec, zasłaniam oczy rękami.

– Zgadnij, kto to – mówię dziewczęcym, radosnym, piskliwym głosem.

– Joss, zawsze rozpoznam twój głos. No i palce także – mówi.

Przyglądam się swoim dłoniom, trochę się wstydząc odcisków i brudu za krótkimi paznokciami.

– No więc: zamierzałaś powiedzieć mi o przyjeździe tutaj już po fakcie? A może liczyłaś, że ten temat nigdy nie wypłynie? – Stoję z ręką na biodrze, kiedy obok przechodzi McKenna i zatrzymuje się, żeby porozmawiać z jedną z przyjaciółek. Przybiera dokładnie taką samą pozę jak ja, więc szybko opuszczam rękę i przestępuję z nogi na nogę.

– Jestem tym równie wkurzona jak ty. Uwierz mi – mówi Taryn. Zdejmuje trampki. Podnosi na mnie wzrok i zaciska usta. – Rodzice odwołali swój wyjazd. Zdecydowali, że jednak mają ochotę spędzić swoją rocznicę w domu, urządzając sobie wieczór filmowy ze mną... i moim nowym facetem.

Wybucham śmiechem, a ona przewraca oczami, podchodzi do rozłożonego przez nas koca i rzuca buty w róg, obok moich.

– Mieliśmy właśnie... *no wiesz...* kiedy wparowali rodzice z filmami, stekami i planami. Wypuściłam ukradkiem TK przez garaż, a kiedy przedstawili mi swój pomysł spędzenia wieczoru, przeprosiłam i wyjaśniłam, że obiecałam już TK, że pojedę z nim na plażę.

– Ale to jednak urocze, że swoje święto chcieli spędzić z tobą. –

Uśmiecham się słodko, powstrzymując głośny śmiech.

– Taa, super. Teraz nie dość, że jestem złą córką, to na dodatek sfrustrowaną seksualnie. – Krzyżuje ręce na piersi. Marszczy brwi, aż w końcu TK ją przytula i całuje w szyję.

– Ten pomysł z plażą nie jest taki zły – mówi chłopak i puszcza do mnie oko.

– W sumie nie – chichocze Taryn i odwraca się w jego stronę. Ich usta łączą się ze sobą, a ja zostaję zapomniana.

Zmywam się i ruszam w stronę Kyle’a, Connera i Leviego. Ścisną mnie w żołądku, bo nie ma z nimi Wesa. To oznacza, że jest gdzieś indziej – z kimś innym. I nie mija dużo czasu, a go dostrzegam.

Nie stoi obok niej, ale na tyle blisko, że McKenna co rusz dotyka podczas rozmowy jego ramienia. On nie sprawia wrażenia zainteresowanego, no ale jednak nie odchodzi.

Jedna z koleżanek McKenny przyjechała wielkim jeepem, którym wjechała częściowo na piach. Wiem, że za coś takiego można dostać mandat, ale znając moje szczęście, nie zjawi się tu dzisiaj żaden patrol. A nawet jeśli, założę się, że McKenna zatrzepotałaby rzesami i wybawiła przyjaciółkę z opresji.

Z tyłu jeepa znajduje się duży głośnik i właśnie z niego dudni muzyka. Wokół gromadzi się coraz więcej ludzi. Jeszcze nie rozpalono ogniska, ale dookoła stosu porozkładano koce i ręczniki. Mam nadzieję, że ten McKenny zajmie się później ogniem.

Nie ukrywam się z tym, komu się przyglądam, a kiedy Wes patrzy w moją stronę, witam go machnięciem ręki i uniesionymi brwiami. Odstawia swój kubek na jeepa i mówi coś do McKenny, po czym rusza w moją stronę. Ona odwraca się i piorunuje mnie wzrokiem. A mi serce bije jak młotem.

– Hej – mówi Wes, oglądając się na McKennę, której wzrok wbija się w

nas niczym wiązki lasera. Odchylam się w bok, żeby nawiązać z nią kontakt wzrokowy i macham do niej z przesadnym entuzjazmem. Marszczy brwi, bierze pozostawiony przez Wesa kubek i zaczyna iść w naszą stronę.

– Twoja laska trochę wkurzyła się, że ją porzuciłeś – mówię. Kiedy patrzy na mnie pytająco, wskazuję głową na zagniewaną McKennę.

– To nie jest moja laska – chichocze Wes.

Moje usta zaczynają się wyginać w uśmiechu, ale w tym momencie McKenna staje obok Wesa, bierze go pod ramię i wręcza kubek.

– Zapomniałeś drinka, skarbie – szczebiocze.

Wes unosi brew, ale bierze od niej kubek.

– Eee, dzięki – mówi i zerka na mnie. Czeka z bladym uśmiechem na twarzy, zasmucona tym, że mam rację.

– Hej, Joss! – woła Levi, a ja odwracam się w jego stronę. W jednej ręce trzyma kij, a w drugiej dużą, miękką piłkę. – Co ty na to? Zagramy?

– No ba! – odkrzykuję, porzucając Wesa i tę sukę, która podobno nie jest jego laską.

Z dziewczyn tylko ja i Taryn postanawiamy włączyć się do gry i upieram się przy tym, żebyśmy grały w jednej drużynie. Levi się wkurza, kiedy Kyle pierwszy mnie wybiera, więc w ramach rewanżu udaje mu się przekonać Wesa, żeby dołączył do jego drużyny. Kiedy już mamy dwie szóstki, rzucamy monetą i wygrywa Levi. Zgłaszam się na miotacza, bo to miękka piłka i generalnie cały mecz polega na rzucaniu jej od dołu w stronę pałkarza. Kyle jest szybki i przyda się do łapania.

Obok złożonego ręcznika staje Levi i odbija moją pierwszą piłkę. Jest ciężka i nie leci tak daleko jak normalna, ale Kyle i tak musi zrobić wyskok, żeby ją złapać.

– Tak trzymaj, a poinformuję trenera, że jesteś dobry w te klocki. Przeniesie twoje dupsko na środek – drwi Levi, a Kyle pokazuje mu

środkowy palec.

Następny do gry wkracza Wes, a ja staram się ignorować to, jak na mnie patrzy. Rzucam trzy razy, a on wszystkie puszcza, zanim więc zrobię kolejny zamach, podchodzę do niego i pokazuję mu piłkę.

– Wszystkie można było odbić. Nie zachowuj się jak palant.

– Nie zachowuję się jak palant – odpowiada i pozwala, aby kij opadł mu na ramię. Patrzy mi w oczy.

– No to uderz w tę cholerną piłkę – mówię, posyłając mu wyzywające spojrzenie.

– Stoisz za blisko.

– Gówno prawda. Stoję tam, gdzie trzeba. A teraz machaj tym kijem. – Po tych słowach odwracam się na pięcie i wracam na swoje miejsce.

Wes wzdycha i końcem kija dotyka ręcznika.

– Rzuć łukiem, a wtedy wybiję ją ponad ciebie – mówi.

– Pieprz się. Nie będziesz mi mówił, jak mam rzucać – krzyczę, po czym posyłam piłkę tak, że leci płasko i powoli. Wes pozwala, aby go minęła. Łapie ją Taryn i odrzuca do mnie.

– Nie chciałem cię trafić, Joss – wyjaśnia Wes, po raz kolejny opierając kij o ramię.

– Złapałabym ją – zapewniam.

Mija kilka długich sekund tego pojedynku płci. Wiem jednak, że chodzi o coś więcej. Wes nie chce zrobić mi krzywdy. Jestem gotowa ustąpić i zamierzam rzucić piłkę po łuku, tak jak prosił, ale w tym momencie zaczyna go dopingować McKenna.

– Dalej, Wes, skarbie. Dasz sobie radę!

Skarbie.

Wycofuję się i rzucam kolejną płaską piłkę, prosto do Taryn. Wes kręci

głową.

– Gdybyśmy mieli sędziego, uznałby *strike* – mówię, klaszcząc w dłonie, na co Taryn odrzuca mi piłkę. Powtarzam rzut. – *Striiiiike* – wołam. Niemal cieszę się, kiedy Wes wzdycha, wyraźnie rozczarowany moim zachowaniem.

– Daj spokój, Joss. Chcesz, żebym to ja rzucał? Daj mu to, czego chce i już! – woła Kyle, stojący kilka metrów za mną.

Nie uginam się i kolejną piłkę rzucam w dokładnie taki sam sposób. Wes puszcza cztery następne, ale za każdym razem coraz bardziej się spina, obniża kij i szykuje się do odbicia. Jest na mnie wkurzony, a mi to się podoba. W końcu rzucam szybką piłkę, która po odbiciu przez Wesa kieruje się prosto na moją klatkę piersiową. Nagle wszystko zwalnia.

Trzymając w pogotowiu ręce, robię pół kroku w bok i w tym momencie piłka ląduje w moich dłoniach.

– Aut – mówię, podrzucając kilka razy piłkę. Wes schodzi z prowizorycznego *home plate* i rzuca kij na piach.

– Do dupy – burczy do siebie. Zaczynam czuć się winna, że tak to wszystko rozegrałam, ale wtedy do Wesa podbiega McKenna, kładzie mu dłonie na ramionach i zaczyna je masować. Poczucie winy od razu znika.

Niedługo potem jest kolejny aut, no i nadchodzi nasza kolej na odbijanie piłki. Drużyna Leviego nie jest taka silna. Nasza szóstka doskonale sobie radzi. Podczas drugiej rundy słońce chyli się ku zachodowi, grożąc tym, że odbierze ostatnie promienie i zakończy naszą grę. Pragnąc jeszcze jednej szansy, staję na *home plate* i szybko odbijam piłkę, następnie biegnę do pierwszej bazy, gdzie gra Wes. Levi chybia, a ja rzucam się na ręcznik. Chłopak wymachuje kilka razy ramieniem, jakby go bolało, a potem tłumaczy się, że nie jest przyzwyczajony do rzucania piłką takiej wielkości.

– Pokonała cię laska – przekomarzam się.

– A tam, daj spokój. Chcesz mi powiedzieć, że ta piłka jest podobna do

tej od baseballu? Błagam – mówi. Schyla się, podnosi okrągły kamyk, podrzuca go kilka razy, po czym patrzy na mnie. – Założę się, że gdybym nim rzucił, Kyle nie miałby żadnych szans.

– Chyba śnisz – śmieje się Kyle, uderzając czubkiem kija w ręcznik i przybierając taką postawę, jakby rzeczywiście szykował się do zamachu.

– Okej, ale Conner na pewno nie – oświadcza Levi.

– Ile? – pyta Conner, wstając z piasku. Otrzepuje szorty i bierze kij z rąk brata.

– Dwadzieścia dolców – uśmiecha się drwiąco Levi.

– Hej, to kiepski pomysł. Prawie niczego już nie widać – odzywa się Wes.

– Ja widzę dobrze – rzucam i ignoruję jego obecność obok siebie, mimo że wyczuwam, jak z frustracją przestępuje z nogi na nogę.

– Dawaj – mówi Levi i idzie na pozycję miotacza.

Conner staje na *home plate*, a Kyle bierze jedno ze składanych krzeseł i ustawia, żeby Levi miał w co celować. Rzuca kamieniem, a ten przefruwa obok Connera, którego zamach jest o sekundę spóźniony.

– To był tylko test – żartuje Conner. Kładzie ręce za plecami i wykręca je kilka razy.

– Jasne – prycha Levi.

Kyle odrzuca mu kamień, a Levi szykuje się do kolejnego rzutu. Tym razem kamień leci wolniej. Zamach Connera okazuje się ciut szybszy. Zgrywają się na tyle, że metal uderza o kamień, nikt jednak nie wie, dokąd poleciał.

Nikt.

Z wyjątkiem Wesa.

I mnie.

Jego spojrzenie pada na moją twarz.

Serce wali mi jak młotem.

Oddycham przez nos i wcale nie przychodzi mi to łatwo.

– Cholera, nawet go nie widzę! – mówi Conner, obiegając radośnie bazy.

– Jak ty w niego, kurwa, trafiłeś? – pyta Levi, kopiąc w piach. – Cholera!

– Dwadzieścia dolców, stary. Dwadzieścia dolców! – woła Conner i okrąża ostatnią bazę z rękami nad głową.

Przełykam ślinę i pozwalam sobie mrugnąć, ale tylko raz, w obawie, że coś przegapię, jakąś sztuczkę albo złudzenie. Wiem jednak, co widziałam. Kamień odbił się od kija Connera i leciał prosto między moje oczy. Nie było czasu na wykonanie żadnego ruchu. Nie było czasu na reakcję. Mój mózg zdążył jedynie zarejestrować, że zbliża się ból – wielki ból.

– Pokaż rękę – mówię cicho do Wesa, żeby inni mnie nie słyszeli.

– Nie – odpowiada i zaciska usta. Przez jego twarz przemyka cień.

– Pokaż. Wiem, co widziałam, Wes. Pokaż mi – upieram się.

Nasza grupa zbiera właśnie ręczniki i kieruje się w stronę ogniska. Wes odrywa ode mnie wzrok i podnosi ręcznik, który leży obok naszych nóg, a kiedy się prostuje, znowu go pytam:

– Co trzymasz w dłoni, Wes?

Tym razem nie odzywa się ani słowem. Robi krok w moją stronę i nagle jego postać góruje nade mną. W jednej ręce trzyma ręcznik, a drugą ma zwiniętą w pięść, skrywając w niej tajemnicę. Usta ma zaciśnięte w cienką linię i jestem pewna, że to, co widzę w jego oczach, to ostrzeżenie.

– Wes... – zaczynam. On jednak kręci głową.

– Przestań... – rzuca przez zaciśnięte zęby i powoli zamyka oczy.

Wypuszcza z płuc całe powietrze.

– Jak to zrobiłeś? – pytam, nie męcząc go dłużej o pokazanie dowodu.

Nie potrzebuję go, wiem, co widziałam.

– Nic nie zrobiłem, Joss – odpowiada, podchodząc jeszcze bliżej, tak blisko, że nie widzę nic oprócz niego. Unoszę rękę i kładę na jego torsie po to, aby poczuć jego oddech. Patrzę na swoje palce, próbujące wyczuć jego puls, który zagłusza krew przepływająca przez opuszki moich palców.

Powoli i z rozmysłem przesuwam dłoń w prawo, a moje palce prześlizgują się po jego twardej klatce piersiowej, ramieniu, bicepsie, aż docierają do niczym nieosłoniętego przedramienia i w końcu do nadgarstka.

– Wes – mówię cicho. To moja prośba o to, żeby mi zaufał. Muszę to zobaczyć. Potrzebuję tego – potwierdzenia. Nie wiem, co to oznacza ani czemu tak naciskam, żeby się ugiął, ale rozum musi wyłapać sens z tego, co się stało.

Podnoszę wzrok, a kiedy to robię, czekają już na mnie oczy Wesa. Wpatruję się w nie, ignorując swoje imię, które ktoś woła jakieś trzydzieści metrów dalej. Fale odbijają się od brzegu, a kiedy znikają ostatnie ślady słońca, powietrze staje się chłodne. Gdy spojrzenie Wesa pada na moją dłoń, dotykającą jego nadgarstka, także opuszczam wzrok i szepczę:

– Pokaż mi.

Odwraca dłoń i prostuje po kolei wszystkie palce, aż w końcu wysuwa się z nich gładki, pomarańczowy obiekt, który następnie upada na piach u naszych stóp. Oddech więźnie mi w gardle i choć chcę schylić się po kamień, nie jestem w stanie się ruszyć.

– Wes, idziesz? – Głos McKenny wdziera się do naszego snu. Naszego prywatnego snu. Ta dziewczyna jest intruzem i z miejsca jej nienawidzę. Przenoszę szybko wzrok na twarz Wesa i widzę, że ta jest pozbawiona wyrazu.

– Zaraz przyjdę – odpowiada, ani na chwilę nie odrywając ode mnie wzroku.

Oboje otuleni jesteście ciemną peleryną zmierzchu i znajdujemy się na tyle daleko od pozostałych, że nasze słowa należą tylko do nas. Teraz czas na pytania. Teraz pora na prawdę.

– Powiedz – mówię, a usta drżą mi z nadzieją.

Znowu słyszę imię Wesa, a on na chwilę odrywa ode mnie wzrok, ale tylko na chwilę. Już prawie tam był. Wiem to. Czułam to.

Christopher.

To sekundowe oderwanie wzroku od moich oczu okazało się być jednak wystarczające.

– Nie mam nic do powiedzenia, Joss. – Jego twarz na nowo przybiera wyćwiczony wyraz obojętności. Odsuwa się ode mnie i rusza w stronę światła rzucanego przez ognisko.

Podchodzi do McKenny, a ona bez wahania wciska mu się pod ramię – ulgę przynosi mi jedynie fakt, że Wes wydaje się skrępowany i jego ręka nie do końca ją obejmuje.

Nadal jesteś tutaj... ze mną.

Czekam w ciemnościach, a Wes w końcu odsuwa się od McKenny i dołącza do braci. Widzę, że Taryn mnie szuka, więc podbiegam do przyjaciółki i namawiam, żeby przeszła się ze mną do furgonetki, na której pace stoi beczka z piwem. Choć Taryn wypowiada milion słów na minutę, nie rejestruję ani jednego.

Podchodzimy razem do tylnej klapy i pozwalam, aby to ona pierwsza napełniła swój kubek, ja zaś nasłuchuję rozmowy McKenny z koleżankami. Mówi o Wesie, ale zdaje sobie sprawę z mojej obecności, więc ścisza głos. Zresztą pewnie kłamie. Słyszę, jak mówi coś o tym, że Wes był u niej w domu, ale szczegóły mi umykają, kiedy Taryn odwraca się i proponuje, abyśmy spotkały się przy ognisku.

Za mną zdążyła już ustawić się kolejka, więc podkładałam kubek pod

kranik i zaczynam go napełniać, dzieląc uwagę między to zadanie a McKennę. Gdy kończę nalewać piwo, dostrzegam, że dziewczyna robi krok w tył i mówi koleżankom, że zaraz wraca. Jej kubek stoi na końcu furgonetki, dosłownie kilka centymetrów od mojej ręki.

Przez głowę przemyka mi całe mnóstwo możliwości, a niektóre są naprawdę podłe. Decyduję się na coś prostego, kłopotliwego i krępującego. Szybko wyjmuję z prawego ucha kolczyk, przekłuwam nim bok jej kubka, dzięki czemu powoli zaczyna z niego kapać.

Wkładam właśnie z powrotem kolczyk do ucha, kiedy wraca McKenna. Na mój widok drwiąco się uśmiecha.

– Kto cię zaprosił? – pyta, biorąc do ręki swój kubek.

Kap, kap, kap.

Uśmiecham się. Od tygodni nie czułam takiej satysfakcji.

– Kyle. Żeby cię wkurzyć – odpowiadam, wiedząc, że on nie miałby nic przeciwko temu.

– No to mu się to udało. – Wzrusza ramieniem i przystawia kubek do ust. Uśmiecham się, kiedy pierwsze krople spadają na jej białą koszulkę. Im mocniej przechyla kubek, tym kropli jest coraz więcej.

– No i dobrze – mówię i odwracam się, nim McKenna zdąży choćby się wzdrygnąć. Idę w stronę Taryn, ale dostrzegam, że stoi w towarzystwie wszystkich braci Stokes i że wzrok Wesa wbity jest we mnie. Widział. Widział wszystko. A ja czuję się jak niegrzeczne, małostkowe dziecko.

Cholera.

Zamiast dołączyć do grupy, podchodzę do naszego koca i biorę z niego sweter. Zakładam go i obciążam rękawy, żeby schować również dłonie. Krzyżuję ręce na piersi i zaczynam powoli iść, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

Nie chcąc, aby ktoś za mną poszedł.

Docieram do molo. Na jego końcu jeszcze nie zapalono lamp, więc ukrywam się pod płaszczkiem ciemności.

– Co robisz, Joss?

Wiedziałam, że przyjdzie.

– Miałam ochotę na mały spacer – odpowiadam, po czym chichoczę.

– Sama? – pyta Wes. Podchodzi bliżej. Słyszę teraz jego kroki na drewnianym podeście. W trakcie meczu był bosy, przy ognisku także, ale teraz słyszę odgłos uderzających w drewno podeszew.

– Nie jestem sama – mówię i zdejmuję sweter, po czym unoszę go nad głowę, pozwalając, aby wiatr poruszał nim niczym flagą. – Ty tu jesteś.

W końcu sweter upada za mną. Kroki Wesa cichną. Podnosi go.

– Co powiesz na to, żebyśmy oboje wrócili do ogniska? Zimno tutaj – stwierdza.

Denerwuje się. *Czemu się denerwujesz, Wes? Boisz się, że będę ci zadawała kłopotliwe pytania?*

– Mi tutaj się podoba. – Mijam niewielki punkt obserwacyjny i docieram na skraj molo. Na niebie wisi półksiężyc, ale to wystarczy, żeby fale połyskiwały jak kryształki.

– Taa, rozumiem – chichocze Wes i podchodzi do mnie. Zerkam na niego kątem oka. On także wpatruje się w wodę.

Oboje stoimy w milczeniu niemal przez minutę. Czas płynie tak powoli, że w końcu staje się dla mnie czymś w rodzaju testu: sprawdzam, jak długo jestem w stanie wytrzymać w ciszy, w tak bliskiej odległości od Wesa. W pewnym momencie drzę i chwilę później na ramionach wyczuwam łaskotanie. Odwracam się i widzę, że Wes podaje mi sweter. Kręcę głową.

– Dobrze mi tak – mówię i uśmiecham się lekko, po czym wracam do kontemplowania głębokiej czerni oceanu.

– Jakżeby inaczej. – Wes śmieje się cicho, a ja ponownie kieruję na niego

wzrok. – Dlatego zrobiłaś dziurę w kubku McKenny? Bo jest ci dobrze?

Przygryzam górną wargę, walcząc z zażenowaniem. Patrzę Wesowi w oczy i po kilku sekundach na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

– Nie, zrobiłam to, bo McKenna jest suką.

Wes kręci głową, a ja odwracam się, prezentując mu swój profil. Chłopak nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Wiesz, że jeśli chodzi o mnie i McKennę, to jesteśmy tylko przyjaciółmi, tak? – odzywa się. – Właściwie to nawet nie prawdziwymi przyjaciółmi. My jedynie... sam nie wiem... kolegujemy się? Prawie jej nie znam.

Śmieję się cicho, po czym kłamię:

– Wes, nie obchodzi mnie, co łączy ciebie i McKennę.

Tak naprawdę obchodzi i to bardzo. Bardziej niż powinno, bardziej niż chcę. McKenna ma szczęście, że poprzestałam na przebiciu kubka. Moje pozostałe pomysły na zemstę były zdecydowanie mniej niewinne. Oddycham głęboko, po czym odwracam się i opieram plecami o drewnianą barierkę.

– Obchodzi mnie za to fakt, że w stronę mojej głowy z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę leciał kamień, a ty go złapałeś i twoja dłoń nie jest nawet posiniaczona – mówię, wiedząc, że nie pokaże mi dowodu przeczącego mojej teorii. Bo nie ma czego pokazywać. Zamiast tego chowa ręce do kieszeni i przestępuje z nogi na nogę. Wzrok wbija w drewniany pomost. – Obchodzi mnie fakt, że złapałeś mnie w powietrzu i ochroniłeś swoim ciałem, kiedy wylądowaliśmy na asfalcie. Wyszedłeś z tego bez szwanku, Wes. Parę zadrapań, to wszystko. – Unoszę rękę i obracam tak, żeby zaprezentować wielką ranę na łokciu.

Unosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają. Nic jednak nie mówi. Usta ma zaciśnięte. Przetyka głośno ślinę.

– Obchodzi mnie to... – kontynuuję i wyciągam rękę w jego stronę.

Ostatecznie zaciskam ją jednak w pięść i opuszczam. – Tak naprawdę w tej chwili obchodzi mnie jedynie fakt, że uratowałeś mi życie, kiedy byłam mała. Najgorsze, co wydarzyło się w moim życiu, stało się na twoich oczach, a kiedy mała mnie to nie zabiło, ty mnie uratowałeś. I nie chcesz do tego się przyznać. Nie chcesz przyznać się do niczego, ale... ale to, że jesteś Christopherem, że jesteś chłopcem, którego wtedy znałam... właśnie tego najbardziej się wypierasz.

– Joss – wzdycha. Otwiera usta, gotowy na to, aby nakarmić mnie kolejnymi kłamstwami.

– Nie – mówię, unosząc rękę. – Powiedz mi, Wes. Co byś zrobił?

Marszczy czoło i wydaje się niezadowolony, niemal zły.

– Co byś zrobił, Wes, gdybym teraz... – Urywam i unoszę jedną bosą stopę, staję na drewnianej barierce i szybko się podciągam, po czym siadam.

– Joss... – Wes podchodzi do mnie, wypowiadając nerwowo moje imię. Oczy ma szeroko otwarte, ale jego ruchom towarzyszy powściągliwość.

– Nie umiem pływać. Wiedziałaś o tym? To znaczy umiem, ale bardzo słabo – mówię. Przenoszę stopę na kolejną belkę i powoli wstaję.

– Joss, przestań. Przestań! Joss... przerażasz mnie. – Rzuca się w moją stronę, ale ja szybko się odsuwam.

– Powiedz mi, Wes. Chcę poznać prawdę. – Nasze spojrzenia krzyżują się, grając w prawdę czy wyzwanie. Jest jak sparaliżowany, skupiony na każdym moim ruchu.

– Joss, nie ma... prawdy. Nie wiem, o czym ty mówisz. Kamień leciał w twoją stronę, a ja po prostu go złapałem. Miałem szczęście, Joss. Jezu! Kurwa, Joss. Schodź stamtąd.

– Nie sądzę – odpowiadam i przechylam się w tył w akcie wiary. Pokładam wiarę... zaufanie w Wesie. W Christopherze.

Nic mi się nie stanie.

Tafla wody znajduje się niżej, niż sądziłam i mniej więcej w połowie drogi zaczyna we mnie buzować adrenalina. Macham szaleńczo rękami, ale nie krzyczę. Jestem w zbyt wielkim szoku, żeby z mojego gardła wydobył się jakikolwiek dźwięk. Uderzenie okazuje się gwałtowne i choć pierwsze w wodzie zanurzają się nogi, ułamek sekundy później słone fale zalewają mi twarz. Zachłystuję się i wymachuję rękami i nogami, próbując wydostać się na powierzchnię.

Ale ani przez chwilę tak naprawdę się nie boję. Myślę, że nie krzyknęłam dlatego, że wiedziałam, że on nie da mi utonąć.

Nie słyszę go. Czuję. Ręce Wesa obejmują moją klatkę piersiową, po czym biorą mnie pod pachy, a jego nogi pokonują zawzięcie wodę, pomagając nam się wynurzyć. Wes stawia czoło falom, aż znajdujemy się na tyle blisko brzegu, że pod stopami wyczuwamy grunt. Kaszląc, wychodzę z wody, a mokre dzinsy kleją mi się do ud. Cała trzęsę się z zimna.

– Wiedziałam – mamroczę, szcękając zębami. Idę, aż docieram do suchego piasku. Podnoszę twarz ku niebu, uśmiecham się szeroko, a chwilę potem zaczynam się śmiać.

– Do cholery, Joss!

Wes staje za mną. Obejmuję się ramionami i odwracam w jego stronę. Nie przestaję się uśmiechać.

– Wiedziałam! – oświadczam, tym razem głośniej.

– Co wiedziałaś? Jezu, Joss... zachowujesz się jak obłąkana. Mogłaś... mogłaś się utopić! Co ty sobie myślałaś? – W głosie Wesa słychać gniew. Marszczy czoło, na jego twarzy widać krople lodowatej wody, a jego ciało otulają mokre dzinsy i koszula.

– Wiedziałam, że mnie uratujesz. *Wiedziałam!* Powiedz to, Wes. Powiedz. Jesteś nim, prawda?

– Do diabła, Josselyn! Przestań! – woła i podchodzi do mnie gniewnie, po

czym chwyta za nadgarstki. Nie potrząsa mną, ale nachyla głowę, aby spojrzeć mi w oczy. – Nie jestem jakimś superbohaterem. A ty... ty nie jesteś nieśmiertelna! Musisz przestać, Joss. Musisz dać sobie spokój z tym obłąkanym pomysłem, który pozbawia cię rozsądku i umiejętności logicznego myślenia. Miałem po prostu szczęście.

– Wcale nie. Wiem to – zaczynam, ale Wes szybko wchodzi mi w słowo.

– Tak, Joss. Jezu, udało mi się chronić cię przy pomocy cudownych zbiegów okoliczności. Kogo ty we mnie widzisz? Niezwycięzonego chłopca ze swojej przeszłości? Joss... miałem szczęście. Posłuchaj... – Uścisk jego dłoni jest niemal rozpaczliwy. – Nie możesz mnie tak ciągle testować. Nie możesz żywić tych obłąkanych złudzeń, Joss. Pewnego razu mi się nie uda. Rozumiesz? Nie uda mi się, Joss.

– Wcale... wcale nie – szepczę i łamię mi się głos. Tracę go... tracę Wesa.

Robi krok do tyłu, przeczesuje obiema dłońmi mokre włosy, pociąga za nie, unosi twarz ku gwiazdom i zaczyna powoli się obracać.

– Tak, Joss. Nie uda mi się. I nie będę w stanie cię uratować. – Przerywa swój powolny, samotny taniec, po raz kolejny stając twarzą do mnie. Zwiesza głowę i oczy ma pełne smutku. – Nie potrafię uratować cię przed tobą, Joss. Proszę... odpuść.

Po chwili odwraca się i zaczyna iść w stronę swojej furgonetki. Ja stoję w miejscu, a moje ciało zaczęło już przystosowywać się do zimna – robię się odrętwiała. Wes zatrzymuje się przy TK i Levim, mówi im coś, po czym podchodzi do samochodu. Siedzi w nim przez kilka minut, z włączonym silnikiem i światłami, aż w końcu odjeżdża.

Zostawiam sweter na molo. Ofiara dla bogów – dowód, że rzeczywiście tam byłam.

Nie przeszkadza mi zimno.

I może Wes ma rację. Może rzeczywiście niczego nie wiem.
Może... może rzeczywiście miałam po prostu szczęście.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

JESTEM IDIOTKĄ.

Tak często jestem idiotką.

Mimo wszystko nie potrafię nie myśleć o tym, co w piątek wydarzyło się na plaży. Wes wszystkiemu zaprzeczył, ale wyraz jego twarzy mówił co innego. Kamień od mojej twarzy dzieliły zaledwie centymetry, a jemu udało się go złapać bez najmniejszych problemów. Kiedy patrzył na mnie, błysk w jego oczach okazywał się aż nadto znajomy.

Jego oczy rzucały mi ostrzeżenie, ale krył się w nich także strach.

Wiem, że muszę odpuścić sobie te myśli – o Wesie i Christopherze. Mimo tego, nie chcę. Nie mogę.

Kiedy Kyle nad ranem podrzucił mnie do domu, powitała mnie cisza. Spodziewałam się, że dom będzie pusty, kiedy jednak zajrzałam do pokoju taty, okazało się, że leży na łóżku we wczorajszym ubraniu. A więc dotarł do domu samodzielnie, ja zaś wyjątkowo miałam chwilę spokoju.

Każdy wieczór wyglądał jednak inaczej. Drink w rękę mojego ojca to nieodzowny element po meczu czy treningu. Wczoraj musiałam mu pomóc dojść do łóżka. Utknął gdzieś pomiędzy fotelem a korytarzem, no i nie mogłam go tak zostawić. Jestem silna, ale on jeszcze silniejszy – a kiedy się uprze, nie da się nim manewrować. Po pijaku nie okazuje posłuszeństwa. Walczy ze mną. Rani mnie. Godzinę trwało, nim zaciągnęłam go z salonu do sypialni. A to niecałe dziesięć metrów.

Mimo to każdego ranka wstaje i wraca do swojego drugiego życia. Widzę jednak, że to wszystko się na nim odbija. Dzieje się tak od lat, pozerając jego

osobowość. Mój ojciec nie ma żadnych przyjaciół. Ma drużynę. I myślę, że właśnie dlatego wstaje rano z łóżka. Żyje dla drużyny. Bo z całą pewnością nie dla mnie.

W tym tygodniu miał dwa mecze – mecze wyjazdowe, dlatego on i Wes musieli wcześniej wyjść ze szkoły i jechać na południe. Moje rozgrywki odbywały się na miejscu. Dobrze grałam. Nikogo to jednak nie obchodzi. Po powrocie do domu albo ukrywałam się w swoim pokoju, albo szłam do Taryn. Tak sobie wszystko wyliczałam, że kiedy wchodziłam do salonu, wyjmowałam opróżnioną do połowy szklanę z ręki ojca i gasiłam światło. Choć ta rutyna nie należała do wesołych, dawało się ją znieść.

Mogłam tak żyć.

Nie mogę jednak żyć z tym nowym uczuciem, łączącym Wesa i mnie. Unika mnie. Możliwe, że ja jego także. Trochę. Podczas tych dwóch wspólnych lekcji zachowujemy się jak nieznajomi, a kiedy jedno z nas dołącza do naszej niewielkiej grupki przyjaciół, wtedy drugie odchodzi.

Taryn to dostrzega. I żywi przekonanie, że powodem jest moja zazdrość. Łatwo zrzucić winę na McKennę i być może rzeczywiście częściowo to przez nią unikam Wesa. Nie jest to jednak jedyny powód.

Jestem idiotką. Oto główna przyczyna. Tak bardzo wierzyłam, że mnie uratuje, całym swoim sercem – ale jego reakcja kazała mi zacząć myśleć, że to on ma rację, nie ja. Miał szczęście. Ja miałam szczęście.

Mogło mu się nie udać.

Mogłam zginąć.

– Naprawdę jesteś tak nieugięta, że nie wybierzesz się ze mną na zakupy?
– Głos Taryn przerywa moje rozmyślenia. Kręcę głową i podnoszę wzrok na przyjaciółkę. Najwyraźniej nie usłyszałam sporej części tej rozmowy.

– Zakupy? – pytam, dokładając do frytek i keczupu paczuszkę z solą.

– Nawet mnie nie słuchasz. Super. Co słyszałaś jako ostatnie? Albo...

wiesz co? Poproszę McKennę, żeby pojechała ze mną kupić sukienkę – oświadcza z rozdrażnieniem.

– Nie bądź zołą – mówię.

– Ochhhh, wystarczy, że powiem „McKenna”, a ty od razu mnie słuchasz – drwi.

Przewracam oczami i skupiam się z powrotem na frytkach. Wyciskam na nie keczup.

– Bal walentynkowy, Joss. Który ty określasz mianem głupiego, a na który ja zawsze miałam ochotę się wybrać, nie robiłam tego jednak, bo zamiast tego zawsze dawałam się przekonać najlepszej przyjaciółce do nawalenia się razem z bliźniakami – oświadcza.

– Nigdy nie zabroniłam ci iść – mówię i zaciskam usta.

– Jasne – odparowuje z identyczną miną jak moja.

– W tym roku się wybierasz, więc w czym problem? – pytam. – Już ci mówiłam, że mam za dużo na głowie. Pracuję. Poza tym chcę uzbierać kasę na nowego iPoda i buty sportowe. Sto dolców za bilet i kieckę to nie jest część mojego planu.

– W porządku, ale chociaż jedź ze mną na zakupy. Chcę, żebyś pomogła mi wybrać coś ładnego, coś, co według ciebie spodoba się TK. – Patrzy na mnie wzrokiem kota ze *Shreka*. – Proszę.

Wzdycham, ale wiem, że jej ustąpię.

– Nie mam pojęcia, skąd ta wiara w mój gust modowy, ale niech ci będzie. Pojadę. – Wkładam do ust frytkę, a pozostałe oblewam kolejną porcją keczupu.

– Hura! Tak się cieszę. I wiem, że wcale nie aż tak bardzo tego nie cierpisz, a tylko tak mówisz – mruga do mnie.

Naprawdę nie cierpię. Bardzo, ale to bardzo, ale kocham Taryn. Miłość wygrywa.

Zjadam kilka kolejnych frytek, zawijam w serwetkę resztkę pizzy i kładę swój talerz na tacy Taryn. Uśmiecham się drwiąco, kiedy posyła mi spojrzenie pełne irytacji. Wyrzuci za mnie śmieci – to i tak niewielka przysługa w zamian za wspólne zakupy.

Kiedy wstaje od naszego stolika, wyglądam przez okno i widzę, że TK, Levi i Wes parkują właśnie przed szkołą, wróciwszy z przerwy na lunch. Na pace siedzą McKenna i jej dwie koleżanki. Włosy ma w nieładzie i wiem, że ją to wkurzy. Przyznaję, że sprawia mi to przyjemność.

– No więc dzisiaj kolejna wycieczka na plażę? – pytam, kiedy Taryn wraca do stolika.

– Z tego, co wiem, to owszem. Tym razem jednak TK przychodzi do nas na kolację. Boże, ale bym woląa zamiast tego jechać na plażę – wzdycha.

– Wow, a więc nadeszła pora na poznanie rodziców? – pytam, nie pokazując, jak bardzo jestem tym zaskoczona. TK jest jednym z niewielu chłopaków, którzy dotarli do tego etapu.

– No. Sam poprosił. Mówi, że to ważne. – Taryn przygryza kciuk i uśmiecha się nieśmiało.

– Nie wstydz się – mówię, nachylając się w jej stronę. – To urocze. – Uśmiecham się do niej szczerze, ale mój entuzjazm gaśnie na widok Wesa wchodzącego na stołówkę razem z TK i McKenną, która ma na sobie jego bluzę. Taryn podąża za moim spojrzeniem, a ja wstaję od stołu.

– Wiesz, że wcale z nią nie jest. Cholera, Joss, pewnie sama wzięła sobie tę bluzę z furgonetki – mówi do mnie, dochodząc do oczywistego wniosku. – Co się z wami dzieje? Od tygodnia mało co się odzywasz, a na jego widok uciekasz, gdzie pieprz rośnie.

– W ogóle nie obchodzi mnie to, czy są ze sobą, T. Po prostu jestem zajęta. Do zobaczenia w weekend. Ja też pracuję w sobotę na drugą zmianę, pamiętasz? – mówię, posyłam jej wymuszony uśmiech i znikam w samą

porę, unikając spojrzenia Wesowi w oczy.

Patrzył na mnie, kiedy odchodziłam. Często na mnie patrzy. Wyczuwam to. No i jednak nie jestem w stanie zupełnie go unikać. Za parę minut spotkamy się na fotografii, ale tam akurat dam radę się ukryć.

Te zajęcia to zazwyczaj doskonała odskocznia. Choć zdecydowałam się na nie w zasadzie z przypadku, z czasem niesamowicie je polubiłam. W końcu od teorii przeszliśmy do praktyki. Nie było to nic skomplikowanego, głównie fotografowaliśmy siebie nawzajem. Moją partnerką była Courtney. To celująca uczennica, należąca do samorządu cheerleaderek i chyba jeszcze tuzina innych organizacji. Myślę, że jeśli chodzi o oceny, to w naszym roczniku tylko Conner jest od niej lepszy. Nasze wspólne projekty zawsze są wykonane perfekcyjnie i oddawane przed czasem.

Dzisiaj dostajemy na weekend po aparacie i mamy pracować samodzielnie. Nasze zadanie to seria zdjęć czegoś intymnego – czegoś, co opowiada naszą historię. Moja historia jest krótka, smutna, a kiedy wyczuwam na sobie spojrzenie Wesa, przepełnia mnie poczucie, że w sumie to on jest moim „czymś”, ale nie mogę sfotografować jego. Zostałoby to opacznie zrozumiane. Ludzie by się śmiali. Plotkowali. Nie zrozumieliby.

On by nie zrozumiał.

Kazały mi przestać.

Kiedy rozlega się dzwonek, czekam, aż wszyscy zabiorą aparaty. Wes wychodzi, nie odwracając się w moją stronę. A ja nie czuję ulgi, lecz rozczarowanie.

Chowam aparat do ciężkiego plecaka i zakładam go na plecy, po czym wydaję z kieszeni telefon, aby dać Taryn znać, że nie potrzebuję podwózki. Skoro pracuję w sobotę i w niedzielę, to będę musiała dzisiaj zająć się zdjęciami.

Dostaję SMS-a od przyjaciółki: *Nie zapomnij – w sobotę zakupy.*

Odpisuję, że musimy się uwinąć do czternastej, bo potem idę do pracy, a ona przesyła mi zdjęcie złożonych do pocałunku ust. Z uśmiechem wychodzę ze szkoły, ciesząc się, że przynajmniej moja przyjaciółka jest szczęśliwa.

Mija mnie sznur samochodów i dostrzegam jeepa McKenna. Na tylnym siedzeniu widzę Leviego. Macha do mnie, ale kiedy McKenna szybko skręca, chłopakiem zarzuca do tyłu i jego ręka znika mi z pola widzenia. Czekam aż przejedzie jeszcze kilka samochodów i dopiero wtedy wciskam guzik na przejściu dla pieszych. Kiedy światło zmienia się na czerwone, obok mnie zatrzymuje się samochód Wesa.

– Skończyliśmy? – pyta. Szybę ma opuszczoną, wzrok wbity przed siebie.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęłam zielonego światła.

– A coś zaczęliśmy? – odpowiadam, również na niego nie patrząc.

Zmieniają się światła i schodzę z krawężnika, a on podjeżdża jeszcze bliżej. Odwracam się szybko i widzę, że stoi za nim sznur samochodów.

– Przepraszam, ale musisz ustąpić pieszym – mówię głośno.

– Tylko się upewniam, że bezpiecznie przejdiesz na drugą stronę – odkrzykuje. – Bo, wiesz, nie mogę liczyć na to, że podejmiesz słuszną decyzję.

Zatrzymuję się na środku ulicy i uderzam pięścią w maskę jego samochodu. Kiedy zaś podnoszę wzrok, czeka na mnie spojrzenie Wesa i jego cholerny uśmieszek.

– Pierdol się, Wesleyu Stokesie! – wołam i wbijam wzrok w asfalt.

Mój wybuch wyraźnie go bawi, więc robię dwa kroki, ignorując migające światło oznaczające, że wkrótce na skrzyżowaniu zjawią się samochody. Podchodzę do drzwi od strony pasażera i bez wahania kopię je z całej siły, po czym pokazuję Wesowi środkowy palec.

– Pierdol. Się!

Światła się zmieniają i kierowca w samochodzie za Wesem wciska klakson. Nie znam go, ale myślę, że to też uczeń ostatniej klasy. Jemu także pokazuję środkowy palec, a on nazywa mnie suką.

Jeszcze raz kopię drzwi Wesa, następnie poprawiam plecak i przechodzę na drugą stronę ulicy.

– Więc teraz skończyliśmy? – pyta, wjeżdżając na ścieżkę rowerową i jadąc powoli obok mnie. Mijające go samochody trąbią, lecz on nie zwraca na nie uwagi. Przechyla się na stronę pasażera, żeby móc do mnie krzyknąć.

– Nie wiem, o co ci chodzi, Wes. Jestem zajęta, więc sugeruję, żebyś pojechał na plażę do swojej dziewczyny i poczuł się dzięki niej jak szkolny osiłek – mówię, a kiedy słyszę siebie, policzki mi płoną. To ostatnie wymknęło mi się niezamierzenie. Jestem zażenowana, ale także nieźle wkurzona.

– Szkolny osiłek – chichocze, powtarzając moje słowa.

– Nieważne! – wołam i przyspieszam. Nie znoszę tego uczucia i tego, jak się zachowuję. Chcę jedynie, żeby odjechał, kiedy jednak tak robi, czuję ściskanie w klatce piersiowej. – Nieważne – szepczę do siebie i kręcę głową. Z przyzwyczajenia sięgam do tylnej kieszeni džinsów w poszukiwaniu papierosa, ale po ostatnim weekendzie wszystkie wyrzuciłam. To piąty dzień bez fajek. *Brawo ja.*

Podnoszę głowę i dostrzegam, że przecnicę dalej stoi furgonetka Wesa. Drzwi od strony pasażera są otwarte i go dostrzegam, siedzącego z ręką na kierownicy. Co prawda z takiej odległości nie widzę go dokładnie, ale z całą pewnością na jego twarzy widnieje arogancki uśmiech.

Nie zwalniam, ale i nie przyspieszam. Idę tak, jakbym szła, gdyby w drogę nie wszedł mi Wes. Moje serce pędzi jednak jak szalone – jak cholerna Daytona 500. Dochodzę do furgonetki i mijam otwarte drzwi. Chyba wiedziałam, że wysiądzie. Sprawdzam go jak niemądra, zadurzona

dziewczyna.

Jestem niemądrą, zadurzoną dziewczyną.

– Zawsze jesteś taka uparta? Czy tylko w kontaktach ze mną? – pyta, obchodząc samochód. Ręce ma wyciągnięte, jakby zamierzał mnie złapać, gdybym próbowała mu uciec. Bawi mnie myśl, że mogłabym tak zrobić.

– Nie – odpowiadam i zaciskam usta w cienką linię. – Jestem uparta także w kwestii zakupów ciuchowych z Taryn. Jej jednak ustąpiłam, więc sorry, ale okazałam już dzisiaj jedną słabość. Dla ciebie nic nie zostało.

– Dokąd się wybierasz? – pyta, ignorując moją odpowiedź. Idzie powoli tyłem i zastępuje mi drogę za każdym razem, kiedy próbuję go ominąć.

– Cóż... – mówię, po czym zdejmuję z ramion ciężki plecak i stawiam go na chodniku, żeby chwilę dać odpocząć mięśniom. Kładę ręce na biodrach i patrzę na Wesa, mrużąc oczy z powodu słońca. – Mój tato uznał, że powinnam pójść do pracy. No bo przecież mam wydatki. Możliwe, że pamiętasz popsutego iPoda?

Krzywi się.

– A jako że na poniedziałek trzeba mieć gotowe zdjęcia, a mi zostały jakieś trzy godziny ze światłem dziennym, zamierzam zająć się pracą domową – oświadczam. Wymachuję parę razy rękami i schylam się po plecak. Ubiega mnie jednak Wes i wrzuca go do szoferki.

– Josselyn Winters, dziewczynie, która ma gdzieś szkołę, zależy na ocenie z przedmiotu fakultatywnego – mówi. Odwraca się i blokuje drzwi tak, że nie jestem w stanie dosięgnąć plecaka, ale mnie to wkurza.

– No bo wiesz, przejmuję się tym, co lubię. Na przykład robieniem zdjęć, więc zejdź mi z drogi, bo tobą akurat ani trochę się nie przejmuję – warczę. Kiedy tylko wypowiadam te słowa, drżą mi usta. Wes marszczy czoło i wbija wzrok w swoje buty. Ręce wsuwa do kieszeni wypłowiałych džinsów.

– Rozumiem – mówi i zasysa górną wargę. Nie podnosi wzroku. – W

takim razie... może pomogę ci dotrzeć tam, gdzie się wybierasz? Coś, czego tak bardzo nie lubisz, nie powinno stać na drodze temu, co kochasz.

Serce mnie boli z powodu wypowiedzianego przeze mnie kłamstwa, ale tak jest lepiej. Przynajmniej wtedy nie przychodzą mi do głowy szalone pomysły.

– Nie trzeba, Wes. Miałam w planach spacer. Starczy mi czasu, ale muszę już iść. – Sięgam po plecak. Jego dłoń odnajduje mój nadgarstek. Choć robi to szybko, jego dotyk okazuje się delikatny.

– Joss, to tylko podwózka – mówi. Podnoszę na niego wzrok i widzę, że kącik ust ma uniesiony.

Mądrzej byłoby odejść, ale łatwiej ustąpić.

– W porządku – wzdycham.

Schodzi mi z drogi i czeka, aż zapnę pasy, a ja nie do końca mam pewność, czy naprawdę powinnam zostać, czy dać drapaką w chwili, kiedy odejdzie od drzwi. Taka myśl rzeczywiście przechodzi mi przez głowę.

Wes zajmuje swoje miejsce, zamyka drzwi i rusza. Zakręca i zatrzymuje się na skrzyżowaniu, zerkając na mnie z ukosa. Uwielbiam, kiedy tak na mnie patrzy. Chciałabym, żeby choć raz tak zrobił i powiedział coś słodkiego – coś przeznaczonego tylko dla mnie.

– Dokąd? – pyta, a ja śmieję się w duchu, bo to pytanie rzeczywiście jest słodkie.

– Skręć w Main Street. Podrzucić mnie w okolice plantacji kwiatów. Chodzi mi konkretnie o jedną z nich, ale nie pamiętam dokładnie o którą. Poznam, jak zobaczę – wyjaśniam.

Wes kiwa głową i skręca, po czym wiezie nas przez obrzeża miasta, wzdłuż zaoranych pól, gotowych na uprawę przyszłorocznych zbiorów, aż dojeżdżamy do farm pełnych zieleni, pośród których widać plamy koloru.

– Jeszcze kawałek – mówię. Nachylam się i opieram łokciami o deskę

rozdzielczą.

Wes się uśmiecha.

– Widzę, że lubisz te plantacje.

– Uwielbiam. – Wypowiadam to słowo, nie patrząc na niego. Moja odpowiedź jest natychmiastowa i płynąca prosto z serca.

Kiedy byłam mała, mój tato wracał z wyjazdowych meczy z naręczem kwiatów. Miał zawsze bukiet dla mamy, ale pamiętał także o mniejszej wersji dla mnie. Pewnego dnia przywiózł mi peonie i te kwiaty szybko stały się moimi ulubionymi. Nie zawsze mógł je dostać. Peonie kwitną w Kalifornii tylko przez krótki czas. Dlatego stały się dla mnie tak wyjątkowe. A mój ojciec potrafił zmusić wiozący drużynę autobus do zatrzymania się gdzieś na pustkowiu, jeśli tylko zauważył uprawę tych kwiatów.

– Tutaj... zatrzymaj się tutaj – mówię bez tchu i odpinam pasy.

Wes zjeżdża na pobocze, a ja otwieram drzwi, nim jeszcze zdąży się zatrzymać. Odruchowo wyciąga rękę i kładzie mi ją na udzie.

– Zaczekaj... proszę. – I głośno przełyka ślinę.

Nie przekomarzam się z nim. Nie wpadam w gniew. Rozumiem. Wystarczająco mocno go nastraszyłam.

Kiwam głową i czekam, aż wrzuci bieg jałowy i dopiero wtedy wysiadam i przeskakuję przez wąski rów, biegnący wzdłuż drogi. Schylam się i dotykam nosem płatków różowego kwiatu, wdychając zapach wspomnień.

Na mojej twarzy automatycznie pojawia się uśmiech.

– Co to za kwiaty? – pyta Wes. Nawet nie zauważyłam, że do mnie podszedł.

– Peonie – wyjaśniam i muskam opuszkami palców miękkie płatki.

– W życiu bym nie pomyślał, że jesteś fanką różowych kwiatów – oświadcza.

Podnoszę na niego wzrok i wystarczy mi jego uśmiech. Jeszcze jedna słodka rzecz. Kciuki ma wsunięte w kieszenie, a słońce opromienia mu twarz złotym pyłem. Jest niesamowicie przystojny i nagle cieszę się, że dzieli ze mną ten moment.

– Muszę wyjąć aparat, dopóki jest dobre światło – mówię.

– Okej, mam zerwać któryś kwiat? Ten, który dotykałaś? – Kuca i chwytam dwoma palcami za łodygę.

– Nie! Zostaw go. Ja... chcę go sfotografować właśnie takiego.

Wes odsuwa się, marszcząc lekko brwi, ale kiwa posłusznie głową.

Biegnę po plecak i wyjmuję z niego Canona. Zdejmuję blendę i chowam ją do tylnej kieszeni. Ściągam flanelową koszulę, którą miałam przewiazaną w pasie, i rozkładam na ziemi, niedaleko rowu. Przyciągam ją w stronę kwiatu, który dostrzegłam jako pierwszy, po czym klękam przed nim, opuszczam się powoli na łokcie i w końcu się kładę.

– Proszę – mówi Wes, ściągnąwszy przez głowę bluzę. Rzuca ją przede mnie. – Żeby nie bolały cię łokcie – dodaje i uśmiecha się półgębkiem.

– Dzięki. – Podsuwam sobie bluzę pod rękę. Pomaga, dzięki temu stabilniej trzymam aparat. Jednak wcale nie dlatego wzięłam ją od niego.

Chwilę to trwa, zanim udaje mi się złapać odpowiednią ostrość: intensywnie różowe płatki, a tło lekko niewyraźne. Pstrykam kilkanaście zdjęć, po czym siadam i rozglądam się za kolejnym kwiatem. Wszystkie wydają się takie same, więc wieszam sobie aparat na szyi, podnoszę z trawy moją koszulę i bluzę Wesa, otrzepuję je i wchodzę między rzędy krzewów.

Rozglądam się po plantacji, upewniając się, czy nikt mnie nie widzi, ale wygląda na to, że jesteśmy sami. Pracownicy zjawiają się wcześnie rano. Mijam sześć czy siedem rzędów i w końcu dostrzegam swój kolejny obiekt.

Rozkładam ciuchy, kładę się, a potem czekam na idealny moment.

– Ten wygląda, jakby był w odwrocie – odzywa się Wes, kucając obok

mnie. Dobrze, że znajduje się z prawej strony, bo dzięki temu nie zasłania światła. Gdyby jednak było inaczej, nie wiem, czy poprosiłabym go o odsunięcie się. Za bardzo cieszy mnie jego obecność.

– Dlatego tak mi się podoba. Już przekwitł, ale zostało jeszcze kilka płatków. – Wzdycham, spoglądając na delikatne, różowe płatki, kurczowo trzymające się ostatnich chwil piękna.

– To jesteś ty? – pyta mnie Wes.

Powoli wciągam powietrze, napełniając płuca tą myślą. *Czy to ja?*

– Czasami – mówię w końcu.

Mijają sekundy, a ja wstrzymuję oddech, cierpliwie czekając. Złote promienie przeczołgują się po ziemi i łodygach przede mną, aż w końcu docierają do mojego kwiatu. Wokół niego tworzy się aureola – niebiosa opromieniają schyłek życia, obdarzając go ostatnim momentem świetności.

Udaje mi się to uchwycić, a chwilę później światło znika, przysłonięte cieniem rzucanym przez sąsiedni kwiat.

– Chyba to mam – mówię i klękam.

Unoszę aparat i przeglądam ujęcia – różnią się od siebie minimalnie i zdecydowanie układają się w jedną całość.

– Piękne – odzywa się Wes, klęcząc za mną i patrząc mi przez ramię. Jego ciepły oddech muska mi szyję. Zamykam oczy i nie odwracam się.

– Dziękuję – mówię. I wcale nie chodzi mi tylko o to.

On wie. Mówi mi to jego zmieniony oddech, to jak wszystko zdaje się zwalniać.

Wstaję, podnoszę nasze rzeczy, otrzepuję z trawy i oddaję Wesowi bluzę. Czeka na mnie i razem wracamy do furgonetki.

Słońce powoli znika za horyzontem i robi się chłodniej, więc przed wejściem do auta zakładam koszulę. Kiedy już siedzę z zapiętymi pasami,

kładę sobie aparat na kolanach. Wes zjeżdża z pobocza i zawraca, a ja jeszcze raz przeglądam zdjęcia. Bez ostrzeżenia z prawego oka spływa mi łza. Wycieram ją szybko i chowam aparat do plecaka.

– Czemu wybrałaś te kwiaty? – pyta Wes.

Oddycham głęboko, po czym przyciągam jedną nogę do klatki piersiowej i ją obejmuję. Kładę na niej głowę i zerkam na niego. O zmierzchu jego twarz wydaje się inna, ale również przystojna.

– Przypominają mi tatę. Przed laty przekazywał mi za ich pośrednictwem, że mnie kochał – mówię. Opuszczam nogę i odwracam się w stronę bocznej szyby. Zamiast plantacji widać już budynki i ogrodzenia.

– Kocha – mówi Wes. Patrzę na niego, marszcząc czoło. – Powiedziałaś „kochał”, ale on nadal cię kocha.

Patrzę mu w oczy, aż w końcu musi skupić się na drodze, a kiedy to robi, śmieję się cicho.

– Wiem, że możesz tak tego nie odbierać, ale on cię kocha. Na okrągło opowiada o tobie. Porównuje nas z tobą.

Zaciekawiona, odwracam się w jego stronę.

– Nie musisz kłamać – rzucam.

Chichocze.

– Nie kłamię. Robi tak. Przynajmniej raz podczas każdego treningu – oświadcza. – Z chłopakami robimy nawet zakłady, kogo tym razem porówna z Joss. Wczoraj mnie.

Mój uśmiech jest subtelny, ale serce mi rośnie. I bije szybciej. Czuję się...

– Co zrobiłeś? No wiesz, czym sobie na to zasłużyłeś? – pytam, licząc, że zrobił coś dobrego, że porównanie go ze mną to nie kara.

Wes śmieje się do siebie i mruży jedno oko, ale w końcu mówi:

– Walnąłem Kyle’a piłką w ramię za to, że zastawia *home plate*. Twój tato powiedział, że też tak kiedyś robiłaś. On to nazwał *szturchaniem*. I twierdzi, że robiłaś to lepiej.

Uśmiecham się teraz od ucha do ucha.

– Rzeczywiście tak robiłam – mówię, przypominając sobie miotanie w szóstej i siódmej klasie. Wtedy jednak byłam przekonana, że mój ojciec nie zwraca na mnie żadnej uwagi. Sądziłam, że irytuje go fakt, iż musi urywać się z treningu, żeby po mnie przyjechać. Zawsze widział tylko ostatnią rundę i tyle.

– I robiłaś to lepiej – uzupełnia Wes, klepiąc mnie lekko po udzie. Odchrząka i zabiera rękę, ale zerka na mnie i kiwa głową. – To właśnie jest w tym najważniejsze. Twój tata mówił, że robiłaś to lepiej.

Przez chwilę jedziemy w milczeniu, a ja myślę o jego słowach.

– Pewnie tak było – odzywam się w końcu, a on kwituje to głośnym śmiechem. Słyszę go po raz pierwszy. Jest donośny i niski i założę się, że wypełnia dom Stokesów, ilekroć Wes przebywa w towarzystwie braci i taty. To mój nowy ulubiony dźwięk.

– Nie należysz do osób skromnych, Josselyn Winters. Trzeba ci to oddać. Jesteś uparta, ale zdecydowanie znasz swoją wartość.

Wzruszam ramionami, lecz uśmiech nie schodzi mi z twarzy, nawet kiedy odwracam się w stronę bocznej szyby. Coraz mniejsza odległość dzieli nas od mojego domu i przyjemne uczucie zaczyna przygasać.

– Dzięki – mówię. Kiedy Wes przechyla głowę w moją stronę, wyjaśniam: – Za to, co powiedziałaś... o tacie? Dzięki. Brakuje mi go. Tego, jaki kiedyś był. I czasami doskwiera mi to wyjątkowo mocno.

Po tych szczerych słowach zapada cisza, a kiedy zerkam na Wesa, widzę że jest pogrążony w myślach. Gdy jednak dostrzega, że mu się przyglądam, natychmiast wraca do rzeczywistości.

– Czemu nie zerwałaś żadnego kwiatka? Albo nie zrobiłaś bukietu? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Ludzie płacą za nie ciężkie pieniądze. To jedyna plantacja w Północnej Kalifornii, a mimo to wystarczy przejść przez rów, by je zerwać. Nie chcę tak robić. Zdarzyło mi się kraść w sklepie. Wychodzić z puszkami piwa pod kurtką. W szkole zwędziałam piłki do softballu, ale nie potrafię ukraść kwiatów, które uważam za takie piękne. Nie chcę wyrywać ich z ziemi po to, aby umarły w moich rękach. Potrzebują korzeni. Potrzebują domu. Nie wiem... to pewnie nie ma żadnego sensu.

– Ależ ma – stwierdza i przygryza dolną wargę. Czeka, aż powie coś jeszcze, on jednak milczy.

Nim podjeżdżamy pod mój dom, trzymam już plecak na kolanach i tulę go do siebie. Moje korzenie uległy zniszczeniu wiele lat temu. Podjazd jest pusty, co znaczy, że mój ojciec wrócił do dawnych nawyków. Będę w pracy, więc zamykam oczy i modlę się, żeby wtedy do mnie nie dzwonił. Muszę pamiętać, aby wyciszyć telefon.

– Zadzwoń do ciebie, no nie? – pyta Wes, zaznajomiony z moją rutyną.

Wzruszam ramionami i otwieram drzwi furgonetki.

– Nigdy tego nie wiem – mówię, zerkając przez ramię na pusty podjazd i otwarte drzwi do garażu, w którym stoi tylko kosiarka i mój popsuty rower. – Ale pewnie tak – wzdycham ciężko.

Kiedy odwracam się tyłem do niego, trzymając się klamki, dostrzegam, że jego wzrok pada na fioletowy siniak na wewnętrznej stronie nadgarstka. Odwracam rękę, ale niewystarczająco szybko.

– To po molo? – pyta Wes, a jego wzrok pozostaje przyklejony do mojej ręki. Obciągam rękaw koszuli, żeby ukryć siniaka.

– Nie – odpowiadam i wiem, że mi nie wierzy. Nie chcę, aby sądził, że

mnie zawiódł. To jedyny chłopak, który tego nie zrobił. – Mój tato... parę dni temu zasnął wieczorem na fotelu i nie zdążyłam złapać szklanki, zanim wypadła mu z ręki. Nie mogłam go tak zostawić. Musiałam zaciągnąć go do sypialni, ale jest ciężki i się przewróciliśmy. Więc...

Wes kiwa głową i wbija wzrok w kierownicę. Zna tę scenę. Sam był świadkiem podobnej.

– Zadzwoń do mnie... jeśli będzie potrzebował pomocy, jeśli ty będziesz jej potrzebowała. Zadzwoń, przyjadę.

Śmieję się cicho do samej siebie i przerzucam plecak przez ramię. Spod paska wyciągam pasmo włosów.

– Myślałam, że nie jesteś moim bohaterem – rzucam drwiąco, ale twarz Wesa pozostaje poważna.

– Nie powinnaś być zmuszona do radzenia sobie z czymś takim w pojedynkę – mówi.

– Taa, cóż... nie jesteś w stanie ratować mnie przed wszystkim, Wesleyu Stokesie. – Kładę ręce na biodrach. – Poza tym jeśli nie odbiorę telefonu, on i tak odnajdzie drogę do domu. Zawsze odnajduje. Hej... dzięki za podwózkę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Uśmiecha się, ukazując dołeczek w policzku. – A zdjęcia masz takie, że będę musiał nieźle zakasać rękawy, żeby ci dorównać.

– Kto twierdzi, że to zawody? – pytam i patrzę na niego, przechylając głowę.

– Och, Joss – chichocze i wrzuca pierwszy bieg. – Z tobą? To zawsze są zawody.

Zamykam drzwi i odsuwam się, lekko przy tym, rumieniąc. On kręci ze śmiechem głową i w końcu odjeżdża, a ja czekam kilka dodatkowych sekund na końcu podjazdu, pełna nadziei, że jednak zawróci.

Nie dzieje się tak, więc wchodzę do domu. Rzucam plecak na podłogę w

swoim pokoju i padam na łóżko. Po kilku minutach siadam i wyjmuję z niego pogniecioną kartkę z podziękowaniami, którą włożyłam tam jakiś czas temu. Uśmiecham się, patrząc na nią, i przesuwam palcami po swoim dziecięcym piśmie. Może to nie on, ale bardzo go przypomina.

Biorę głęboki oddech, po czym kucam i wysuwam spod komody niewielkie pudełko. Chowam do niego kartkę. Podnoszę z ziemi plastikową reklamówkę, którą wczoraj przyniosłam z Jungle Gym. Kryje się w niej mój nowy strój roboczy. Spodnie są czarne i mają kieszenie na biodrach i kolanach. Steven – kierownik – wyjaśnił, że dzięki nim łatwo nosić przy sobie dodatkowy sprzęt – nożyczki, papierowe ręczniki i butelki ze środkiem czyszczącym.

Wyglądam w tym stroju maksymalnie nieatrakcyjnie. Co gorsza, na wszystkich koszulkach moje imię wyszyto z błędem – Jose. Pokazałam to rano Taryn, a ona pstryknęła zdjęcie i zamieściła je na wszystkich swoich kontach w mediach społecznościowych. To kolejny powód, dla którego unikam życia online.

Ubrana jak fanka metalu, związuję włosy fioletową gumką i robię z nich węzeł, żeby nie spadały mi na kark. Do Spider's Jungle Gym mam jakieś pół godziny drogi, więc idąc tam, szukam w telefonie rozkładu autobusów. Choć okolica jest bezpieczna, to jednak samotny spacer w nocy to żadna przyjemność.

I tak zjawiam się kilka minut przed czasem. Jest prawie wpół do ósmej, kiedy wstukuję do komputera swój kod, który zostaje zatwierdzony dopiero po kilku próbach. Z sali zabaw dobiegają ogłuszające krzyki. Początkowo bałam się pracowania późnym wieczorem, zamykania klubu i godzin spędzonych na sprzątanii po przyjęciach urodzinowych. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że nie będzie tak źle.

Prawda?

Dostaję SMS-a od Kyle'a i się uśmiecham. Pracował rano i przez cały dzień było czuć od niego serem i nachosami. Sporo mu z tego powodu dokuczałam, na co on kazał mi poczekać i przekonać się, czym będzie czuć ode mnie. Chyba ma rację – ser wygrywa.

Robię zdjęcie jednemu ze stolików, wdeptanemu w wykładzinę lukrowi i zaschniętym czerwonym plamom w kilku boksach. Wysyłam mu je i czekam na odpowiedź.

Czy to krew?

Śmieję się i odpisuję: *Nie mam pojęcia, stary, ale na pewno nie jest to ser.*

Wyczuwam na sobie wzrok Stevena, stuka palcem w zegarek. Nie znam go dobrze, ale wiem od Taryn, że surowo traktuje przerwy w pracy. Kolejny plus tego, że to ja zamykam klub. Nie będzie nadzorował, ile zajmuje mi to czasu. Wiem, że mam płacone tylko za cztery godziny, ale nie zamierzam się spieszyć, w ten sposób dłużej uniknę prawdziwego życia.

Chowam telefon do kieszeni, przełączając go wcześniej na tryb wibracji, następnie przynoszę miotłę, szufelkę i biorę się za sprzątanie. Mam wrażenie, że to syzyfowa praca, dopóki klub jest otwarty i dzieci biegają wokół, rzucając na podłogę ciastka i papierki po cukierkach.

Stolikami zajmują się kelnerzy pracujący na drugą zmianę, więc ja mogę skupić się na siłowni i innych pomieszczeniach, które tak naprawdę są w jeszcze gorszym stanie. Pod zjeżdżalniami znajduję mnóstwo przyklejonych gum, a cały plastikowy worek zapełniam pozostawionymi maskotkami, skarpetkami i butami.

– Hej, nowa! – woła jeden z mężczyzn przy drzwiach. Podbiegam do niego.

– Tak?

– Zamykamy. To tak, żebyś wiedziała. Kiedy skończysz, wyjdź tylnymi

drzwiami. Drzwi zatrzasną się za tobą, więc nie opuszczaj budynku, dopóki rzeczywiście wszystkiego nie skończysz. Steven strasznie się wkurza, kiedy musi tu przyjeżdżać, żeby otworzyć drzwi – mówi.

Salutuję mu i unoszę w górę kciuk, następnie czekam, aż zamknie drzwi na klucz. Ciekawe, że nie podał mi do siebie numeru, gdybym jednak się zatrzaskała. Pewnie też wkurza go konieczność przyjazdu.

Opuszczam rolety i wracam do worka. Wspinam się na ogromny domek przypominający te budowane na drzewach, gdzie zbieram pozostawione rzeczy i śmieci. Muzyka nadal gra. Stacja z największymi przebojami, więc nie jest tak źle. Lepiej niż piosenki dla dzieci, które puszczano, kiedy tu się zjawiałam.

Worek zapełnia mi się w połowie piętra, więc schodzę na dół po nowy, po czym wracam do zbierania zgubionych przedmiotów. Wibruje mi telefon w kieszeni. Wyjmuję go, wiedząc, że za wcześnie na mojego ojca.

Potrzebne ci towarzystwo?

Serce trzepocze mi na widok wiadomości od Wesa. Zerkam na wejściowe drzwi i dostrzegam za roletami cień odpowiedniej wielkości. Mimo to unoszę je i dopiero po upewnieniu się, że to Wes, otwieram drzwi. A on wchodzi i chwali mnie za to.

– Byłem przekonany, że zamierzasz wpuścić potencjalnego zabójcę – chichocze. – Mógłbym się o to założyć.

– Taa, cóż, pewien znajomy ciągle mi powtarza, że muszę być ostrożniejsza, więc... – mówię, kopiąc go w nogę.

– No i dobrze – oświadcza, a kącik jego ust unosi się w półuśmiechu.

– Skąd wiedziałeś, gdzie pracuję?

– Kyle mi powiedział. Przez cały dzień śmierdział serem – śmieje się.

Przez kilka sekund stoimy przy drzwiach, a ja się zastanawiam, po co się tu zjawiał. Boję się jednak zapytać. Bo mogłby jeszcze wyjść. A teraz, kiedy

już tu jest, chcę, żeby został.

– Jakie jest twoje nastawienie względem gumy do żucia? – pytam i przechylam głowę.

– Ja... eee... lubię ją?

– Zabrzmiało to jak pytanie. Nie wydajesz się przekonany – mówię i robię krok w jego stronę. Za plecami trzymam szpachelkę.

– Kocham gumę do żucia. Bardzo. Oddałbym za nią życie – żartuje.

– Doskonale – orzekam i wręczam mu szpachlę. – Jest jej całe mnóstwo pod zjeżdżalnią, a mnie mdli na ten widok.

Wes śmieje się i patrzy na szpachelkę.

– Pytałem, czy potrzebujesz towarzystwa, Joss, a nie pomocy – mówi.

– To cena, jaką musisz zapłacić za możliwość przebywania blisko tak wspaniałej istoty jak ja! – wołam przez ramię, trzymając w ręce worek z rzeczami.

– No dobra. Która? – Poddaje się i podchodzi do wejścia do domku. Pokazuję na krętą, niebieską zjeżdżalnię nad naszymi głowami. Wes wzdycha, ale mija mnie i wchodzi po schodkach na samą górę.

Informuje mnie na bieżąco o gumach, na które natrafia, ich kolorze i prawdopodobnym smaku. Żartuje nawet, że pożuje którąś, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia, ale po kilku minutach zaczyna mówić coraz mniej, a przez ostatnie pół godziny pracujemy w milczeniu.

– Wiesz, naprawdę nie musisz zostawać tu ze mną. Prawie już skończyłam, więc... – Urywam, kiedy wychodzę z zaplecza i dostrzegam, że pośrodku głównego holu stoi Wes z iPodem w ręce. Wyłączam bezprzewodowy odkurzacz.

– Mój tato ma smykałkę do naprawiania różnych rzeczy – mówi, rozplatając przewód od słuchawek, nawinięty na odtwarzacz. Podaje mi urządzenie.

– Twój tato to naprawił? Dla mnie? – pytam, po czym włączam iPoda i przesuвам kciukiem po gładkim wyświetlaczu i maleńkim wgnieceniu na metalowej obudowie.

– Tego akurat nie mógł naprawić, ale znalazł nowy wyświetlacz. Powtarzam mu, że powinien sobie w ten sposób dorabiać – wyjaśnia Wes, nerwowo nawijając przewód od słuchawek na palec.

– Mogę wypróbować? – pytam i patrzę mu w oczy. On ucieka wzrokiem. Jest zawstydzony.

– Och, tak... tak. Sorki – mówi, oddając mi przewód.

Przewijam playlisty i włączam jedną z ulubionych piosenek Foo Fighters. Uśmiecham się, kiedy muzyka zaczyna mi się sączyć do uszu. Wes także się uśmiecha, a ja patrzę na niego przez chwilę, zatopiona w muzyce.

– Dzięki – mówię.

Śmieje się, a ja wyciągam z uszu słuchawki i owijam je wokół iPoda.

– Przepraszam. Byłam głośna?

– Zawsze jesteś głośna – odpowiada. Piorunuję go wzrokiem, a on unosi ręce. – Żartowałem. Jesteś cichym, delikatnym kwiatuszkiem.

– Teraz to dopiero gadasz jak potłuczony. – Daję mu kuksańca w ramię. Pragnienie dotknięcia go jest zbyt silne. Robię kilka kroków w tył, lekko zażenowana. Chowam iPoda do kieszeni, obok telefonu. – A tak na poważnie, to dziękuję – mówię z uśmiechem.

– Był dla ciebie ważny. – Wzrusza ramionami.

Ty jesteś dla mnie ważny.

– Prawie skończyłam, naprawdę... – zaczynam od nowa, dając mu pozwolenie na wyjście.

– Odwiozę cię do domu – przerywa mi. – Jest późno i nawet nie protestuj. – Ton głosu ma poważny. Przez kilka sekund patrzę mu w oczy i rozważam jego słowa. W końcu się poddaję.

– W porządku – kiwam głową. – Będę gotowa za kilka minut.

Wycofuję się na zaplecze i kończę odkurzać wykładzinę. Następnie chowam odkurzacz do metalowej szafki, gaszę światło i zamykam część biurową. Wes wstaje z ustawionej przy drzwiach ławki i podchodzi do mnie.

– Chcesz wyjść tędy? – pytam.

– Nie, pójdę z tobą – odpowiada z bladym uśmiechem.

– Okej.

Przechodzimy razem przez pogrążoną w półmroku siłownię i gaszę po drodze wszystkie światła. Im robi się ciemniej, tym bardziej wyczuwam jego obecność, aż w pewnym momencie przyłapuję się na tym, że wstrzymuję oddech.

Przytrzymuję mu drzwi, po czym wychodzę i sprawdzam, czy są zamknięte. Zamknięte, tak jak mnie ostrzegano. Obchodzimy powoli budynek. Pod latarnią przed głównym wejściem stoi furgonetka Wesa. Prostuję i zginam palce, pragnąc zachować się lekkomyślnie, pragnąc wziąć go za rękę, choć raz... żeby go poczuć.

Wes otwiera mi drzwi, a ja wsiadam do szoferki. Kiedy przekręca kluczyk w stacyjce i wyjeżdża z parkingu, wyjmuję z kieszeni telefon oraz iPod'a i wpatruję się w nie.

– Dzięki – szepczę.

Cisza. Po kilku sekundach odwracam się w jego stronę i widzę, że dłonią dotyka brody, a łokieć opiera o nieduży podłokietnik wysunięty z dzielącego nas fotela.

– Nie ma za co, Joss – mówi i zerka na mnie z uśmiechem, ale szybko wraca spojrzeniem na drogę.

Przez głowę przelatuje mi wszystko to, co chcę powiedzieć – pytania, słowa pełne wdzięczności, nadziei, ale i ochoty na flirt. Chcę go prosić, aby opowiedział mi więcej o tym, co mówi o mnie tata. Chcę, żeby opowiedział

mi więcej o sobie, ale zawsze w takiej sytuacji robi się nieciekawie. Więc milczę przez całą drogę do domu.

– Cholera – mówię w końcu. Na trawniku stoi samochód taty.

– Zajmę się tym – oświadcza Wes i wysiada szybko z furgonetki.

Oblewa mnie fala wstydu. To nie powinien być problem Wesa. To nie powinien być mój problem, ale jest. Mój.

– Po prostu jedź – mówię i zamykam oczy, kiedy staję obok niego. Zdażył już odpiąć mojemu ojcu pasy. Prostuje się i patrzy mi w oczy. Czuję jego oddech i zanurzam się w błękicie tęczy. – Jedź...

Do oczu napływają mi łzy. Zasłaniam usta dłonią i błagam swoje ciało i nerwy, aby były mi posłuszne. *Trzymaj się Joss, trzymaj się.*

– Zajmę się tym – powtarza Wes, a ton głosu ma zdecydowany. Lekko nachyla się i patrzy mi w oczy. Wie, jak bardzo jestem skrępowana, więc szybko odwraca wzrok.

To nie tak, że nienawidzę ojca.

Nienawidzę tego, że nadal go kocham.

Wes podnosi moją tatę z fotela, a on zaczyna się ruszać. Mamrocze coś niezrozumiale i przez chwilę mam wrażenie, że jego spojrzenie skupia się na mnie.

– Mogę prowadzić – wyrzuca z siebie. W jego głosie słychać sprzeciw, gniew i wszystko to, co od dekady zżera mu duszę.

– Wcale nie! – wołam.

Mój krzyk go budzi. Na chwilę, ale to wystarcza, żeby wszystkie negatywne uczucia skierować w moją stronę. I nagle znowu jego ciało staje się bezwładne.

– Po prostu... zanieś go do domu. Przetawiam samochód na podjazd, żeby sąsiedzi nie widzieli – mówię i wsiam do samochodu taty. Silnik nadal

pracuje. Ciekawe, jak długo tak stał. Nic dziwnego, że trawa nie chce nam rosnać.

Wycofuję samochód na ulicę i skręcam, po czym wjeżdżam na podjazd. Gaszę silnik i wchodzę na trawnik, gdzie próbuję rozetrzeć ślady po kołach. Nie chcę, aby ktoś się dowiedział, co się stało.

Nie po raz pierwszy.

Kiedy wchodzę do domu, słyszę głos Wesa. Podążam za nim wzdłuż korytarza, staję w drzwiach sypialni i widzę, jak ojciec gramoli się na kolanach do łóżka, po czym pada na wznak na narzutę. Wes zdejmuje mu buty, stawia je na podłodze i mówi:

– Musi pan z tym skończyć. Obiecał pan, że skończy.

– Co to ma znaczyć, że obiecał? – pytam.

Wes zamiera, odwrócony plecami do mnie.

– Wes?

Chłopak gasi lampkę, po czym wychodzi z pokoju mojego ojca i zamyka za sobą drzwi. Nie patrzy na mnie. Nasze buty niemal stykają się ze sobą, a jego bliskość pozbawia mnie tchu.

– Robiłeś już to? Tydzień temu. Po plaży. Wróciłam do domu i znalazłam go właśnie takiego. Leżącego na łóżku, ze zdjętymi butami. Ty... to byłeś ty? Pomagasz mu... za moimi plecami? – Drzę i nie mam pewności, czy powodem jest uczucie upokorzenia czy gniewu.

– Nie powinno być tak, że musisz to robić sama – odpowiada. Patrzą mi w oczy. Nachyla się nade mną, a ja czuję się taka mała. I słaba.

– Powinieneś już iść – mówię.

Odwracam głowę i moje spojrzenie pada na oprawione w złotą ramkę zdjęcie naszej rodziny. Złota farba łuszczy się na rogach, odsłaniając tanie drewno. Milion razy zdejmowałam to zdjęcie. Ojciec zawsze ponownie je wiesza. Bez względu na to, gdzie je schowam. Zawsze je znajduje. Ściągam

je teraz i zanoszę do kuchni. Kładę ramkę na blacie i zaczynam otwierać szuflady, aż w końcu znajduję tę z narzędziami. Wyjmuję z niej młotek i odwracam się na pięcie, po czym zaczynam uderzać nim w szybkę, raz za razem. W końcu ze zdjęcia zostają strzępy, a podłoga zasłana jest odłamkami szkła. Ponownie unoszę rękę i Wes chwyta mnie za ramię.

– Zostaw mnie w spokoju – mówię. Ciężko oddycham, a serce wali mi jak młotem.

– Pozwól mi sprzątnąć szkło...

– Ja się tym zajmę! – wołam, wchodząc mu w słowo. Wyszarpuję rękę. Rzucam młotek na blat, po czym ze schowka wyjmuję miotłę i szufelkę. Tyłem do niego, raz jeszcze błagam, aby sobie poszedł.

– To mój problem, Wes. I nie chcę, żebyś tu był. Nie chcę... nie chcę, żebyś to oglądał. Proszę cię.

Głos mi się łamie, a policzki mam mokre od łez. Liczę w myślach i z zamkniętymi oczami modlę się, aby Wesa już tu nie było, kiedy się odwrócę. Nie wiem, czy będę potrafiła jeszcze raz prosić go o wyjście. A jeśli zostanie... jeśli pomoże – będę go potrzebowała.

Siedem. Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

Do moich uszu dobiega dźwięk zamykanych drzwi. Cichy. Niechętny. Niemniej – Wes wychodzi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

GODZINĘ ZAJĘŁO MI SPRZĄTANIE BAŁAGANU. Zgarnęłam wszystko i wyniosłam do stojącego przed domem kosza. Rano obudziłam się wcześniej i usłyszałam, jak śmieciarka zabiera śmieci. Rozplakałam się – to zdjęcie *naprawdę* zniknęło.

Pozwalałam sobie czuć ciężar tego wszystkiego przez dokładnie piętnaście minut. Ani chwili dłużej. A potem wstałam, założyłam spodnie do biegania, T-shirt i buty, wzięłam naprawionego iPod'a i na trzy godziny opuściłam dom. Przebiegłam wiele kilometrów. Powolnych i bolesnych, ale nie dawałam za wygraną. Wbiegałam na trybuny. Sprintem okrążałam bieżnię. Przeskoczyłam przez ogrodzenie i obiegłam bazy na boisku softballu. Aż w końcu padłam na trawę.

Przez kolejnych trzydzieści minut spoglądałam w niebo i myślałam o mamie. Przywoływałam wszystkie dobre wspomnienia – czekoladowe batoniki, które wsuwała mi do torebki z lunchem, to jak podczas szkolnych występów zawsze siadała z przodu i jak zapisywała sobie wyniki moich meczów.

To, jak całowała mojego ojca, kiedy całą trójką szliśmy razem na lody.

Tyle miłości. I nagle koniec. Nigdy tego nie zrozumieć.

Wróciłam do domu w samą porę, bo krótko potem przyjechała po mnie Taryn i udałyśmy się do centrum handlowego. Przez dwie godziny uśmiechałam się, klaskałam, unosiłam kciuki albo kierowałam je ku dołowi, bucząc. Przymierzyła niemal trzydzieści sukienek, nim w końcu znalazła tę idealną. Jest niebieska i kończy się tuż nad kolanami. Nie należała do moich

faworytek, ale widziałam, że mojej przyjaciółce świecą się oczy na jej widok, a tylko to się liczyło, więc powiedziałam, żeby ją wzięła.

Kiedy wychodziłyśmy ze sklepu, rzuciła się nam w oczy biała sukienka ze sznurowaniem na plecach. Miała długie rękawy i wyglądała jak strój, który można założyć na wiejską potańcówkę. Nie miała falbanek ani nie była obcisła jak sukienki, które przymierzała Taryn. Była prosta.

Była ładna.

Przyjaciółka błagała mnie, żebym ją przymierzyła, ja jednak odmówiłam. Od lat nie miałam na sobie sukienki. A przymierzenie jej dzisiaj równałoby się z przyznaniem, że mam fantazje – takie, w których w przyszły piątek zjawia się po mnie Wes i zabiera na jakiś głupi szkolny bal.

Mam takie fantazje i nie potrzebuję ich karmić. Pragnę, aby zniknęły.

Taryn podrzuciła mnie do domu, skąd zabrałam tylko swoje rzeczy, po czym pojechałyśmy razem do Jungle Gym. Drzwi pokoju mojego taty pozostawały zamknięte, a samochód stał w miejscu, w którym zaparkowałam go w nocy. Poczułam ulgę, ale także lekki strach, więc przed wyjściem uchyliłam drzwi i przekonałam się, że jego klatka piersiowa unosi się i opada. Pojechałam więc do pracy.

Pierwsza część dzisiejszej zmiany okazała się trudniejsza, zdecydowanie dłuższa. Panował także większy hałas. W końcu od kucharza piekącego pizzę dostałam stopery do uszu. Pokazał mi całe pudełko, kryjące się w jego szafce i powiedział, że mogę śmiało się częstować. Taki mam plan, bo tych kilka ostatnich godzin udało mi się znieść tylko dzięki nim.

Teraz, kiedy światła zgasły i klub już jest zamknięty, czuję, jak napięcie opuszcza moje ramiona.

Podobnie jak wczoraj, wieczorna zmiana kelnerska sprząta stoliki, uzupełnia serwetniki, solniczki, pieprzniczki i butelki z keczupem. Nim wychodzą, proszę jednego z facetów o pomoc w zdjęciu z najwyższej półki

środków do sprzątanania, według rozpiski dzisiaj powinnam umyć podłogi.

Wychodzę za nim do głównego lobby, pchając przed sobą wózek z mopem. Ten sam człowiek co wczoraj przypomina mi o konieczności wyjścia tylnymi drzwiami, niedzwonieniu do szefa i – czego może nie mówi wprost – niedzwonieniu do *niego*. Odwracam się i zaczynam pchać wózek w stronę kuchni, ale zatrzymuję się, kiedy mężczyzna woła moje imię.

– Hej... Joss? – Odwracam się i widzę, że ktoś za nim stoi. – Ten chłopak twierdzi, że po ciebie przyjechał. Serce zaczyna mi walić jak młotem. Czuję je w każdym centymetrze swojego ciała.

Mężczyzna uchyla drzwi i Wes robi krok w bok. Wyjmuje z kieszeni jedną rękę i wita mnie ostrożnym machnięciem. Wpatruję się w niego bez słowa, a jego oczy mnie przepraszają, choć wcale nie muszą. Nie powinny. W ogóle nie powinien przepraszać. To ja zawsze powinnam to robić.

Mój współpracownik odkasłuje.

– Przepraszam. Tak, to mój transport. Wszystko w porządku. Dzięki jednak, że to sprawdziłeś – mówię, a moje spojrzenie przeskakuje między nim a Wesem.

– Nie ma sprawy. Ostrożności nigdy za wiele. – Po tych słowa nieco szerzej otwiera drzwi i wpuszcza Wesa. Zamyka je za nim, a ja wbijam wzrok w szybę, zamiast w chłopaka, który stał się dla mnie ważniejszy niż oddychanie.

– O ile tylko nie muszę do ciebie dzwonić – mamroczę i śmieję się cicho, patrząc, jak mój kolega chowa klucze do kieszeni.

Kiedy się odwracam, Wes stoi do mnie tyłem. Przez chwilę pozwalam sobie cieszyć się jego widokiem. Ma na sobie szare dżinsy i czarny T-shirt. Wyjątkowo jest bez czapki. Włosy, zaczesane do tyłu palcami, układają się w miękkie fale.

Moje spojrzenie prześlizguje się na wózek z mopem. Biorę z niego

szpachelkę. Podchodzę do Wesa i podaję mu ją, nie patrząc w oczy.

– Ta sama ślizgawka. Inne gumy – mówię. Wracam do wózka i zaczynam go popychać przez hol. – Będę w kuchni.

Ani razu na niego nie spoglądam. Serce bije mi tak szybko, że aż czuję ból, a kiedy kuchenne drzwi zamykają się za mną, opieram się o ścianę.

Jeden. Dwa. Trzy. Cztery...

Liczę do dwudziestu, następnie uchylam drzwi, aby sprawdzić, czy Wes nadal tam stoi. Okazuje się, że nie, więc robię wydech i wracam do pracy. Odkręcam kran i podstawiam pod niego wiadro. Kiedy czekam, aż się napełni, wyczuwam w kieszeni wibracje. Wyjmuję telefon, spodziewając się SMS-a od Taryn albo jakiegoś serowo-nachosowego żartu od Kyle'a, ale to Wes.

Mam problem z podjęciem decyzji, które zdjęcie wybrać do projektu. Mogę ci je pokazać?

Śmieję się cicho i kręcę głową.

Jasne. Moje i tak będzie lepsze.

Zakręcam wodę, wycieram ręce i znowu wyjmuję telefon. Czekam na odpowiedź niemal minutę, po czym dochodzę do wniosku, że pewnie chodziło mu o to, że później mi je pokaże. Zdejmuję ze stojaka mopa, zanurzam go w wodzie z płynem i zabieram się za zmywanie podłogi – przez dziesięć kolejnych minut kręcę ósemki od ściany do ściany, wycofując się w stronę drzwi prowadzących do holu.

Kiedy kończę, telefon znowu mi wibruje. Wstawiam mopa do wiadra, wycieram ręce w niewiarygodnie brzydkie spodnie i otwieram wiadomość od Wesa. To nie są słowa... nie do końca. To zdjęcie listu. Pismo jest krzywe i tekst zawiera sporo literówek. Dopiero po kilka minutach dociera do mnie, co oznacza wiadomość, na którą patrzę.

I wtedy pęka mi serce.

Kohana kochana Josselyn,

nikt ze mną nigdy nie rozmawia. Mam nadzieje, że twoja kolerzanka się nie gniewała że przyszedłem do twojego domu. Tydzień temu słyszałem jak mówisz o wyścigach i wydawały się takie fajne. Zafsz je jesteś dla mnie naprawdę miła. Nie musisz siedzieć ze mną na stołówce, ale czasem siedzisz. Lubie jak tak robisz. Denerwuje się wtedy. Dlatego nucę. Dziękuję że spodobały ci się moje nowe buty. Dostałem je od swojego opiekuna społecznego. Pan i pani Woodmansee nie byli z tego zadowoleni. Ich prawdziwe dzieci były złe. Chciałem ci to powiedzieć bo cie lubie. Morze to być tajemnica. Ty nie musisz mnie lubić. Lubisz? Możesz mi powiedzieć jeśli lubisz. Bardzo bym się wtedy cieszył. Jeśli wygram dzisiaj wyścig to dam ci moją nagrodę.

*Twój przyjaciel,
Christopher*

Opieram się o kuchenne drzwi, po czym osuwam się na podłogę. Powiększam zdjęcie, robiąc zbliżenie na jego imię. Litery są krzywe i nierówne, a mimo to list jest doskonały.

– Christopher – szepczę do siebie i przesuwam palcem po powiększonym imieniu. Serce ściska mi się na wspomnienie tego, jak mnie obejmował, jakim był silnym i odważnym chłopcem.

Był o wiele silniejszy niż ja wtedy.

O wiele silniejszy niż ja teraz.

Jego objęcia były takie same kilka tygodni temu, kiedy przytulał mnie w moim domu, podczas gdy ja płakałam z powodu tego, jak wygląda moje życie.

Wiedziałam. Zawsze wiedziałam.

Teraz on mi to mówi.

Telefon wibruje i otwieram drugą wiadomość. Doznaję szoku – moje ciało przechyla się w przód, telefon kładę na kolanach i chowam głowę w dłoniach.

Na zdjęciu widać dwa palce – palce Wesa – trzymające róg małej, szarej karteczki: BILET NA WYŚCIGI TARYN I JOSS. Litery są wyblakłe, a wykonane ołówkiem rysunki rozmazane. Za dłonią znajduje się twarz Wesa, niewyraźna, ale nie na tyle, żebym nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Usta ma zaciśnięte, a jego oczy wwiercają się we mnie.

Ściskając w ręce telefon, wstaję z podłogi. Wychodzę z kuchni, cicho zamykam za sobą drzwi i podchodzę do schodków, prowadzących do domku na drzewie. Muzyka jest ściszona i nasłuchuję go – licząc, że mnie do siebie przywoła. Kiedy kończy się piosenka, wstrzymuję oddech, ale słyszę jedynie szum wentylacji.

Wchodzę do domku, następnie wspinam się po uplecionej z liny drabince na drewniany podest. Moje oczy odnajdują w ciemności Wesa. Siedzi pod ścianą z telefonem w ręce, zupełnie jak ja zaledwie kilka chwil temu. Patrzy, jak siadam naprzeciwko niego. Opiera głowę o ścianę, ale ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku. I przez kilka minut jedynie wpatrujemy się w siebie. Rzadko mrugamy. Prawie w ogóle nie oddychamy.

Przypominamy sobie.

Cierpimy.

– Podczas pierwszego dnia w szkole pani Grandel odczytała imiona i nazwiska wszystkich osób. Stąd wiedziałem... Grace. Zapamiętałem twoje imiona i nazwisko w chwili, kiedy je wypowiedziała. Czekałem, aż uniesiesz rękę i powiesz, że to ty. *Josselyn Grace Winters* – mówi, patrząc mi w oczy. Siedzi nieruchomo, a ja spijam z jego ust każde słowo.

Przełykam głośno ślinę, powoli wyjmuję telefon i otwieram zdjęcie biletu. Rozchyłam usta, ale nie wiem nawet, o co zapytać. Ta historia sięga tak głęboko i ma tyle wątków.

– Christopher to moje drugie imię. W rodzinie zastępczej mieli już Wesa, więc ja zostałem Christopherem. Pamiętam fragmenty. Doznałem

uszkodzenia mózgu, kiedy uderzył mnie samochód – wyjaśnia. Moim ciałem wstrząsa dreszcz. Wes dotyka dłonią tyłu głowy. – Miałem nieduży zabieg, ale wszystko skończyło się dobrze. Nie okazało się to aż tak poważne, więc zachowałem wszystko w tajemnicy. Powiedziałem, że uderzyłem się w głowę o krawężnik, kiedy przewróciłem się, biegnąc, żeby usunąć się nadjeżdżającemu samochodowi.

– Ale to... to nieprawda – dukam. Nie muszę pytać.

Kręci głową.

– Samochód twojego taty uderzył mnie, kiedy cię dosięgnąłem. Zjawiłem się w samą porę – wyjaśnia i zasłania dłonią usta.

Wiem, że myśli o tym, co by się stało, gdyby mu się nie udało. Zginęłabym.

– Na początku pamięć wracała mi bardzo powoli i moją rodzinę zastępczą to przerosło. Chodziłem na rehabilitację. Niektóre rzeczy musiałem nauczyć się robić od nowa. Wielu słów nie pamiętałem. Trafiłem więc pod opiekę państwa. Miałem opiekuna społecznego, Shawna Stokesa. Zawsze traktował mnie jak rodzinę, ale on chorował. Zwyródnienie nerwów w końcu odebrało mu życie. Przed śmiercią przekonał jednak brata, aby adoptował trzech chłopców zamiast dwóch. – Na chwilę milknie. – Nie pamiętałem cię. Nikt o tobie nie wie. Nigdy o tobie nie mówiłem, ale w końcu cię zobaczyłem. Tego dnia, kiedy graliśmy w baseball przed szkołą. Było tak, jakby wiele fragmentów układanki trafiło na swoje miejsce – kontynuuje Wes, po raz pierwszy odrywając ode mnie wzrok. Opuszcza go na wyświetlacz telefonu, na to samo zdjęcie, na które ja patrzę. – Miałem ten bilet. Wiedziałem, że coś znaczył... że był ważny. No i... – Śmieje się cicho... ze smutkiem. – Pamiętałem bliźniaków. Dawniej nie byli dla mnie mili.

Spogląda na mnie i kąciki jego ust powoli się unoszą. Mijają długie sekundy, gdy tak wpatrujemy się w siebie.

– Nie pamiętałem, że byłaś taka piękna – szepcze.

Ponownie opuszcza wzrok na swoje dłonie, a ja unoszę rękę i ocieram łzy czające się w kącikach oczu. Podciągam kolana pod brodę i obejmuję je rękami. Wes ma przechyloną głowę, ale dostrzega mój ruch. Cały jest spięty. Kładzie telefon na kolanach i zaciska dłonie w pięści, po czym je rozluźnia.

– Czemu mi nie powiedziałeś? – pytam cicho.

Wes nieruchomieje i ponownie wpatruje się w moje oczy.

A mi po raz kolejny pęka serce.

– Ta sprawa z twoim tatą... nie ma jeszcze statusu zamkniętej.

Biorę głęboki oddech i podciągam nogi jeszcze bliżej klatki piersiowej.

– Zadawano mi mnóstwo pytań, ale miałem luki w pamięci. Zawsze mi mówiono, że stracił panowanie nad samochodem, że to był potworny wypadek, ale kilka rzeczy mi nie pasowało. Nie zbadano go alkomatem. A parę dzieciaków twierdziło, że według nich...

– Mój tato pił – szepczę, odrywając spojrzenie od jego twarzy. Przyciskam brodę do klatki piersiowej i wsuwam kciuk do ust.

– Co kilka lat jestem przesłuchiwany w sprawie wypadku i nigdy niczego nie pamiętam. Tak naprawdę on nikogo już nie obchodzi. Ta sprawa znajduje się po prostu na liście, choć pewnie i tak wszyscy uważają ją za zamkniętą. Niemniej, muszą co jakiś czas sprawdzać. Pewnego dnia znowu zadzwonią do moich rodziców. Będą chcieli ze mną rozmawiać. I dowiedzą się, że tu wróciłem, blisko ciebie. Że gram dla niego. A ja skłamię. Nie możesz im powiedzieć, że wiesz, iż pamiętam.

– Czemu to takie ważne? Może coś takiego dobrze by mu zrobiło, Wes. Może właśnie tego potrzebuje, czegoś, co go otrzeźwi – mówię i w moim głosie słychać nutkę gniewu.

– A co by się stało z tobą?

Ja. To wcale nie chodzi o mojego ojca. Chodzi o mnie.

– Nie masz osiemnastu lat. Może by ci pozwolono zamieszkać u przyjaciela rodziny. A może by cię odesłano do jakichś krewnych. Albo umieszczono w rodzinie zastępczej, której nie znasz. Ja mieszkałem u wielu rodzin, Joss. Bywały dobre, ale bywały także złe. – Przez chwilę milczy. – Chcę, żeby twój tato wziął się w garść. Pragnę tego dla ciebie. Pracuję nad tym. I wiem... – Odwraca głowę w moją stronę i uśmiecha się blado. – Wiem, że nie chcesz mojej pomocy, ale ja nie zamierzam stać z boku i się przyglądać, jak przechodzisz przez to sama. Nie chciałem wtedy, aby odebrano ci ojca, i nie chcę tego teraz. Choć kiepsko wywiązuje się ze swojej roli, Joss, to lepiej żebyś nie trafiła pod opiekę państwa.

Przez długą chwilę patrzę mu w oczy, a on mi na to pozwala. Boli mnie żołądek, kiedy myślę o tym wszystkim, co powiedział, a mimo tego moim emocjom udaje się przeskoczyć od strachu do wolności.

– Christopher – szepczę, opierając policzek na dłoniach, które trzymam na kolanach. I patrzę na niego. Mój wzrok przyzwyczał się do ciemności i teraz widzę go wyraźnie.

– Wes, Joss. Tylko Wes – wzdycha.

Powoli podciągam nogi pod siebie i na kolanach przysuwam się bliżej niego. Kręcę głową.

– Wcale nie – oświadczam. Zatrzymuję się obok niego, kładę mu rękę na ramieniu i przekładam nogę przez jego kolana tak, że teraz siedzę mu na udach. Drugą dłonią dotykam policzka. – Nie tylko Wes. Jedno i drugie. To... to ty – mówię i klatka piersiowa unosi mi się coraz szybciej, gdy zaczynam płakać.

Obiema dłońmi teraz obejmuję jego twarz i patrzę mu w oczy. Muskam powoli kciukami jego policzki.

– Boże, ależ ja cię potrzebowałam. – Przelykam ślinę, przygryzam dolną wargę i uśmiecham się do niego.

Kładzie mi dłonie na udach i powoli, ostrożnie przesuwa w górę mojego ciała, wzdłuż boków, aż chwilę później on także obejmuje mi twarz.

– Kocham to, jak na mnie patrzysz. Kocham to, jak mnie postrzegasz, Joss. Kocham to, że uważasz mnie za niezwykłego. Zawsze patrzyłaś na mnie tak... jakbyś dostrzegała we mnie więcej niż inni, ale... – Urywa, a jego kciuki wsuwają mi się pod brodę. Unosi mi głowę tak, bym spojrzała mu w oczy. Oddycha powoli, a jego dotyk wydaje się czymś najwłaściwszym na świecie. – Nie jestem niezwykły, Joss – kręci głową. – Zawsze będę dla ciebie walczył. Nie potrafię inaczej. Nie potrafię nie robić wszystkiego, co w mojej mocy, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo, ale może mi się nie udać. A jeśli kiedykolwiek cię stracę, jeśli pewnego razu się spóźnię, nie okażę się wystarczająco silny, niezdolny do...

– Nie będę cię więcej poddawać testom, Wes – wchodzę mu w słowo i ponownie dotykam jego twarzy. Wtula się w moją dłoń i zamyka oczy.

– Dziękuję – szepcze i muska ustami moją dłoń. – Jezu, dziękuję. Nie mogę cię zawieść, Joss. Nie mogę...

– Wiem. – Kiwam głową i patrzę mu w oczy. – Wiem.

Ściąga mi gumkę z włosów i przeczesuje je palcami, patrząc przy tym na mnie z czułością. Marzyłam, żeby tak na mnie patrzył. Bywało, że przez krótkie chwile wydawało mi się nawet, że tak właśnie się dzieje. Teraz jednak, kiedy tu jestem, w jego ramionach, wiem, że to... to jest prawdziwe. Nie mogła się z tym równać żadna dotychczasowa fantazja.

Nachyliłam się w jego stronę, wplątam mu palce we włosy i nasze czoła ponownie się stykają. Po chwili porusza głową i nosem przesuwa po mojej szyi, jego usta wyszeptują pocałunki na mojej skórze, coraz wyżej, aż w końcu zatrzymują się tuż przy moich. Czuję, że się uśmiecha.

– Zaraz pocałuję Josselyn Winters. – Śmieje się cicho. – A niech mnie.

Ja także się uśmiecham.

– Jestem Joss – żartuję. Tak mi cudownie z tym, że oboje się śmiejemy, że jego ciało trzęsie się z radości. – I lepiej, żeby to był porządny pocałunek – dodaję i zbliżam dolną wargę do jego górnej, czekając na jego następny ruch.

Nie spieszy się. Delikatnie muska ustami moje usta, następnie jego język odnajduje moją dolną wargę. Każdy ruch jest powolny i wyważony. To nasz czas – tutaj, w ciemności, w domku udającym, że mieści się na drzewie. Jesteśmy dzieciakami, które znalazły siebie nawzajem wtedy, kiedy najbardziej potrzebowały, aby ktoś w nie uwierzył. Nasze ciała urosły. Nasze serca pozostały takie same. I wiedziały...

Moje wiedziało przez cały czas, jego w końcu sobie przypomniało.

– Przy tobie zawsze czuję się jak u siebie w domu – mówi Wes. Składa kolejny delikatny pocałunek na moich ustach i z zamkniętymi oczami opiera się czołem o moją głowę.

– Przy tobie zawsze czuję, że jestem ważna – odpowiadam i przypominam sobie jego objęcia w tych najmroczniejszych momentach.

Odsuwa się ode mnie i ponownie patrzy mi w oczy, jakby nie rozumiał, że ktoś mógłby myśleć inaczej. A ja wtulam się w niego i pozwalam, aby jego dłonie wplatały się w moje włosy i pieściły mi twarz. Jego usta łączą się z moimi w zaborczym pocałunku. Nasze języki splatają się ze sobą, jego zęby przesuwają się po moich delikatnych wargach i oboje robimy się coraz bardziej wygłodniali.

Całujemy się, aż w końcu nasze ciała dopada zmęczenie. Nasze usta zdążyły zapamiętać każdy oddech i ruch. A potem Wes pomaga mi w sprzątaniu, dzięki czemu kończę nie po godzinie, ale po niecałych trzydziestu minutach. Kiedy wychodzimy, zdecydowanym ruchem bierze mnie za rękę i prowadzi naokoło budynku ku swojej furgonetce. Puszczą dopiero, kiedy odprowadza mnie do drzwi, zadowolony, że mój ojciec spędził wieczór w domu – mimo że zasnął w fotelu z drinkiem w ręce.

Całuję Wesa na dobranoc, po czym zamykam drzwi na klucz i gaszę światła. Z łóżka ojca zdejmuję kołdrę i przykrywam nią jego nieruchome ciało. Całuję go w głowę i wyjmuję szklanekę z dłoni.

– Mam nadzieję, że masz przyjemne sny, tato. I mam nadzieję, że niedługo z nich powrócisz – mówię i po raz pierwszy od lat wierzę, że rzeczywiście może tak się stać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

WES ZJAWIŁ SIĘ TAKŻE W NIEDZIELĘ, informując mojego współpracownika – o którym już wiem, że ma na imię Jamie – że jest moim kierowcą. Nawet nie musiałam go prosić o zdrapywanie gum. Sam wyjął mi szpachelkę z dłoni i zabrał się do pracy.

Nie wyszliśmy od razu. Po skończeniu pracy przez godzinę siedzieliśmy w domku i rozmawialiśmy. Opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam – o tym, co wydarzyło się w dniu ostatnich wyścigów, kiedy doszło do konfrontacji moich rodziców. Wyznałam także, że mama wyjechała bez pożegnania. Mój ojciec, choć beznadziejny, przynajmniej został.

Kiedy Wes odwoził mnie do domu, czułam tak wielki spokój, że po raz pierwszy od miesiący nie zamartwiałam się tym, w jakim stanie zastanę ojca. Nie szukałam wzrokiem jego samochodu w chwili, kiedy skręciliśmy w moją ulicę, nie rozglądałam się po trawniku w poszukiwaniu jego ciała i nie czułam strachu, kiedy otwierałam drzwi. I tym bardziej się zdumiałam, kiedy po wejściu do domu zastałam go na fotelu – czujnego i rozbudzonego, z napojem gazowanym w ręce, oglądającego wiadomości.

Pożegnałam się z Wesem i zachowywałam, jakby ojca w ogóle tu nie było. Nie odzywaliśmy się do siebie, ale także nie przepychaliśmy ani nie kłóciliśmy, kiedy próbowałam go potem obudzić i zaprowadzić do łóżka. Odbyło się to szybko i cicho, a ciężar tego wszystkiego poczułam w chwili, kiedy zamknęłam drzwi do swojego pokoju. Dziś rano nadal go czułam i czuję również teraz, kiedy podjeżdżam pod szkołę razem z Taryn. Zwalnia, aby zatrzymać się tam, gdzie zawsze, bym mogła pójść do biblioteki.

– Chyba pojedę dziś z tobą. Na siłownię. – Zerkam na nią kątem oka i szybko odwracam wzrok, kiedy dostrzegam szok malujący się na jej twarzy. Schylam się i rozpinam boczną kieszonkę plecaka tylko po to, by nie patrzeć na przyjaciółkę.

– Oooookeeeeeej – mówi w końcu, po czym wrzuca bieg i ponownie rusza.

Parkujemy na tyłach budynku i udajemy się w stronę drzwi, za którymi mieści się sala ze sztangami. Odgłosy metalu uderzającego o metal słyszymy, zanim jeszcze zdążymy otworzyć drzwi. Trzęsą mi się ręce i patrzę na nie, żeby upewnić się, że to moje dłonie. Owszem, ale i tak czuję się jak mała dziewczynka, która wpadała tu rankiem z mamą, podrzucając tacie kawę.

Taryn otwiera drzwi, po czym ogląda się na mnie, znieruchomiałą w progu. Kręci głową i z westchnieniem wchodzi do środka. Chwytam drzwi, nim te zdążą się zamknąć, i udaję się za nią.

– Na ogół siedzę tutaj, dopóki TK nie skończy – mówi i podchodzi do ustawionych pod ścianą ławeczek treningowych. Kładę plecak na podłodze, jednak zamiast usiąść obok przyjaciółki, odwracam się i pozwalam, aby nogi poniosły mnie znajomą trasą na drugi koniec siłowni, gdzie wiszą skakanki.

– Hej – słyszę za sobą głos Wesa.

– Hej – bąkam, nie odwracając się. Palcami przebiegam po plastikowych koralikach przy biało-niebieskiej skakance. Kilka sekund później w zasięgu mojego wzroku pojawiają się palce Wesa, chwytające skakanę wiszącą obok. Knykciami celowo ociera się o moje, co w końcu wyrywa mnie z transu.

– Chcesz poskakać? – pyta z uśmiechem, prezentując dołek w prawym policzku. Zerkam ponad jego ramieniem w kierunku stanowiska taty. Przygląda mi się i nawet się nie krzywi. Właściwie to jego twarz jest zupełnie pozbawiona wyrazu.

– Aha – mówię, wracając spojrzeniem do Wesa. – Chcę. – Uśmiecham się.

Biorę skakankę i odsuwam się kilka kroków, żebyśmy oboje mieli miejsce, po czym zaczynam skakać. Milcząca rywalizacja szybko nabiera rumieńców i staram się ze wszystkich sił dotrzymać mu kroku, ale po pełnej minucie moim nogom kończy się energia.

– Muszę popracować nad kardio – dyszę i owijam sobie skakankę wokół dłoni.

– Nie było źle – orzeka, a ja przewracam oczami. – Nie, poważnie. Robię to codziennie od kilku tygodni, więc potrafię ocenić, jak ci poszło.

– E tam – mówię z uśmiechem i odwieszam skakankę. Kiedy się odwracam, zerkam ponownie na biurko ojca, ale tym razem tam go nie ma. Wzdycham i przypominają mi się jego słowa o tym, żebym dała Wesowi spokój. *Rozpraszam go.*

Zostawiam Wesa samego i udaję się do części z ciężarami, gdzie zabieram się za ćwiczenia, jednak po dwudziestu minutach mięśnie mi się męczą i osuwam się na ławkę obok Taryn.

– Jestem z ciebie dumna – rzuca półgębkiem, nie odrywając wzroku od jakiegoś nagrania w telefonie. – Wiem, jak bardzo trudne było dla ciebie przyjście tutaj.

Robię wydech i opieram się o ścianę.

– Dzięki – wzdycham i kładę dłoń na jej ramieniu.

Po kilku minutach rozlega się dzwonek, sygnalizując, że zostało dziesięć minut do rozpoczęcia pierwszej lekcji. Wstaję i schylam się po ciężki plecak, ale obok niego dostrzegam nogi ojca. Podnoszę głowę i mrużę oczy. W ręce trzyma złożoną kartkę. Wpatruję się w nią przez kilka sekund, aż w końcu nią potrząsa, tym samym dając mi do zrozumienia, że mam ją wziąć.

– Co to? – pytam. Marszcząc brwi, prostuję się, przerzucam plecak przez

ramię i rozkładałam kartkę.

– Twój trening – mówi tata, po czym odchodzi. Patrzę na niego i usta mam uchylone, gotowe do tego, aby się bronić i kłócić. Tylko że... dzisiejszy ranek jest pełen niespodzianek.

– Gotowa? – pyta Taryn, stając obok mnie.

Idziemy w stronę wyjścia, a ja czytam notkę napisaną starannie przez tatę – połączenie ćwiczeń na górną część ciała, nogi i core, a do tego konkretne cele na dwa, cztery i sześć tygodni. Sporządził plany. Ma oczekiwania. I wcale nie aż takie nieosiągalne, którym nigdy nie sprostam.

– Mówiłem ci – odzywa się Wes, nagle zjawiając się przy moim boku. Podskakuję i szybko składam kartkę, po czym chowam ją do tylnej kieszeni dżinsów.

– Co mi mówiłeś? – pytam, nagle świadoma tego, że obok nas idą Taryn i TK, a za nami Levi i Kyle.

– Że tato cię kocha.

Zatrzymuję się na chwilę i rozważam jego słowa i to, co się wydarzyło.

– Chodzi o to, żebym okazała się lepsza od konkurencji. O nic więcej – mówię. Kręcę głową i wzrok wbijam w stopy.

– Nie. – Wes wsuwa mi kciuk pod brodę i zmusza, abym na niego spojrzała. – Chodzi o to, że on w ciebie wierzy i wie, że stać cię na więcej.

Przechyliłam głowę i zaciskam usta. Nie jestem jeszcze gotowa, aby ustąpić. I wtedy, bez ostrzeżenia, Wes nachyla się nade mną i całuje delikatnie w usta, następnie muska mi kciukiem dolną wargę i obejmuje dłońią policzek.

– Chodzi też o to, że jesteś zbyt uparta, aby uznać, że być może mam rację – oświadcza z krzywym uśmiechem.

Śmieję się gardłowo i natychmiast oblewam się rumieńcem, słysząc za nami głośne okrzyki Leviego.

Spuszczam głowę, ale Wes szybko bierze mnie za rękę i pociąga delikatnie, dając tym samym do zrozumienia, abym szła razem z nim.

– Tak sobie myślę, że pierwszy raz widzę, jak jakiś facet trzyma Joss za rękę, a ona nie daje mu w zęby – odzywa się za mną Kyle.

– Dlatego, że na ogół to ty próbujesz wziąć ją za rękę, Kyle. A na to nie ma ochoty żadna dziewczyna i każda z nas dałaby ci w zęby – stwierdza głośno Taryn.

– Bardzo śmieszne – odparowuje Kyle. Zachowuje się, jakby to nie było nic wielkiego, ale wyczuwam, że to go boli. Oglądam się na niego. Uśmiecha się z przymusem i puszcza do mnie oko. Telepatycznie próbuję mu przesłać przeprosiny. Czuję się rozdarta między pragnieniem ukrycia przed nim faktu, że ja i Wes trzymamy się za ręce, a chęcią pokazania tego całemu światu.

Wes nie daje mi wyboru – trzyma mnie za rękę tak długo, aż wchodzimy razem na angielski. Parę osób zwraca uwagę na nasze splecione dłonie i wiem, że nie minie kilka sekund, a dowie się o tym McKenna. Widzę, że jedna z jej koleżanek podchodzi szybko do jej ławki z przodu, kilka rzędów przed Wesem i mną. Zerka na nas, słuchając tego, co koleżanka ma jej do powiedzenia, ale szybko zaczyna udawać, że nic jej to nie obchodzi. A ja w duchu triumfuję.

Do końca dnia pławię się w świadomości, że ktoś pokroju Wesa publicznie oświadcza, że jestem jego – i przyłapuję się na tym, iż przechodzę przez korytarze nieco bardziej wyprostowana, nie czując już potrzeby, aby trzymać wszystkich na dystans. Przepelnia mnie zupełnie inna pewność siebie. Czuję się... piękna.

W czasie przerwy na lunch Wes nie odjeżdża razem z braćmi, lecz rzuca kluczyki TK i siada przy stoliku razem ze mną i Taryn. Spojrzenie przyjaciółki sprawia, że oblewam się rumieńcem i Wes w końcu nachyla się w moją stronę i przyciska usta do mojego policzka, niemal tak, jakby

próbował przełamać lody i rozproszyć niezręczną atmosferę.

– Więc wy naprawdę... jesteście razem? – pyta Taryn. Zerkam na Wesa, nie mając pewności, co powiedzieć.

– Dopóki nie każe mi spadać – mówi, po czym zabiera mi z talerza frytkę i wsadza sobie do buzi, a ja piorunuję go wzrokiem.

– Jeśli będziesz mi kradł jedzenie, może tak się stać. Raczej prędzej niż później – przekomarzam się z nim. Częstuje się kolejną frytką, a ja marszczę brwi. – Jesteś tego pewny?

Na kilka sekund nieruchomieje z frytką przy ustach, otwiera je, ale chwilę później zamyka i odkłada frytkę na mój talerz. Otrzepuje palce z ziarenek soli.

– Nie – chichocze. – Szczerze mówiąc niczego nie jestem pewny.

Wes przysuwa bliżej swój talerz, składa kawałek pizzy na pół i odgryza niemal jedną trzecią. Jego długie ciało rozciąga się nad stołem i pod nim, a nogi zastawiają przejście. Zdążył już wyrosnąć z tego miejsca, a ma dopiero siedemnaście lat.

– Więc to oznacza... że w piątek wybieracie się na bal?

Kiedy tylko Taryn wypowiada te słowa, mam ochotę ją zabić. Przez moją głowę przemyka milion sposobów na pobicie jej albo wepchnięcie pod samochód i robię się czerwona jak burak.

– Wiesz, że nie znoszę takich imprez – wyrzucam z siebie, zbyt późno uświadamiając sobie, że Wes otworzył usta, by coś powiedzieć. Zamierzał mnie zaprosić? Chciałby wybrać się ze mną na ten głupi bal? Nigdy tego się nie dowiem, bo jestem upartą dziwaczką, beznadziejną w sprawach damsko-męskich.

– Och, uwierz mi, Joss... wiem – mówi Taryn. Kończy jeść i wstaje od stołu. Jej spojrzenie prześlizguje się ze mnie na Wesa, po czym wraca do mnie. Uniesieniem brwi daje mi znać, że schrzaniłam sprawę. Ja także unoszę

brwi i zaciskam usta, sygnalizując jej, że to wiem.

Moja przyjaciółka zostawia nas samych, a panujące przy stole napięcie sprawia, że lekko opuszczam się na krzesło. Wes na mnie nie patrzy.

– Po prostu to całe strojenie się nie jest dla mnie – rzucam.

Jeszcze gorzej.

Zerkam z ukosa na Wesa. Uśmiecha się blado i kiwa głową, ale jego głębokie wdechy mówią mi, że czuje się niekomfortowo, może jest nawet rozczarowany? Kieruję uwagę na swoje rzeczy, udając, że poprawiam w plecaku podręczniki i zeszyty. Rozpinam go i zapinam. Wes wstaje i idzie wyrzucić nasze śmieci, a ja wypuszczam wstrzymywane powietrze. Kiedy wraca, jego spojrzenie omiata sąsiedni stolik.

– Więc grasz dziś mecz, tak? – pyta, nie patrząc na mnie.

– Aha. Wy macie wolne? – Przerzucam plecak przez ramię. Wes bierze mnie za rękę, a kiedy wychodzimy ze stołówki, oddycham z ulgą, że nadal chce się ze mną pokazywać, nawet jeśli zachowuję się jak dziecko w kwestii szkolnych tańców. Ściska mi lekko dłoń, jakby wyczuwał moje wewnętrzne rozterki. To, co wydarzyło się przy stoliku, wydaje się tak gówniarskie, tak bardzo nie w moim stylu. Koniecznie muszę wrócić do bycia sobą.

– Założę się o dziesięć dolców, że wybiję dzisiaj piłkę za ogrodzenie. Co ty na to? – rzucam wyzwanie. Jest bezsensowne, ale dzięki niemu mogę odsunąć od siebie myśli o balu, moim wymarzonemu chłopaku i... *marzeniach.*

Kiedy jesteśmy już na korytarzu, podnoszę wzrok na Wesa. Czoło ma zmarszczone i przygryza dolną wargę.

– Więc dostanę dziesięć dolarów, jeśli nie dasz rady? – chichocze. – No ale przecież to nie ja będę miotaczem. Mam wrażenie, że to nie fair.

– Niemądry Wes – mówię ze śmiechem. Kręcę głową, kiedy wchodzimy do pracowni fotograficznej. – Gdybyś to ty rzucał, zaręczam, że odbiłabym.

To dopiero nie byłoby fair.

Podchodzę do swojej ławki, rzucam plecak na krzesło i stoję naprzeciwko Wesa, krzyżując ręce na piersi. Swędzą mnie usta i uśmiecham się lekko drwiąco. Teraz jest bardziej naturalnie. Tacy właśnie jesteśmy. Tacy oboje musimy być. My to wyścigi, bilety i wyzwania. I może jeszcze trochę pocałunków.

Wes podchodzi do mnie tak blisko, że jego głowa niemal opiera się o moją, a ja muszę podnieść na niego wzrok. Uwielbiam tak robić. Prawy kącik jego ust unosi się lekko i chłopak wzrusza jednym ramieniem, poprawiając pasek od torby, po czym odwraca się w stronę grupki uczniów, którzy wchodzą do pracowni. Szybko jednak wraca spojrzeniem do mnie. Teraz już uśmiechają się jego całe usta.

– W porządku, Joss – mówi. Cofa się o dwa kroki i opiera o blat sąsiedniego biurka. Krzyżuje ręce na piersi i spuszcza wzrok, a jego uśmiech staje się niemal przebiegły. – Przyjmę ten zakład... ale z małą modyfikacją. Wybijesz dzisiaj piłkę za ogrodzenie. Jeśli ci się nie uda, to w piątek pójdziesz ze mną na bal.

Jasny gwint.

Przygryzam górną wargę. Połowa mnie szaleńczo podskakuje, tak bardzo chcąc pójść na ten głupi bal. Druga połowa jest wkurzona i ma ochotę wybić piłkę poza ogrodzenie i udowodnić, że niepotrzebne mi tańce, sukienki, serduszka i chłopcy zjawiający się u mnie z kwiatami.

Ale pragnę tego. I to bardzo.

– Umowa stoi – mówię i wyciągam rękę.

Wes kręci ze śmiechem głową i ujmuje moją dłoń. Potrząsa nią, podchodzi bliżej, po czym zbliża ją sobie do ust, obraca i całuje nadgarstek. Jestem pewna, że zobaczę w tym miejscu wypalony ślad po jego ustach. Kiedy Wes się odwraca, patrzę na rękę, ale widzę tylko skórę, bez żadnego

ślądu dotyku. Moje serce jednak pamięta, a odrętwienie, jakie ogarnia mi stopy i palce, wzmagą to uczucie.

Przełykam ślinę, siadam na swoim miejscu i wydaję notatki poświęcone oświeceniu. Przez całe zajęcia uczymy się tego, jak za pomocą cieni przekazać jakąś historię, ale ja myślę jedynie o tym, że mam ochotę ukryć się w takim cieniu. Myślę o tym, że nawet jeśli dojdzie do tego, że wybiorę się na bal z Wesleyem Stokesem, to nie będę miała w co się ubrać, no i nie będę wiedziała, jak tam się zachowywać.

Postanawiam, że od razu przy pierwszym rzucie wybiję piłkę, aby przestać się zadręczać. Tyle że w tym samym momencie ogarnia mnie poczucie żalu...

Kiedy zajęcia dobiegają końca, Wes bierze mnie za rękę i razem idziemy w stronę szatni, żeby się przebrać. Kiedy zaś puszcza moją dłoń, czuję jednocześnie radość i przerażenie.

Jako ostatnia zjawia się Taryn – ona zawsze spóźnia się na trening, na mecze, na spotkania z trenerem. Twierdzi, że właśnie z tego powodu tkwi na prawym polu, ale dzieje się tak, bo nie należy do czołowych zawodniczek. Ja też się spóźniam. A przed poznaniem Wesa często opuszczałam treningi. Mimo tego grałam na pozycji pałkarza. Czasami umiejętności są wystarczającą przepustką. Długo polegałam właśnie na nich.

Ostatnio jednak bardziej się staram. Chcę więcej – więcej od siebie, więcej od życia, więcej...

Więcej oczekiwań.

Nie wiem, czy dzieje się tak z powodu Wesa, czy też przypadek stanowi fakt, że właśnie teraz postanowiłam zmienić swoje życie. Chciałabym wierzyć, że jestem na tyle silna, aby walczyć o wszystko sama, ale wiem także, że na niczym mi szczególnie nie zależało, dopóki nie zjawił się chłopak, który kiedyś mnie uratował.

Bez pośpiechu wiążę buty, podciągam wysoko podkolanówki. Spodnie obciskają mi uda i mają pod spodem specjalną warstwę amortyzującą. Taryn jeszcze się przebiera, więc w czasie, kiedy na nią czekam, korzystam z tego, że wszystkie dziewczyny już wyszły i mam dla siebie łazienkę. Staję przed lustrem i przyglądam się sobie.

Piersi spłaszcza mi koszulka z grubej lycry. Włosy mam związane w kucyk, a kilka luźnych pasemek przykleiłam do głowy za pomocą wody. Odwracam się bokiem i lustruję swoją figurę. Dostrzegam krągłości, ale raczej takie, które świadczą o prędkości i umięśnieniu. Ręce mam jeszcze całe w siniakach, które z fioletowych stały się zielonkawe. Oprócz nich na skórze widnieje jeszcze cała masa zadrapań. Wyglądam jak chłopczyca, która przez cały dzień łowiła gołymi rękami ryby z górskiego potoku.

Podchodzę bliżej, opieram dłonie o umywalkę i zbliżam twarz do lustra. Piegi są ledwie widoczne, niebieskie oczy wydają się lekko wypłowiałe, ale kiedy bacznie się przyglądam, wstrzymując oddech, widzę ją – widzę dziewczynkę, którą Wes... Christopher... uratował przed laty.

– Ona tu jest – szepczę i tak długo nie zamykam oczu, aż zaczynają łzawić.

Cofam się i kręcę głową, otrząsając się ze smutku, który zaczął zakradać się do mojego wnętrza. Oddycham powoli. Nie wyglądam jak dziewczyna, która chodzi na tańce. I tak naprawdę po raz pierwszy przejmuję się swoim wyglądem – tym, co widzą inni i jak się dopasowuję do reszty.

– Gotowa? – woła Taryn z końca szatni.

– Idę! – odkrzykuję. Jeszcze przez sekundę przyglądam się swojemu odbiciu, wystarczająco długo, żeby oczyścić głowę i przywdziać maskę zawodniczki softballu.

W drodze do wyjścia zgarniam swoją torbę ze sprzętem, a potem razem z Taryn idziemy ścieżką, która oddziela część baseballową od softballowej.

Widzę, że na górcie stoi Wes, a obok niego mój ojciec z podkładką do pisania i pistoletem do pomiaru prędkości. Znajdują się za daleko, żebym mogła widzieć ich oczy, ale obaj mają zwrócone głowy w moją stronę. Wes poprawia czapkę, a ja uśmiecham się, bo wiem, że to sygnał dla mnie, oznaczający „cześć”. A potem myślę o naszym zakładzie i dziewczynie, którą widziałam w lustrze i odwracam wzrok.

– Nie lubię dziewczyn z Trinity – odzywa się Taryn. Zerkam w prawo, gdzie rozgrzewa się druga drużyna. Nasze przeciwniczki mają stroje w odcieniu jaskrawej zieleni oraz kokardy i sznurowadła w tym samym kolorze. Wszystkie są ubrane w bluzy do kompletu, a na ławce rezerwowych leżą ich torby z wyhaftowanymi numerami.

Prywatne szkoły.

– Wyglądają na kasiaste – mówię. Rzucam swoją torbę na ławkę i przyglądam się własnym butom ze sznurówkami całymi w supłach. Za nic na świecie nie zamieniłabym tych butów na te, które mają dziewczyny z Trinity.

– Pamiętasz, jak rok temu wymknęłyśmy się przed meczem za ich szkołę na fajkę? – pyta Taryn, po czym wyjmuje z pojemnika piłkę i idziemy razem na boisko, żeby porzucić.

Śmieję się cicho na to wspomnienie i kiwam głową, kiedy jestem gotowa na jej rzut.

Zeszłoroczny mecz z Trinity był równoznaczny z początkiem mojego upadku. Po nieszczególnie udanej grze, tego wieczoru wyjątkowo daleko posunęłam się w obściskiwaniu się z Kyle'em. Całowałam się z nim w jego pokoju i pozwoliłam, aby zdjął mi koszulkę, gdy tymczasem nasi przyjaciele raczyli się w salonie alkoholem. Czułam w trakcie tego wszystkiego wstyd, który przybrał tylko na sile, kiedy po mniej więcej godzinie odepchnęłam go, wyraźnie liczącego na więcej. Nie wiem, jak to możliwe, że nie nienawidzi mnie za to.

A potem zaczęłam opuszczać treningi i lekcje. Zeszły rok zakończył się dla mnie samymi trójkami, a nawet jedną dwójką. Moja średnia to śmiech na sali, ale nigdzie przecież się nie wybierałam.

Nie myślałam o ograniczeniach. Zależało mi tylko na tym, żeby mieć wszystko gdzieś, ale teraz chcę dokądś pójść. Ściska mnie w żołądku na myśl, że mój upadek może mnie kosztować szansę dostania się dokądkolwiek – a zwłaszcza tam, gdzie pójdzie Wes.

– Wcześniej kończą – mówi Taryn i rzuca mi piłkę od dołu. Łapię ją i chowam do rękawicy na biodrze. Mrużę oczy w słońcu i przyglądam się drużynie baseballowej, skupionej wokół *home plate*.

– Tata nigdy nie kończy przed czasem. Pewnie po prostu raczy ich kolejnym wykładem – stwierdzam, wpatrując się jak urzeczona w scenę na drugim boisku.

Trener woła nas na ławkę, więc dołączam do reszty drużyny, ale kątem oka obserwuję, jak chłopcy po wyskandowaniu motywacyjnych haseł, zaczynają schodzić z boiska, zabierać torby i rozwiązywać buty. Kilku z nich idzie przez środek boiska, ale prawda dociera do mnie dopiero wtedy, kiedy rozpoznaję, że wśród nich są Wes i mój ojciec.

– O w mordę – mówię cicho.

– Co? – pyta Taryn i odgarnia włosy z twarzy. Klęczy na ławce i chwilę później już widzi to, co ja. Do szkolnej drużyny taty należy mniej więcej dwudziestu chłopaków i wszyscy idą w naszą stronę.

W gardle Taryn zaczyna rodzić się śmiech i sekundę później rozbrzmiewa głośno w moim lewym uchu. Na ramieniu czuję jej dłoń.

– O cholera, będą nam kibicować! – Zrywa się z ławki i biegnie na drugą stronę siatki, żeby zamienić parę słów z TK. Ja zostaję na swoim miejscu i przesuwam palcem po konturach rękawicy.

Za trybunami staje Wes i kładzie ręce na oparciach. Obok niego stoi mój

ojciec, ale tylko Wes patrzy w moją stronę. Unosi rękę i przygląda włosy, po czym zakłada z powrotem czapkę. Kiwa mi głową.

Jest mi niedobrze. Dzięki Bogu, że to my pierwsze wychodzimy na boisko.

Trener gromadzi nas wokół siebie i tylko jednym uchem słucham jego oceny drużyny przeciwnej. Jego słowa są dla mnie nieważne. Potrafię grać tylko w jeden sposób – po swojemu. Tak, jak mnie nauczył Eric Winters. Tyle że sporo czasu minęło, odkąd grałam w obecności ojca.

Ponad ramieniem trenera napotykam spojrzenie taty. Przygląda się bacznie, mimo że nic nie słyszy. Kiedy robimy rozgrzewkę, widzę, jak nachyla się ku Wesowi i coś do niego mówi. Szybko przestaję jednak zawracać sobie tym głowę, kiedy stopy niosą mnie przed siebie, a ciało odnajduje naturalny rytm w każdym ruchu.

Stać cię na więcej. Odbijaj mocniej. Nie zostawiaj miejsca na błędy. Dawaj!

Ostatnią piłkę podczas rozgrzewki podaję do Shelby, naszej łapaczki. Łąduje głośno w jej rękawicy. Dziewczyna ściąga maskę i posyła mi groźne spojrzenie, ale ja uciekam wzrokiem. Niepotrzebnie na niej się wyżyłam. Nie jestem z siebie dumna, ale nie zamierzam przeproszać.

Wchodzimy na boisko i Trinity przejmuje kontrolę tylko nad jednym rzutem. Piłka leci w stronę moich kolan, odbijam ją bez problemu i nawet podkręcam. Dostrzegam, że mój ojciec mówi coś Wesowi. Siadam sama na końcu ławki rezerwowych i zastanawiam się, jakie to mogły być słowa.

Nie podkręcaj tak piłki. Po co ten teatrzyk? Po prostu wykonuj swoją robotę.

Nasze dwie pierwsze pałkarki świetnie sobie radzą. Podnoszę z ziemi kask i go zakładam, wypluwając wcześniej z ust łupiny słonecznika.

– Nie mam pojęcia, jak możesz jeść coś takiego. Paskudztwo. Człowiek ma wrażenie, że gryzie ołówkę – oświadcza Taryn, przysypując piaskiem

stertę łupin. Piorunuję ją wzrokiem. – Ej, daruj sobie te dąsy. Jesteś rozdrażniona, bo rzuciłaś palenie.

Krzywię się.

– Wcale nie – mówię. Z tylnej kieszeni wyjmuję małą paczuszkę ziaren i wkładam sobie kilka do ust. – I odwal się.

Prawda jest taka, że wcale nie tęsknię za papierosami. Nie podobało mi się to, jak się przez nie czułam. Podobało mi się jednak, że wtedy inni podchodzili do mnie z pewną dozą ostrożności i generalnie dawali mi spokój. Podobało mi się, że fajki były jeszcze jedną rzeczą, która wkurzała mojego tatę.

Dziewczyna z kijem przede mną ma na imię Bria. Jej kokarda jest ogromna. Stroiłabym sobie z tego żarty, ale tak naprawdę przyzwoita z niej odbijająca. Obecnie, kiedy jestem jedyną zawodniczką bez kokardy, moja pozycja uległa zdecydowanemu osłabieniu. Bria odbija piłkę i posyła ją na środek boiska, gdzie zawodniczka Trinity jakimś cudem ją łapie. Przysięgam, że miała zamknięte oczy. Podchodzę do *home plate* pewnym siebie krokiem, wiedząc, że to, co ja odbiję, na pewno nie zostanie złapane. Odbicie Brii było dobre, ale nie tak mocne jak moje. Nie dam nikomu czasu na reakcję. Moja piłka zniknie, nim zorientują się, co z nią zrobić. Ojciec nie będzie mógł mi nic zarzucić. A ja nie założę w piątek sukienki na jakiś głupi bal.

Mimo że to coś, czego pragnę najbardziej na świecie.

Wypluwam na trawę ostatnie łupiny i zajmuję swoje miejsce. Sędzia piorunuje mnie wzrokiem, ale ja – niespieszona – wypluwam jeszcze jedną, ostatnią łupinę. Tym razem jednak na piach.

– O smaku bekonu – mówię, unosząc brwi.

Sędzia mamrocze coś pod nosem i pokazuje palcem na miotaczkę z Trinity.

Stoję w rozkroku i pozwalam, aby kij opierał mi się o ramię, dopóki nie

będę wiedziała, że jest gotowa do rzutu. Bierze zamach i piłka przelatuje obok mnie, mniej więcej na wysokości pasa.

– *Strike!*

Słyszę w tle radosne okrzyki. Część chłopaków skanduje moje imię, a koleżanki z drużyny wykrzykują rytmicznie:

– Dalej, Joss! Więcej, Joss! Rób tak, Joss! Dalej, numer trzydzieści cztery!

To tylko hałas. Dźwięki w tle. W ogóle się nie liczą. Nie dopuszczam ich do świadomości. Ten rzut się nie liczy. Wyłączam się na wszystko. Niczego nie słyszę. Tylko własny puls i oddech.

A potem dociera do mnie jego głos.

– Zuch dziewczyna. Nie odbijasz takich piłek. Odbijasz te najlepsze.

Mój ojciec nie krzyczy jak cała reszta. On mówi. Jego głos przebija się przez wrzawę i dociera prosto do moich uszu. To jedyne, co słyszę i nagle moje nogi stoją pewniej, ręce minimalnie zmieniają ustawienie, a mięśnie się spinają.

Jestem fighterką czekającą na *strika*, a kiedy miotaczka rzuca po raz kolejny, odbijam piłkę tak mocno, że nie tylko frunie ponad ogrodzeniem, ale ląduje aż na parkingu.

Okrażam bazy, a wzrok mam utkwiony w tumanach kurzu wzbijanych przez każdy krok dziewczyny biegnącej przede mną. Kiedy okrażam trzecią bazę, moja drużyna schodzi z ławki i wita mnie na *home plate*. Nie patrzę na nią. Spojrzenie kieruję na ostatni rząd trybun, gdzie stoi starszy mężczyzna. Uśmiecha się.

Dziewczyny ściskają mnie i przybijają piątkę, ale ja nie spuszczam wzroku z mojego taty. Jego uśmiech był przelotny i gdybym nie spojrzała w odpowiednim momencie, to pewnie bym go nie dostrzegła, ale spojrzałam.

Ten uśmiech był prawdziwy.

Pozostała część rozgrywki wygląda podobnie. Wynik końcowy to piętnaście do dwóch dla nas. Sędzia obwieszcza koniec meczu, bo nasze boisko nie ma oświetlenia, a słońce już chyli się ku zachodowi.

Taryn pakuje się szybko i woła, że później do mnie zadzwoni. Podaje torbę TK, który zarzuca ją sobie na jedno ramię, a drugim obejmuje moją przyjaciółkę. Przyglądam się, jak odchodzą, a sama niespiesznie zdejmuję rękawice i się pakuję. Na ławce jestem już tylko ja, kiedy podchodzi Wes.

– Jestem ci to winny – mówi i podaje mi banknot dziesięciodolarowy. Uśmiecham się drwiąco i wzruszam ramionami. Wcale go już nie chcę.

– Zakład to zakład, no nie? – Biorę od niego banknot i chowam do tylnej kieszeni. Schylam się, zdejmuję buty i plecami do niego wkładam je do dolnej przegrrody w torbie. Rzucam na ziemię japonki i wsuwam w nie odziane w skarpetki stopy.

– Taa... zakład to zakład – mówi za mną Wes.

Wzdycham i odwracam się. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, bo nie potrafię się poddać i powiedzieć mu: „tak, chcę iść na bal”. Zresztą on już oddalił się od ławki.

Zerkam w stronę *home plate* i dostrzegam, że mój ojciec rozmawia z naszym trenerem. Nie krzyczy. Prawdę mówiąc, obaj w tej chwili się śmieją, a ojciec trzyma rękę na plecach trenera i pochyla się z uśmiechem. Obaj odwracają się i patrzą na mnie. Śmiech cichnie, więc udaję się za Wesem w stronę trybun.

– Niezłe odbicia, Winters. Twój tato właśnie mi mówił, że powinniśmy popracować z tobą na lewej stronie *plate'a*. Nie wiedziałem, że jesteś oburączna – mówi trener.

– Nie jestem – odpowiadam szybko.

Mój ojciec odchyła się z cichym śmiechem i krzyżuje ręce na piersi.

– Jest. Tylko trochę się zaśniedziała. Minęło już sporo czasu – stwierdza,

a jego spojrzenie prześlizguje się po mnie ze znajomym ogniem.

Duma.

Zatrzymuję się i patrzę na nich obu. Moja twarz jest pozbawiona wyrazu, bo mam wrażenie, że to jakiś żart. Czekam, aż wszystko wróci do normy.

– Popracujemy nad tym – oświadcza mój ojciec.

Patrzę mu w oczy, spodziewając się czegoś innego. Czekam na przytyk albo krytykę, ale wygląda na to, że nie nadejdą.

– Dobry pomysł – orzeka trener, po czym jeszcze raz klepie tatę w plecy i odchodzi w stronę ławki po swoje rzeczy. Odwraca się na pięcie i przez chwilę idzie tyłem, patrząc na nas oboje. – Och, dobrze by było, gdybyś to przygotowała na przyszły tydzień. Na meczu wyjazdowym ma się zjawić facet z uczelni Chico State, żeby ci się przyjrzeć.

– Będzie gotowa – odpowiada mój ojciec. Trzyma w ręce rękawicę, następnie podrzuca ją raz w drugiej ręce i w końcu opuszcza. Zawsze tak robi. Zawsze rzuca razem z chłopakami, zawsze robi wszystko to, czego oczekuje od nich.

To coś, co kiedyś robił ze mną.

Wyczuwam, że Wes zbliża się do mnie, ale zatrzymuje się, kiedy podchodzi mój ojciec. Tkwię pośrodku niczym kot w deszczu, a każdy miesiąc w moim ciele pragnie uciec. Serce jednak chce zostać właśnie tutaj.

– Co powiesz na to, żeby w weekend wstać wcześniej ze mną i Wesem i przyjść na boisko trochę potrenować? Przecież i tak wcześniej wstajesz i biegasz – mówi ojciec z cichym śmiechem, który przeradza się w kaszel. Denerwuje się. – Nie zachowujesz się tak cichutko, jak ci się wydaje. Słyszę cię rano.

– Nie sądziłam, że rano jesteś świadomy czegokolwiek – rzucam. Słyszę, że oddech stojącego za mną Wesa zmienia się, jakby chłopak chciał się odezwać. Atakuję i wiem, że Wes nie chce, żebym zepsuła ten moment. Tak

długo jednak czekałam, aby powiedzieć ojcu parę rzeczy wtedy, kiedy będzie w takim stanie, by chciał ich wysłuchać. Muszę zrzucić to z siebie.

– Masz rację. – Słowa ojca mnie szokują.

Czekam, aż doda coś jeszcze, zaczynającego się od „ale”. Zamiast tego unosi ręce i wzrusza ramionami.

– Mam pracę – mówię i unoszę wysoko brodę. To kolejna wymówka, kolejna przeszkoda do pokonania w tej scenie rodem z filmów z kanału Hallmark.

– Tak ci ułożymy grafik, żebyś nie musiała wstawać zbyt wcześnie po pracy na drugą zmianę.

– Och i zrobimy to dla mnie, tak? Nie z powodu ciebie i twoich późnych powrotów. – Odwracam się, aby zabrać swoje rzeczy. Wpadam na Wesa, który stoi za mną i już je trzyma.

– Joss, po prostu go wysłuchaj.

Nieruchomieję i wbijam wzrok w twarz Wesa. Jego oczy błagają mnie, żebym wykonała ten krok, żebym uwierzyła, że mój ojciec robi właśnie coś życzliwego. Ta gałązka oliwna jest prawdziwa i Wes chce, abym ją przyjęła.

Odwracam się ponownie twarzą do ojca, ale jego wzrok wbity jest w Wesa. Przygryza dolną wargę i długą chwilę stoi w bezruchu, nim w końcu się odzywa.

– Ona ma wiele powodów ku temu, aby mnie nie słuchać, Wes. Wiem. Nie byłem... obecny. Nie było mnie *tam* – mówi mój ojciec.

– Nie byłeś nikim więcej jak pijakiem i agresywnym palantem! – przerywam zduszonym głosem, zawieszona między śmiechem a płaczem.

Ojciec głośno przełyka ślinę i, przekładając rękawicę w dłoniach, przenosi spojrzenie na mnie. Powoli zaczyna kiwać głową, następnie spuszcza ją, a jego oczy zasnuwają się czymś, czego nie rozpoznaję. To nie do końca żal, ale blisko.

– Zjawię się tu w sobotę o dziewiątej. I zrobię to dla ciebie. Mam nadzieję, że dasz radę przyjść – mówi, po czym mnie mija, zatrzymuje się obok Wesa, ściska mu dłoń i w końcu zostawia nas samych.

Przez pełną minutę, bo tyle zajmuje mojemu tacie przejście przez boisko na parking, gdzie stoi jego auto, panuje pełna skrępowania cisza.

– Joss, ja... – zaczyna Wes, a ja odwracam się i wymierzam w niego palec.

– Nie! Ty nic. Co to było? Ty go na to namówiłeś? Jakaś interwencja czy kiepska próba naprawienia naszej spierdolonej relacji? Nie możesz nas naprawić, Wes. Nie możesz! Jesteśmy zbyt zranieni.

Próbuję wyrwać mu z ręki torbę, ale jest szybki i silny. Oboje ciągniemy, w końcu daję za wygraną, a on patrzy mi w oczy.

– Do cholery, Josselyn! Twój tato zrobił to z własnej woli. Zaplanował to kilka dni temu, kiedy zobaczył, że nasz grafik różni się od waszego. Skrócił nasz trening i oświadczył drużynie, że jeśli któryś z nas chce utrzymać swoją pozycję startową, to niech lepiej bierze tyłek w troki i dopinguje dziewczyny. On to wszystko powiedział, Joss. Twój tata! To nie mój pomysł!

Wes puszcza moją torbę i jej ciężar sprawia, że robię krok w tył. Nadal patrzę mu w oczy i robi mi się naprawdę głupio. Czuję zażenowanie, bo moje życie jest takie pochrzanione. Jedynym, co ten chłopak tak naprawdę o mnie wie, jest to, jak bardzo mój ojciec złamał mi serce. On to widział – od samego początku. Fakt, że był przed chwilą świadkiem próby naprawienia naszych stosunków – która z całą pewnością się nie uda – sprawia, że czuję jeszcze większy wstyd.

– On mnie i tak rozczaruje – mówię i zbiera mi się na płacz. Biorę się w garść i wraca moja determinacja.

– Może nie. – Wes robi krok w moją stronę.

Cofam się i kręcę głową. Wbijam wzrok w stopy i puszczam torbę.

– Zawsze mnie rozczarowuje. Zrobi tak po raz kolejny – szepczę. Nie mówię tego głośno, bo przyznanie, że nie wierzę w tatę, sprawia mi przykrość. Jeszcze bardziej krępuje mnie to, że chciałabym w niego wierzyć.

– A jeśli nie? A jeśli chce tego bardziej niż ty? – Wes ponownie podchodzi do mnie.

Przełykam ślinę, podnoszę na niego wzrok i obejmuję się ramionami.

– Podniesiesz mnie, kiedy upadnę? Będziesz mnie wspierał, kiedy on zawiedzie? – Mocno przygryzam wargę. Z jednej strony atakują mnie wątpliwości, z drugiej mała dziewczynka, która tak bardzo chce, żeby spełniło się jej marzenie.

Wes opiera czoło o moją głowę i odsuwa mi z twarzy luźne pasma włosów. Muska mi kciukami policzki.

– On nie zawiedzie, Joss. Patrzyłem mu dzisiaj w oczy i wierzę w to, ale będę cię wspierał podczas pokonywania każdej możliwej przeszkody. Nie będzie idealnie i na pewno popełni niejeden błąd, ale nie zamierza się poddać. On nie zawiedzie. – Głos Wesa jest cichy. Chłopak kciukiem unosi mi brodę, zmuszając, żebym spojrzała mu w oczy.

Wypuszczam głośno powietrze i odwracam wzrok, ocierając jednocześnie oczy nadgarstkiem.

– Wolno ci płakać, Joss. To nie oznacza, że jesteś słaba – mówi.

– Właśnie, że oznacza. I nie cierpię tego. – Nie patrzę mu w oczy.

– Wolno ci płakać – powtarza, a jego słowa sprawiają, że z mojego gardła wydobywa się szloch.

– Nieważne – mamroczę i ponownie ocieram oczy. W końcu poddaję się i podnoszę na niego wzrok. Jego uśmiech jest łagodny. Wes przechyla głowę i to on przejmuje oczyszczanie mojej twarzy z bólu.

– Nieważne, to znaczy, że spróbujesz? Zjawisz się tu z nami w sobotę rano? – pyta, a na jego ustach igra delikatny uśmiech.

– Nieważne. – Kręcę głową. – W porządku. Zjawię się.

Wes nie przestaje się uśmiechać ani nie odrywa ode mnie wzroku. Przygląda mi się uważnie, jakby próbował odkryć kryjące się w moich oczach tajemnice, ale ja nie mam tajemnic. Nie przed nim. On *był* moją tajemnicą – jest moją tajemnicą.

– No co? – W końcu wzruszam ramionami. Jego baczne spojrzenie sprawia, że oblewam się rumieńcem.

– Dasz zaprosić się na ten „głupi” bal?

To nie są czekoladki ani kwiaty i dla innych – zwłaszcza dla Taryn – nie jest to ani trochę romantyczne, ale dla mnie to jedno pełne frustracji pytanie znaczy więcej niż cokolwiek innego. Jest wszystkim. I dokładnie tak chciałam, aby mnie o to zapytał.

Kąciki moich ust lekko unoszą się i powoli kiwam głową, nadal patrząc mu w oczy.

– Taa, dam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– NIE BOLAŁOBY CIĘ, GDYBYŚ SIĘ NIE RUSZAŁA.

Myślę, że Taryn podoba się to, że to ona mną dyryguje. Przeważnie jest na odwrót. Od wielu lat to ja dzierżę stery naszej przyjaźni. Kiedy moje życie obróciło się do góry nogami, przekazała mi prymat. Z wiekiem coraz bardziej rozumiałam, że zrobiła tak, bo wiedziała, że coś takiego jest mi potrzebne – poczucie kontroli nad *czymkolwiek*. Pozwoliła więc, abym to ja rozdawała karty w kwestii tego, w jakie pakujemy się kłopoty.

Teraz jednak – teraz, kiedy w jednej dłoni trzyma pasmo moich włosów, a w drugiej prostownicę – Taryn znowu rządzi.

– To dla mnie męczarnie. Masz tego świadomość, prawda? – Zdmuchuję z czoła kilka loków, które zostawiła do wystygnięcia.

– I to mówi dziewczyna, która rozmyślnie wypadła z samochodu, poruszającego się z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Taa, jestem pewna, że właśnie to będzie tym, co cię zabije – oświadcza Taryn.

– Możliwe. – Nie ruszam głową, gdy tymczasem przyjaciółka jeszcze raz wsuwa mi we włosy rozgrzany kawałek metalu. – A tak w ogóle to jechaliśmy wtedy tylko pięćdziesiąt na godzinę. Maksymalnie sześćdziesiąt.

– Wiesz, gotowa byłabym zabić za gęste włosy, które są tak podatne na kręcenie jak twoje. To takie niesprawiedliwe – wzdycha.

– Cóż, gdybym mogła, to bym ci je dała. Nie masz pojęcia, ile razy myślałam o tym, żeby ogolić głowę – wyznaję.

Palce Taryn nieruchomieją. Obraca mnie do siebie twarzą tak, że teraz patrzę jej w oczy.

- Błagam, powiedz, że tylko żartujesz. Nigdy, ale to nigdy nie gól głowy.
- Okej... żartuję.

Taryn przygląda mi się jeszcze chwilę, po czym przewraca oczami i po raz kolejny pociąga za mój kucyk. Jestem pewna, że wcale nie musiała tego robić. Wyłączam się i rozmyślam o ogoleniu głowy przez tych kilka minut, kiedy Taryn kończy układać mi włosy. Rok temu rzeczywiście stałam już przed lustrem z nożyczkami przy skórze. Posunęłam się nawet do tego, że z tyłu wycięłam spore pasmo. I było tak, że kiedy związywałam włosy w koński ogon, na karku czułam te krótkie włoski. Lubiłam ich dotykać i myśleć, jak łatwo byłoby wszystko ogolić – być aż tak wolną.

– Okej – mówi Taryn i odwraca mnie na kuchennym stołku, który przyniosłyśmy do łazienki. – Pora na demonstrację.

W pierwszej chwili nie poznaję samej siebie, wpatruję się bez słowa w dziewczynę w lustrze. Twarz nadal ma moją. Nie zgodziłam się na ostry makijaż. Mam tylko grubą kreskę zrobioną eyelinerem i to wszystko. Uparłam się na upięte włosy, bo wtedy czuję, że mam większą kontrolę. Od zawsze. Taryn jednak nalegała, żebym pozwoliła jej zrobić mi hot fryzurę. To nic wielkiego i dokonane przez nią zmiany są subtelne, ale dziewczyna w lustrze jest starsza, weselsza i może nawet gotowa na to, aby ją pocałowano na środku parkietu, na oczach wszystkich, którzy uważają, że na to nie zasługuje.

– No co? Podoba ci się? – Taryn przygryza kciuk i też przygląda się mojemu odbiciu. Powoli kąciki ust zaczynają mi się unosić.

– Aha – mówię. – Podoba.

– Dzięki Bogu! – woła i przysiada na skraju wanny. Lustruje mnie wzrokiem od góry do dołu, niemal tak, jak ma w zwyczaju Kyle. – Dobrze tak wyglądasz. Wiem, że twierdzisz, że to nie ty, ale... to ty. To ty dzisiejszego wieczoru, Joss. I zauważy to każdy facet, łącznie z moim.

Serce zaczyna mi głośno walić i lekko kręci mi się w głowie. Nie potrzebuję, żeby wszyscy mnie zauważali, chcę, żeby robił to tylko jeden chłopak. Jedyne, czego pragnę, to wyglądać na tyle dobrze, aby Wes nie pożałował swojego wyboru.

– Okej, no to sukienkę chcesz zabrać do domu i tam skończyć się szykować? Czy wolisz, żebym w tym także ci pomogła? – pyta mnie przyjaciółka i przechodzi przez korytarz do swojego pokoju. Udaję się za nią, a moje palce odruchowo sięgają do śliskich, upiętych wysoko włosów. Cokolwiek z nimi zrobiła, do końca wieczoru żadne pasmo nawet nie drgnie.

– Chyba zabiorę ją do domu. Wes po mnie przyjedzie. Tata... on... powiedział, że chce zobaczyć, jak wyglądam – mówię i pocieram oko, bo lekko mi drży powieka. Ten cały wieczór jest surrealistyczny na tak wielu płaszczyznach. Po pierwsze w ogóle nie miał się wydarzyć.

– To dobrze. Może... może wraca do swojej roli. – Taryn wręcza mi suknię zapakowaną w pokrowiec.

Przekładam ją sobie przez ramię i nachylam się ku przyjaciółce. Nie należę do osób wylewnych, ale czuję, że powinnam jej pokazać, jak wiele znaczy dla mnie dzisiejsze popołudnie. Ponad godzinę poświęciła na zrobienie ze mnie księżniczki – a przynajmniej w kwestii fryzury. Reszta należy do mnie.

– Napisz, kiedy będziecie wyjeżdżać. Postaramy się zjawić mniej więcej w tym samym czasie – mówi, opierając się o futrynę. Obiecuję, że właśnie tak zrobię, po czym wychodzę.

– Pięknie wyglądasz, Joss – odzywa się ojciec Taryn, kiedy go mijam na podjeździe. Wstaje z kolan, trzymając w szmacie ubrudzonej smarem jakąś część samochodową. Pracuje w warsztacie, ale sporo zleceń realizuje także w domu. Dzięki temu udaje mu się płacić czesne za studia sióstr Taryn, no i pewnie niedługo także i jej. – Odwieźć cię? Żeby fryzura ci się nie potargała?

Wiatr rzeczywiście przyjemnie chłodzi moją odkrytą szyję. Uśmiecham się do niego i kręcę głową.

– Dziękuję, ale mam ochotę się przejść.

– Okej, JJ. Tylko masz być dzisiaj grzeczna, słyszysz? – Nachyla się i całuje mnie w policzek. Ojciec Taryn zawsze mnie traktował jak własną córkę. Przed laty mówił na mnie JJ i wiem, że powiedział tak teraz po to, aby mi przypomnieć, że nadal jestem jego małą dziewczynką. A mi dzięki temu robi się w brzuchu przyjemnie ciepło.

Droga od domu Taryn do mojego zajmuje mi tylko kilka minut. Udaję się prosto do swojego pokoju, gdzie włączam iPoda i podpinam go pod głośnik. Wes wczoraj wgrał na niego sporo kawałków z aktualnej listy top 40 i nalegał, abym ich słuchała podczas szykowania się na bal. To pop i większość piosenek znam – po prostu nie słucham ich na co dzień. Nic skomplikowanego, no i każda piosenka ma szczęśliwe zakończenie. Przy piątym utworze niemal chichoczę na myśl, jak bardzo różni się ta playlista od tego, co zazwyczaj słucham.

Dostaję SMS-a od Wesa. Pisze, że już jedzie, więc wyjmuję z pokrowca pożyczoną od Taryn sukienkę z czarnego jedwabiu. Miała ją na sobie przed dwoma latami na swojej *quinceañera*[6]. Jest prosta i ładna, idealna na dzisiejszy wieczór. Zakładam ją i sięgam do zamka. Sukienka ma długość do kolan. Staję na łóżku i przyciskam dłonie do sufitu, żeby utrzymać równowagę tak, bym mogła zobaczyć siebie w pełnej krasie. Obracam się, kiedy słyszę ciche pukanie do drzwi.

– Chwila – mówię, zerkając na gołe nogi. Trochę za szybko jak na Wesa i nie jestem jeszcze gotowa.

– To tylko ja. Wes jeszcze nie przyjechał – odzywa się mój ojciec.

Powoli schodzę z łóżka i zbliżam się do drzwi. Moja dłoń zatrzymuje się na klamce i przez chwilę chcę powiedzieć, że nie jestem jeszcze gotowa. Nie

robię tego jednak i zamiast tego otwieram drzwi.

Spojrzenie ojca pada najpierw na moją twarz, następnie prześlizguje się po włosach, ramionach, aż w końcu obejmuje mnie całą. Mężczyzna przechyla głowę i usta ma zaciśnięte, pozbawione wyrazu.

– No i? – Unoszę ręce i wykonuję powolny obrót. – To sukienka T. Ja nie mam niczego, co by się nadawało i... krępuje mnie to.

Tata kiwa powoli głową i ze wzrokiem utkwionym na wysokości mojej talii przygryza wnętrze policzka. W myślach zaczynam robić przegląd innych sukni w szafie Taryn – albo swetrów czy czegoś, co nie jest tym, co mam w tej chwili na sobie. W tym momencie mój ojciec unosi trzymaną w ręce plastikową torbę i podaje mi ją.

– Ta suknia ci nie pasuje, ale ta... może? – Ręka mu się trzęsie, choć torba wcale nie jest ciężka. Myślę, że powodem jest to, że kupił coś. Dla mnie.

Marszcząc czoło, biorę ją od niego i siadam na skraju łóżka. Otwieram torbę i sięgam do środka. Pierwsze, co widzę, to białe sznurowanie na plecach i upuszczam torbę na kolana. Patrzę tacie w oczy.

– Skąd wiedziałeś?

To ta sukienka, której dotknęłam, kiedy wybrałam się na zakupy z Taryn. To jedyna rzecz w całym sklepie, którą bym sobie kupiła, gdybym miała za co. Nie była jakoś szczególnie droga, ale i tak przekraczała moje możliwości. Choć dla mojego ojca to nie majątek, wydał na nią więcej niż kiedykolwiek na coś, co nie było kijem czy rękawicą.

Wzrusza ramionami.

– Tak naprawdę to pomysł Taryn. Powiedziała mi, że nie masz w co się ubrać i że powinienem coś z tym zrobić. Dałem jej w szkole pieniądze, ale ona wczoraj podrzuciła tutaj tę torbę, twierdząc że będzie to... bardziej wymowne, jeśli sam ci ją dam – mówi z wyraźnym skrepowaniem. Patrzy na

mnie, lecz po chwili wbija spojrzenie w swoje stopy.

– Zakupy to nie jest nasza specjalność – mówię. Nie wiem, czemu go usprawiedliwiam, ale w mowie jego ciała widzę wewnętrzną walkę. Ma wyrzuty sumienia, że to Taryn musiała go zdopingować do zrobienia czegoś miłego. No ale jednak... chciał to zrobić. W przeciwnym razie nie trzymałabym w rękach tej sukienki. I to właśnie jest najważniejsze... chyba.

– Mam nadzieję, że wybrała właściwy rozmiar. – Na jego twarzy na chwilę pojawia się uśmiech.

– Jest... właściwy – mówię, wyjmując sukienkę z torby. Palcami muskam metkę z ceną. Osiemdziesiąt dolarów. – Nie... nie musiałeś...

– Musiałem – przerywa mi tata. Opiera głowę o futrynę i w końcu patrzy mi w oczy. – To jedna z tych rzeczy, które ojciec powinien robić dla córki.

Utrzymuję z nim kontakt wzrokowy i pozwalam, aby jego słowa zagłębiały się we mnie. Po długiej chwili opuszczam spojrzenie na leżącą na moich kolanach sukienkę i wyglądam ją dłońmi.

– Okej – szepczę. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Przełyka ślinę i drapie się po głowie. – No to teraz cię zostawię. Gdy zjawi się Wes, to go zajmę, żebyś mogła się wyszykować.

– Okej – powtarzam i patrzę, jak wychodzi, powoli zamykając drzwi.

Przez pełną minutę siedzę w bezruchu, trzymając w rękach swoją idealną sukienkę. Dopiero wtedy zaczynam czuć, że na nią zasługuję. Kiedy ją zakładam, wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Chowam sukienkę Taryn z powrotem do pokrowca, kładę ją na stojącym w rogu krześle razem z czarnymi butami, również pożyczonymi od niej, po czym szukam w szafie ciemnobrązowych kowbojek, których nie tknęłam od niemal roku. Należały do mojej matki i ich noszenie jest dla mnie niczym zdrada, ale nigdy ich nie wyrzucę. Kocham je równie mocno, jak i nienawidzę.

Kilka minut później rozlega się dzwonek i choć nie jestem gotowa, staję

przy drzwiach i nad słuchuję, jak tato wita się z Wesem i zabawia go rozmową. Do małej torebki na ramię, w której zdarzało mi się przemycać do kina piwo i papierosy, chowam telefon i dwadzieścia dolarów, które mi zostały z pierwszej wypłaty. Ponownie zatrzymuję się z ręką na klamce. Wes i mój ojciec śmieją się z czegoś, ale daje się wyczuć, że tak naprawdę obaj na mnie czekają.

Zamykam oczy i szeptem się modłę. Proszę, aby dzisiejszy wieczór okazał się perfekcyjny, wolny od bólu. A potem wychodzę z pokoju i szybko otrzymuję pierwszy sygnał świadczący o tym, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Panowie nie odzywają się ani słowem. Nie gapią się. Uśmiechają się lekko, a mój ojciec ma szkliste oczy. Kiedy otwiera nam drzwi, przypomina Wesowi o ostrożnej jeździe.

Wes prowadzi mnie w stronę furgonetki, czuję na plecach muśnięcia jego palców. Sięgam do klamki, ale on mnie powstrzymuje.

– Nie, pozwól, abym ja to zrobił. Tylko dzisiaj – mówi.

Śmieję się cicho.

– Dobrze, tylko dzisiaj.

Chwytam za fałdy sukienki, szykując się do wejścia do kabiny. Wes otwiera drzwi, ujmuje moją dłoń i pomaga mi wsiąść. Przed zamknięciem drzwi na chwilę nieruchomieje. Na jego twarz nie opadają żadne luźne pasma włosów. Kładzie obie ręce na górnej krawędzi drzwi i ciężko wzdycha.

– Obiecałem Taryn, że nie będę cię wprawiał w zakłopotanie swoim zainteresowaniem i mówieniem o tym, jaka jesteś ładna. Powiedziała, że to może cię wystraszyć, ale ożeż ty w mordę, Joss. Po prostu... ożeż ty w mordę – mówi z uśmiechem, zagryzając przy tym dolną wargę.

Nie mówi nic więcej. Zamyka drzwi i przechodzi na drugą stronę furgonetki. Jeszcze raz zagryza wargę, kręci głową i dopiero wtedy przekręca kluczyk w stacyjce.

Taki komplement jestem w stanie przyjąć.

– Musimy wrócić do mnie po Leviego. Zaprosił jakąś dziewczynę z waszej drużyny. Brię, o ile dobrze pamiętam – wyjaśnia, jadąc powoli. Co rusz na mnie zerka, a ja krzyżuję nogi i staram się powstrzymać łaskotanie w brzuchu.

– Twoje nogi w kowbojkach wyglądają naprawdę rewelacyjnie – oświadcza i spogląda na moje kolano, tam gdzie podciągnęła się sukienka. Krzyżuję nogi jeszcze ciaśniej, a jego zainteresowanie sprawia, że robi mi się ciepło.

– Ty też nieźle wyglądasz – mówię lekkim tonem. Wes uśmiecha się jedynie, po czym skupia ponownie na drodze.

Ma na sobie szarą koszulę, czarne spodnie i tego samego koloru cienki krawat. Dostrzegam jego buty i się uśmiecham. Nie pytam, czy są nowe, ale mam niemal pewność, że tak właśnie jest. I cofam się myślami do czasów, kiedy był jeszcze Christopherem.

Zatrzymujemy się pod jego domem. Na podjeździe czeka na nas cała rodzina Wesa. Bria, którą przywieźli jej rodzice, stoi pod ramię z Levim. On z kolei jest ubrany dokładnie tak jak jego brat i robi mi się ciepło na duszy na myśl, że TK wygląda identycznie. Moje podejrzenia znajdują potwierdzenie, kiedy za nami zatrzymuje się Taryn i z samochodu wysiada brat Wesa.

– O rety! Moi chłopcy chyba nigdy nie wyglądali tak przystojnie – oświadcza niewysoka, rudowłosa kobieta, odrywając się od boku Bruce'a. W ręce trzyma telefon, gotowa, aby robić zdjęcia.

– To moja mama – szepcze mi Wes do ucha.

– Chłopcy, chodźcie. Jeszcze jedno zdjęcie – mówi jego mama, przywołując do siebie synów. Stają razem obok furgonetki. – TK, odpuść sobie. Żadnych rogów. Widzę, że to robisz.

– Wcale nie! – śmieje się TK. – Raz tylko zrobiłem, na zdjęciu do

świętecznej kartki w zeszłym roku.

Jego matka kładzie ręce na biodrach i piorunuje go wzrokiem.

– Wiem. Nie mogłam ich wysłać, a zamówiłam sto sztuk. A teraz nie pajacuj i zrób to jak należy – mówi rzeczowo. Wes trzepie TK po głowie i cała trójka w końcu porządnie ustawia się do zdjęcia.

Ich mama robi kilka zdjęć, po czym przywołuje nas wszystkich do wspólnej fotografii. Następnie prosi synów o pozowanie osobno, razem ze swoją partnerką. Jako ostatni do zdjęcia staje Wes i ja. Jego mama podchodzi do mnie i ujmuje skraj mojej sukienki. Pociąga lekko, po czym puszcza.

– Teraz jest idealnie – uśmiecha się.

– Dziękuję. – Głos mam lekko zachrypnięty. Odkasłuję i zaciskam spocone dłonie na materiale sukienki. – Ona... jest nowa. Generalnie nie chodzę w sukienkach.

– Tak słyszałam – odpowiada szybko i się uśmiecha. Dotyka mojego ramienia, ściska je lekko, po czym podaje mi dłoń. – Jestem Maggie. A Wes od dwóch tygodni nie mówi o niczym innym jak o tobie. On... nie opowiada o dziewczynach. Nigdy. Uznałam więc, że musisz być kimś wyjątkowym.

Robię się czerwona jak burak.

– Dziękuję – szepczę i zerkam na Wesa, który ściska mi dłoń. Dokładnie w tym momencie jego mama robi zdjęcie. – Mogłaby pani mi je przesłać? U mnie w domu nie zrobiliśmy ani jednego – mówię.

– Jasne. Proszę, wpisz swój numer. – Z tymi słowami wręcza mi telefon.

Przez chwilę przyglądałam się uchwyconej przez nią chwili, po czym wysyłam sobie zdjęcie. Kiedy oddaję telefon, ona pstryka ich jeszcze kilka, ale wiem, że żadne nie będzie tak dobre, jak ujęcie, na którym podnoszę wzrok na Wesa, a on patrzy na mnie tak, jakbym była piękna. I po raz pierwszy tak właśnie się czuję.

– No dobra, ludzie. Bo się spóźnimy – mówi Taryn, pokazując na swoje

auto i furgonetkę Wesa. Śmieję się, bo Taryn przecież zawsze się spóźnia, a ona posyła mi groźne spojrzenie. Wzruszam ramionami, po czym wsiadam do kabiny i przysuwam się blisko Wesa, robiąc miejsce dla Leviego i Brii. Levi nalega, żebyśmy my – dziewczyny – zapięły pasy, on zaś jedzie bez nich.

Do szkoły nie jest daleko, zatrzymujemy się przed salą gimnastyczną i chłopcy nas wypuszczają, następnie TK odprowadza samochód Taryn na parking. Czekamy na chodniku, a chwilę później wracają do nas bracia Stokes. Trwa to kilka sekund, ale mam wrażenie, że ta scena rozgrywa się w zwolnionym tempie. Bracia są smukli i umięśnieni i godzinami mogłabym przyglądać się, jak idą w naszą stronę.

Nie mija jednak sekunda czy dwie, a widzę jedynie Wesa. Jego spojrzenie nawet na chwilę nie opuszcza mojej twarzy – ani kiedy do mnie podchodzi i wsuwa sobie moją rękę pod ramię, ani kiedy przechodzimy razem pod łukiem z balonów, zdobiącym wejście na salę, ani kiedy prowadzi mnie wzdłuż rzędów stolików na środek parkietu, gdzie wszyscy nas widzą.

Widzę. Jedynie. Wesa.

– Nadal mam torebkę – mówię, kiedy obejmuje mnie i kołyszemy się w rytm piosenki, której jestem pewna, że nadaje się do znacznie szybszych tańców.

– Wiem, ale to akurat nie jest *prawdziwa* torebka, a po drugie, gdybym pozwolił ci usiąść, to za cholerę nie mógłbym cię wyciągnąć, żebyś ze mną zatańczyła – stwierdza, opierając brodę na mojej głowie. Nie wypuszcza mnie z ramion, bo wie, że kiedy to zrobi, wycofam się do bezpieczeństwa zapewnianego przez stoliki. Ma rację.

– Celna uwaga – mówię.

– Całkiem dobra z ciebie tancerka, Jose. – W moim uchu rozbrzmiewa jego niski śmiech.

Czubkiem buta kopię go lekko w piszczel.

– Auć! – Udaje, że podskakuje na jednej nodze. Odsuwam się, ale to tylko test. Wes od razu przyciąga mnie do siebie, a jego usta znajdują się tuż nad moim uchem. – Możesz sobie kopać i krzyczeć tyle, ile tylko starczy ci na to ochoty. Nie zejdziemy z tego parkietu, dopóki nie przetańczymy trzech tandetnych piosenek R&B.

– Tandetne, prawda? Co to za teksty? To już nie to, co dawniej. Smokey, Marvin Gaye... to dopiero były kawałki – mruczę mu do klatki piersiowej. Wes odsuwa się i patrzy mi w oczy, nie przestając obejmować w talii. – No co? – pytam, kiedy unosi brew.

– Jesteś niczym żeński Freakazoid[7]. – Śmieje się i kręci głową.

– Nieźle. Freakazoid. Pięknie, Wes. – Przewracam oczami.

– Nie, nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to... Potrafisz odbijać piłkę mocniej niż większość chłopaków z naszej drużyny i radzisz sobie z moim najlepszym rzutem...

– A więc przyznajesz się? – wchodzę mu w słowo. – Właśnie przyznałeś się, że potrafisz odbijać twoje piłki? O mój Boże, czyżbym... czyżbym złamała kod obsługujący ego Wesa Stokesa? – żartuję.

– Złamałaś go wtedy, kiedy parę tygodni temu posłałaś moją najlepszą podkręconą piłkę w chwasty pod podstawówką. – Uśmiecha się uroczo, a w jego policzku ukazuje się dołeczek. Staję na palcach i całuję rzeczony dołeczek, po czym wtulam się w Wesa i kontynuujemy nasze powolne kołysanie w rytm muzyki dudniącej z głośników.

– To był *changeup*. No dobrze, to dlaczego jeszcze jestem Freakazoidem? – pytam.

– Wiesz, kim są Marvin Gaye i Smokey Robinson, gdy tymczasem większość dziewczyn z naszej szkoły nuci jedynie kawałki produktu marketingowej maszyny Disneya albo jakiegoś zwycięzcy muzycznego

reality show.

– Nie żartuj sobie z Kelly Clarkson. Uwielbiam Kelly Clarkson, ta dziewczyna ma jaja – oświadczam, wymierzając w niego palec. Wes na chwilę nieruchomieje i patrzy na mnie, po czym lekko uśmiecha się, ujmuje moją dłoń i całuje knykcie.

– Rozumiem, Kelly ma to coś, ale wiesz, o co mi chodzi – mówi. Otula dłońmi moje policzki i składa pocałunek na czubku mojej głowy. Tak się zatraciłam w tym chłopaku, że to nawet nie jest zabawne. Wyrzekam się kontroli i choć potwornie mnie to przeraża, bardziej boję się przegapić swoją szansę na bycie z Wesem. Robię to z własnej woli i wypatruję kolejnego pocałunku, kolejnego tańca, kolejnego dotyku jego dłoni. Moje serce nigdy nie biło w taki sposób, jak w obecności Wesa.

Ponownie wtulam się w niego i z głośników zaczyna grać wolna piosenka – taka, przy której powinno robić się na parkiecie to, co my. Kątem oka dostrzegam, że Taryn i TK przechodzą w ciemniejszy kąt i bardziej oddają się pocałunkom niż tańcowi. Po sali wędrują światła reflektorów, omiatając balony, serpentyny i rzędy odsuniętych pod ścianę ławeczek. To ta sama sala gimnastyczna, co zawsze, tyle że my jesteśmy przebrani za inne osoby. Ja na przykład jestem Freakazoidem przebrany za tańczącą z przystojniakiem księżniczkę country. W kowbojkach swojej mamy.

Ponownie odsuwam się od Wesa i patrzę mu w oczy, a dłonie kładę mu na karku. Patrzy na mnie tak, jakbym była dla niego kimś ważnym.

– Po prostu jestem, kim jestem – mówię, a on unosi brew. – Wiem, co masz na myśli mówiąc, że jestem inna. Ale... ja... tak naprawdę nigdy nie wpasowywałam się do odpowiedniej przegródki. Lubię szybką jazdę samochodem, nie mam własnego, ale jeśli już siadam za kierownicą, to przyciskam gaz do dechy. Lubię biegać boso po ulicy. Przez buty nie wszystko daje się wyczuć, no i bez nich jestem szybsza. Lubię wygrywać.

Nie znoszę przegrywać. A kiedy tak się dzieje, wymyślam usprawiedliwienia i opowiadam wszystkim, że wcale mi na tym nie zależy. Ale... zależy. Przegraną przeżywam tak bardzo, że zaszywam się w ciemnym kącie i płaczę. A potem też kłamię. W kwestii tego płaczu.

Lubię także to, co popularne. Na przykład filmy, na których facet na koniec zdobywa upragnioną dziewczynę, i piosenki, które w radiu puszczane są dziesięć razy dziennie, ale lubię także to, czego trzeba poszukać: zespoły, o których mało kto słyszał, i puszczane późnym wieczorem filmy z napisami. Wkurzam się, bo nie znam francuskiego ani hiszpańskiego.

Lubię szkołę i żałuję, że nie jestem lepszą uczennicą. Pewnie gdybym się postarała, to bym nią była. Jestem wściekła na siebie, że od początku się poddałam. Krępuje mnie także to, że nie potrafię zaplatać sobie włosów w warkocze. Właśnie dlatego nie noszę wstążek, tak jak pozostałe dziewczyny z drużyny. Raz próbowałam i tylko je poplątałam. Kokardy są głupie, ale także ładne. I...

Nim zdążę powiedzieć cokolwiek więcej, na moich ustach lądują usta Wesa. Pasują do siebie tak idealnie, że jego wydech staje się moim wdechem. Zamieram, zamroczona mocą tego pocałunku. Moje dłonie ześlizgują się po plecach Wesa, a palce zaciskają na materiale koszuli. On zaś obejmuje dłońmi moje policzki, a jego kciuki zataczają maleńkie koła pod moimi oczami.

– Nie wpasowujesz się w jedną szufladkę. I to czyni cię taką niesamowitą. Ty... jesteś wszystkim po trochu. I nie wstydzisz się prezentować tego wszystkiego – mówi.

– Czy ja wiem... – wzdycham.

– Ja wiem. I widzę to – oświadcza, wsuwając mi kciuk pod brodę.

Biorę głęboki oddech i przechylam głowę.

– Zawsze lubiłam to, jak na mnie patrzyłeś.

Wes się uśmiecha, a jego silne ramiona całą mnie obejmują. Tulę się do niego tak mocno, że jestem pewna, iż niszczy to dzieło sztuki, jakim jest zrobiona przez Taryn fryzura. Mam to gdzieś, bo kiedy jestem z nim, czuję się ładna, bez względu na to, jak wyglądam.

– Raz widziałem, jak płaczesz... – Jego głos jest niczym niski pomruk przy moim uchu. Opuszkami palców zatacza kółka na moim karku. Ten dotyk okazuje się hipnotyzujący.

– Kiedy? – pytam szeptem.

– Kiedy byłaś mała. W szkole, tego dnia, kiedy po raz pierwszy zjawiłem się u was na wyścigach. Widziałem, jak płaczesz. Na muzyce to nie ty zostałeś wybrana do zaśpiewania solówki, ale Taryn. Udawałaś, że tym się nie przejmujesz, a potem poprosiłaś o pozwolenie na wyjście z klasy. Schowałaś się za rogiem i płakałaś.

Ma rację. Tak było. To wspomnienie ukryło się pod latami miłości do przyjaciółki. Nigdy nie żywiłam do niej o to urazy. Także teraz – nawet we wspomnieniach.

– Chciałam, żeby Taryn była szczęśliwa, ale było mi smutno i czułam się z tego powodu samolubna, więc się ukryłam – wyjaśniam. Wes unosi mi brodę i patrzę na niego. Mój policzek nadal jest przyklejony do jego torsu.

– Wiem. Dlatego to było takie niesamowite. Byłaś naprawdę niewiarygodną przyjaciółką. I marzyłem, żeby mieć taką przyjaciółkę, jak ty – mówi.

Patrzy mi w oczy, a ja wyobrażam sobie tego smutnego chłopca, którego kiedyś znałam.

– Ty naprawdę to wszystko pamiętasz? Myślałam... że nie pamiętałeś mnie, dopóki nie spotkaliśmy się po latach? – pytam, przyglądając się jego długim rzęsom.

Wes przechyla głowę.

– Pamiętałem, ale twarz była zamazana. Kiedy cię znowu zobaczyłem, wypełniło się całe mnóstwo luk w pamięci – odpowiada.

Ciekawe jak wiele ich było, w ilu jego wspomnieniach odgrywałam główną rolę. Teraz, kiedy poznałam odpowiedź na najważniejsze pytanie – kim tak naprawdę jest Wes – o palmę pierwszeństwa walczyły we mnie miliony kolejnych, ale będą musiały zaczekać, a to dlatego, że moja druga połowa – Kyle – stoi sam w ciemnym kącie sali i wygląda na smutnego.

– Wiem, że czymś dziwnym jest zadawanie tego pytania osobie, z którą przyszło się na bal, ale czy mogę zatańczyć z kimś innym? Tylko... tylko jedną piosenkę? – pytam i zaciskam usta. Serce wali mi jak szalone. Nie chcę, żeby Wes mnie źle zrozumiał, ale nie chcę także, aby Kyle stał tam zupełnie sam.

Wes podąża za moim spojrzeniem, po czym robi długi wdech, prześlizguje się dłońmi po moich policzkach i jego usta zbliżają się do moich warg.

– Jak już mówiłem, zawsze byłaś niewiarygodną przyjaciółką – szepcze, po czym całuje mi delikatnie dolną wargę.

Odsuwa się i skinieniem głowy wskazuje stolik, przy którym siedzi Levi wraz ze swoją partnerką. Kiedy dosiada się do nich, ja skręcam w prawo i podchodzę powoli do mojego kochanego przyjaciela. Ma na sobie garnitur i jestem pewna, że go wypożyczył, bo w jego szafie nigdy nie widziałam podobnego stroju. Biel koszuli wręcz bije po oczach i mam przeczucie, że ona także jest nowa. Jest niemożliwie przystojny i w innym życiu byłabym głupia, gdybym nie straciła dla niego głowy, ale obecne życie miało dla mnie inne plany. Mimo to Kyle zdecydował się pozostać przy moim boku – jako przyjaciel.

– Ale się odstroileś, Kyle’u Marleyu – rzucam, stając obok niego. Śmieje się i spuszcza wzrok. Kciuki trzyma w kieszeniach i ma postawę chłopaka

gotowego do ucieczki.

– Dzięki, Joss. Ty też nie najgorzej wyglądasz – mówi i przechyla głowę, aby spojrzeć mi w oczy. Uśmiecha się krzywo i na chwilę wstrzymuje oddech. Zaciska usta i kręci głową, po czym ponownie wbija wzrok w podłogę. – Nie, to kłamstwo. Ty zawsze jesteś piękna, ale dzisiaj twój widok dosłownie zapiera dech w piersi.

Kiedy słyszę ten komplement, czuję lekkie pieczenie pod powiekami.

– Dzięki. – Zbliżam rękę do jego dłoni i nasze małe palce na chwilę splatają się ze sobą. – Gdzie twoja partnerka?

Podnosi na mnie wzrok i choć jest ciemno, widzę że oblewa się rumieńcem.

– Nie mam. Ja... nie zamierzam tu długo zostać. Chciałem cię jedynie zobaczyć. Taryn mówiła, że Wesowi w końcu udało się namówić cię na przyście, no i... no i musiałem zobaczyć Josselyn Winters w sukience. – Uśmiecha się.

Patrzę na niego zmrużonymi oczami, a on chichocze i wzrusza ramionami.

– Ty mało! Wymiatam w tej kiecce – oświadczam i lekko unoszę fałdy białej sukienki. W tym momencie jego śmiech cichnie i Kyle pociera ręką brodę.

– Taa... to prawda – mówi niskim głosem i patrzy mi w oczy.

Przygryzam dolną wargę i wbijam wzrok w jego tors. Nie jestem gotowa na przyjmowanie od niego kolejnych komplementów.

– Cóż, skoro już tu jesteś... – zaczynam i podnoszę wzrok.

– Chętnie z tobą zatańczę. – Wyjmuje rękę z kieszeni i wyciąga w moją stronę. Ujmuję ją i pozwalam, aby Kyle powiódł mnie na środek parkietu. Kiedy przyciąga mnie do siebie, choć nie za blisko, zerkam na Wesa. On jedynie się uśmiecha i nie przerywa rozmowy z bratem. Rozumie i czuję

ulgę, że nie jest zazdrosny.

– Założyłam kowbojki mamy – mówię i robię krok w bok, demonstrując mu buty.

Kyle uśmiecha się.

– Pasują ci – orzeka.

Powoli wracam w jego ramiona i uśmiecham się nieśmiało.

– Dzięki – szepczę. Kocham te kowbojki i jednocześnie ich nienawidzę. Nienawidzę i kocham. I okropnie czuję się z tym, że tak bardzo tęsknię dzisiaj za mamą.

– Byłoby jej przykro, Joss – odzywa się Kyle, a jego broda spoczywa na mojej głowie.

– Hmmm?

– Twojej mamie, gdyby cię teraz znała. Byłoby jej przykro, że straciła tak wiele ciebie. Pomimo tego wszystkiego, co cię spotkało, jesteś niesamowita. A jej byłoby przykro.

Przytulam go mocno, a on odpowiada tym samym.

Kiedy piosenka dobiega końca, Kyle odsuwa się i kiwa głową w stronę Wesa.

– No to uciekam. Nad rzeką jest impreza. Jedyne, co muszę zrobić, to odwiesić ten garnitur do szafy taty. – Uśmiecha się drwiąco, a ja czuję ulgę, że nie wypożyczył go specjalnie tylko na tych kilkanaście minut spędzonych ze mną.

– Dzięki za taniec – uśmiecham się.

Kręci głową i zamyka oczy. Otwiera je w chwili, kiedy obok mnie zjawia się Wes.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Winters. Za każdym razem.

Wymieniają się z Wesem uściskiem dłoni i nie mówią nic więcej, Kyle

odchodzi. Wes z kolei pyta mnie, o czym rozmawialiśmy, i choć wiem, że nic by się nie stało, gdybym to powiedziała, zachowuję naszą rozmowę dla siebie. Kyle to nadal częśc mnie i nie chcę dzielić się drobiazgami, które są tylko nasze – nawet jeśli jest to przemijające i mało znaczące. A fakt, że Wes mi na to pozwala, sprawia, że serce rośnie mi jeszcze bardziej.

W ogóle nie schodzę z parkietu. Przez półtorej godziny pozwalam Wesowi kołysać mnie w ramionach, przez cały czas w tym samym tempie. Moi przyjaciele spotykają się ze mną tylko wtedy, kiedy do nas podchodzą. Ten głupi bal okazuje się najbardziej niesamowitym wieczorem w moim życiu.

Zegar wskazuje wpół do dziesiątej, kiedy Wes w końcu prowadzi mnie ku wyjściu, a następnie ku furgonetce. Nie pytam, dokąd jedziemy, i nie kwestionuję faktu, że porzucamy Leviego. Po prostu za nim idę.

Otwiera mi drzwi i czeka, aż wsiądę, następnie pilnuje, żeby nie przytrzasnąć mi sukienki. W jego oczach odbija się światło księżyca i cała w nich się zatracam. Wyjeżdżamy z parkingu i pozwalam mu wieźć się przez kilka kilometrów, aż w końcu mi świta, dokąd jedziemy. Plantacje kwiatów.

Wes zatrzymuje się w końcu na poboczu, po czym wysiada z szoferki, opuszcza tylną klapę i dopiero wtedy otwiera drzwi od mojej strony.

– Levi i Bria wybierają się na jakąś imprezę nad rzeką. Ja... nie chciałem tam jechać. Mam nadzieję, że tobie to nie przeszkadza?

Zaskakuje mnie fakt, że chciał zostać ze mną sam na sam i że go to lekko zawstydza.

– Miałaś wspaniały pomysł. – To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić.

W powietrzu unosi się słodki zapach. Zdążyłam już zapomnieć, jak jest tutaj nocą i jestem pewna, że właśnie dlatego Wes mnie tu przywiózł. Wszystkie kwiaty śpią, ale ich zapach jest dla duszy niczym magiczna

mikstura. Kiedy byłam mała, żywiłam przekonanie, że włosy nim nasiąkną i rankiem wachałam je bez opamiętania, jednak wyjątkowa woń zawsze zniknęła. Magii, która dzieje się tutaj, nie da się zabutelkować. Ona nie udaje się do domu razem z tobą. Pozostaje z płatkami i ziemią, czekająca na twoją kolejną wizytę, kiedy znowu jej zapragniesz. Ja potrzebuję jej właśnie teraz. Wes o tym wiedział.

Wchodzę na pakę furgonetki, gdzie rozłożył już śpiwór. Uśmiecham się, a on unosi brwi.

– Przysięgam, że chodzi tylko o patrzenie w gwiazdy. Słowo honoru – oświadczam.

– Wiem. – Przewracam oczami. Kiedy jednak się odwracam, myślę o tym, że jesteśmy tu zupełnie sami i że tak bardzo pragnę czuć jego dłonie na swoim ciele. Ściągam kowbojki i kładę je razem z torebką w rogu paki, po czym moszczę się przy boku Wesa. Obejmuje mnie i czuję łaskotanie opuszków jego palców.

– Ani razu nie sprawdzałaś dzisiaj telefonu – odzywa się i kładzie głowę obok mojej.

Dopiero w tej chwili to sobie uświadamiam. Mój ojciec mógł dzisiaj przecież wyjść, ale z jakiegoś powodu wierzę, że jednak został w domu. Choć intuicja każe mi szykować się na rozczarowanie, wiara nie daje za wygraną.

– Twojemu szefowi nie przeszkadzało, że wzięłaś dzisiaj wolne?

– Można tak to ująć. Powiedział, że całą gumę z tego weekendu zostawi na następny.

Wes odwraca głowę, patrzy na mnie i się krzywi.

– To znaczy, że to *mi* przypadnie ona w udziale, no nie?

– Mniej więcej – odpowiadam, ignorując jego spojrzenie. Wtulam się w jego ramiona. On w końcu się śmieje, a ja kładę mu rękę na klatce piersiowej

i pozwalałam, aby trzęsła się razem z nią.

Gdy oboje milkniemy, wsłuchujemy się w cykanie świerszczy, a moje oczy zaczynają wędrować po niebie. Nie robiłam tego od lat. Tak się cieszę, że Wes mi to umożliwił.

– Kiedy byłam mała, po tym, jak mama odeszła, próbowałam zgadywać, na którą ona gwiazdę patrzy, i przyjemna była myśl, że patrzymy na tę samą – mówię. Czuję, że Wes unosi głowę i wiem, że mi się przygląda. Przełykam ślinę.

– Tęsknisz za nią. – To nie jest pytanie. Czyta ze mnie jak z otwartej książki. Zawsze tak było.

– Tęsknię. Czasem mnie to dobija.

Leżymy w milczeniu przez kilka minut, nim ponownie się odzywa. Jest tak, jakby wiedział, że muszę przywyknąć do zrzucania z siebie najpierw tej najstarszej skóry.

– Opowiedz mi o niej – prosi.

Mój oddech zwalnia i nim się odzywam, pozwalałam, aby wypełnił mnie całą. Potrzebuję tego czasu, bo niewiele pamiętam. I to boli najbardziej.

– Miała jasne włosy, faliste jak ja. I zawsze chodziła w podartych dżinsach i starych T-shirtach. Ona... lubiła sztukę. W naszej drugiej łazience trzymała koło garncarskie. Kiedy byłam mała, wkładałam do niego plastelinę. Nigdy się o to nie gniewała – mówię. Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że uśmiecham się i zaczynam zmieniać uśmiech na grymas, bo tak właśnie sobie nakazuję, kiedy myślę o mamie. Kiedy jednak napotykam spojrzenie Wesa, kąciki moich ust znowu się unoszą. To szczęśliwe wspomnienia i wolno mi je mieć.

– Kochała cię – stwierdza.

Przez chwilę przetrawiam jego słowa i wzruszam ramionami, bo wcale nie jestem tego taka pewna. Odeszła. Zniknęła. A gdyby mnie kochała, to z

pewnością by została.

– Kiedy miałam dwanaście lat, zaplanowałam ucieczkę z domu. Pragnęłam ją odnaleźć. Taryn miała jechać ze mną. Mój tato dowiedział się o naszych planach i wtedy zaczął chodzić w soboty do baru. – Przekręcam się tak, że leżę teraz na plecach, a spojrzeniem omiatam cienką warstwę chmur, grożących zasłonieniem gwiazd.

– Pewnie bał się utraty ciebie – odzywa się Wes. Wzdycham ciężko, nie mając ochoty zapewniać ojcu żadnego usprawiedliwienia. – Nie twierdzę, że to właściwa decyzja. Ale... myślę, że on po prostu się przeraził. Myślę także, że skończył z unikami.

– Zobaczymy – szepczę. – Zobaczymy.

Mimo wszystkiego drzemie we mnie nadzieja i pozwalam sobie ciut dłużej wspominać to, co dobre. Czuję się bezpiecznie robiąc to tutaj, na plantacji kwiatów, w ramionach Wesa. Ani się nie zamartwiam, ani nie czuję potrzeby ucieczki. Właściwie, to im dłużej palce Wesa prześlizgują się po moim ramieniu, tym większą mam ochotę na to, aby eksplorowały więcej mojego ciała.

Długie minuty przekształcają się w pół godziny, a mój oddech nabiera spokojnego rytmu. Staję się dojmująco świadoma tego, że moja prawa noga styka się z nogą Wesa. Kładę mu rękę na klatce piersiowej i zaciskam dłoń na materiale koszuli. On leży w zupełnym bezruchu i im więcej mija minut, tym większe żywię przekonanie, że jego myśli błędzą wokół tego samego, co moje.

– Wes? – pytam w końcu, a serce bije mi tak mocno, że czuję to nawet w kościach.

– Tak? – pyta cicho i odwraca głowę w moją stronę. Jego oczy wyglądają inaczej niż do tej pory, wydają się zamglone i jakby niespokojne.

– Teraz jest idealny moment na to, aby mnie pocałować – mówię i

przygryzam dolną wargę. Od razu robi mi się cieplej, choć czuć powiew nocnej bryzy.

– Okej. – Głos Wesa lekko się łamie, jak u chłopca wkraczającego w okres dojrzewania. Chichoczę, a on przewraca oczami. – Niefajnie śmiać się ze swojego chłopaka, który denerwuje się jak cholera całowaniem cię tutaj, na pace furgonetki.

– Chłopaka – szepczę i z uśmiechem odwracam od niego wzrok. Wow, jakoś nie myślałam do tej pory o określeniu, jakie się z nim wiąże. W ogóle nas nie klasyfikowałam. Po prostu wiem, że go potrzebuję. Tak bardzo go potrzebuję w swoim życiu. Uśmiecham się tak szeroko, że aż zaczynają mnie boleć policzki.

– Taa – mówi, a jego głęboki głos wprawia w wibracje klatkę piersiową. Wes ujmuję mocno moją dłoń. – Chłopaka.

Patrzę mu w oczy, a usta łaskoczą mnie z wyczekiwania.

– Całowałeś mnie już. – Wzruszam lekko ramionami i uśmiecham się krzywo. On robi to samo.

– No tak, ale nie... nie tak. – Jego twarz przybiera nieco poważniejszy wyraz, a spojrzenie ześlizguje się z moich oczu na usta. Łaskotanie szybko zmienia się w odrętwienie.

– Wiem – mówię bez tchu.

Zaczyna mi pocić się dłoń – ta, którą on trzyma w swojej. Serce wali mi jak młotem, adrenalina krąży w całym ciele. Niemal tak samo czuję się, kiedy stoję na boisku i szykuję się do odbicia naprawdę szybkiej piłki, tylko że w tej chwili mam o wiele mniej pewności siebie. Wszystkie moje wcześniejsze pocałunki i obściskiwania się podczas imprez, nad rzeką czy na plaży były zupełnie bez znaczenia, ale to – to z Wesem – znaczy dla mnie wszystko.

Biorę głęboki oddech i unoszę się, opierając o jego tors. Wes przygląda się uważnie, jak siadam mu na kolanach. Znajdowaliśmy się już w takiej

pozycji – za pierwszym razem, kiedy się całowaliśmy. Tylko że tym razem jest zupełnie inaczej.

Spojrzenie Wesa śledzi mój każdy ruch. Jego oddech zamiera. Przesuwam dłonie po jego klatce piersiowej, wzdłuż guzików, odpinając je powoli. W końcu rozsuwam poły koszuli i wyciągam mu ją ze spodni. Moim oczom ukazuje się nagi tors i brzuch. Otwieram szeroko oczy, upajając się perfekcyjnie umięśnionym ciałem. Bez chwili wahania nachylam się i przyciskam usta do jego brzucha, po czym przesuwam je powoli coraz wyżej, aż docieram do środka klatki piersiowej.

Kiedy dmucham lekko na jego skórę, czuję, jak wciąga gwałtownie powietrze, a jego dłonie zaciskają się na fałdach mojej sukienki. Podnoszę na niego wzrok i ponownie całuję jego tors, mięśnie Wesa się napinają. Ten chłopak to mój wybawca i uwodziciel, a akurat w tej chwili nie potrzebuję wybawiania – potrzebuję jego dotyku.

Zakrywam jego dłonie swoimi i przesuwam je do góry razem z sukienką, aż w końcu jego palce odnajdują moją nagą skórę. Patrzy mi świdrująco w oczy, a ja powoli kiwam głową. Jego dłonie wsuwają się pod materiał i wędrują do góry, centymetr po centymetrze, by dotrzeć po chwili do moich piersi.

Zamykam oczy, a Wes siada, pieszcząc moje krągłości. Jego kciuki zatrzymują się na koronkowym wykończeniu mojego jedyne ładnego stanika. Dostałam go od Taryn na urodziny. A dzisiaj założyłam, licząc, że Wes go zobaczy. Założyłam, aby on mógł go zdjąć.

Z niecierpliwością sięgam za plecy i go odpinam. W oczach Wesa pojawia się głód. Przechyla lekko głowę, jakby mnie pytał o pozwolenie, a ja się odchylam, tak że patrzę w rozgwieżdżone niebo, cała oddając się jego dotykowi.

Dłonie ma delikatne, a kciuki prześlizgują się po twardych wzgórkach, po

czym zsuwają się coraz niżej, do skraju sukienki. W tym momencie Wes nabiera pewności siebie i podnosi ją wyżej, aż jedyne, co mu zostało, to zdjąć ją ze mnie. Ponownie patrzy mi w oczy.

– Chcę, żebyś to zrobił. Ufam ci – mówię.

Zdejmuje mi warstwy materiału przez głowę, następnie jego dłonie przesuwiają się po moich ramionach, opuszczając ramiączka stanika. Uciekam wzrokiem, kiedy tak siedzę przed nim naga i spragniona miłości. Jednak kiedy jego dłoń dotyka mojego policzka, na chwilę patrzę mu w oczy.

– Jesteś piękną dziewczyną, Josselyn.

Wtulam się w niego i zamykam oczy. Całuję go w usta, nie mając pewności, w jaki sposób odpowiedzieć, jeśli nie poprzez okazanie pełnego zaufania.

Całujemy się, a kiedy czuję, że usta mam opuchnięte, Wes ześlizguje się z pocałunkami na szyję i ramię i chwilę później jego usta zamykają się wokół prawej piersi. Odruchowo napieram na niego, a kiedy muska językiem brodawkę, zalewa mnie fala pożądania. Dłonie Wesa zaciskają się na moich pośladkach, a kiedy przyciska mnie do siebie, z jego gardła wydobywa się jęk.

Nie spieszy się, opuszki jego palców flirtują z gumką majtek opinających mi uda, ale ani razu nie wsuwają się pod materiał, choć rozpaczliwie tego pragnę. Zatracam się w tym, co czuję, kiedy jego zęby delikatnie podgryzają moje brodawki, a za każdym razem, kiedy bierze je do ust, napieram na niego biodrami, aż w końcu ruch ten przejmuje kontrolę nad moim ciałem.

– Dotknij mnie, Wes. Proszę, chociaż raz. Pragnę... – błagam, czując bolesne pulsowanie w podbrzuszu. Moje dłonie ześlizgują się w dół jego torsu i w tym momencie jego palce wsuwają się pod moją bieliznę. A ja jestem tak bardzo wilgotna i bliska eksplozji. – Wes – dyszę, nie będąc w stanie powiedzieć nic więcej. Jego dotyk wyzwala we mnie rozkoszną falę,

która zalewa mnie raz za razem. Napieram na jego dłoń i poruszam rytmicznie biodrami. Gdy zaczynam się odprężyć, a oddech mi zwalnia, Wes przytula mnie mocno do siebie i kładzie dłoń na mojej, spoczywającej na twardości napierającej na jego spodnie.

Mając jego pozwolenie, rozpinam je i uwalniam jego męskość. Ujmuję ją w obie dłonie i przesuвам nimi w górę i w dół. Wskazówką staje się dla mnie jego oddech. Opuszczam głowę i nasze usta minimalnie się stykają. Wes przygryza mi dolną wargę. Z dłońmi na moich pośladkach przyciska mnie mocno do siebie i czuję, jak pod moim dotykiem doznaje spełnienia. Z jego gardła wydobywa się niski jęk.

Chowam twarz w zgięciu jego szyi, wtulając się w niego rozgrzanym ciałem. Przesuwa dłonie w górę moich pleców i przytula mocno do siebie.

– Chyba wykorzystaliśmy już brak ruchu na drodze dojazdowej do farmy i nie ma co dłużej kusić losu. Co powiesz na to, żebym pomógł ci się ubrać? – chichocze.

– Myślę, że to całkiem dobry pomysł – odpowiadam i głos drży mi lekko ze zdenerwowania, a może i z zażenowania. Wes to wyczuwa, bo dotyka mojego policzka i patrzy głęboko w oczy. – Czemu tak mi się przyglądasz? – wzdycham.

– Nie rób tego – mówi, kręcąc głową.

– Czego? – pytam i spuszczam wzrok na sukienkę. Sięgam po nią, ale Wes ujmuje moją dłoń.

– Nie wstydz się. – powtarza. Wciągam głośno powietrze i podnoszę na niego wzrok. – Jesteś piękną dziewczyną i wolno ci *czuć*. A ja tego pragnąłem... Boże, Joss, nie masz pojęcia, jak bardzo. Jeśli wywarłem na tobie presję...

– Nie wywarłeś. – Spuszczam wzrok i przygryzam wargę. A kiedy ponownie patrzę mu w oczy, na moich ustach błąka się uśmiech. – Także

tego pragnęłam. I nie tylko tego.

– I nie tylko tego – powtarza za mną. – O tak, nie tylko tego.

Z cichym śmiechem zaczynam się ubierać, bo robi mi się chłodno. Wes mi pomaga, po czym jego dłonie lądują na moich policzkach.

– Ale to może poczekać. Jestem tu z tobą... dla ciebie.

Moim ciałem wstrząsa dreszcz. Nachylam się i delikatnie muskam ustami jego wargi.

– Jestem tutaj z powodu ciebie – mówię, a znaczenie tych słów jest o wiele głębsze, niż Wes zdaje sobie sprawę.

[6] *Quinceañera* – tradycyjna huczna uroczystość odbywająca się z okazji piętnastych urodzin dziewczyny, obchodzona w części krajów latynoamerykańskich oraz wśród Latynosów w USA (przyp. tłum.).

[7] *Freakazoid* – amerykański serial animowany, którego głównym bohaterem jest nastolatek Dexter Douglas, spec komputerowy. Na święta Bożego Narodzenia otrzymał mikroprocesor Freak, pozwalający podłączyć się do superszybkiej infostrady. Kot Dextera wpisał określoną kombinację uruchamiającą defekt procesora, a Dexter ją skasował. Wtedy mikroprocesor zwariował i wessał Dextera do internetu. Tam poprzez zderzenie z nieprawdopodobną liczbą zupełnie niepotrzebnych i bezużytecznych informacji ulega przemianie w zwariowanego superbohatera o nadludzkich zdolnościach, zwanego *Freakazoid* (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

KOPCIUSZKOWE DYNIE ZNIKŁY O PÓŁNOCY. Kiedy Wes przywiózł mnie do domu, mój ojciec leżał nieprzytomny na korytarzu, w połowie drogi między salonem a swoją sypialnią. Pomógł mi go zataszczyć do łóżka, a ja byłam na siebie wściekła, że uwierzyłam w zmianę.

Wes powiedział mi, że to trochę potrwa, że mój tato robi postępy, ale dla mnie wyglądało to tak, jakby nic się nie zmieniło. Chociaż nie, tym razem wzbudził we mnie nadzieję, by niedługo po tym ją zdeptać.

Uznałam poranny trening za odwołany. Dlatego nie nastawiłam budzika, ale Wes zadzwonił. Sześć razy, aż w końcu odebrałam. On i mój ojciec czekali na mnie na boisku.

– Cholerny alkoholik – burczę, próbując założyć buty do biegania bez rozwiązywania sznurówek. Z garażu biorę korki i chowam je do bocznej kieszeni torby, po czym przerzucam ją sobie przez ramię i gniewnym krokiem udaję się na szkolne boisko.

Nie chciałam tam pójść. Miałam ochotę go wystawić, ale Wes mnie poprosił. Robię to dla Wesa. Nie dla niego.

Pierwsze, co widzę, to kucającego tatę i miotającego chłopaka, o którym śniłam całą noc. Ta scena przypomina mi pierwszy raz, kiedy zobaczyłam ich wspólny trening. Mam wrażenie, jakbym znajdowała się po jednej stronie szklanej tafli, a oni po drugiej. Śmieją się i swobodnie rozmawiają, ale im jestem bliżej, tym mniej słyszę gawędzenia, aż w końcu zupełnie milkną.

Torba zsuwa mi się z ramienia i z głuchym odgłosem upada na ziemię, wzbijając przy okazji tuman kurzu. Obaj nieruchomieją.

– Proszę bardzo – mówię z rękami na biodrach. – Przyszłam. Nie chciałam tego robić, bo jesteś kłamcą – syczę, wymierzając palec w ojca. – Ale uważam, że jestem dobra i że mogę być świetna, a jakiś tydzień czy dwa tygodnie temu postanowiłam, że zamierzam grać w Division I[8]. Niestety potrzebuję do tego twojej pomocy, więc... oto jestem.

Ojciec przygląda mi się, a z jego twarzy nie da się niczego wyczytać. Ależ mnie to irytuje.

– Albo się rozzłość, albo powiedz, że przepraszasz, czy coś w tym rodzaju, ale nie stój tak bez słowa – dodaję.

– Joss – szepcze Wes, podchodząc do mnie. Moje spojrzenie przeskakuje na jego twarz i w tym momencie znika mój gniew. Spuszczam wzrok i schylam się po torbę.

– Przepraszam – również szepczę. – Po prostu jestem... rozczarowana. Zanoszę torbę na ławkę rezerwowych i wydaję z niej buty do gry.

– Wiem – mówi Wes, stojąc obok ławki.

Moje myśli biegną ku zeszłej nocy, ku jego dotykowi i działa to na mnie kojąco.

– No to bierzmy się do roboty – oświadczam i wydaję z torby ulubiony kij. Staję na *home plate*, aby odbijać od lewej strony. Tam właśnie mój tata stoi bez ruchu. Wes ustawia się na górcę.

– Zaczynij z tamtym – odzywa się tato, pokazując na niewielki kij, oparty o siatkę.

– Wolę zostać przy swoim – mówię i wzruszam ramionami.

– Twój jest za ciężki. Dopóki się do niego nie przyzwyczaisz, będzie cię spowalniał. Tamten jest lżejszy o dziewięćdziesiąt gramów – wyjaśnia.

– To kij do cholernego T-balla[9] – burczę i kręcę głową. Stukam kijem w ziemię i spluwam.

Kiwam głową do Wesa, ale wyraźnie czeka na zgodę mojego ojca, co

dotatkowo mnie irytuje. Czekam, aż rzuci piłkę, a kiedy to robi, wykonuję szybki zamach. Okazuje się jednak niewystarczająco szybki.

– To niewygodny kąt, bo rzucasz z góry – oświadczam. – Jeszcze raz.

– Mam ci rzucać od dołu, jak w softballu? Mogę spróbować, ale nie mam w tym wprawy – mówi Wes i unosi piłkę, sygnalizując, że zaraz ją rzuci.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale do słowa nie daje mi dojść mój ojciec.

– Gówno prawda. Kąt jest okej. Spóźniła się, bo jest uparta. Pozwól jej chybić z dziesięć czy dwanaście razy, a wtedy może mnie posłucha – mówi za mną. Ach, wrócił znajomy ton.

– Nie spóźniłam się – zaperzam się, kopiąc butem w piach. Tato chichocze.

Wes ponownie rzuca piłkę, a ja chybiam. Czuję jednak, że jestem bliżej.

– Jeszcze raz – mówię.

Mój tata odrzuca mu piłkę i słyszę jego śmiech. To dodaje mi energii do działania.

Wes zbiera się do *windupu*, a ja odpowiednio wcześniej szykuję się do odbicia. Kiedy piłka dociera do *home plate*, mój kij czeka już w pogotowiu, następnie mocno ją odbija. Patrzą, jak dolatuje aż do ogrodzenia.

– Niezłe odbicie – stwierdza Wes, oglądając się i patrząc na piłkę.

Mój ojciec tylko się śmieje.

– Co cię tak śmieszy? To, że nie miałeś racji? – pytam, opierając się o kij.

Spuszcza wzrok, zaciska usta i opiera rękę o biodro.

– Co zamierzasz robić? – pyta i kopie w jakiś kamyk, po czym podnosi na mnie wzrok. – Liczyć na to, że każdy miotacz będzie ci rzucał taką samą piłkę, z taką samą prędkością, dokładnie tam, gdzie chcesz, żebyś ty mogła wystarczająco wcześnie wziąć zamach i ją odbić? A może wyciągniesz głowę

z dupy na tyle długo, żeby zobaczyć, że nie tak to działa i że inni tylko patrzą, żeby zasadzić ci *strika*, więc musisz pracować nad swoją techniką?

W sumie to celne uwagi, ale słowa o wyciągnięciu głowy z dupy sprawiają, że zaczyna buzować we mnie gniew.

– To się nie uda – oświadczam. Kręcę głową i rzucaam kij w stronę swoich rzeczy. Odpinam rzep przy rękawicy, a Wes przygryza wewnątrz policzka, wyraźnie mną rozczarowany. – Nie stawaj po jego stronie. To... to nie jest trening. Do ciebie on tak nie mówi! – wołam wkurzona.

Wes chichocze, a ja piorunuję go wzrokiem.

– No co? – pyta, unosząc ręce. – Dokładnie tak do mnie mówi. I to wcale nie znaczy, że nie słucham, kiedy to robi.

Przez chwilę analizuję jego słowa, po czym ściągam rękawice i oglądam się, patrząc na ojca, który teraz stoi z rękami skrzyżowanymi na piersi, a na jego twarzy maluje się znajoma niechęć.

– Cóż, może i nie byłoby to nic takiego, gdyby nie rozmawiał ze mną w taki sposób na każdy temat. Ale ja jestem jego cholerną córką! – krzyczę. Podnoszę z ziemi kij i rzucaam go gniewnie w stronę torby. Metal odbija się od ławki, a kilka piłek zaczyna toczyć się w różnych kierunkach. – Kurwa! – Ciskam rękawice na ten cały bajzel, a potem siadam, żeby zdjąć buty.

To był błąd. Wielki błąd. Moja wiara okazała się błędem. Pragnienie czegoś okazało się błędem. Cele to błędy. Mrzonki i tyle.

Kiedy zdejmuję korki, żeby zamienić je na zwykłe buty do biegania, kątem oka dostrzegam, że Wes podchodzi do mojego ojca. Klnę pod nosem z powodu supła w sznurowadle i zbliżam but do ust, żeby go rozplątać zębami. Na języku czuję piach i wypluwam go, kiedy już udaje mi się poradzić z supłem.

Z torbą przerzuconą przez ramię oddalam się od ławki, salutując Wesowi, a ojcu pokazując środkowy palec.

– Joss, nie odchodź. Po prostu... – mówi Wes, a ja czuję się fatalnie, bo słyszę w jego głosie błagalną nutę.

– Co po prostu, Wes? Po prostu zostań i pozwól, żebyś przez niego czuła się bezużyteczna i odpowiedzialna za to całe gówno w jego życiu? Nie... mam tego dosyć. – Ponownie się odwracam.

– Joss... – woła Wes. Zatrzymuję się, ale tylko dlatego, że wydaje się zdesperowany. – Eric... musisz jej powiedzieć. Zasługuje na to.

Co takiego?

Odwracam się w ich stronę i widzę, że tato stoi ze spuszczoną głową i rękami na biodrach, a Wes nachyla się, próbując spojrzeć mu w oczy, nakłonić do powiedzenia mi... tego czegoś.

Mój tato wzdycha ciężko, po czym zsuwa z dłoni rękawicę i rzuca ją na ziemię. Jedną dłonią uciska grzbiet nosa, a drugą pociera kark. Obserwuję te drobne gesty, aż w końcu jego spojrzenie krzyżuje się z moim. W jego oczach maluje się to samo, co tamtego dnia, kiedy wróciłam ze szkoły i przyłapałam go na kłótni z mamą – tamtego dnia, kiedy ona odeszła, a w naszej relacji zaczęła sączyć się trucizna. W jego oczach maluje się smutek i żal, ale także gniew i szaleństwo.

– Co się dzieje? – pytam i nogi same mnie niosą w ich stronę. – O co chodzi? Czy... czy ty... jesteś chory? O to właśnie chodzi? Czy to jakaś wymyślna pułapka, żebyś mógł mi powiedzieć o swojej chorobie? I dlatego... dlatego powinno mi być ciębie żal? Dlatego czymś w porządku jest twoje picie i to, że traktujesz swoje jedyne dziecko jak bezwartościowego śmiecia? Dlatego że... co... zachorowałaś?

– Do cholery, Josselyn! Nie jestem chory. Nie chodzi o mnie. Nic mi nie jest. Chodzi... chodzi o twoją matkę – mówi, a jego klatka piersiowa unosi się i opada. Twarz ma kredowo białą, jakby odpłynęła z niej cała krew i życie, a w jego oczach brak jakichkolwiek uczuć z wyjątkiem strachu.

Moja matka.

Kręcę głową i ignoruję wilgoć zbierającą się w kącikach oczu. Nie wiemy nawet, gdzie ona jest. Nie widziałam jej od wielu lat. Ledwo ją pamiętam. Ja...

– Ona nie żyje, Josselyn. Odeszła dwa tygodnie temu – mówi, a podę mną uginają się nogi. W ułamku sekundy Wes podbiega i mnie podtrzymuje. Prowadzi do pierwszej ławeczki po drugiej stronie siatki. Siada obok, ani na chwilę nie wypuszczając mnie z objęć. Nie czuję go. *Nie czuję go!*

– Nie rozumiem – mówię ze wzrokiem wbitym w zasuszone źdźbła trawy, przebijające się przez piach między ojcem a mną.

Tata podchodzi bliżej, ale nie przechodzi na drugą stronę siatki. Zamiast tego zaciska palce na metalowych oczkach i stawia nogę na drewnianych panelach wzdłuż ogrodzenia.

– Cholera. – Tylko tyle wydostaje się z jego ust.

Czuję pieczenie w klatce piersiowej, a moje myśli pędzą tak szybko, że nie jestem w stanie sobie z nimi poradzić. Zaczyna mnie boleć głowa i przyciskam dłonie do czoła, pragnąc to wszystko powstrzymać, zwolnić chociaż na chwilę, na jeden oddech. Potrzebny mi jeden pełny oddech.

– Myślałam, że nie znasz miejsca jej pobytu? Myślałam, że jest dla ciebie martwa? Nienawidzisz jej? Czyż nie... nie tak... ona...

Nachylałam się, wstrząsana suchymi torsjami. Intuicja każe mi walczyć, uciekać, ale jestem zbyt słaba. Nie rozumiem, nie rozumiem, nie rozumiem, nie...

– Nie rozmawiałem z nią, odkąd odeszła. Ja... dwa tygodnie temu, w czwartek, ktoś do mnie zadzwonił. Nie znałem numeru, więc to zignorowałem... prowadziłem wtedy trening – mówi, a ja śmieję się ostro i krótko, no bo trening jest przecież taki ważny. Moja matka nie żyje, ale on nie może przerwać treningu ze swoimi chłopakami. – W samochodzie

odsłuchałem wiadomość. To była jej mama, twoja druga babcia. Ona... uznała, że chciałbym wiedzieć. – Głos łamie mu się przy ostatnim słowie. Ponownie pociera mocno grzbiet nosa, zaciskając powieki. Próbuje tym samym odsunąć od siebie ból.

– W jaki sposób umarła? – pytam, skupiwszy wzrok na jednym, konkretnym źdźble. To żyto, na tyle wysokie, aby kwitnąć – z jego środka wystaje pięć cienkich, kłujących odnóży, przez co wygląda jak szkielet kwiatu. W tej chwili dokładnie tak się czuję. Wiatr przygina je do ziemi, ale nie łamie. I tak tu tkwi, nie dając za wygraną.

Tkwi. Czuje. Cierpi.

– W. Jaki. Sposób. Umarła! – wołam gniewnie, a moje spojrzenie przenosi się na twarz taty.

Porusza ustami, zwilża je językiem, jakby musiał nakłonić je do wypowiedzenia tej najpewniej potwornie prostej odpowiedzi.

– Rak piersi – mówi cicho i pociera usta wierzchem dłoni. Założę się, że właśnie taką diagnozę przedstawił lekarz. Prosto i szybko. Dwa słowa. Zamykam oczy.

– Joss... – Ojciec wypowiada moje imię tak, jakby chciał mnie pocieszyć.

– Przestań. – Wstaję i odsuwam się od Wesa. – Ty wiedziałeś – rzucam do niego i idę tyłem w stronę swoich rzeczy. – Przez ten cały czas wiedziałeś, prawda? Dlatego wierzyłeś, że mój ojciec się zmienił. Dlatego mi powiedziałeś, żebyś dała mu szansę. Wiedziałeś!

Zaczynam płakać, więc odwracam się, szybko podnoszę z ziemi torbę i odchodzę. Wes podbiega do mnie i łapie za torbę. Wyszarpuję ją z jego rąk.

– Wiedziałeś! – wołam. Na tyle głośno, że słyszy to mój ojciec. Słyszy i ze wstydem wycofuje się w stronę trybun.

– Wiedziałem – mówi Wes. Nie próbuje mnie ułagodzić ani nie kłóci się ze mną. Po prostu przyznaje mi rację. I dobrze.

– Idę do domu – oświadczam i ruszam utwardzoną ścieżką w stronę bramki.

– Odwiozę cię – zaczyna Wes, ale nie idzie za mną. Wie, że tego nie chcę. Chcę się ukryć. Pragnę poddać się uczuciom, ale bez żadnych świadków.

Gniew napędza moje kroki, a kiedy docieram do domu, nogi prowadzą mnie dalej. Gdy otwieram skrzypiące drzwi w garażu Kyle’a, moje emocje przenikają się i jest mi tak niedobrze, że mijam Kyle’a i splątane przewody od konsoli do gier wideo i udaję się prosto do łazienki. Drzwi nie zatrząskują się, bo mój przyjaciel przytrzymuje je ręką, a kiedy zawartość mojego żołądka ląduje w muszli klozetowej, Kyle szybko odsuwa mi włosy z twarzy i kładzie rękę na plecach.

– Już mi lepiej – warczę i się prostuję. Ocieram rękawem usta.

Kyle patrzy na mnie i powoli krzyżuje ręce na piersi. Lekko się wzdrygam i mrużę oczy – *mina zawodnika*.

– Capi mi z buzi. – Przeciskam się obok niego i swoje kroki kieruję ku zawsze otwartemu barkowi jego taty. Wyjmuję wódkę, odkręcam butelkę i zaczynam napełniać kieliszek. W chwili, kiedy go podnoszę do ust, na moim nadgarstku zaciska się dłoń.

– Przestań. – Zamykam oczy i oddycham nosem. Wes nie krzyczy. On nie naciska. Po prostu wydaje mi ciche polecenie.

– Nie dam rady... – Przełykam ślinę. – Nie poradzę sobie z tym.

Jego dłoń przesuwana się wyżej, aż dociera do kieliszka. Wyjmuje mi go z ręki i stawia na stole.

– Poradzisz – szepcze mi do ucha.

– Jej nie ma... – Fala płaczu uderza we mnie z siłą wodospadu. Zginam się wóół, nogi po raz drugi tego ranka uginają się pode mną, a Wes łapie mnie od tyłu.

– Trzymam cię – mówi. Wsuwa mi jedną rękę pod kolana i bierze na rękę, po czym zanosz na sofę Marleyów. Wtulam się w niego, pragnąc zniknąć. I zanoszę się płaczem.

Wes mnie tuli. Kyle siada obok niego i gładzi mnie po plecach. Moja rodzina – przyjaciel i moje serce – jest przy mnie, kiedy życie staje się nie do zniesienia. Obaj pomagają mi przez to przejść, aż w końcu czuję, że moje płuca dadzą sobie radę z kolejnym oddechem.

Mija godzina, nim znowu jestem w stanie mówić. Patrzę na Wesa i spuszczam głowę. W moich oczach czai się rozczarowanie.

– Wiedziałeś – mówię, a to słowo, choć ciche, wręcz krzyczy.

Mruży oczy, ale jego twarz ma łagodny wyraz. Szczery. Przytakuje powoli, a ja pozwalam, aby głowa opadła mi na poduszkę. On robi to samo. Wpatrujemy się w siebie i próbuję to zrozumieć.

– Nie powiedziałeś mi.

– Nie do mnie to należało – odpowiada.

Kyle wstaje. Okrąża sofę, zamyka barek i siada na fotelu naprzeciwko Wesa i mnie. Nachyla się i opiera łokcie na kolanach. Spojrzenie ma poważne.

– Ty też wiedziałeś – mówię do niego.

Kiwa w milczeniu głową – jego ruch jest tak delikatny, że ledwie dostrzegalny.

– Twój tata wyrzucił to z siebie na treningu. On... był w ogromnej rozsypce następnego dnia i błagał nas, żebyśmy nic ci nie mówili – wyjaśnia.

Słyszę go, choć mam wrażenie, że jego głos dochodzi z daleka. Wpatruję się w niego, aż on czuje się na tyle skrępowany, że w końcu wstaje i wychodzi z pokoju. Wbijam wzrok w pustą poduszkę, która wcześniej znajdowała się za jego plecami, i tak długo wgapiam się w guziki i postrzępioną tkaninę, że zaczynają mnie piec oczy.

Moje chore życie otula mnie niczym ciężki koc. Dom Kyle'a od zawsze był moją ucieczką, ale nawet on wydaje mi się teraz obcy.

– Chcę do domu – odzywam się, nie odrywając wzroku od fotela.

– Okej – mówi cicho Wes. Żadne z nas się nie rusza.

– Zabierz mnie tam.

– Okej – powtarza.

Po kolejnych dziesięciu minutach wstaję, a Wes razem ze mną. Bierze mnie za rękę, splata nasze palce i wychodzimy. Moją torbę ze sprzętem rzuca na pakę. Odwozi mnie do domu i otwiera drzwi furgonetki.

– Chcę być sama – mówię, wysiadłszy z kabiny. Skupiam się na czekających na mnie krokach, które muszę zrobić, aby dotrzeć do domu, minąć ojca i zamknąć się w swoim pokoju.

– Rozumiem.

Nie pozwalam sobie na to, aby spojrzeć mu w oczy. Jeśli to zrobię, wyciągnę do niego ręce, aby mnie przytulił, i nie dam rady prosić, aby odszedł.

Czeka, dopóki nie wchodzę do domu. Nawet wtedy nie słyszę dźwięku ruszającego samochodu. Chcę, żeby odjechał, ale także chcę, żeby tu został, w pogotowiu – na wszelki wypadek.

Mój ojciec siedzi na fotelu, odwróconym w stronę okna. Obie ręce ma splecione za głową. W ogóle się nie rusza i każdego innego dnia uznałabym po prostu, że upił się do nieprzytomności.

– Mam pytania – odzywam się.

Opuszcza ręce, ale nie odwraca się. Chyba nie jest w stanie na mnie patrzeć – nie jest gotowy na moje osądy.

– Gdzie ona była? Z... z rodziną? – Przetykam głośno ślinę, w myślach dodając jeszcze słowo „tą drugą”.

– Kevin z nią był. Oni byli... małżeństwem – mówi. W jego odpowiedzi wyczuwam cierpienie. Nie słyszę zwyczajowego obwiniania.

Kevin. Mężczyzna, którego widziałam tylko raz – kiedy mój ojciec próbował go przejechać, mało przy tym mnie nie zabijając. Nienawidzę Kevina.

– To się stało... nie wiem... szybko?

Nie wiem, jak rozmawiać o raku. Do tej pory nie było w mojej rodzinie przypadków nowotworu. Moi dziadkowie – rodzice taty – oboje żyją i cieszą się dobrym zdrowiem. Problemy, z jakimi zмага się ojciec, są tylko i wyłącznie jego winą. Nikt z moich przyjaciół także nie musiał zmierzyć się z czymś takim.

– Walczyła przez rok – odpowiada. Jego słowa poruszają we mnie coś, co kryje się bardzo głęboko, i po moim policzku spływa łza. Ocieram ją i odwracam głowę w stronę drzwi swojego pokoju.

– Byłeś na pogrzebie?

Tato milczy przez kilka długich sekund, a ja przez ten czas wyobrażam ją sobie – jak musiała wyglądać. Straciła włosy? Miała chemię albo operację? Była chuda i słaba czy silna – taka, jaką ją zapamiętałam? Włosy nadal miała w kolorze blond, a oczy orzechowe, takie jak moje?

– Nie – odpowiada w końcu mój ojciec. – To...

Unosi ramiona, a ja wstrzymuję oddech, czekając, aż powie coś więcej. Aż powie, że nie był, bo w ogóle nie było pogrzebu. Że nie był, bo zabroniła mu tego moja druga babcia, albo z szacunku dla Kevina czy z miliona innych powodów. On jednak nie podaje żadnego.

– Nie – powtarza i ponownie splata dłonie na karku.

Wpatruję się w jego knykcie. Skóra na nich jest sucha i spękana. Włosy mu się przerzedzają. Jego ciało już tyle musiało znieść. Wpatruję się w niego i myślę o niej. Moja mama nie żyje. Nie pamiętam jej. Nie chciała mnie. I

został mi ten człowiek. Została mi ta skorupa człowieka.

– Zamierzasz wytrzeźwieć? – pytam, a w moim żołądku pulsują adrenalina i nerwy. Czuję ściskanie w klatce piersiowej.

– Staram się – odpowiada.

Robię cichy wydech i ocieram dłonią ostatnie łzy, na jakie sobie dzisiaj pozwalam. Po kilku minutach milczenia kiwam głową i wycofuję się do swojego pokoju. Rzucam torbę obok drzwi, zdejmuję buty i wczolęgam się na łóżko. Kładę się na boku i przykrywam kołdrą.

Wibruje mi telefon w kieszeni, ale nie od razu go wyjmuję. To Wes i nie wiem, co mu powiedzieć. Jednak po długiej chwili dociera do mnie, że nie muszę wiedzieć. Po prostu go potrzebuję.

Stoję nadal przed domem.

Odczytuję jego wiadomość i automatycznie się uśmiecham. Odpisuję: *Dziękuję. Chcesz pogadać?*

Myślę o jego propozycji. Myślę o milionach pytań rodzących kolejne w moim sercu i głowie, a potem myślę o wypowiedzeniu ich na głos. Nie mogę. Nie otrzymam żadnych odpowiedzi. Bo adresatką wszystkich jest kobieta, która powinna kochać mnie bardziej niż powietrze. Która nie żyje.

Nie. Ale... nie odjeżdżaj. Może pisz do mnie jakieś głupoty.

Wyobrażam sobie, jak czyta tego SMS-a, a potem opuszcza niżej daszek czapki, zastanawiając się, co zabawnego napisać. Czekam prawie minutę, ale w końcu dostaję odpowiedź.

Myślisz, że w piątek na ślizgawce będzie dużo gum?

Śmieję się głośno i ten dźwięk mnie zaskakuje. Zasłaniam dłonią usta.

Twój tato właśnie wyszedł. Pomachałem mu. W ogóle na mnie nie spojrział.

Uśmiech znika mi z twarzy i zaciskam w dłoni telefon. Kolejna wiadomość. Unoszę rękę na tyle tylko, żeby odczytać jego słowa.

Chcesz, żebym wszedł?

Cała trzęsę się z poczucia osamotnienia. Odpisuję: *Tak*.

Nie mija minuta, a Wes otwiera drzwi i wślizguje się do mojego pokoju. Kładzie się na łóżku i bierze mnie w ramiona. I tak trwam, dopóki słońce nie zniknie, a Wes nie całuje mnie w głowę na dobranoc.

Nie udaje mi się zasnąć.

Mój ojciec nie wraca do domu.

[8] Division I – najwyższa z trzech dywizji, na jakie podzielona jest NCAA, główny system międzyuczelnianych rozgrywek sportowych w USA (przyp. tłum.).

[9] T-ball – gra zespołowa opierająca się o uproszczone zasady baseballu i softballu, w którą grają głównie dzieci (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– HEJ – MÓWI TARYN, PRZECIĄGAJĄC KOŃCÓWKĘ TEGO SŁOWA. Może myśli, że kiedy wypowie je powoli, nie będę czuła się tak gównianie z powodu nieżyjącej mamy.

– Po prostu jedź – rzucam, po czym wsiadam do jej samochodu. Wkładam sobie plecak między kolana i zapinam pasy. Wyczuwam, że na mnie patrzy, więc odwracam głowę i obdarzam ją gniewnym spojrzeniem. Usta ma zaciśnięte, tak samo jak ja, po chwili jednak odwraca się w stronę kierownicy i zjeżdża z krawężnika przed moim domem.

Wes mnie zapytał, czy chcę, aby powiedział TK, Taryn i Leviemu. W chwili słabości, kiedy siedział ze mną w pokoju w niedzielne popołudnie, zgodziłam się. Teraz tego żałuję. Jestem dziewczyną z ojcem, który jest pijusem oraz genialnym trenerem, i z nieżyjącą mamą. Idealnie nadają się do reality show, opowiedziałabym swoją historię łamiącym się głosem, a montażyści puściliby w tle łzawą muzyczkę, żeby widownia głosowała właśnie na mnie i mi dopingowała. Założę się, że bym wygrała.

W prawdziwym życiu nie ma widowni. Jest jednak ktoś, kto mi dopinguje. To on stanowi powód, dla którego zjawiłam się dzisiaj w szkole. Możliwe, że jedyny powód, dla którego jakoś się trzymam. Dzięki niemu wierzę, że gdzieś tam kryje się zakręt, że w końcu do niego dotrę – i że zasługuję na więcej.

Taryn tym razem nie pyta, czy idę do biblioteki. Parkuje niedaleko siłowni i obie wsiadamy. Drzwi są zamknięte i wstrzymuję oddech, kiedy nasłuchujemy jakichś odgłosów. Słyszę cichy brzęk ciężarów, ale to

wszystko. Żadnych głosów.

Mój ojciec tam jest. Widzę jego samochód. Przez cały weekend nie raczył wrócić do domu, ale jakoś udało mu się zjawić tutaj, gdzie czeka jego cenna drużyna.

– Gotowa? – pyta Taryn. Rękę trzyma na klamce, a w jej oczach widać współczucie.

– Nie – odpowiadam. Kiwam głową, żeby mimo to otworzyła drzwi, bo nie jestem gotowa na wiele rzeczy, które mi się przytrafiają, a jednak jakoś daję sobie radę.

Tato siedzi na swoim miejscu, nogi trzyma na biurku i sznukuje czyjąś rękawicę. Na jego twarzy dostrzegam uśmiech.

– Poważnie? – mrużę pod nosem.

Kyle trenuje razem z Wesem, a ja podchodzę do ciężarków i wybieram takie, które mam na rozpisce od taty. Przyglądam się, jak Wes bez problemu wyciska ciężar, który wygląda mi na sto czterdzieści kilogramów. Kyle stuka delikatnie palcami w sztangę, licząc każde podniesienie. Kiedy Wes kończy, przechyla głowę i dostrzega mnie. Uśmiecha się krzywo, a może tylko tak to wygląda, bo leży na ławce. Gdybyśmy byli tu sami, położyłabym się obok niego i w milczeniu bym mu się przyglądała.

Z hantlami w rękach zaczynam trening. Dostrzegam, że Wes i Kyle przechodzą na kolejne stanowisko za mną. Obaj zapewniają mi przestrzeń, ale także nade mną czuwają.

– Dziwne, że ci dwaj tak dobrze się dogadują, no nie? – pyta Taryn, siadając obok mnie na stercie mat. TK jest zajęty ćwiczeniami z kimś innym, więc dzisiaj postanowiła mi towarzyszyć – a może to jej kolej na trzymanie przy mnie straży. Patrzę na nią i czekam, aż zacznie nawijać o mojej mamie i zasypywać pytaniami, czy dobrze się czuję, tak się jednak nie dzieje.

– Trochę dziwne – odpowiadam. Przekładam hantel z jednej ręki do

drugiej i powtarzam serię.

– TK mówił, że to dziwne, iż poszłaś do Kyle’a... – Urywa i wbija wzrok w kolana.

Opuszczam dłoń z hantlem i przechylam głowę.

– Nie rozumiem. Przyjaźnię się z Kyle’em – mówię.

– Wiem. Tak mu właśnie powiedziałam, ale on... – Krzywi się. Nie znoszę, kiedy tak się zachowuje, balansując na krawędzi plotek. W dodatku tym razem to ja jestem ich tematem.

– Ale on co, Taryn? – pytam nieco głośniejszym głosem i dostrzegam, że zwracam tym uwagę Wesa. Uśmiecham się do niego blado, ale kiepski ze mnie blefiarz. Wes mruży podejrzliwie oczy. Wracam spojrzeniem do przyjaciółki.
– On co? – powtarzam ciszej.

Przechyla głowę na bok i wzdycha z frustracją.

– Wes o tym wspomniał TK. To wszystko. Kiedy mu opowiedział, przez co przechodziłaś, na koniec rzekł: „kiedy się dowiedziała, poszła do Kyle’a – *nie do mnie*”.

Wytrzymuję jej spojrzenie.

Rzeczywiście poszłam do Kyle’a – w sumie to głównie z przyzwyczajenia. Udałam się tam także w poszukiwaniu destrukcji, ucieczki – również z przyzwyczajenia. Nie dlatego, że sądziłam, iż Kyle może mnie ocalić. Zrobiłam tak dlatego, że zazwyczaj w takich sytuacjach zapewnia mi paliwo. Tylko że tym razem coś mi się wydaje, że powstrzymałby mnie, gdyby nie zjawił się Wes. Dlatego, że Kyle to prawdziwy przyjaciel, ale nie jest moim sercem. Nim akurat jest ktoś inny.

– Nie dam rady iść na pierwsze zajęcia – mówię do Taryn i odwracam się, nim zdąży mnie zasypać pytaniami. Odkładam hantle na stojak i w lustrze napotykam spojrzenie Wesa. Przechylam głowę, sygnalizując mu prośbę o wyjście na korytarz. Mówi coś do Kyle’a i schodzi z ławki, rzucając

na podłogę nieduży ręcznik.

Spojrzenie ojca dogania mnie, kiedy idę w stronę wyjścia, celowo obierając dłuższą trasę, żeby tylko nie musieć przechodzić obok jego stanowiska. Widzę to kątem oka, ale nie reaguję. Po kilku sekundach dołącza do mnie Wes.

– Co się dzieje? – pyta. Ręce ma w kieszeniach i wydaje się być pełen rezerwy. W jego oczach jestem teraz osobą kruchą i delikatną i wcale mi się to nie podoba.

– Masz portfel i kluczyki? – pytam.

– W torbie w szatni – odpowiada. Marszczy czoło i patrzy na mnie podejrzliwie.

– Idź po swoje rzeczy. Spotkamy się przy twoim aucie – mówię.

Przez chwilę wpatruje się we mnie pytająco.

– Okej – rzuca w końcu.

Wychodzę z siłowni, a kiedy podchodzę do furgonetki, opieram się o drzwi od strony pasażera. Czekać niespokojnie na Wesa, skubię paznokcie przy kciuku. W końcu wychodzi. Idzie w moją stronę, ale wzrok ma wbity w chodnik, następnie omiata spojrzeniem parking. Ani przez chwilę nie patrzy na mnie, nawet kiedy otwiera drzwi po mojej stronie i przytrzymuje je, abym mogła wsiąść.

Rzuca plecak na pakę, po czym siada za kierownicą i przekręca kluczyk w stacyjce. Od razu robi się cieplej. Ranki bywają chłodne. Przez kilka sekund trzyma ręce przed nawiewem, następnie patrzy na moje dłonie, które trzymam splecione na kolanach.

– Co się dzieje? – pyta.

Przełykam ślinę, bo boję się czekających na mnie kolejnych minikroków. Wiem, że w chwili, kiedy zrobię pierwszy z nich, tak naprawdę nie będzie odwrotu – kostki domina przewrócą się jedna za drugą. Jestem jednak

gotowa, aby je pchnąć.

– Musisz mnie zawieźć do domu – mówię.

W tym momencie podnosi wzrok i przez kilka sekund patrzy mi w oczy. Przygryza sobie czubek języka.

– Zapomniałaś czegoś? – pyta i kładzie rękę na drążku skrzyni biegów, ale jeszcze nie rusza. Widzę, jak drgają mu mięśnie ręki, widzę jego brak zdecydowania i rezerwę.

– To coś, co muszę zrobić. I potrzebuję cię wtedy przy sobie. – Patrzę mu w oczy, kiedy wypowiadam te słowa, a te kilka sekund, kiedy patrzymy sobie w oczy, zdaje się trwać długie minuty. Powoli kiwa głową i rusza z miejsca.

– Mój tato się wkurzy, że zerwałem się z lekcji. Ochrzanił TK jak nie wiem co, kiedy Taryn raz namówiła go na wagary – mówi Wes.

Śmieję się cicho, cofając się myślami do tego porządnego chłopaka, który siedział na sofie Kyle'a i przez całą imprezę wypił najwyżej kilka łyków piwa. On jest taki dobry – jest jedynym, co jest dobre w moim życiu. Poddam go testowi, a raczej nie ja, lecz to, co za chwilę zobaczy. Potrzebuję go.

– Powiedz mu po prostu, że to przeze mnie. – Posyłam mu krzywy uśmiech. Im bliżej jesteśmy mojego domu, tym mocniej mnie ściska w żołądku.

– Och, oczywiście, że tak zrobię – chichocze.

Uśmiecham się, wiedząc, że nie zrobiłby tego, nawet gdyby zależało od tego jego życie. Dlatego właśnie to on jest osobą, której potrzebuję. Czuję się przez to jak egoistka, ale myślę, że być może to moja jedyna szansa.

Zajeżdżamy pod mój dom i wyskakuję z szoferki, nim Wes zdąży przejść na moją stronę i otworzyć drzwi. Torbę zostawiam w aucie, więc on robi to samo. Podnoszę drzwi do garażu i otwieram niewielką skrzynkę z narzędziami, z której wydaję zapasowy klucz. Wchodzimy do domu tylnymi drzwiami.

– Mało to bezpieczne – stwierdza Wes.

Oglądam się, patrząc na niego, kiedy idziemy przez kuchnię, a potem przez korytarz w stronę mojego pokoju.

– A co ktoś mógłby chcieć z tego domu? – pytam ze śmiechem.

Wes zatrzymuje się w progu.

– Ciebie – mówi. Odwracam się i patrzę mu w oczy. – Ktoś mógłby chcieć ciebie.

Przygryzam dolną wargę i kiwam głową. Dlatego właśnie potrzebuję go dziś tutaj.

– Wejdz – mówię i klepię materac. Przykucam i wydaję plastikowe pudełko, w którym przechowuję swoje tajemnice, po czym siadam na łóżku obok Wesa. Zdejmuję pokrywkę i odkładam ją na bok.

Pierwsze, co wydaję z pudełka, to kilka spiętych ze sobą listów. Rozkładam pierwszy z góry, bo jest najnowszy. Napisałam go, kiedy miałam czternaście lat. Wręcam go Wesowi i obserwuję jego oczy, kiedy czyta żałosne, pełne desperacji słowa naiwnej dziewczyny.

– Ty to napisałaś – odzywa się.

Kiwam głową.

– Do twojej mamy – kontynuuje.

Ponownie kiwnięcie.

Wszystkie listy są takie same. Przez tyle lat napisałam ich tylko pięć albo sześć, zawsze późną nocą, zawsze, kiedy było mi potwornie źle, kiedy tak rozpaczliwie potrzebowałam odpowiedzi. Przelewałam do nich swój gniew i ból, pytając, dlaczego odeszła, dlaczego mnie nie kochała, dokąd odeszła i czy ma rodzinę, którą woli od naszej. Nigdy tak naprawdę nie zamierzałam ich wysyłać. Pisałam, dopóki nie zmorzył mnie sen albo – co gorsza – dopóki nie wpadałam w szal.

Następnie wyjmuję drewniane pudełeczko i trzycyfrową kombinacją otwieram maleńką kłódkę. Ukradłam to pudełko siostrze Taryn – ukrywała w nim trawkę. Ja z kolei tabletki.

Podaję je Wesowi. Wyjmuje z nich parę fiolek z naklejkami z obcymi nazwiskami. W pudełku kryje się także woreczek z kilkoma niebieskimi tabletkami – oxy albo jakiś inny lek na receptę, na tyle silny, żebym przez wiele godzin mogła spać albo pozostawać w w stanie odrętwienia. Fiolki z Ritalinem są prawie puste. Ten lek należał do moich ulubionych. Wes potrząsa buteleczkami i obraca je tak, że mam widok na naklejki. Nie zadaje pytań, jedynie patrzy na mnie. To spojrzenie... ono rozdziera serce.

– Właśnie dlatego tamtego dnia siedziałam pod podstawówką. Wtedy, kiedy poznałam ciebie i twoich braci. Liczyłam, że pojawi się diler. Zawsze kręci się koło szkoły – mówię, biorąc z jego ręki fiolkę i przesuwając kciukiem po wieczku. – Wiem, że część już widziałeś, tamtego wieczoru, w szafce w łazience. Było tego więcej, ja... ja... aby zasnąć, nie połykałam kilku pigułek. Ja połykałam ich całe mnóstwo. Ukrywałam je. A że powoli mi się kończyły, postanowiłam zaopatrzyć się w kolejne.

Jego milczenie wypala mi dziurę w klatce piersiowej, ale nie przestaję mówić. Chcę, aby poznał mnie całą – nawet te brzydkie fragmenty.

– Tamtego wieczoru napisałam ostatni list. Był to najbardziej szczery z moich listów, więc go spaliłam. Nienawidzę matki za to, że od nas odeszła. A teraz ona nie żyje.

Jego ruchy są powolne i ostrożne. Wes wyjmuje z pudełka resztę rzeczy – zdjęcie przedstawiające mnie i mojego ojca, plik listów i długopis, którym je pisałam. Następnie wysypuje na materac tych kilka tabletek, które pozostały i przesuwa po nich dłonią. Też tak robiłam, zbyt wiele razy: przyglądałam się sposobom na uśmierzenie bólu.

– Nie biorę niczego od miesięcy, ale nie potrafiłam przemóc się, żeby to

wyrzucić. Potrzebowałam zabezpieczenia, jakim jest możliwość ucieczki. – Patrzę mu w oczy. Między nami rozciągają się moje najbardziej zawstydzające sekrety. – Ale teraz mam ciebie. Przychodzę do ciebie, Wes. Udałam się do Kyle’a, bo uznałam, że on mi pozwoli w to wpaść... w moją dawną strefę komfortu, chociaż na trochę, ale wtedy zjawiliś się ty. I to ciebie pragnęłam i potrzebowałam.

– Kyle by ci nie pozwolił – mówi Wes i przechyla głowę. – On... – Przełyka głośno ślinę. – Za bardzo cię kocha.

Nabieram głośno powietrza, słysząc, jak wypowiada te słowa. Nie odrywam wzroku od jego twarzy.

– Powiedział mi – wyjaśnia Wes i ponownie przygląda się moim rozsypanym na narzucie używkom.

– Przykro mi – mówię, a wyrzuty sumienia z tego powodu, że zламаłam Kyle’owi serce są dla mnie niczym kulka w brzuch. – Nie wiem, czemu ci o tym powiedział.

– Bo chciał wiedzieć, czy kocham cię równie mocno. Chciał upewnić się, czy to naprawdę coś poważnego. – Zbiera moje rzeczy i chowa je z powrotem do pudełka. Zamyka wieko i ściska pojemnik w obu dłoniach.

– Co... co ty powiedziałaś? – Bicie serca czuję w palcach dłoni, stóp i w głowie, ten rytm staje się coraz bardziej szalony.

Wes odstawia moją przeszłość na bok i przysuwa się bliżej mnie. Zakłada mi włosy za ucho i opiera głowę o moją.

– Powiedziałem prawdę. Zawróciłaś mi w głowie w chwili, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem i będę cię kochał, Josselyn Grace Winters, aż do śmierci.

Biorę głęboki oddech i ból – który czuję w sercu od chwili, kiedy ojciec powiedział mi o mamie – lekko słabnie. Zamykam oczy, a Wes powoli przesuwa kciukiem po moim policzku.

– Mówiłeś, że zapamiętałeś moje imię. W klasie, kiedy byliśmy mali. Moje pełne imię. Dlaczego? Dlaczego czekałeś, aż usłyszysz, jak się nazywam?

Czuję, jak robi wdech i jego głowa lekko się kołysze.

– Usiadłaś przy moim stole pierwszego dnia, kiedy trafiłem do tamtej szkoły. Pamiętasz? – Głos ma cichy.

Kręcę głową, bo nie pamiętam. Pamiętam małe fragmenty, krótkie interakcje i rzeczy, których żałuję, że nie da się cofnąć, ale pamiętam także, jak się mną opiekował wtedy, kiedy pomoc była mi najbardziej potrzebna. Właśnie wtedy Wesley Christopher stał się władcą mojego serca. Żałuję, że to nie stało się wcześniej.

Śmieje się cicho.

– Rozumiem – mówi. – Byłem dziwakiem. Wiem. Dziwaczny dzieciak, który się nie odzywa. Codziennie chodziłem w takich samych ciuchach. Moje ówczesne życie... było dość paskudne.

– Tak bardzo mi przykro – zaczynam, ale jego kciuk dotyka moich ust, uciszając mnie.

– Nie trzeba – mówi Wes i odrywa głowę od mojej. Obejmuje dłońmi moje policzki i patrzy na mnie z uczuciem. Uśmiecha się łagodnie. – Podczas tamtego pierwszego lunchu, kiedy dosiadłaś się do mnie, tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać. Przedstawić się i w ogóle. Nie wiedziałem jednak jak. Miałem na sobie niepasujące ubrania, rzeczy, z których wyrosły biologiczne dzieci państwa Woodmansee. Koszula miała plamę i było mi wstyd. Więc siedziałem w milczeniu.

– Nucileś – uśmiecham się. Otwiera szeroko oczy, a ja dodaję szybko: – To było urocze. Nie wstydz się.

Pociera dłonią twarz.

– To było dziwaczne, ale jesteś słodka, że nazywasz to uroczym – mówi.

Kładzie się na łóżku i odwraca na bok, po czym wspiera głowę na łokciu. Robię to samo. – Następnego dnia musiałem pójść do szkoły w tych samych ciuchach. Nie miałem wyboru. Zakładałem to, co mi dawali. Wyciągali ubrania ze sterty brudów, kładli na podłodze obok mojego śpiwora i oświadczyli, że spokojnie mogę to nosić jeszcze jeden dzień. – Mruga i patrzy na narzutę. Jego dłoń prześlizguje się między nami. Ponownie podnosi na mnie wzrok. – Dzieci są złośliwe. Pojawiłem się w tych samych ubraniach i paru chłopców od razu to wyłapało. Musiałem chodzić do szkoły pieszo, bo w samochodzie nie było miejsca dla nas wszystkich. A kiedy przechodziłem obok stojaków na rowery, kilku chłopaków pchnęło mnie na nie i szarpało za ubrania.

– Podarli ci koszulę – mówię. Zaskakuje mnie mój głos.

Pamiętam. Kiedy to opowiada, całość historii dopełniają obrazy w mojej głowie. Dla mnie to był zwyczajny poranek – tylko że paru chłopaków popychało jakiegoś ucznia, przy okazji przewracając mi rower. Nakrzyczałam na nich, a prowodyra kopnęłam w kolano, oskarżając go o to, że mi go zepsuł. Nie zrobił tego, ale wkurzył mnie fakt, że go przewrócił. To był nowy rower, tata dopiero mi go kupił, a przez nich w jednym miejscu odprysnął lakier. Chłopcy zaczęli ze mnie się śmiać, a Christopher pchnął jednego z nich i kazał im przestać. To wtedy zaczęli naprawdę mu dokuczać. Wtedy rozerwali mu koszulę. A mnie odesłano do domu za udział w bijatyce, bo rzuciłam się na najbardziej agresywnego chłopca i okładałam go pięściami po głowie i plecach, aż w końcu dał spokój Christopherowi.

Na początku chodziło mi o rower. Potem ważniejszy stał się pokrzywdzony chłopiec, który potrzebował mojej pomocy.

– Biłaś się o mnie – mówi, a cień uśmiechu na jego twarzy działa na mnie jak magnes. Przysuwam się do niego, kładę głowę na jego klatce piersiowej, a on mnie przytula. – Ta zadzierzysta twardzielka biła się dla mnie! Nikt

nigdy nie zrobił czegoś takiego.

– Powinnam była walczyć o ciebie częściej – rzucam, myśląc o tym, jak Taryn i ja czasem nabijałyśmy się z niego, jak rzucałyśmy sobie nawzajem wyzwanie, aby usiąść obok niego na całą minutę. On pragnął jedynie mojej uwagi, a ja się nim bawiłam. – Przepraszam, jeśli kiedykolwiek...

– Pozwoliłaś mi wziąć udział w wyścigu. Kiedy nikt mnie tam nie chciał, ty dopilnowałaś, abym mógł zostać. – Ponownie odgarnia mi włosy z twarzy. – Wiem, czym jest presja rówieśników. Nie żywię do ciebie urazy.

– Gdybym mogła się jednak cofnąć...

Ucisza mnie delikatnym pocałunkiem.

– Jest całe mnóstwo rzeczy, które każdy zrobiliby inaczej, gdyby tylko mógł cofnąć czas. Co powiesz na to, żeby zamiast tego patrzeć w przyszłość? – pyta i bierze do ręki drewniane pudełko.

Siadam i zanoszę je do łazienki. Wrzucam resztę tabletek do toalety i spuszczam wodę. Z wyjątkiem minionego weekendu już od miesiąca mi ich nie brakowało – jednak teraz, kiedy zniknęły, czuję się słaba.

– Jak to możliwe, że jesteś taki silny? – pytam Wesa. Muszę to wiedzieć, bo w tej chwili czuję potworną bezradność, poza tym mam tak wiele związanych z nim pytań.

– Nie jestem – odpowiada.

Zamykam oczy i z mojego gardła wydobywa się chropawy śmiech. Kiwam powoli głową i przysiadam na brzegu wanny.

– Jesteś. Wiesz, co mam na myśli. – Przechyliłam głowę. Wes niemal przez minutę wytrzymuje moje spojrzenie, po czym wyjmuje ręce z kieszeni i powoli prostuje palce. Marszczy brwi i sprawia wrażenie zamyślnego.

– Wczoraj wieczorem pomagałem TK zmienić olej w furgonetce – zaczyna. Czuję ściskanie w klatce piersiowej, bo mam wrażenie, że unika odpowiedzi na moje pytanie. Frustruje mnie to i mam ochotę błagać, aby tego

nie robił. Coś mnie jednak powstrzymuje. – Używaliśmy lewarka, takiego do wymiany kół. – Patrzy mi w oczy i przez chwilę wstrzymuje oddech, po czym znowu opuszcza wzrok na swoje dłonie. – Znajdowałem się pod samochodem, kiedy lewarek się wyślizgnął. – Robi krok w moją stronę i pokazuje otwarte dłonie. – Chwyciłem się osi i rury wydechowej – kontynuuje, wbijając wzrok w te same dłonie, co ja: bez żadnych odcisków, zadrapań czy blizn. – Powiedziałem TK, że w porę się wysunąłem, ale tak się nie stało. Powinienem mieć poparzone ręce.

Przenoszę spojrzenie na jego twarz, ale on nadal przygląda się swoim dłoniom. Z lekkim szokiem. Wyciągam ręce i kładę je na nich. Palce Wesa powoli splatają się z moimi.

– Nie wiem, co jest ze mną nie tak, Joss. Nie wiem, dlaczego nie dzieje mi się krzywda ani jak to możliwe, że przewiduję rzeczy, zanim te się wydarzą. Po raz pierwszy miało to miejsce z tobą, kiedy byliśmy dziećmi – mówi i patrzy mi teraz w oczy. Nie mruga, a jego spojrzenie wwierca się we mnie. Wygląda na przerażonego.

– Może jesteś po prostu wyjątkowy. – Uśmiecham się i wstaję, aby być bliżej niego. Czuję, jak jego ciało lekko drży.

– Joss – szepcze, opuszczając wzrok na nasze dłonie, po czym zbliża je do swojej klatki piersiowej. – Nie jestem wyjątkowy, ale jestem silny... tak mi się wydaje. Albo może szybki. Nie wiem. Potrafię zapobiegać wielu złym rzeczom, ale nie potrafię powstrzymać tego... – Zerka na puste pudełko na wannie, następnie na ubikację, gdzie przed chwilą spuściłam z wodą swoje tabletki. – Nie potrafię ocalić cię przed tym – kontynuuje. – To moja granica. Nie potrafię uratować cię przed *tobą*. Sama musisz to dla mnie zrobić. I tak bardzo się boję, że ci się nie uda.

Jego wyznanie jest dla mnie niczym cios między oczy. Właśnie dlatego go tu przyprowadziłam, dlatego pragnęłam, aby trzymał mnie za rękę,

podczas gdy ja pozbędę się trucizny, której potrzebowałam do zapomnienia. Wiedziałam, że będzie trudno. I wiem, że jeśli chodzi o uczucia, to jestem z natury słaba. Mam od lat krwawiące rany spowodowane odejściem matki i picciem ojca. Te tabletki tylko odsuwały w czasie konieczność stawienia czoła źródłom bólu, ale nie wiem, czy mam w sobie tyle siły, aby odejść od nich... nie bez niego, trzymającego mnie za rękę.

– Będę walczyła z całych sił, Wes. Obiecuję.

Milczy, ale to, jak mnie do siebie przytula, mówi mi, że wierzy w moje słowa. Wie, że jestem fighterką. Przecież to we mnie kocha.

On mnie kocha.

Tak powiedział.

I ja także go kocham, tak bardzo, bardzo mocno.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Twój tato jest nieźle wkurzony! – oświadcza Kyle, kiedy mijam siłownię, kierując się do szatni. Chwyta mnie za ramię i ciągnie do tyłu, aż chowamy się za szopą i wielkimi koszami na śmieci. Capi tu.

– Nic nowego i czy możemy nie prowadzić tej rozmowy obok resztek jedzenia? Cholernie śmierdzą – mówię, zasłaniając ręką twarz.

Kyle pociąga mnie ku sobie i oboje opieramy się o ścianę.

– Twój tato stoi po drugiej stronie budynku, więc nie, nie możemy. Chciałem cię jedynie ostrzec. – Wychyla się za róg. Wypuszcza głośno powietrze i wyraźnie się odpręża. – Chyba wrócił do środka.

Klepię go mocno w klatkę piersiową.

– Auć! – Patrzy na mnie z urazą.

– O co chodzi z tym porwaniem? – pytam, unosząc ręce.

Zaciska usta i kręci głową.

– Zniknęłaś na cały dzień i choć raz to twój tata szukał ciebie. Próbował wyciągnąć cię z trzeciej lekcji – mówi Kyle.

– Co takiego? Nie ma w tym czasie WF-u albo jakichś innych zajęć? Zresztą nieważne. Pojechałam do domu. Z Wesem. Musiałam zająć się pewnym syfem. Można powiedzieć, że mam dużo na głowie i że to w sumie jego wina... – Urywam, kiedy widzę minę Kyle'a. Z Wesem.

– Przepraszam – mówię i biorę głęboki oddech. Wbijam wzrok w ziemię i wymachuję stopą. A kiedy go podnoszę, widzę, że Kyle przygryza wargę.

– W porządku – odpowiada, kręcąc głową.

– Wcale nie. Niezręczne jest to, że słyszysz o mnie i Wesie, i

przepraszam, że tak chlapnęłam jęzorem.

Patrzy mi w oczy i uśmiecha się krzywo.

– Taa, jest... niezręcznie. Ale... nie ukrywaj tego. Nie powinnaś czuć, że musisz tak robić. Zresztą między mną a Wesem jest wszystko okej.

Wiem, że mówi prawdę. Pewnie nadal będę próbowała go chronić, ale dobrze wiedzieć, że nie żywi urazy do mnie ani do Wesa.

– Skoro mowa o syfie, z którym masz teraz do czynienia, to... jakoś sobie radzisz? – Pytanie Kyle'a dotyczy tak wielu rzeczy. Wie, że lubię rozmawiać o swojej mamie niemal równie mocno, jak on o swojej, odkąd kilka lat temu jego rodzice się rozwiedli. Kiedy życie staje się trudne, Kyle i ja zwracamy się ku destrukcji – i ku sobie nawzajem. Coś mi mówi, że nadal możemy na sobie polegać, choć może w nieco inny sposób niż do tej pory.

– Radzę sobie. Nie zrobiłam także niczego głupiego, jeśli to właśnie masz na myśli. – Opieram się plecami o wielki kosz do recyklingu.

– Ulżyło mi. Wiem, jak lubisz głupie rzeczy – mówi z szerokim uśmiechem.

– Lubię ciebie, no nie? – Lekko szturcham go w ramię.

On się śmieje, ale ten śmiech szybko cichnie.

– Taa, cóż... w sumie to jestem dość głupi – rzuca.

Zapada niezręczne milczenie, ale nim stanie się nie do zniesienia, wracam do powodu, dla którego Kyle mnie tu zaciągnął.

– No więc czemu tata mnie szuka? Co się stało? Umarli jeszcze jacyś krewni, z którymi nie utrzymujemy kontaktów? A może po prostu potrzebuje kierowcy? – pytam z przekąsem.

– Twój tata odszedł dziś rano z drużyny, Joss – mówi Kyle i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym powinna o tym wiedzieć.

Próbuję zrozumieć sens wypowiedzianych przez niego słów. Myśl, że

tato zrezygnował z trenowania wydaje się być pożegnaniem i martwię się.

– Co takiego? – pytam, a w moich oczach z pewnością maluje się szok.

– Nie wiedziałaś? Cholera, myślałem, że przynajmniej tyle ci powiedział. Dziś rano oświadczył to nam wszystkim... cholera... po tym, jak ty i Wes odjechaliście. Wyjaśnił, że musi ponownie skupić się na swoim życiu i że jego asystenci są gotowi, bla, bla, bla. Nie wiem, dziwne tylko, że to wszystko tak zbiegło się w czasie.

– Nie – mówię i robię krok w bok. Wyglądam za róg i dostrzegam, że samochód ojca nadal tam stoi. – To wcale nie jest dziwne. On się wyłącza. W zeszłym tygodniu tak często był nieobecny, Kyle.

Przebiegam wzrokiem teren przy szkole, ale wszyscy zdążyli się rozejść. Dostrzegam, że paru zawodników zaczyna wysypywać się z męskiej szatni i wiem, że Wes także niedługo wyjdzie, spodziewając się, że mój ojciec czeka na niego, że będzie mu mentorem.

Przykro mi, Wes. Eric Winters wypiął się także na ciebie.

– Przykro mi, Joss – mówi Kyle i staje za mną. Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Dzięki – szepczę. – Hej, powinieneś się przebrać. Ja zresztą też mam trening.

Kyle przechodzi na moją stronę i robi kilka kroków do tyłu. Patrzy mi w oczy, chcąc upewnić się, czy wszystko w porządku. Wcale nie i on o tym wie, ale bywało gorzej. W końcu odwraca się i puszcza biegiem w stronę szatni, a ja udaję się do swojej.

Dziewczyny już są gotowe, z wyjątkiem Taryn, która z uporem maniaka próbuje wciągnąć spodnie, mając już buty na nogach. Mimo wszystko w szatni panuje niesamowita cisza. Wszystkie dziewczyny siedzą i czekają z rękawicami i torbami w rękach, a kiedy bez pośpiechu zaczynam się przebierać, rozlega się kilka szeptów. Ja postrzegam to tak, że trener ma

szczęście, że dzisiaj w ogóle się pojawiłam.

Siadam okrakiem na ławce, żeby założyć buty, i moje spojrzenie napotyka wzrok Brii. Szybko uśmiecha się do mnie i jest to uśmiech wyrażający kondolencje. *Cholera. Wszystkie wiedzą o mamie.*

Opuszczam wzrok na dłonie i stopy, koncentrując się na wiązaniu sznurówek. Następnie wkładam ubrania do szafki, a torbę ze sprzętem rzucam na podłogę. Kilka dziewczyn wzdryga się, kiedy mój kij odbija się z brzękiem.

– Sorki – mówię w przestrzeń. Podnoszę torbę i przerzucam ją sobie przez ramię, prawą ręką zamykam szafkę i zdecydowanym krokiem ruszam w stronę wyjścia, z dala od tych wszystkich spojrzeń i nieproszonego współczucia.

Na boisku sama zabieram się za jogging, przeciąganie się i rozgrzewkę. Dopiero po kilku długich minutach z szatni wyłania się Taryn. Widzę, że Wes już znajduje się na boisku do baseballu, a chłopaków otaczają trenerzy-asystenci, bez wątplenia próbujący rozgryźć, jak przeć do przodu bez geniuszu trenera Wintersa.

Na boisku w końcu zjawia się reszta dziewczyn, a Taryn i ja bierzemy się za rzucanie wzdłuż linii bazy. Nadal panuje cisza. Nie pasuje do tego miejsca, ale nie wiem, jak ją przerwać.

– Chciałabym, aby ludzie zrozumieli, że nic mi nie jest – mówię do przyjaciółki. Ona chwyta piłkę w rękawicę i opiera ją o biodro. – No co? Bo nie jest. Nic mi nie jest.

Taryn patrzy na rząd rzucających obok nas dziewczyn i kręci głową, po czym do mnie podbiega. Wzdycham.

– Przestań – rzuca.

Wzdrygam się.

– Słucham? – Zaczynam się śmiać, ale wcale nie jestem rozbawiona.

– Przestań udawać, że nic ci nie jest. Umarła ci mama, Joss. A tato właśnie odszedł z drużyny. Więc o nim na pewno nie można powiedzieć, że nic mu nie jest.

– Ledwie ją znałam – mówię szybko. Siła tych słów jest dla mnie niczym cios w klatkę piersiową i na chwilę odbiera mi oddech. Czuję pieczenie pod powiekami, więc spuszczam głowę i pociągam nosem. Nie będę więcej płakać z jej powodu.

– Ale to była twoja mama. A fakt, że ledwie ją znałaś od dawna stanowił ważną część twojego życia – mówi Taryn. Stoję ze wzrokiem wbitym w ziemię, bo czuję, że pozostali zaczynają zerkać w naszą stronę. Nie słysząc już odbijania piłek.

Nie mam ochoty na grupowe przytulanie.

– W porządku, dobrze? Zresztą nieważne. Mam mętlik w głowie z tego powodu, ale teraz nie chcę się za to zabierać, a skoro mój tato zrezygnował z jedynej rzeczy, którą kocha, mam pewnie ważniejsze problemy na...

Taryn zaciska mi dłoń na ramieniu, przerywając w połowie zdania. Podnoszę wzrok i widzę, że z konsternacją przygląda się czemuś za moimi plecami.

– Hej, Joss? Myślę, że może... może rzeczywiście masz większe problemy... – Moja przyjaciółka urywa, a ja powoli odwracam się, twarzą w stronę słońca i widzę mojego ojca, stojącego obok trenera Adamsa. Jest w stroju sportowym.

– Ja pierdolę – wyrzucam z siebie.

Taryn śmieje się krótko, a ten dźwięk jest niczym puenta mojego żałobnego życia.

Trener Adams dmucha w gwizdek, ale ja tego nie słyszę. Widzę jedynie, jak przykłada do ust mały kawałek plastiku i jak wszyscy inni reagują.

Ostatnia dołączam do otaczającego ich kręgu. Wszyscy oprócz mnie

siadają. Ja stoję z tyłu, gotowa do odejścia. Chcę odejść. To nie może dziać się naprawdę. To boisko jest *moje*. On nie może go przejąć.

– Joss, mogłabyś usiąść? – pyta trener Adams.

– Nie bardzo – odpowiadam i odkasłuję. – Jeśli panu to nie przeszkadza, to wolę postać.

– Joss, siadaj na tyłku – odzywa się mój ojciec.

Właśnie dlatego to się nie uda. Prostuję się. Przyciskam rękawicę do piersi, patrzę na tatę zmrużonymi oczami.

– Po co tu jesteś? – pytam.

Jego klatka piersiowa lekko unosi się, kiedy robi wdech, a jego spojrzenie biegnie ku trenerowi Adamsowi. Mówi cicho, ale i tak wszystkie go słyszymy.

– Nie udało mi się dzisiaj z nią porozmawiać. Nie było jej w szkole. – Mówi to takim tonem, jakbym zrobiła coś niezgodnego z prawem, jakbym nie miała powodu, aby nie pójść na lekcje, jakbym była rozczarowaniem.

– Sorry, dowiedzenie się o śmierci nieutrzymującej kontaktu matki potrafi być nieprzyjemne. Tak samo jest pewnie w przypadku nieutrzymującej kontaktu żony – warczę.

– Josselyn! – Ojcu drgają nozdrza, a ja szybko mrugam, zaskoczona jego tonem. Jest autorytatywny.

Przekroczyłam granicę. Nie odrywam wzroku od jego twarzy, a oczy mam wąskie jak szparki, bo wciąż jestem na niego taka wściekła, że mogłabym go uderzyć, ale on ma rację – to rzeczywiście był cios poniżej pasa. Nie żałuję, że to powiedziałam, ale żałuję, że zrobiłam to przy całej drużynie. Kręcę głową i kucam.

Trener Adams kilka razy odkasłuje, poprawia w dłoniach podkładkę do pisania i staje przed nami w szerokim rozkroku.

– Panie, jestem pewny, że część z was zna trenera Wintersa – mówi, a

jego spojrzenie prześlizguje się po nas, by w końcu zatrzymać się na mnie. Czuję się jak w pułapce, więc odwracam wzrok. – Trener Winters dołączy do nas na pozostałą część sezonu. W moim życiu osobistym nastąpiły pewne zmiany. Nie stało się nic złego. Właściwie to wprost przeciwnie. Moja żona i ja spodziewamy się bliźniąt, ale ciąża jest zagrożona i żona musi leżeć. Chcę być przy niej, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała – wyjaśnia, a ja nie potrafię powstrzymać śmiechu. Cóż za ironia kryje się w tym, że jeden tata odchodzi, aby stanowić wsparcie dla swojej rodziny, gdy tymczasem drugi – mój – robi wszystko, co tylko możliwe, aby ukrywać się przed swoją. Zasłaniam usta i unoszę przepaszająco rękę.

– Dziękuję za tę prezentację, Dave – odzywa się mój ojciec i uśmiecha się z przymusem. Mówi do naszego *prawdziwego* trenera takim tonem, jakby darzył go szacunkiem, jakby nie kwestionował jego wszystkich dotychczasowych decyzji. – Panie, widzę tu spory potencjał – kontynuuje, a ja się wyłączam. Moje spojrzenie biegnie w stronę boiska do baseballu, gdzie chłopcy właśnie biegają. Na widok Wesa wruszam ramionami, jednak nie mam pewności, czy on to widzi. Patrzy na mnie przez chwilę, po czym odwraca się i zaczyna biec w przeciwnym kierunku.

– Joss!

Szybko odwracam głowę. Siedzę zupełnie sama. Poważnie, Taryn? Nie mogłaś mnie szturchnąć czy coś? Wstaję i otrzepuję z nóg i skarpetek suche źdźbła trawy i zaczynam biec, żeby dołączyć do reszty drużyny.

– Ty zostajesz ze mną – odzywa się mój ojciec. Zatrzymuję się i przewracam oczami, po czym odwracam się twarzą do niego.

– To cię bawi? – Krzyżuję ręce na piersi.

Wpatruje się we mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Czemu to robisz? No bo dosyć daleko posuwasz się, żeby udowodnić, iż potrafisz nauczyć mnie odbijać lewą ręką. Nie musiałeś rezygnować z

trenowania drużyny baseballu. Mogłeś nam obu oszczędzić tej udręki.

Nie przestaje na mnie patrzeć. Wytrzymuję jego spojrzenie przez długą chwilę, w końcu jednak łamię się i wbijam wzrok w ziemię. Czubkiem buta kopię suchą trawę.

– W porządku, jak sobie chcesz. Pójdę po kija – mówię i robię krok w stronę ławki rezerwowych.

– Nie.

Wzdycham i odwracam się, po czym rzucam rękawicę na ziemię. Unoszę głowę ku niebu i śmieję się ze złością.

– On mówi „nie” – chichoczę. – Co to ma być, jakiś test? Co my robimy? Po co tu jesteś? O co w tym wszystkim chodzi?

Opuszczam głowę i spodziewam się ujrzeć tego samego hardego mężczyznę sprzed kilku sekund, jednak wyraz twarzy mojego ojca uległ w międzyczasie złagodzeniu. Zaskakuje mnie to.

– Musimy porozmawiać – mówi.

Mrugam. Rozmowa nie należy do naszych mocnych punktów. Krzyczenie – owszem. To właśnie robi maleńka rodzina Wintersów. Nie zwieramy się sobie. Nie przejmujemy się. I nigdy nie rozmawiamy.

– W porządku. Jak ci minął dzień? Och, chwileczkę... odszedłeś z pracy, którą kochasz po to, żeby zrujnować jedyne, co ja kocham. Och, jak ja się mam? Dobrze. To znaczy... miałam się dobrze. Teraz jest inaczej. Masz rację, tato. To całe rozmawianie jest naprawdę ekstra.

– To przeze mnie taka jesteś – mówi, kręcąc głową.

Wstrzymuję oddech, analizując jego reakcję. Ma rację. To przez niego. To on mnie taką uczynił. Rozpierzdził mnie. Mama rozpierzdziła nas oboje. Wes mnie uratował, a raczej to, co ze mnie zostało.

– Próbujesz cofnąć się w czasie? O to ci chodzi, tato? Wynagrodzenie straconego czasu? Tych wszystkich meczy, na których nie byłeś? – pytam

cicho. Autentycznie chcę to wiedzieć. Dlatego, że za dużo musiałby wynagradzać i nie da napisać się od nowa naszej historii.

– W sumie to chyba tak... – przyznaje.

Otwieram szeroko oczy, zaskoczona jego szczerością.

– To tak nie działa – oświadczam i obejmuję się ciasno ramionami. Rozglądam się, aby upewnić się, czy jesteśmy sami. Nie chcę, by ktoś nas słyszał.

– Wiem – mówi mój ojciec. Zerka ponad moim ramieniem, a ja oglądam się i widzę, że drużyna baseballowa zaczyna rzucać. Na swoje stanowiska wychodzą Wes i Kyle.

– To im jesteś naprawdę potrzebny – mówię.

Przygląda się im przez kilka sekund, ale w końcu przenosi spojrzenie na moją twarz.

– Tobie bardziej.

To taka prosta prawda i choć pragnę jej zaprzeczyć, nie mogę. Milczę. W gardle czuję suchość, a moje serce wybija nerwowy rytm. Choć ta cała sytuacja to koszmar, jest także moim marzeniem. I nie chcę zagłębiać się w to wszystko, bo boję się, że w mgnieniu oka on może zmienić zdanie. Nie jestem pewna, czy to fantazja, czy tragedia. Być może jedno i drugie. Może zawsze tak było. Może właśnie tym jest życie – pięknym bałaganem.

– Możemy odbijać podczas rozmowy? – pytam, przygryzając wnętrze policzka. Szczera rozmowa z tatą wydaje się czymś tak bardzo nienaturalnym i nie wiem, czy to kiedykolwiek się zmieni.

– Możemy – odpowiada i kiwa głową w stronę *home plate*.

Podchodzę do ławki i zakładam rękawice, a mój ojciec przyciąga duży, siatkowy namiot i stawia go jakieś półtora metra od *plate'u*, żebym miała cel. Wysypuje z wiadra piłki, po czym odwraca je do góry nogami i na nim siada. Kiedy podchodzę, pokazuje, żebym weszła do drugiej klatki dla pałkarzy.

Stawiam jedną nogę za drugą, szykując się do odbicia, ale mój ojciec obraca piłkę w dłoni, zamiast ją rzucić.

– Twoje odbicie jest w porządku. Po prostu się spóźniasz. Chcę, żebyś zmusiła się do zaczekania, aż piłka opuści twój teren. Dopiero wtedy ją odbijaj – wyjaśnia.

Nie reaguję. Krzywi się i wiem, że sądzi, iż zamierzam go zignorować, tak jak ostatnim razem, ale ja wiem, że miał wtedy rację. Teraz także. I że dzięki niemu mogę lepiej grać. Chcę tego. Robię, co mi każe i odbijam piłkę prosto do siatki.

– Dobrze – orzeka i wypluwa na ziemię łupiny słonecznika. Wyjmuje z kieszeni kolejną garść i wkłada sobie kilka ziaren do ust. Podnosi z ziemi drugą piłkę, obraca ją w dłoni, po czym mówi niewyraźnie: – Jeszcze raz.

Wstrzymuję oddech i zaciskam usta. I czekam – wystarczająco długo. Tym razem wybijam piłkę prosto w środek siatki.

– Dobrze. – To takie samo „dobrze” jak poprzednio. Żadnych udawanych pochwał. Postąpiłam zgodnie z jego wskazówkami i uzyskałam pożądaną wynik. Dobrze.

– Jeszcze raz – mówi, podnosząc kolejną piłkę i robiąc to samo. A ja ponownie odbijam, tylko że tym razem z większą siłą.

– Dobrze.

I tak to idzie: pojedyncze słowa, proste działanie, niewielkie modyfikacje, aż w końcu odbijam wszystkie piłki, a reszta drużyny zmierza w naszą stronę na przerwę.

– No to teraz idziemy na boisko – mówi mój ojciec. Wstaje i obraca w dłoniach wiadro. Zaczynam zbierać piłki z siatki, ale on mnie powstrzymuje. – Ja się tym zajmę. – Patrzy na mnie, a potem na ławkę. – Ty idź do swojej drużyny.

Kiwam głową, szepczę „dzięki”, a potem odwracam się i biegnę do

dziewczyn.

Przez kolejną godzinę odbijam lewą ręką, a tato pracuje nad wzmocnieniem naszej obrony. Odbijam wtedy, kiedy mi każe, i ani razu nie odpuszczam – często prezentując nasze słabe strony. Tego właśnie chce. W tym jest dobry. A po jednym dniu pod skrzydłami mojego ojca mały ułamek naszych słabości zamieniłyśmy w atuty.

Trener Adams i mój ojciec chowają ciężki sprzęt, a ja pakuję swoje rzeczy. Na końcu ławki, pomiędzy Taryn a mną, przystaje Bria.

– Przykro mi z powodu twojej mamy, Joss – mówi.

Nikt jej nie słyszy, co sprawia mi ulgę, ale jej kondolencje są miłe. Widać, że się denerwowała, więc przygryzam dolną wargę i kiwam głową.

– Dziękuję – mówię miękko. – Dobra robota podczas dzisiejszego treningu.

Uśmiecha się i zerka najpierw na Taryn, po czym wbija wzrok w ziemię.

– Dzięki – odpowiada, po czym przerzuca torbę przez ramię i rusza w stronę szatni.

– To było sympatyczne z twojej strony – odzywa się Taryn.

– Zamknij się – rzucam żartobliwie. Przewracam oczami, zdejmuję korki i zakładam sandały. Słyszę, jak Taryn odchodzi, i wiem, że chce mnie tym zmusić do tego, abym została sam na sam z tatą. Początkowo zamierzam ją dogonić, ale szybko do mnie dociera, że nie dam rady. Może nie powinnam. *Rozmowa. On chce porozmawiać.*

Trening baseballistów jeszcze trwa, ale wiem, że niedługo dobiegnie końca, więc zostaję na ławce. Odwracam się w stronę taty, który siada na drugim końcu ławki.

– Świetna robota, Joss – rzuca w przelocie trener Adams.

– Wiem. – Uśmiecham się z zadowoleniem, a mój ojciec chichocze. Trener Adams znajduje się już w połowie drogi do swojego auta, do domu,

do żony i nienarodzonych dzieci. Moja odpowiedź zupełnie go nie obchodzi.

– Wiesz, arogancja nie jest cechą przydatną w grze zespołowej – odzywa się mój ojciec. Wyjmuje z kieszeni woreczek z ziarnami słonecznika i unosi go w moją stronę. Kiwam głową, a on mi go rzuca.

– Taa, no cóż, my, Wintersi, to pewne siebie skurczysyny – mówię, po czym wrzucam do ust garść ziaren. Tato chichocze.

– To prawda – mówi i pokazuje gestem, żebym mu odrzuciła ziarna.

– Wow, a ty co, uzależniłeś się?

Marszczy brwi. W sumie słusznie. To nie do końca był żart. Próbowałam mu dogryźć.

– Żucie pomaga mi przewyciężyć ochotę na coś innego – oświadczam i wkładam do ust kolejną garść.

Wypluwam kilka łupin. On ma rację, żucie się sprawdza. Odkąd rzuciłam palenie, wykończyłam szesnaście paczek gum.

– Wieczór planujesz więc spędzić w domu? – pytam i mrużę jedno oko. Zachodzące słońce odbija się od metalowego ogrodzenia.

– Spróbuję. To jednak nie jest takie proste – mówi.

Śmieję się krótko, czym zwracam jego uwagę. Żuję pozostałe ziarna, po czym odwracam się w bok i wypluwam łupiny.

– Tak, trudno jest zachować trzeźwość, kiedy wieczorem wymyka się do baru, ale muszę ci oddać, że od paru dni nie dzwonisz do mnie z Jim's – mówię, zaciskając dłonie na krawędzi ławki. Nachylam się i czekam na usprawiedliwienia.

– Nie chodzę do baru.

Ponownie się śmieję, ale on nie protestuje. Im dłużej wbijam wzrok w graffiti na ławce, tym większa we mnie ciekawość. W końcu podnoszę wzrok. Tata bawi się zegarkiem, zapinając bransoletę i rozpinając. Nerwowy

nawyk, który znam od dzieciństwa. Pamiętam, jak kiedyś urządził dla mamy przyjęcie-niespodziankę, a potem stał przy oknie w kuchni i właśnie tak robił.

– W takim razie dokąd? Masz jakieś nowe miejsce? – pytam i przenoszę wzrok z zegarka na twarzy taty.

– Odwiedzam znajomą.

Mrużę oczy. Mój ojciec wzdycha. Kładzie ręce za sobą i odchyła się na ławce.

– Jest ode mnie starsza. Ma na imię Meredith. Ona... – Urywa i uśmiecha się na widok mojej miny. Mój ojciec umawia się ze starszą kobietą. Jestem trochę wkurzona. – Ha... nie. To nie tak. Ona prowadzi grupę. No wiesz, dla trzeźwiejących alkoholików?

Och.

– Więc przystąpiłeś do programu dwunastu kroków czy jakoś tak? – pytam. Serce mi trzepocze. To nadzieja. Nie znoszę jej.

Ojciec chichocze.

– Tak jakby. Choć to nie jest formalna grupa. Takich już próbowałem, Joss. – Patrzy mi w oczy. – Nie jestem dobry w zwierzaniu się innym ludziom. Nie potrafię tego przeskoczyć.

Spuszczam wzrok i wykręcam dłonie. Kiwam głową. Rozumiem go.

– Ale kiedy byłem na takim spotkaniu po raz ostatni, Meredith dała mi swój numer. Powiedziała, że kiedy będę naprawdę chciał spróbować, to mam do niej zadzwonić. Ona... można powiedzieć, że *ślucha*. Czasami... – Urywa i śmieje się cicho. – Szczerze? Czasami po prostu do niej dzwonię i jadę naprawiać różne rzeczy w domu. Jest stary, a jej mąż nie żyje od kilku lat. Myślę, że ona wie, iż dzięki temu jestem zajęty i przysięgam, że celowo coś psuje, żebym tylko miał co naprawiać. Czasami także rozmawiamy. Ona też była na dnie. Straciła córkę w potwornym wypadku samochodowym, kiedy ta miała zaledwie cztery czy pięć lat. Meredith została poważnie ranna i

uzależniła się od środków przeciwbólowych. Jej mąż wiele razy groził, że odejdzie, a pewnego dnia miał zawał. Wtedy zdecydowała się na leczenie. Według mnie okazała się na tyle silna, aby zrozumieć, że nie da rady sama funkcjonować... nie w taki sposób.

Słuchając słów ojca, wyobrażam sobie Meredith. Mam nadzieję, że jest kobietą silną, bo Eric Winters sięgnął dna i potrzebuje pomocy. Jedną nogą stoi w grobie.

– Babcia Grace powiedziała ci, gdzie ona była? Gdzie jest? – Nie podnoszę wzroku. Dno to ryzykowne terytorium i waham się, zadając pytania, żeby nie posłać ojca jeszcze niżej. Ale... chcę tego się dowiedzieć.

Zerkam na tatę, a on w tym samym czasie podnosi wzrok na mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, lekko się uśmiecha.

– Tucson. Chyba. A przynajmniej tam odbył się pogrzeb – mówi, kopiąc czubkiem buta w trawę pod ławką. – Nie mogłem jechać. Moje pożegnanie... jest... skomplikowane i inne.

Moje także. Wbijam wzrok w swoje dłonie i myślę o tym, jakbym się czuła – wchodząc do pomieszczenia pełnego nieznajomych, wiedząc, że mam prawo tam być, aby odesłać moją matkę do nieba czy piekła, ale także zdając sobie sprawę z tego, że wszystkie spojrzenia są utkwione we mnie, pełne litości albo zastanawiające się, jaka jest moja prawdziwa historia.

– Nie winię cię za to, że nie pojechałeś – szepczę.

Przez kilka minut siedzimy w milczeniu i jedynym słyszalnym dźwiękiem jest szelest woreczka z ziarnami. Naszą uwagę przyciąga odgłos piłki odbijającej się od kija i oboje patrzymy w stronę stojącego na górze Wesa. Levi okrąża właśnie pierwszą bazę.

– Polubiłabyś Grace, swoją babcie – odzywa się mój ojciec, a jego spojrzenie pozostaje wbite w drużynę, którą porzucił. Drużynę, którą porzucił... *dla mnie.* – Masz po niej imię, ale nie tylko to... wiesz? Żałuję...

– wzdycha. – Żałuję, że lepiej jej nie poznałaś. Powinienem być zadbać o tę relację, dla ciebie.

Spogląda mi w oczy. Nie odpowiadam, ale patrzę na niego na tyle długo, aby zniknęła choć część jego wyrzutów sumienia. Ja też zawsze żałowałam, że lepiej jej nie znałam. Rodzice taty są tacy jak on. Oszczędni w słowach, chłodni w uczuciach. Ciekawe, czy w przypadku Grace jest inaczej?

– Cóż... – Tato wstaje i podciąga spodnie. Jest chudy, za chudy. Rzadko je, poza tym od lat w ogóle nie dba o swoje ciało. – Wygląda na to, że trening dobiegł końca. Zamierzam ułagodzić trochę chłopców. Może ty mogłabyś zająć się Wesem?

Mruga do mnie, a ja się uśmiecham, bo to właśnie takich gestów pragnę od tak dawna. Tato obchodzi siatkę i zaczyna iść w stronę drugiego boiska, kiedy go zatrzymuję.

– Hej, trenerze? – Odwraca się, ale nie przestaje iść tyłem. – Witamy w drużynie.

Potyka się lekko, ale ja to zauważam. Kiwa głową i kąciki jego ust zaczynają się unosić. Kiedy się odwraca, wkłada ręce do kieszeni i nieco się przygarbia. Ta zmiana go dobija ale nie zrobił tego z pobudek egoistycznych. Zrobił to dla mnie. Teraz to widzę.

Wes i mój ojciec spotykają się w połowie drogi i zamieniają kilka słów, ale chwilę później Wes już idzie w moją stronę. Zabieram swoje rzeczy i ruszam mu na spotkanie.

– No to macie nowego trenera? – Przechyla głowę i unosi czapkę, żeby się podrapać.

– Na to wygląda – odpowiadam i przygryzam dolną wargę.

– Słyszałem, że jutro czeka cię ważny mecz. Jedziecie na północ, żeby zagrać z Los Banos. Mają tam być ludzie z uczelni Chico State, którzy chcą zobaczyć, co potrafisz – mówi. Żołądek ściska mi się nerwowo i przez myśl

przebiega mi fantazja, że może się uda i że pewnego dnia będę grać w drużynie uniwersyteckiej.

– Takie krążą plotki. – Robię krok w jego stronę. Jego dłoń ujmuje moją i to wydaje się być czymś tak bardzo naturalnym. Nigdy dotąd nie czułam się z nikim tak komfortowo. Nigdy nie darzyłam zaufaniem ani nie obchodziły mnie uczucia drugiej osoby.

– Denerwujesz się? – pyta Wes, kiedy podchodzimy do furgonetki. Rzucam torbę na pakę i wzruszam ramionami. – Kłamczucha – śmieje się.

– Okej. Trochę się denerwuję – przyznaję.

Otwiera drzwi, a ja wsiadam do kabiny, nim jednak zamknie drzwi, staje pomiędzy moimi nogami i zdejmuje mi z włosów gumkę, pozwalając, aby opadły na ramiona luźnymi falami. Jego kciuki muskają moje policzki i unoszą brodę, po czym delikatnie całuje mnie w usta.

– Nie denerwuj się. Będziesz niesamowita. Twój tato też jest tego pewny – mówi.

Patrzę mu głęboko w oczy i dostrzegam, że niebieskie tęczęwki skrywają w sobie maleńkie, pomarańczowe plamki, odbicie słońca zachodzącego za moimi plecami.

– Dzięki tobie mniej się denerwuję – mówię. Uśmiecha się łagodnie, a jego dłonie gładzą mnie uspokajająco po plecach. – Chcę tego, Wes. Mojego taty. Tej gry. Tego... życia. Tak bardzo chcę. – Mój głos okazuje się niewiele głośniejszy od szeptu.

Wes całuje mnie w czubek głowy, po czym odwraca się tak, że jego policzek spoczywa na moich włosach.

– Wiem, Joss. Pragnę tego dla ciebie – mówi bez tchu. Bierze powolny wdech, a wydech jest jeszcze wolniejszy. To tempo ma na mnie kojący wpływ. – Zamierzam dopilnować, abyś to wszystko dostała.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

DENERWUJĘ SIĘ. Im bardziej staję się tego świadoma, tym bardziej robię się niespokojna. Przez pierwsze dwa lata liceum po prostu grałam w softball. W sumie to nawet mnie nie obchodziło, czy wygrywamy czy nie. Opuszczałam treningi, chodziłam na nie wtedy, kiedy miałam ochotę. Mecze były dla mnie szansą na rozciągnięcie mięśni, przypomnienie moim ramionom, do czego są zdolne i nogom, jak bardzo są silne. To była szansa na popisanie się i bycie najlepszą. I schrzałam ją – bo mi nie zależało. Teraz zależy.

I tak sobie myślę, że jest we mnie uśpiona część, której jednak zależało. Teraz ta część się obudziła. I jest wygłodniała.

Deszcz leje bez ustanku. Zaczęło padać późnym wieczorem i wielkie krople przez cały dzień rozbijają się o dach szkoły. Mecze chłopaków zostały odwołane. Boiska zalało, ale podobno dwie godziny jazdy na północ stąd jest sucho. Gramy dzisiaj z Los Banos. Tato powiedział mi rano, że nawet pojawiła się o tym wzmianka w prasie.

Dziś rano... Było dziwnie. Ojciec zaczekał na mnie, upierając się, żebym pojechała z nim – chociaż ten raz, tak na próbę. To było miłe. Możliwe, że za jakiś czas to powtórzymy, może nawet niedługo.

Wyciął artykuł z gazety i przytwierdził go do lodówki taśmą klejącą, bo nie mamy magnesów.

DOSKONAŁA MIOTACZKA LOS BANOS ZMIERZY SIĘ Z KIJEM WINTERS Z BAKERSFIELD SOUTH.

W artykule podano mój element statystyczny RBI i prędkość, z jaką

Caitlyn Moore rzuca piłkę. Pojawiły się też przewidywania, że ona i ja – obie będące uczennicami przedostatniej klasy – za rok zapewne staniemy do walki o tytuł stanowy. Ciekawe, czy ci ludzie z Chico przyjeżdżają po to, żeby oglądać Caitlyn czy mnie?

Dwugodzinna jazda autobusem oznaczała niepójście na zajęcia z fotografii. Dzisiaj miałam zaprezentować swoje zdjęcia z kwiatami. Wes nie zamierzał przedstawić swoich, powiedział, że były przeznaczone wyłącznie dla moich oczu. Zamiast tego zrobił kilka zdjęć ojcu i braciom, to znaczy tylko ich nogom – pokazał, jak stoją w rzędzie, skrzyżowane w kostkach, podczas kiedy oni siedzą na sofie i oglądają sport. Widziałam te zdjęcia – one także są wyjątkowe.

Skoro odwołano mecze baseballowe, Wes, TK, Kyle i Levi postanowili jechać na nasz do Los Banos. Miałam ochotę przemycić do autobusu Wesa, żeby podziałał kojąco na moje nerwy, ale będzie mi musiała wystarczyć Taryn.

Mój ojciec siedzi z przodu obok trenera Adamsa. Dziwnie jest widzieć ich obu. Autobus wydaje się taki wielki i zatrzymuję się mniej więcej w połowie. Taryn zajmuje miejsce po mojej przeciwnej stronie i obie siedzimy tak, że nogi wystają nam na przejście. Nasza drużyna ma tylko trzynaście zawodniczek, więc większość miejsc pozostaje pusta. Marnotrawstwem wydaje się wynajmowanie całego autobusu, ale w naszym liceum wykorzystuje się go do wszystkiego. Podczas gdy liceum North High dysponuje dodatkowymi vanami w barwach drużyny, my cieszymy się, że mamy sprawne szyby i koła.

Mój ojciec przyklęka na fotelu i nasze spojrzenia spotykają się ponad rządami siedzeń. Autobus rusza i podczas gdy wszyscy moszczą się wygodnie, tato patrzy, jak zakładam słuchawki. Żadnych kazań. Żadnych upomnień. Patrzy na mnie, żeby upewnić się, że podchodzę do tego na

poważnie, a ja odpowiadam spojrzeniem takim samym, jak kiedy miałam siedem lat, a on postawił mnie z kijem przeciwko chłopcu. *Z ogniem w oczach.*

Kciukiem włączam iPoda, pozwalając aby playlista Wesa ogrzewała mi duszę. Z rozmysłem wgrał tu różne piosenki, niektóre z ukrytym przekazem, jak na przykład tę o cichym chłopcu zakochanym w dziewczynie-petardzie. Wiem, że zrobił to dla mnie, że w ten sposób mówił mi o tym, co czuje, nim zebrał się na odwagę, aby wypowiedzieć to osobiście.

Przez całą drogę zachowuję spokój, to znaczy do czasu, aż Taryn postanawia, że musi ze mną porozmawiać. Autobus zjeżdża właśnie z autostrady, po czym przemieszcza się główną ulicą miasta. Przyjaciółka kopie mnie w stopę, a ja prostuję się i wyjmuję z uszu słuchawki. Po to, żeby mogła mnie zapytać, czy sądzę, że trener pozwoli jej wrócić do domu razem z TK i chłopakami.

– Nie – mówię i mrugam z niedowierzaniem. Nie dodaję, że nawet gdyby poprosiła mojego ojca o zgodę na powrót bez drużyny, najpewniej przez pierwszy kilometr kazałby jej pchać autobus. Wcale nie przesadzam. Krążą plotki, że parę lat temu jednego ze swoich graczy zmusił do czegoś podobnego. Ja pamiętam zawieszenie. I że zostało cofnięte dopiero, kiedy drużyna wygrała dwa kolejne mecze.

Taryn krzywi się, ale ostatecznie wzrusza ramionami i wraca na swoje miejsce. Kładę sobie torbę ze sprzętem na kolanach, splatam na niej dłonie i wyglądam przez okno.

Los Banos przypomina Bakersfield, tylko że jest mniejsze. Dzielnice biedne i dzielnice mniej biedne – to miasto, którego mieszkańcy wiedzą, czym jest ciężka praca. Zawsze marzyłam o wyrwaniu się z Bakersfield, ale teraz, kiedy patrzę na to miasteczko – na idącą poboczem matkę, trzymającą w jednej ręce synka, a w drugiej niosącą reklamówkę z zakupami – to w

sumie podoba mi się klimat takich miejsc.

Kiedy nasz autobus zatrzymuje się na drodze dojazdowej do boiska, drużyna przeciwna już się rozgrzewa. Na dworze jest chłodniej niż zazwyczaj. To przez wiatr. Zakładam bluzę, po czym przerzucam sobie torbę przez ramię, a ręce chowam do kieszeni.

– Pamiętaj, ta pogoda jest gorsza dla niej – mówi cicho mój ojciec, podchodząc do mnie. Ciągnie za sobą duży wózek z pojemnikami z piłkami, naszymi siatkami i lodówką. Zerkam na niego z uśmiechem, a on unosi brew. – No co? Nie wierzysz mi? Z zimnymi rękami nie będzie rzucać tak mocno. No i w dodatku zanoszą się na deszcz.

– Nie, nie... wierzę ci. Wiedziałaś, o co chodzi, ja jedynie... – Urywam i kręcę głową. – Nie wiem, zaskoczył mnie widok ciebie ciągnącego ten wózek.

Tato chichocze.

– Tęsknię za wózkiem z Małej Ligi. – Pociąga za zardzewiałą rączkę. – Nasz dawny wózek był o wiele fajniejszy niż ta kupa złomu. Zobaczą, może da przetransferować się tutaj trochę kasy z baseballu.

– Teraz to dobrze gadasz. – Uśmiecham się i stawiam torbę na jednym końcu ławki, gdy tymczasem on ciągnie wózek na drugi.

– Zimno mi. Mecz chłopaków odwołano. Nasz też nie powinien się odbyć – mówi Taryn i pociąga nosem. Rzuca torbę obok mojej. Chichoczę, bo choć wieje chłodny wiatr, to jestem pewna, że temperatura nie spadła poniżej dwudziestu stopni. Taryn to jeszcze większy mazgaj niż ja. – Chodź. Pobiegaj ze mną. Muszę się ruszać – rzuca i lekko pociąga mnie za rękaw.

– Dobrze, zaczekaj chwilę – odpowiadam i zmieniam buty. Taryn kręci szyją i patrzy, jak zakładam korki. Ona nigdy nie zmienia butów i dlatego jej korki mają niemal płaskie podeszwy. Kiedyś jej o tym napomknęłam, na co ona otworzyła szeroko oczy i oświadczyła, że wcale nie musi być szybka,

tkwiąc na prawym polu i nic nie robiąc przez cały dzień. To była celna uwaga.

Zaczynam powoli biec w stronę głównej drogi. Przez większość czasu wyczuwam obok siebie obecność Taryn, kiedy jednak zawracam, dociera do mnie, że za mną biegną też pozostałe dziewczyny. Nie przede mną. Nie. Biegną za mną. A raczej ja prowadzę.

Moją uwagę jako pierwsze zwracają czerwone marynarki osób wysiadających z samochodu, stojącego niedaleko naszego autobusu. Biegnę w stronę wiadra z piłkami, nie spuszczać wzroku z zespołu trenerów z Chico State. Nie wiem, czego szukają i przez większą część dnia żywiłam przekonanie, że tak naprawdę przyjechali, żeby sprawdzić, czy Caitlyn Moore potrafi mnie wyautować. Wiem, że to ona jest ich celem, ale jeśli tego nie zrobi...

Moje koleżanki z drużyny także przyglądają się czerwonym marynarkom.

– Ładnie cię dzisiaj wyszukujemy – mówi Bria, klepiąc mnie po plecach. Z wiadra wyjmuję piłkę i biegnie na drugi koniec boiska, żeby porzucić ze swoją partnerką.

Spoglądam na Taryn, a ona uśmiecha się półgębkiem, drugą stroną ust robi wielki balon.

– Kokardy i w ogóle, możesz na nie liczyć – stwierdza.

Kilka razy podrzucam piłkę w dłoń, a Taryn wycofuje się na swoje miejsce. Zerkam na rząd dziewczyn obok mnie. Są poważne i prawie w ogóle się nie odzywają. Denerwują się – denerwują się w moim imieniu.

– Hej, Bria! – wołam. Unoszę piłkę, aby Taryn mogła ją zobaczyć, po czym rzucam. Łapie ją i odrzuca do mnie.

– Co tam? – pyta Bria.

– Powinnyśmy urządzić imprezę. Taką... prawdziwą imprezę drużynową. Może na plaży. Ognisko. Same dziewczyny – proponuję. Nie patrzę na nią,

ale wiem, że się uśmiecha. Mija kilka sekund, nim odpowiada.

– Byłoby super.

– Same dziewczyny? – jęczy Taryn. Rzucam piłkę, tym razem nieco mocniej.

– Aha, jeden wieczór wytrzymasz.

Przez chwilę trzyma piłkę w rękawicy, a drugą ręką odsuwa sobie z twarzy luźne pasma włosów.

– Ja tak, ale czy ty wytrzymasz? – przekomarza się ze mną.

Mrużę oczy i przechylam głowę, po czym wypycham językiem policzek.

– Owszem, wytrzymam. Zwłaszcza z *tymi pięknymi paniami* – rzucam na tyle głośno, żeby pozostałe dziewczyny podłapały naszą rozmowę.

– Ekstra! Impreza w piątek! – woła Shannon, jedna ze spokojniejszych dziewczyn.

Śmieję się cicho do siebie i zerkam na nią. Uśmiecha się, rzucając piłkę, a jej uśmiech okazuje się zaraźliwy.

– No dobrze – mówię, łapiąc piłkę rzuconą przez Taryn. Pokazuję przyjaciółce, aby cofnęła się o kilka kroków. Pozostałe dziewczyny robią to samo. – Niech będzie piątek, ale późno, bo pracuję.

I nie mogę przegapić zeskrobywania gum z Wesleyem Stokesem. Nawet dla dziewczyn.

Nie mija wiele czasu, a odgłosom piłek lądujących w skórzanych rękawicach towarzyszą śmiechy i żarty. Tak właśnie brzmi przyjaźń. Nie słyszałam tego od czasu dzieciństwa. Może za słabo nasłuchiwałam.

Po rozgrzewce ustawiamy się przed ławką i dostrzegam coś, co umyka pozostałym. Trener Adams wręcza mojemu ojcu niebieską listę ze składem drużyny i przez krótką chwilę trzymają ją obaj. W końcu bierze ją mój ojciec. Zaniesienie tej listy sędziemu jest czymś, co robi główny trener. To było symboliczne przekazanie pałeczki.

Najpierw będziemy odbijać, bo to my jesteśmy gośćmi. Wyjmuję więc z torby kij i obchodzę ławkę, żeby wykonać kilka próbnych zamachów. Chwilę później dołącza do mnie tato i pokazuje, żebyśmy poszli za murek. Rozwiesił na ogrodzeniu siatkę i zabrał ze sobą kilka piłek.

– Zrób parę prawdziwych zamachów, lewą ręką – mówi i kuca, żeby rzucać mi piłki.

Oglądam się, słysząc, jak piłka rzucona przez Caitlyn trafia do rękawicy łapaczki. Ma niezłą siłę.

– Jesteś pewny, że powinnam odbijać lewą ręką? Ona mocno rzuca. Nie mam pewności, czy jestem gotowa – mówię, unosząc kij nad ramieniem.

– Jesteś. Byłaś gotowa już przed treningiem. Musiałaś sobie jedynie przypomnieć, do czego jesteś zdolna – oświadcza tato.

Uśmiecham się i robię szybki, ale głęboki wdech przez nos. Skupiam swoją uwagę na piłce w jego dłoni, kiedy ją obraca, odnajdując palcami szwy.

– Gotowa? – pyta.

Kiwam głową.

Rzuca, a ja robię zamach i odbijam ją mocno, prosto w siatkę. Przyciskam brodę do ramienia, ale zerkam w stronę Caitlyn. Przygląda się.

– Widziała to? – pyta mój ojciec, a na jego twarzy pojawia się pewny siebie uśmiech.

Kilka kropel deszczu spada mi na powieki.

– Aha, widziała – odpowiadam i opieram kij o ramię. – Jeszcze raz.

Odbijam kilka piłek, gdy tymczasem Caitlyn także się rozgrzewa. Ona rzuca mocniej – ja uderzam mocniej. W końcu, po mniej więcej dziesięciu odbiciach, pomagam tacie pozbierać piłki i wracamy do ławki, żeby schować się pod daszkiem. Coraz mocniej pada.

– Będą musieli odwołać mecz – wzdycham.

Oboje patrzymy przed siebie, w dali widać zbliżającą się ku nam burzę. Chmury są ołowianoszare, ciężkie od deszczu. Z jednej z tych chmur lunie i zaleje boisko.

– Może najpierw bierz kij w rękę – mówi mój tato. Zapina bluzę, a przerzedzające się włosy zakrywa czapką.

– Zanosi się na niezłą pompę, trenerze – odzywa się za nami znajomy głos.

Ojciec i ja odwracamy się jednocześnie i widzimy chłopców – TK, Leviego, Kyle’a i Wesa.

– Panowie – mówi tato, a głos ma poważny. Nigdy tak naprawdę nie przestanie być ich trenerem. – Widzę, że udało się wam dotrzeć w rekordowym czasie. Wolę nie wiedzieć, jak tego dokonaliście.

– Kyle prowadził – mówi Wes, wkopując mojego przyjaciela. Kyle posyła mu groźne spojrzenie, ale Wes wzrusza tylko ramionami. – Stary, twój styl jazdy śmiertelnie mnie przeraża. Nie będę udawał, że jest inaczej.

– No tak, słynna ciężka noga Marleya. – Spojrzenie taty wraca do Kyle’a. – Mam nadzieję, że furgonetka twojego ojca jest w jednym kawałku.

– Teraz to moja furgonetka, proszę pana. Spłacam ją. I owszem, jest w jednym kawałku – odpowiada Kyle i przewraca oczami, po czym patrzy na mnie. Posyłam mu błądy uśmiech.

– Rzeczywiście szybko jeździsz – stwierdzam.

– Taa, ale nikt nie narzekał, kiedy chciał się tu dostać na czas – rzuca.

Wes przygryza wnętrze policzka, następnie szturcha Kyle’a łokciem.

– Masz rację, stary. Dzięki za podwózkę.

Kyle przygląda mu się przez kilka sekund, w końcu kiwa głową.

– Nie ma za co – mówi. Unosi rękę w moją stronę i przybijamy żółwika,

po czym udaje się na trybuny, gdzie siada obok Leviego i TK.

– Dzięki, że przyjechałeś – mówię do Wesa i przechodzę na koniec ławki, gdy tymczasem nasza pierwsza pałkarka staje na *home plate*. Odbijam jako czwarta, więc mam jeszcze chwilę na przygotowanie się.

– Za nic bym tego nie przegapił. – Opiera głowę o siatkę i nasze palce splatają się ze sobą.

– Jak było na fotografii? – pytam.

– Dobrze. Dostałem czwórkę. Powiedział, że miałem sfotografować przedmiot. – Wzrusza ramionami.

– Nogi twoich braci to nie przedmioty? – pytam, unosząc brew.

– Też mu zadałem to pytanie – śmieje się. – Westchnął i wpisał do dziennika czwórkę, więc chyba jednak nie do końca, ale co tam, czwórka też jest okej. – Przez kilka sekund patrzymy sobie w oczy, a wszystko inne w tym czasie się nie liczy. W końcu Wes spuszcza wzrok na nasze stopy i prawym butem kopie w siatkę.

– Przyjechali ludzie z Chico – mówię i zerkam na *home plate*, gdzie stoi Bria.

– Aha, widziałem.

– Trzeci *strike!* – woła sędzia. Bria podbiega z przygnębieniem do ławki rezerwowych. Klepię ją w kask.

– Następnym razem ją dorwiesz – zapewniam.

– Jest taka szybka – jęczy i chowa kask do swojej torby. Wyjmuje rękawice i szykuje się, by wrócić na boisko.

Ponownie skupiam swoją uwagę na Wesie. Oddycham powoli, a nasze spojrzenia się krzyżują. Nie uśmiechamy się. Jestem kłębkiem nerwów. Opuszczam wzrok na rękawice i zapinam mocniej rzepy.

– Ty jesteś szybsza – mówi, ja nerwowo chichoczę. – Mówię poważnie.

Nie wciskam ci kitu. Jesteś szybsza i dobrze o tym wiesz.

Wzdycham, po czym odwracam się i biorę do ręki kij.

– Przyjechali tu oglądać ją. Oszukuję samą siebie, uważając, że ktoś może przejmować się mną – oświadczam.

– Przestań – przerywa mi Wes. Nieruchomieję z jedną nogą na ławce i opieram się o ogrodzenie. Jego dłoń odnajduje moją, a oczy rzucają mi wyzwanie. – Zrób tak, żeby cię zauważyli. Ona mocno rzuca. Ty mocno odbijasz. Będą chcieli was. A ty wtedy pieprz ich i graj dla Stanford.

Śmieję się cicho. Kolej na Shannon, więc zaczynam iść w stronę boiska. Wes idzie razem ze mną, tylko że po drugiej stronie siatki.

– Pieprzyć ich, tak? – mówię cicho i robię zamach kijem.

W policzkach Wesa pokazują się dołeczki. Zdejmuje czapkę i przygładza włosy. Zakłada ją ponownie obiema rękami i patrzy na mnie.

– Taa, pieprzyć.

Przygryzam wargę i wychodzę na wilgotną trawę, porastającą teren wzdłuż boiska, gdzie robię kilka rozgrzewających wymachów. Jakby obwieszczając moje przybycie, przez niebo przetacza się długi i donośny grzmot.

Deszcz przybiera na sile, krople są coraz większe i cięższe. Nie mija kilka sekund, a o ziemię i okoliczne dachy niczym werbel uderzają strumienie wody. Do tego zrywa się silny wiatr, sprawiający, że krople deszczu wręcz kłują w twarz.

– Do autobusu, panie! – woła trener Adams i wymachuje rękami. Biegnę do ławki po swoje rzeczy. Tato bierze je ode mnie i każe pędzić do autobusu, sam zaś pakuje je do wózka, razem ze wszystkim innym, co znajduje na ławce. Pomagają mu chłopcy, a drużyna z Los Banos biegnie w stronę budynku z cegieł za ogrodzeniem koło zapola.

Wszystkie siedzimy już w autobusie. Przez tylną szybę widzę, że Wes i

pozostali chłopcy tłoczą się na trzech siedzeniach furgonetki Kyle'a. Deszcz tak mocno smaga przednią szybę, że ledwo widać ich twarze.

Mój ojciec wkłada sprzęt przez tylne drzwi, a Taryn i ja ruszamy mu na pomoc. Zabieram torbę na swoje miejsce i z dolnej kieszeni wyjmuję telefon. Próbuję wysłać wiadomość do Wesa, ale jest brak sygnału.

– Lunęło w mgnieniu oka – mówi mój ojciec. Stoi w drzwiach i otrzepuje bluzę. Zaczyna zamykać drzwi, ale do autobusu podbiega trener przeciwnej drużyny. Wchodzi po schodkach i wszystkie obserwujemy, jak rozmawia z moim tatą.

Po chwili wymieniają uścisk dłoni i tato zamyka drzwi, natomiast drugi trener biegnie pochylony przez boisko.

– Odwołany? – pytam, krzywiąc się.

– Tak, to naprawdę solidna ulewa. Woda będzie stała na boisku pewnie przez kilka kolejnych dni. Uzgodnimy nowy termin – mówi i siada przede mną. Fajnie, że tu siedzi, pośrodku autobusu. Jestem rozczarowana i potrzebuję jego bliskości.

Opieram się o szybę i wyciągam nogi. Mój ojciec robi to samo i odwraca głowę w moją stronę.

– Jeszcze stawimy jej czoła. Dostaniesz swoją szansę – zapewnia.

– W sumie dzięki temu mam więcej czasu na trening. – Uśmiecham się półgębkiem, a ręka mojego taty klepie moją, która leży na oparciu jego siedzenia.

– No i tak trzymać – stwierdza. Klepie mnie jeszcze dwa razy, a nim jego ręka zdąży zniknąć, chwytam ją i mocno ściskam. On robi to samo, a kiedy zabiera dłoń, czuję się bardziej gotowa niż do tej pory. Gotowa na pojedynek z Caitlyn Moore, gotowa na pierwszy krok z moim ojcem.

Rozlega się pomruk silnika autobusu i widzę przez szybę, jak Kyle robi furgonetką nawrót. Ledwo go widać, ale wydaje mi się, że ręką sygnalizuje,

że będą jechać razem z nami.

Wyjeżdżamy za furgonetką na główną drogę, deszcz jeszcze bardziej przybiera na sile. Kiedy jedziemy powoli przez centrum miasta, ulica przypomina strumień. Nigdzie nie ma ani żywej duszy. Ulice są ciemne i puste, a niebo nieustannie pokrywają błyskawice.

Zerkam na Taryn. Obie siedzimy z telefonami na kolanach. Przyjaciółka bierze swój do ręki i wzrusza ramionami.

– Ja też nie mam sygnału – mówię.

Kiedy w końcu dojeżdżamy do zjazdu na autostradę, autobus cały wibruje na jałowym biegu, czekając przez kilka minut w kolejce samochodów, które próbują się włączyć do ruchu.

W końcu wjeżdżamy na autostradę i opieram głowę o szybę. Zamykam oczy i skupiam się na wycieraczkach, które nieprzerwanie zbierają wodę z przedniej szyby i dudnieniu deszczu o metalowy dach. Świetnie by mi dzisiaj poszło.

Pozwalam sobie na tę myśl. Wcześniej odsuwałam ją od siebie, nie chcąc być zbyt pewna siebie. Dzisiaj nie wystarczyłby na boisku mój zwyczajowy luz. Potrzebowałam tej odrobiny niepewności. Chciałam zaskoczyć samą siebie, zrobić więcej niż myślałam, że potrafię. Wiedziałam, że jestem w stanie odbić piłkę Caitlyn Moore, ale nie chciałam wybić jej do bazy. Chciałam wybić ją poza ogrodzenie. Zamierzałam sprawić, aby wszyscy mnie zauważyli. *Mnie*. Pragnęłam tego. Nadal pragnę. Zaczekam. Mój czas w końcu nadejdzie.

Otwieram oczy, kiedy nawet moje marzenia zaczynają tracić równowagę. W autobusie jest ciemno, koła wpadły w poślizg i nikt nie wydaje żadnego dźwięku. W tym momencie wszystko zaczyna dziać się w zwolnionym tempie. Rzeka pod naszą jezdnią mocno wezbrała – woda płynie naprawdę szybko. Jezdnia znika. Znika. Zapada się pod naszym ciężarem, a kierowca

przechyla się mocno na jedną stronę, próbując nie dopuścić do upadku. Na próżno. Nieważne, jak bardzo jest silny. Nawet gdyby za kierownicą znajdował się Wes, to by nic nie dało.

To jest żywioł – gwałtowny i agresywny. Idzie tam, gdzie ma ochotę, zabierając ze sobą wszystko, co tylko chce. Zabiera ze sobą nas.

Autobus trzeszczy, kiedy koła dają za wygraną i przegrywamy w walce o utrzymanie równowagi. Wielki pojazd powoli przewraca się na bok. Widzę mojego ojca. On widzi mnie. Nasze spojrzenia krzyżują się, a ciała napierają na ścianę. Poruszamy szybko rękami, jakbyśmy próbowali uchronić się przed siłą uderzenia.

Popękane fragmenty jezdni rozbijają szyby autobusu i zgniatają karoserię. W podłodze nagle pojawia się ziejąca dziura, przez którą widać koła. Autobus się obraca. Most się zarywa. Rwąca rzeka jest coraz bliżej nas. Zaczynają się krzyki.

– Trzymajcie się! – wrzeszczy mój ojciec, dociskając ręce do dachu. Robię to zbyt wolno i kiedy autobus obraca się do góry nogami, spadam między siedzenia i uderzam głową w ławkę. Moje ciało zderza się z ciałem Taryn.

Mrugam i nagle znajduję się po przeciwnej stronie. Nogę mam uwięzioną między ramą szyby a jakąś częścią z podwozia. Koła się obracają, a ryk deszczu i wody uniemożliwia usłyszenie czegokolwiek oprócz przeraźliwych pisków moich koleżanek z drużyny.

Na krótką chwilę – dosłownie dwie sekundy – wszystko nieruchomieje. Autobus już się nie ześlizguje, most jakoś się trzyma, wokół nas pędzi woda, a reszta jezdni pozostaje wysoko nad nami, ale nie ruszamy się. Świat nas podtrzymuje.

Kiedy patrzę do góry, dostrzegam czekającego na mnie Wesa. Znajduje się za daleko, żebym mogła go dosięgnąć, ale nasze spojrzenia się krzyżują.

Otwieram usta, aby uwolnić wołanie o pomoc. Świat znowu zaczyna się poruszać. Rozlega się bardzo specyficzny dźwięk, jaki wydaje zginający się metal – stal i aluminium jęczą głośno, poddając się, a ten dźwięk rozlega się echem niczym syrena.

Grawitacja. Woda. Ciężar.

Wszystko dzieje się w jednym momencie. Na ułamek sekundy napotykam spojrzenie ojca i nie ma w jego oczach wcześniejszej pewności. Jest strach. Przerażenie. Takie, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam.

– Tatusiu! – wołam.

Autobus ześlizguje się, początkowo powoli, ale chwilę później wszystko dzieje się naraz. Autobus wpada do rzeki i zalewa nas woda. Błyskawicznie. Eksploduje na niebie i wypełnia sobą głodną ziemię, zbyt suchą, żeby mogła wszystko przyjąć. Zmywa wszystko na swojej drodze, także i nas.

Mój ojciec trzyma się metalowej belki, a ja próbuję uwolnić nogę. Panika walczy we mnie o palmę pierwszeństwa z bólem i strachem o świat, który mogę utracić. I nagle bez żadnego wysiłku z mojej strony nogę mam wolną, a moje ciało jest wyciągane z autobusu przez to, co pozostało z okna. Serce wali mi jak szalone, ale zatrzymuje się w chwili, kiedy obejmują mnie ramiona Wesa.

Jestem w domu. Jestem bezpieczna. Jest mi zimno.

Widzę wszystko w krótkich ujęciach, jakby to były poszczególne obrazki z komiksu: Wes niosący mnie przez płytką, ale wzburzoną wodę, po nierównych kamieniach, do góry, w stronę jezdnii, most za nim pęknięty na pół, luźno zwisające metalowe pylony – system wsparcia, który zawiódł, kiedy był nam najbardziej potrzebny. Wszystko jest połamane.

Taryn gramoli się na górę obok nas. Moje koleżanki wydostają się z wraku. Część z nich dotarła już w bezpieczniejsze miejsce.

Deszcz ostro zacina. Jest tak, jakby ktoś nieustannie wylewał na nas

wiadra wody. Autobus zaczyna chwiać się na kamieniach, na których wylądował. Wes kładzie mnie na asfalcie, kilka metrów nad tymi, którzy są jeszcze uwięzieni we wraku. Metalowa bestia ześlizguje się z kamieni i woda popycha ją w stronę niewielkiej belki, której trzyma się mój ojciec i Bria. Mrugam, a oni znikają.

– Tato! Tato! – wołam tak głośno, że głos mi się łamie i staje się ochrypły. Pęka mi serce.

– Idę po niego – mówi Wes i zbiega w dół jaru. Spod stóp uciekają mu kamienie, aż w końcu dobiega do błotnistej brzegu rzeki. Woda jest mulista, ale widzę, jak jego ręce ją młóca. Widzę, jak jego ciało walczy. Za nim także zaczynam krzyczeć. Próbuję wstać, ale przeszywa mnie ostry ból i cała we łzach upadam na ziemię.

– Jesteś ranna, Joss. Krwawisz. O mój Boże, tak mocno! – Obok mnie kuca Taryn, trzyma moją nogę i zasłania usta. Nie patrzę w dół. Wystarczy mi świadomość, że ten widok wywołuje u niej mdłości.

– On go wyciągnie. Będzie dobrze, Joss – mówi Kyle, klękając z drugiej strony. Ściąga z siebie mokrą bluzę i ciasno owija nią moją nogę.

Cała się trzęsę. Nie widzę nogi. Nie widzę rzeki. Nie widzę mojego ojca ani Wesa. Widzę jedynie Kyle'a. Jego spojrzenie wwierca się w moje oczy.

– Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze – mówi i co jakiś czas lustruje mnie wzrokiem, aż w końcu czuję na sobie obce ręce i widzę niebieskie uniformy ratowników medycznych, a kontrolę nad wszystkim, co mnie otacza, przejmuje strażacy.

Kyle zostaje jednak przy mnie. Wykręcami szyję, żeby zobaczyć – cokolwiek, ale on mi nie pozwala.

– Wes go wyciągnie. Nie martw się. Teraz pozwól pomóc sobie, Joss – mówi i zaciska usta w cieką linię. Drga mu mięsień w zuchwie. Nie chce mnie okłamywać, a boi się, że właśnie to zrobił.

Ból jest przytłaczający. Wszystko jest takie zimne. Moje ciało nic nie czuje. Świat staje się żółty. Jaskrawy. I tak bardzo cichy.

ROZDZIAŁ SIĘDEMNASTY

– WKURZY SIĘ, JAK ZOBACZY TEN CAŁY POPRZYCZEPIANY DO NIEJ SZAJS – szepcze Kyle.

Nie rozumiem, czemu wszyscy mówią szeptem. Słyszę ich. Myślą, że jest inaczej. Myślą, że otumaniają mnie leki, ale jestem przytomna... i świadoma. Boleśnie świadoma.

Ciało mam odrętwiałe. Ból okazał się zbyt dojmujący. Zemdlałam. A kiedy lekarze próbowali mnie naprawiać, walczyłam z nimi. Jestem fighterką. Więc mnie poskromili.

Myślę, że wszyscy liczyli na to, że razem z bólem znikną moje wspomnienia. Że zmyła je woda, która mnie okaleczyła, ale ja pamiętam.

Dlatego leżę z zamkniętymi oczami. Dlatego nie daję po sobie poznać, jak bardzo jestem przytomna. Będę odpoczywać. Będę się ukrywać. Tak długo, aż go znajdą.

Wiem, że mój ojciec przeżył. Słyszałam jego głos. Jakimś cudem udało mu się utrzymać na wodzie do czasu, aż pojawił się ratownik. Nie miał pojęcia, że Wes po niego poszedł.

Nie słyszę głosu Wesa, ale on żyje. Wiem, że żyje. Czuję to. Jest zbyt silny. Woda to żadne zagrożenie dla Wesleya Christophera Stokesa.

– Panie Winters? Naprawdę powinna tu przebywać wyłącznie rodzina – odzywa się pielęgniarka, on za każdym razem udziela takiej samej odpowiedzi.

– Jestem tylko ja. A Kyle jest jak brat – mówi. Po raz piąty, a po raz drugi do tej samej pielęgniarki. Rozpoznaję jej głos.

– W porządku, ale będzie musiał wyjść, kiedy godziny odwiedzin dobiegną końca. – Ona także zawsze powtarza to samo.

– Dobrze – mówi ponuro tata. – Dobrze.

Nie mam pewności, ile minęło czasu. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam głosy, sądziłam, że minęło tylko kilka godzin, ale w końcu do mnie dotarło, że to nie godziny, a dni. Dwa... chyba? Może trzy.

Nie czuję swojego ciała. Środki przeciwbólowe wprawiają mnie w odrętwienie. Nie otumaniają mi jednak umysłu. W mojej głowie odbywa się gonitwa myśli i odtwarza się w niej wszystko, co się wydarzyło. Zawalił się most. Głupi stan i jego cholerne problemy z budżetem kazały przymknąć oko na kilka inspekcji tu i tam. Władze zakładają, że w pewnych rejonach nigdy nie pada. A tu nagle spadł deszcz.

Mój ojciec oglądał u mnie wiadomości. Słyszałam je – zawalony most na drodze jeden osiem pięć. Mówiono o naszym autobusie. Pokazywano wrak. Próbowano o mnie rozmawiać z tatą. Zaczajano się na moje koleżanki. Tylko ja odniosłam obrażenia – to znaczy nie licząc wstrząśnienia mózgu kierowcy i złamanej ręki mojego ojca.

Nikt nie mówi o Wesie. Nawet tato zniża głos do szeptu, kiedy Kyle go pyta, czy może czegoś się dowiedział. Raz usłyszałam krótką wzmiankę w wiadomościach o poszukiwaniu jednego ucznia, którego porwała wzburzona woda, ale potem nic.

– Już późno, Kyle – mówi mój ojciec. Słyszę przesuwające się po podłodze krzesło.

– Nie szkodzi. Nie muszę dzisiaj iść do pracy. Pozwolono mi wziąć wolne – odpowiada Kyle. Głos ma zaspany, traci go. Zawsze tak działa się, kiedy przesiadywał całą noc w moim domu. *Jedź do domu, Kyle. Jesteś zmęczony.*

– Nic się nie zmieni, Ky – mówi tato. Drgają mi gałki oczne pod

nieruchomymi powiekami, kiedy słyszę, jak zwraca się do niego zdrobieniem z dawnych czasów. Mają siebie nawzajem. – Jedź do domu. Jutro możesz wrócić. Mam gdzieś to, co pielęgniarki mówią o odwiedzinach.

I dobrze. Ja też mam to gdzieś.

Przez kilka minut panuje cisza, ale w końcu krzesło ponownie przesuwa się po podłodze. Wyczuwam, że Kyle podchodzi do łóżka. Powinnam otworzyć oczy, ale nie chcę, nie teraz. Pragnę jeszcze trochę pozostać w tym śnie, unikając koszmaru.

– Hej, JJ – mówi. Ujmuje moją dłoń i walczę z odruchem uściśnięcia jego ręki. – Do zobaczenia jutro.

Kilka sekund później słyszę odgłos zamykających się drzwi. Mój ojciec wzdycha głośno, ale nie wychodzi. Także przestawia krzesło i czuję, jak materac lekko ugina się, kiedy kładzie nogę na jego końcu. Szykuje się do spania. Nie wyjdzie. Słyszałam, jak pielęgniarka mówiła, że siedzi przy mnie, odkąd nastawiono mu rękę.

– Nadal go szukają? – pytam. Usta mam potwornie spierzchnięte. Mój głos to zaledwie szept.

Tato nie zdejmuje nogi z łóżka. Milczy, ale słyszę, jak powoli oddycha. W sumie to mam pewność, że mimo iż wiedział, że jestem przytomna, to czuje ulgę. Nie patrzę na niego, ale kiedy odzywa się, słyszę w jego głosie drżenie.

– Nadal szukają.

Nie mówię nic więcej. On nie zadaje żadnych pytań. Pod jedną powieką czuję pierwszą łzę i pozwalam jej spłynąć na chłodne prześcieradło pod moją głową. Po kilku minutach czuję, jak ręka ojca zamyka się wokół mojej dłoni, a jego głowa opada na moje ramię. Lekko się trzęsie. On płacze. Ściskam jego dłoń i drżenie ustaje. Pozostawia głowę na moim ramieniu i słyszę, jak pociąga nosem i stara się być silny.

Nie jest gotowy na to, aby powiedzieć mi resztę. Ja nie jestem gotowa, aby to usłyszeć, ale wiem, że amputowano mi nogę.

To udawanie nie mogło trwać bez końca. Następnego ranka nadeszła pora na rozpoczęcie długiej wspinaczki przez rzeczywistość.

Zakażenie. Uszkodzenie nerwów. Strzaskana kość. Wszyscy, którzy ze mną rozmawiali, mówili to samo: trzeba było szybko podejmować decyzje. Zaraz po wypadku próbowano naprawić, co tylko możliwe, ale błyskawicznie rozprzestrzeniło się zakażenie. Naraziło na niebezpieczeństwo nie tylko moją nogę, ale także życie. Jestem w szpitalu od czterech dni, prawie pięciu. Na początku drugiego podjęto decyzję o amputacji prawej nogi pod kolanem. W połowie łydki, tak mi powiedziano. Nie chcę na nią patrzeć.

Choć w sumie niczego nie czuję... to jakimś cudem zdaję sobie sprawę z brakującej części nogi. Ból pojawił się jako pierwszy po wybudzeniu. Uczucie, którego tak naprawdę nie było, bo nogi także nie było. Następnie ten ból przeniósł się do serca.

– Joss, zmienię teraz opatrunek. Później, jeszcze dzisiaj, zamierzamy ukryć wszystko pod warstwą gipsu, co znaczy, że zostaniesz wypisana do domu – oświadcza lekarz. Widać, że jest pod wrażeniem swojej pracy. Nie znoszę tego, że ją podziwia.

– Okej – mówię. Nauczyłam się także, że muszę reagować. Jeśli tego nie robię, dorośli zaczynają szeptać. Zaczynają mówić do mnie tym cichym głosem, którego używa się w stosunku do niemowląt i ludzi, którzy są na granicy utraty rozsądku.

Ja straciłam wszystko, więc jakie ma to znaczenie?

– Okej – odpowiadam na kolejne pytanie. Nie uśmiecham się. Nie nawiązuję kontaktu wzrokowego. Od dwudziestu godzin jedyne, co robię, to

wpatruję się w okno szpitala uniwersyteckiego, wypatrując czegoś. Wypatrując jego.

Mija kilka minut. Robię, co mi każe pielęgniarka i jej asystentka, żeby w końcu sobie poszły, żebym ja mogła wyjść do domu – choć wiem, że tam będzie mi jeszcze gorzej. Jednak z drugiej strony – w domu będę mogła ukrywać się na znajomym terenie.

– Dzwoniłem do Jungle Gym. Kyle mówił, że także rozmawiał z twoim szefem. Praca będzie na ciebie czekała, tak długo jak będzie trzeba – mówi mój ojciec.

Że niby co? Jakbym była chora na cholerną grypę?

– Zadzwoń jeszcze raz i powiedz, że rezygnuję – mówię, nie odrywając wzroku od okna. Samochody na dole poruszają się zgodnie ze stałym rytmem. Regulują go światła. Sześć aut skręca, dwadzieścia jedzie na wprost, a potem wszystko zaczyna się od początku.

– Joss, nie stawiaj na tym kreski. Możliwe, że będziesz chciała wrócić, bardzo lubiłaś tę pracę. Psycholog mówił, że znajome otoczenie jest dobre...

– Wypowiedane przez tatę słowa brzmią jak z broszury.

– Znalaziono go? – pytam, ignorując jego błaganie o nierzucanie głównianej roboty, dlatego że dobrze może wpływać mi na psychikę. Jedyne, co w niej lubiłam, to chłopaka, który nocą odwoził mnie do domu. Znajdźcie go, a od razu tam wrócę.

A jeśli nigdy go nie znajdą?

– Nadal go szukają – odpowiada mój ojciec. O kilka sekund za późno. Nie wierzy w powodzenie poszukiwań. Nie zna Wesa. – Wygląda na to, że wieczorem wrócisz do domu... jeśli wystarczająco wcześnie zapakują cię w gips. W domu jest Kyle. I Conner. Pomogli mi poprzestawiać trochę rzeczy, żebyś ty...

Nie kończy. Przystawili meble, żebym mogła dostać się do swojego

pokoju na wózku. Kiedy lekarz rozmawiał o tym ze mną, oświadczyłam, że wystarczą mi kule, ale tato słyszał, że to może utrudnić mi naukę utrzymania środka ciężkości, kiedy dostanę protezę.

– Nie zamierzam więcej grać, wiesz? – mówię, nadal plecami do niego. Myślę, że dla niego też tak jest lepiej. Nie odpowiada. Może musi wierzyć, że dzięki niemu mi się polepszy, że będzie częścią mojego cudu. Pozwalam mu na to.

Tato włącza telewizor. Szum jakiegoś uniwersyteckiego meczu koszykówki zastępuje nam rozmowę. Mijają godziny, a my milczymy. Idzie za mną, kiedy wiozą mnie do innej sali, żeby założyć gips. Ma on chronić moją skórę i pozwolić, aby wszystko zagoiło się bez narażania rany na uszkodzenie.

Nie mam ochoty nigdzie się ruszać. I nie wiem, jak mogłabym uszkodzić sobie coś poza duszą, której już nie mam. Albo która przynajmniej jest... zaginiona.

Kiedy wracamy do mnie, moje rzeczy są już spakowane. Znajdują się w torbie na łóżku. Na niej leży mój telefon. Tylko raz do niego zajrzałam, żeby sprawdzić, czy któreś z setek SMS-ów są od Wesa. Nie były.

– Teraz wychodzę? – pytam i skupiam się na tym, jak bardzo mała jest torba. Moje rzeczy mieszczą się w tak niewielkiej przestrzeni, a ja wybieram się do kolejnej, gdzie będę wiodła małe życie.

– Hejjjj... – rozlega się za mną głos Taryn.

Zamykam oczy. To jej niezręczne „hej” – użyła go, kiedy umarła mi mama. I kiedy po raz pierwszy potrzebowałam szycia, a ona wpatrywała się w rozcięcie na mojej brodzie. I kiedy wycięłam sobie z tyłu pasmo włosów, bo tato nie chciał mi pozwolić na ogolenie głowy. I robi to teraz.

– Hej – odpowiadam. Niemal mnie to bawi. Niemal.

– Spakowałam ci rzeczy. Powiedziałam twojemu tacie, że pomogę –

mówi i przysiada na skraju łóżka.

Zaciskam usta w cienką linię, nie mam nic do powiedzenia. Niezręczna cisza trwa do czasu, aż Taryn wstaje. Ktoś zawozi mnie do lekarza – tego, który tak zachwyca się swoim cięciem i szyciem.

– Jeśli wszystko ładnie się zagoi, za jakieś dwa, może trzy miesiące pomyślimy o protezie. To ważne, aby zachowała swoją siłę i chcemy, abyś w miarę możliwości nie używała kul – mówi lekarz. Nie patrzy na mnie. Swoje słowa kieruje do mojego ojca.

– Dlaczego? – wtrącam się.

Obaj odwracają się w moją stronę, po czym patrzą na siebie. Po kilku sekundach wymiany spojrzeń – podczas której mam wrażenie, że uzyskuję dostęp tylko do części informacji – lekarz przysiada na oparciu fotela i zaczyna wykład o chodzeniu i możliwości szybszego powrotu do normalnego funkcjonowania, jeśli środkiem ciężkości nie stanie się moja zdrowa kończyna.

– Czym jest... normalne funkcjonowanie? – pytam. Lekarz zerka na mojego ojca, który z kolei przygryza wargę i przestępuje z nogi na nogę.

– Cóż – zaczyna, marszcząc brwi. – To zależy od celów, jakie sobie postawisz, Josselyn. Nie ma powodu, dla którego już nie miałabyś uprawiać sportu. Może za rok czy dwa...

Wiedziałam, że chodzi właśnie o to. Za rok. Rok! Mam zapisać się do jakiejś drużyny rekreacyjnej w Bakersfield i piątkowe oraz czwartkowe wieczory po zajęciach w college’u spędzać na grze z amatorami? Nigdy więcej nie będę grała. Już nigdy nie będę dziewczyną z ogniem. Nigdy nie odbiję piłki Caitlyn Moore i nie pokażę sobie i skautom z uczelni, na co mnie stać. A moje oceny to dramat. Moja ścieżka skończyła się na brzegu klifu, z którego skoczyłam. Teraz jedyne, co mnie czeka, to upadek. I nawet nie ma Wesa, żeby mnie złapał.

– Chodźmy – mówię, skupiając się na rozciągającym się przed nami długim korytarzu.

Po kilku sekundach lekarz wstaje z oparcia i podchodzi do mojego ojca, żeby udzielić mu kilku dodatkowych wskazówek. Jakby ten miał je zapamiętać. Pielęgniarka pcha mój wózek i Taryn idzie obok niego, a kiedy wyjeżdżamy przed szpital, Taryn czeka ze mną, gdy tymczasem tata idzie po samochód. Nie zadaje żadnych pytań. Moja przyjaciółka wie, że lepiej tego nie robić.

Podczas jazdy do domu wyłączam się, natomiast Taryn i mój ojciec czynią różne ustalenia. Dom wygląda absurdalnie – wszystkie meble odsunięte pod ścianę, żebym miała miejsce. Gorsze jest jednak to, że czuję, iż powinnam potrafić wstać, kiedy tylko tego chcę. Wielokrotnie przyłapuję się na tym, że próbuję podnosić się na rękach i zaraz opadam na siedzenie. Znajduję się w pułapce, ciało jest moim więzieniem.

Po godzinie tato jedzie do apteki wykupić recepty, a my zostajemy same. Siedzę przy oknie w swoim pokoju i żałuję, że nie jest większe – wyższe. Chcę jechać nad rzekę. Chcę go znaleźć. Podobno trwają poszukiwania, ale kto go szuka, skoro wszyscy są tutaj? I widziałam wiadomości. Kamera pokazywała ochotników i facetów w piankowych kombinezonach, którzy obchodzą teren wokół miejsca, gdzie autobus wpadł do wody. Nikt nie szuka Wesa. Tak go nie znajdują.

– Czemu wszyscy mnie okłamują? – pytam Taryn. Ona milczy. Wzrok mam wbity w małe plamki na szybie – zaschnięte krople deszczu. – Powiedz mi, T.

Słyszę, jak podchodzi do mojego łóżka, i w końcu odwracam się w jej stronę. Kiedy nasze spojrzenia spotykają się, ona ucieka swoim w bok. Może to wyrzuty sumienia. Może empatia. Bez względu na to, co to takiego, nie pozwala jej mówić.

– Powiedz mi – powtarzam, nie odrywając od niej wzroku, czekając, aż ponownie na mnie spojrzy. W końcu to robi i szklistość jej oczu to pierwsza oznaka czegoś prawdziwego i szczerego, jaką widzę od tygodnia.

– Policja zakończyła poszukiwania dwa dni temu – mówi i przechyla głowę.

Serce mi się rozdziera, powoli i boleśnie, ale to nie jest dla mnie szok. Myślę, że rozdzierałam je każdego dnia, żeby przyzwycząić się do bólu.

– On tam jest – szepczę.

Taryn zamyka oczy i spuszcza głowę.

– TK i Levi... oni nadal szukają – mówi. Unosi rękę i ociera nią oczy i nos.

– Chcę tam jechać.

Jej ciałem wstrząsa krótki śmiech.

– Zabierz mnie tam – proszę.

Ona kręci przecząco głową.

– Dlaczego? – pytam.

Patrzy mi w oczy i przez chwilę zaciska usta. W końcu odpowiada:

– Nie przyniesie to niczego dobrego, Joss. I jak mam cię tam zabrać? Jak zamierzasz pomóc w poszukiwaniach?

Mrużę oczy, a ona wstaje i odwraca się do mnie plecami. Opuszczam wzrok na kolana, na zdrową nogę i wiem, że Taryn ma rację, ale on gdzieś tam jest. Nie może być inaczej.

– Po prostu... – Przełykam ślinę. – Po prostu zawieź mnie w tamtą okolicę. Tylko raz. Muszę to zobaczyć. Proszę.

Panuje cisza – słychać jedynie, jak przenosi moje rzeczy, zajmuje się koszulami, których wieszaniem nie zawracałam sobie głowy przed wypadkiem. Mój sprzęt nadal znajduje się w torbie, która leży w kącie

pokoju. Odwracam się i widzę, że Taryn ją podnosi, ale zaraz odstawia z powrotem.

– Zabierz ją stąd. Postaw w garażu – mówię.

Nie patrzy na mnie, stoi w bezruchu. Kilka razy prostuje palce, po czym kiwa głową i schyla się po torbę. Wychodzi z pokoju. Po chwili słyszę, jak otwierają się drzwi do garażu. Znika w nim moje dawne życie.

Kiedy moja przyjaciółka wraca, jest jej jeszcze trudniej na mnie patrzeć. Początkowo niemal rzucam jej wyzwanie, śledząc ruchy, próbując znaleźć się na linii jej wzroku, jednak po kilku minutach daję sobie spokój i wracam do wyglądania przez okno.

– Muszę jechać – odzywa się cicho. Kiwam głową. – Jutro wrócę i przywiozę ci twoje szkolne rzeczy. Wyrażono zgodę, abyś do powrotu do szkoły uczyła się w domu.

Do powrotu. Ja już nigdy nie wrócę.

Ponownie kiwam głową, a po kilku długich, cichych sekundach słyszę, jak drzwi mojego pokoju się zamykają.

Jestem sama.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Trzy i pół miesiąca później

– JOSS. JUŻ CZAS – mówi tata.

Tak jest co rano. Mój ojciec puka lekko do drzwi, po czym je uchyla i wsuwa głowę. Mówi mi, że już czas. Ja go ignoruję. I tak toczy się batalia o to, które z nas jest bardziej uparte, aż w końcu poddaję się i jadę na rehabilitację. Wracam z niej do domu na lekcje, których nie rozumiem i do korepetytora, któremu mam ochotę przyłożyć.

Ma na imię Todd. Jest pomocą nauczycielską. To jeden z tych mężczyzn po trzydziestce, który uznał świat korporacji za zbyt zepsuty i postanowił dać coś od siebie, coś znaczącego, czyli wiedzę. W klasie zostałyby zjedzony żywcem. Ledwo daje sobie radę ze mną, a przecież jestem tylko jedna, no i nie mogę uciec.

Jedyną pociechę stanowi dla mnie fakt, że to ostatni tydzień szkoły. Latem czeka mnie jedynie zaliczenie z fizyki – poprawienie słabej oceny – ale do tego nie będzie mi potrzebna pomoc Todda. Ocenę miałam słabą, bo w połowie semestru przestałam się starać. Jeden źle napisany test i okazało się, że średnia spadła mi poniżej pięćdziesięciu procent. I czymś sensowniejszym jest odpuszczenie teraz, a poprawienie oceny latem. Tato się zgodził. A może po prostu musiał zdecydować, o co warto kruszyć kopie. Tak czy inaczej, tę rundę wygrałam ja.

Dzisiejszej jednak nie wygram. Jestem zbyt zmęczona, żeby się kłócić. Biorę się za zakładanie protezy. Z czasem pewnie będzie mi to szło szybciej,

ale na razie to wszystko jest dla mnie świeże. Nową nogę mam dopiero od kilku tygodni. Potrzebuję sporo czasu, żeby utrzymać równowagę. Nie chodzę zbyt dobrze. Tato twierdzi, że to dlatego, iż się nie staram. O to także przestałam się z nim spierać.

Idę powoli przez korytarz, a on czeka już przy otwartych drzwiach. W ręce ma kanapkę z masłem orzechowym, a drugą zawinął w papierowy ręcznik, żebym mogła zjeść w samochodzie.

Jest piąta rano. Do ośrodka rehabilitacyjnego jeździmy wcześniej, żeby mój ojciec zdążył na czas do pracy. Ta nieludzka pora i moja zależność od niego mają w sumie jeden pozytywny – jak na razie się nie potknął. A przynajmniej nic mi w tej kwestii nie wiadomo. Tydzień temu poznałam Meredith. Przyjechała do nas na kolację i została do późna – rozmawiali w salonie niemal do północy. Początkowo wsłuchiwałam się w ich konwersację, spodziewając się, że tata przyzna się do pragnień czy potknięć, ale nie pojawiły się żadne wyznania. Rozmawiali o rodzinie, o moim dzieciństwie i moich postępach. Pewnie potrzebował po prostu kogoś, komu mógł się wygadać.

Do samochodu udaje mi się wsiąść dopiero po kilku próbach. Tata odwraca wzrok, kiedy nieporadnie manewruję swoim ciałem. Niełatwo jest na mnie patrzeć.

Ośrodek mieści się w centrum, więc przez połowę drogi skubiemy powoli kanapki, unikając rozmowy. Następnie mój ojciec przystępuje do omawiania tego, co robiliśmy wczoraj rano, i moich nowych celów. Pozwalam mu mówić, ale nigdy nie reaguję. Jedynie słucham, omiatając spojrzeniem puste ulice.

Moje oczy nadal szukają Wesa, choć zaczynam wierzyć, że nigdy go nie odnajdę. Jego rodzina także zaczyna w to wierzyć.

W zeszłym tygodniu nakłoniłam Taryn, żeby zabrała mnie do nich w

odwiedziny. Widywałam się z nimi osobno, kiedy Levi przychodził do mnie razem z Kyle'em albo kiedy TK towarzyszył Taryn, ale spotkanie w ich domu było czymś zupełnie innym. Tak niesamowicie było widać, że kogoś brakuje. Dom nie był już taki sam.

Bruce jak zawsze okazał się serdeczny, wyściskał mnie i błagał, żebym została na kolacji, ale ja nie mogłam. Wystarczyło jedno spojrzenie w oczy jego żony. Była równie załamana, jak ja. Nie ma miejsca przy stole dla dwóch takich osób.

Przed wyjściem Bruce wspomniał, że w tym tygodniu pewnie przejrzą część rzeczy Wesa. Nie dlatego, żeby się ich pozbyć, chcieli je schować, żeby Maggie nie musiała na nie patrzeć i żywić fałszywej nadziei, że pewnego dnia Wes zjawi się po nie. Zaprosił mnie, żebym przyjechała i wzięła, co tylko będę chciała. Nie potrafiłam mu odmówić, ale nie wyraziłam także zgody.

Część mnie także nie chce tej fałszywej nadziei, ale do głosu zawsze dochodzi ta, która pragnie utrzymać tę nadzieję przy życiu.

– Joss? Gotowa? – Z myśli wyrywa mnie głos ojca.

Kiwam głową.

Przytrzymuje mi drzwi, a ja łapię równowagę i wysiadam. Przed nami idzie starszy pan z żoną. Od tygodnia widuję go tutaj o tej porze i dostrzegam, że robi postępy. No ale on pewnie się stara.

Widzę, że tato mu się przygląda, a kiedy przenosi spojrzenie na mnie, otwierając mi drzwi do ośrodka, w jego spojrzeniu widzę osąd. Szybko go maskuje, ale zdążam go dostrzec. Ja za mało się staram, ale w sumie: po co mam się spieszyć?

Nie musimy wypełniać dokumentów i formalnie się meldować. Wszyscy terapeuci mnie znają. Tato zadbał także i o to. Wolałabym, żeby im nie opowiadał, iż jestem sportowcem. Nie jestem. Już nie. I teraz spotykam się z

oczekiwaniami, którym nigdy nie będę w stanie sprostać.

– Jesteśmy gotowi na pracę z wałkiem, Joss? – pyta Stephanie, moja główna terapeutka. Tata poprosił o nią, uważając, że lepiej będę pracowała z kobietą. Stephanie jest pełna wigoru, a usta ma zawsze różowe od błyszczycy. Mój ojciec w ogóle nie ma pojęcia, kim jestem.

– Jasne – mówię i podchodzę do stołu. Podciągam się na dłoniach, a w tym czasie Stephanie wsuwa wałek, żebym mogła wykonać serię ćwiczeń na biodra i unoszenia nóg. Celem jest wzmocnienie mięśni w innych miejscach, a tym samym wydłużenie czasu chodzenia z protezą. Obecnie nogi mnie pieką po dwóch godzinach, zwłaszcza kikut.

Tato najczęściej mi towarzyszy, jednak dzisiaj zajmuje miejsce na drugim końcu sali rehabilitacyjnej. I dobrze, bez jego baczego spojrzenia z łatwością wykonuję swoje serie. Wkładam w to może z trzydzieści procent normalnego wysiłku, ale Stephanie i tak klaszcze w dłonie i chwali każde wykonane ćwiczenie. Ta kobieta to chodzące confetti.

Kończę pracę z wałkiem i podciągam się, żeby usiąść. Moje spojrzenie biegnie ku tacie. Ręce ma skrzyżowane na piersiach i rozmawia z jakąś kobietą w czarnym dresie. Ciemne, długie włosy spięła w kucyk. Ma surową twarz i nie uśmiecha się. Przez długą chwilę wpatruje się we mnie, a ja nie spuszczam z niej wzroku. Niespieszona unosi rękę, zakrywa usta i szepcze coś do taty. Rozmawiają o mnie.

Stephanie pomaga mi wstać i odpowiadam na kilka pytań, dotyczących kondycji mojej nowej nogi, tego czy sprawia mi jakieś kłopoty, czy potrzebuję poprawek.

– Nie wydaje mi się, aby dało się ją jakoś ulepszyć. Jest, jak jest – mówię i patrzę na czubek głowy Stephanie, która kuca przede mną i poprawia zapięcie, obmacując przy okazji kikut.

– Da się zrobić całe mnóstwo rzeczy – odzywa się damski głos. Jego ton

nie jest sympatyczny i szybko unoszę głowę, po czym patrzę w oczy kobiecie w dresie. – Zawodzisz samą siebie, wiesz?

Jestem lekko zdziwiona, podobnie jak Stephanie, która szybko prostuje się i stawia swoje drobne, pełne energii ciało między mną a nieznajomą.

– Przepraszam, ale nasze sesje są prywatne, chyba że pacjentka wyraża zgodę na pani obecność – oświadcza Stephanie. Lekko się uśmiecham. Zaimponowała mi swoją hardością. Kobieta w dresie ogląda się, patrząc na mojego tatę, a on podchodzi do nas, pocierając twarz ręką.

– Wszystko w porządku. To Becca Fontain. Będzie pracować z Joss. Nie... nie zamiast ciebie, Stephanie. Ona jedynie trochę... uzupełni rehabilitację – wyjaśnia mój tato, starając się nie zranić uczuć mojej terapeutki.

– Słucham? – pytam, wychylając się zza Stephanie. Kobieta mruga, powstrzymując łzy. Mojemu ojcu jednak się nie udało.

– Zaraz wracam – rzuca i ściska mi ramię, po czym wychodzi szybko na zaplecze, gdzie wiem, że zamierza wytrzeć dowody swoich emocji.

– Super, zdenerwowałaś mojego krasnala – mówię i przewracam oczami. Nogi mam zmęczone po ćwiczeniach, więc opieram jedną rękę o stół za sobą.

– Męczy cię stanie. Jak według ciebie wrócisz na boisko, żeby rywalizować, skoro nie potrafisz stać i prowadzić rozmowy? – pyta Becca, a ja szybko zabieram rękę ze stołu.

– Przepraszam, ale ja... co zrobię? – Oszołomiona, patrzę na tatę, żeby mi to wszystko wyjaśnił.

– Becco, daj mi chwilkę – mówi. Ona kiwa głową i wycofuje się na koniec sali, po czym wyjmując z kieszeni telefon i przegląda aplikacje poświęcone temu, jak być wredną dla krasnali i osób po amputacji.

Tato odkasłuje i zerka na stół, na którym chwilę temu znajdowała się moja ręka. Gestem pokazuje, abym na nim usiadła, ja jednak odmawiam.

Sam więc opiera się o niego i krzyżuje ręce na piersi. Przez kilka sekund patrzy na podłogę, ale w końcu zaczyna mówić:

– Pomyślałem, że mogłabyś wynieść więcej z sesji, gdybyś pracowała z osobą taką jak Becca. Jest parasportowcem. Była jedną z pierwszych kobiet, biorących udział w zawodach Iron Man...

– Co jej dolega? – pytam, zastanawiając się, co skrywa jej dres.

– Straciła prawą nogę, pod kolanem. Tak jak ty – wyjaśnia. Patrzą mu w oczy i zaciskam usta. Ona niczego nie straciła tak, jak ja. Nikt niczego nie stracił tak, jak ja. Ja straciłam wszystko.

– I zjawiała się tu dlatego, że ty uważasz... – Nie kończę, bo nie jestem w stanie.

– Dlatego, że jesteś sportowcem, Joss. Dlatego, że może ci pomóc wrócić na boisko, a jeśli będziesz ciężko pracować, to dasz radę grać w ostatniej klasie.

Śmieję się głucho i wbijam wzrok w jego twarz.

Jego klatka piersiowa powoli unosi się, kiedy bierze głęboki oddech. W jego oczach dostrzegam wymagania. Koniec rozpieszczania. Wrócił do trybu trenerskiego, ale co, jeśli ja potrzebuję po prostu ojca? Co, jeśli potrzebuję kogoś, kto mnie przytuli i powie, że nic się nie dzieje i że mogę być taka, jaka teraz jestem? Co, jeśli potrzebuję taty, który mi powie, że pewnego dnia pokocha mnie inny chłopak, tak mocno jak ten, który zniknął?

Jak ten, który umarł.

Ta myśl pojawia się w mojej głowie niepożądana i od razu czuję pieczenie pod powiekami. Ocieram twarz ramieniem i odwracam się.

– Skończyłam ze sportem. Musisz z tym się pogodzić. Na dzisiaj także skończyłam – mówię i na tyle szybko, na ile jestem w stanie, ruszam w stronę drzwi. Stephanie podbiega, żeby pomóc, ale ja unoszę rękę i mówię, że zobaczymy się jutro. Wygląda na urażoną, a ja źle się z tym czuję. Wiem,

że próbuje mi tylko pomóc. O to właśnie chodzi w tej jej całej pozytywnej postawie – abym cieszyła się swoimi małymi postępami, ale takie one właśnie są. Małe. I mnie wyczerpują, wydają się tak niemożliwe do osiągnięcia, że w końcu sobie wmawiam, że nie dam rady. Tak jest łatwiej niż ostatecznie się rozczarować.

Podchodzę do samochodu i stoję przy nim z rękami na dachu. Stukam niecierpliwie palcami, czekając na tatę. Zjawia się dopiero po dziesięciu minutach i widzę, jak bierze od Becki wizytówkę i wpisuje sobie coś do telefonu. Następnie ściskają sobie dłonie, po czym rusza w moją stronę. Ona zakłada okulary przeciwsłoneczne i stoi zwrócona twarzą do mnie. Tym razem łamię się i opuszczam wzrok.

– To było niegrzeczne – odzywa się tato. Wsiada do samochodu.

Śmieję się i otwieram drzwi, po czym także wsiadam.

Kręcę głową i zapinam pasy, a każdy mój ruch jest pełen gniewu. Krzyżuję ręce na piersi i z zaciśniętymi zębami pozwalam, aby moja zdrowa noga wybijała w podłogę nerwowy rytm. Milczę, ale w myślach wypowiadam wszystko, co chciałabym powiedzieć, żeby to z siebie w końcu wyrzucić. Przynosi to skutek odwrotny od zamierzonego i kiedy zajeżdżamy pod nasz dom, jestem taka wściekła, że mam ochotę kopnąć w drzwi i puścić się biegiem, w ogóle nie patrząc za siebie, ale nie mogę. Ledwie jestem w stanie chodzić.

Mój ojciec wysiada z samochodu i nie patrzy w moją stronę. Jeszcze bardziej mnie to rozjusza. Wysiadam i mocno trzaskam drzwiami.

– Kurwa! – wołam.

Zamiera, odwraca się na pięcie i pokonuje kilka dzielących nas metrów. Wymierza we mnie palcem.

– Nie waż się tak do mnie mówić! – krzyczy.

– Jak? Jak załamana, niepełnosprawna, rozczarowująca cię córka?

Kurwa! Kurwa, kurwa, ku...

Mój ojciec unosi rękę, a ja wzdrygam się i niemal przewracam do tyłu. Nie uderza mnie. Nie wiem, czemu sądziłam, że to zrobi. Nigdy w życiu nie podniósł na mnie ręki. Zamiast tego chwyta mnie za ramiona i zmusza, żebym na niego spojrzała.

– Nie mogę – mówię. Oczy mam szeroko otwarte i próbuję skupić się na czymkolwiek, byle nie na nim. Zaczynam mrugać i pojawiają się łzy. – Nie mogę.

– A właśnie, że możesz! – woła i lekko mną potrząsa. Głowa mi opada i z mojej piersi wydobywa się szloch.

– Nigdy nie będę już taka, jak kiedyś... nie mogę. Po prostu... – Płacz przejmuje nade mną kontrolę i tato przytula mnie do siebie. Gładzi moje plecy, próbując mnie uspokoić.

Płaczę. Na naszym podjeździe, kiedy słońce dopiero co zdążyło wzejść, a już zapowiada letni upał. Płaczę, a tata mnie przytula. Przytula i nic nie mówi. Nie wyraża swojej opinii, nie informuje o tym, co według niego mogę zrobić ani jaki plan ma razem z Beccą o oczach jak lasery i ciętym języku. Po prostu mnie przytula. Kiedy jest mi potrzebny, choć raz... mogę na niego liczyć.

Płaczę tak przez wiele minut, aż dociera do nas obojga, że niedługo zjawi się Todd, mój korepetytor. Wchodzimy do domu, a tata trzyma mi rękę na plecach, dopóki nie ruszam korytarzem w stronę swojego pokoju. Wyjmuje podręczniki i kładzie je na stole, a ja, odświeżywszy się w łazience, zaczynam cicho się uczyć, przygotowując do ostatniego testu w tym roku szkolnym. Tata odjeżdża do pracy.

Zjawia się Todd i pozwalam mu przeprowadzić test bez moich zwyczajowych ciętych uwag. Czeka na nie i przyłapuję go kilka razy na tym, że otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale za każdym razem gryzie się w język.

Kiedy żegnamy się i Todd odchodzi razem z moim testem w skórzanej aktówce, cicho śmieję się do siebie. Myślę, że on się o mnie martwił, ale nie chciał psuć tego przyjemnego dnia – ostatniego dnia nauki ze mną. Ma mnie teraz z głowy, tak jak wszyscy inni.

Idę do swojego pokoju i kładę się na łóżku. Zdejmuję protezę i przyciągam nogę do klatki piersiowej. Ciekawe, czy kiedykolwiek stanie się to rutynową czynnością. Ciekawe, czy przestanę czekać na to, że się obudzę.

Wyjmuję telefon i odczytuję kilka SMS-ów od Kyle'a i Taryn. Skarżą się na siebie nawzajem. Kłócą się o to, kto mi przyniesie pracę domową ze szkoły, i ich przedszkolne przekomarzanki przez kilka minut mnie bawią. Odpisuję, nazywając ich małymi dziećmi, a potem otwieram stare wiadomości od Wesa. Nie ma ich wiele. Najczęściej kilka słów, że już jest przed moją pracą albo że zaczeka na mnie po treningu. Najważniejsza jest ta ostatnia – napisał ją na parkingu, kiedy deszcz walił o dach autobusu i furgonetki. Przez brak sygnału dotarła do mnie dopiero tuż przed tym, jak Wes wskoczył do wody, żeby ratować mojego tatę.

Byłabyś dzisiaj świetna. Natura nie była po prostu gotowa na to, abyś pokazała tej dziewczynie, gdzie raki zimują.

Cicho śmieję się i pozwalam, aby po moim policzku spłynęła łza. Czuję go za każdym razem, kiedy czytam te słowa. Wes wierzył we mnie bardziej niż ktokolwiek inny. Wierzył we mnie inaczej niż mój tata, inaczej niż Kyle czy Taryn. On znał moje słabe strony i kochał je, tak samo jak moje wątpliwości. Powiedział mi, że to dzięki nim jestem silna, ale ostatnio są zbyt ciężkie do zniesienia. Pożerają mnie i nie jestem pewna, czy coś jeszcze zostało z tamtej dziewczyny.

W końcu zasypiam, a telefon wypada mi z rąk. Śni mi się Wes. W moim śnie jest on w swoim rodzinnym domu. Przyjeżdżam samochodem mojego ojca, sama, bez żadnej pomocy, po czym wysiadam z niego i biegnę ku

Wesowi. Nadal nie mam nogi, ale jestem w stanie biec. On na mój widok rozkłada szeroko ramiona, a mnie zalewa fala ciepła. To wszystko jest takie rzeczywiste, że kiedy godzinę później budzi mnie odgłos otwierających się drzwi, ból, który czuję, okazuje się jeszcze intensywniejszy niż zazwyczaj.

– Joss, to ja. – Na korytarzu rozlega się głos taty.

– Jestem u siebie. Zdrzemnęłam się – mówię zaspanym głosem. Oczywiście mam spuchnięte. Jestem pewna, że płakałam przez sen.

Tata lekko puka, ale kiedy drzwi się otwierają, zaciska szybko dłoń w pięść.

– Sorki, wiem, że nie lubisz tego pukania.

Uśmiecham się krzywo i siadam na łóżku. Przeciągam się, po czym wzruszam ramionami.

– W porządku. Pewnie miałabym problem ze wszystkim, co byś robił, żeby mnie obudzić – przyznaję.

Chichocze.

– Przyniosłem pocztę. Kilka gazet i te katalogi, które kiedyś lubiłaś – mówi i kładzie na łóżku spory stosik. Na wierzchu leży katalog sklepu internetowego, w którym dziewczyna może zamówić niemal wszystko i kazać wyryć, wyszyć albo napisać na tym swoje imię.

– Zawsze marzyłam o spersonalizowanym zestawie sztucców – rzucam i pokazuję palcem zdjęcie na okładce.

– Będziesz musiała pogadać ze Świętym Mikołajem – odpowiada tata i puszcza do mnie oko. Tak zawsze brzmiała jego odpowiedź, bez względu na to, o co prosiłam. Mikołaj rzadko jednak spełniał moje życzenia. – Przywiozłem ci ostatnią pracę domową. Taryn mówiła, że od razu po szkole jedzie do domu Stokesów, a Kyle miał spotkanie. Obiecałem, że ci to dostarczę.

Kładzie na biurku luźne kartki. Nie ma ich dużo i oddycham z ulgą.

– Jakiego rodzaju spotkanie miał Kyle? – pytam, przejeżdżając kciukiem po leżącym na kolanach katalogu z pierdołami.

Tato nie odpowiada, więc podnoszę na niego wzrok. I ściska mnie w żołądku. Wiem, jeszcze zanim to powie.

– Przyglądają mu się ludzie z uczelni Cal State. Mieli spotkać się w szkole, razem z jego tatą, no bo jest jeszcze uczniem przedostatniej klasy – mówi, po czym zaciska usta i ucieka wzrokiem w bok.

– Super. – Przełykam ślinę. Naprawdę tak uważam, mimo że brzmi to żałościwie i mało entuzjastycznie. Chcę, żeby Kyle został dostrzeżony. Nie byłam tylko gotowa na rozczarowanie, jakie poczuję podczas opłakiwania własnych marzeń.

– No dobra... jadę do sklepu po coś na grilla. Jakieś specjalne życzenia? – pyta tata, zmieniając temat.

– Zjem cokolwiek – odpowiadam. Mina mu rzednie, więc uśmiecham się i kiwam głową. – Naprawdę. Lubię wszystko, co jest z grilla. Może burgery, jeśli też masz ochotę.

– W takim razie burgery – uśmiecha się tata. Wkłada rękę do kieszeni. – Niedługo wracam.

Patrzę, jak wychodzi, i czekam na odgłos zamykanych drzwi. Dopiero wtedy wypuszczam wstrzymywane powietrze. Biorę do ręki katalog i odczytuję imię na próbce: *Florenza*. Chichoczę. Nikt nie ma tak na imię. A jeśli nawet, to taka osoba nie kupi sobie spersonalizowanego otwieracza do butelek.

Przewracam oczami i rzucam katalog z powrotem na łóżko. Ześlizguje się ze stosika poczty, wtedy dostrzegam, że wystaje z niego mała, kremowa koperta. Ostrożnie ją wyjmuję. Jest zaadresowana do mnie i brak na niej adresu nadawcy. To tego rodzaju koperta, w której wysyła się kartki okolicznościowe, ale urodziny mam dopiero za dwa miesiące. Już od paru lat

mama taty nie przysłała mi pieniędzy bez okazji, a nie sądzę, abym nagle miała coś dostać od mamy mojej mamy, Grace.

Rozrywam palcem kopertę. W środku kryje się złożona na trzy części kartka z zeszytu, ale od razu dostrzegam, że jest pusta. Wyjmuję ją z koperty i rozkładam na kolanach. Wypada z niej mały bilet. Ląduje na moim nagim udzie. A mi zapiera dech w piersi.

– O mój Boże – szepczę.

Serce zaczyna mi głośno walić, a ten dźwięk rozlega się echem w moich uszach. Ujmuję między palce małego biletu i czytam znajdujący się na nim napis.

BILET WSTĘPU NA WYŚCIGI TARYN I JOSS.

Słowa są wyblakłe i widać jakąś plamę. Krawędzie są postrzępione, najpewniej od trzymania w kieszeni albo w jakimś pudełku – tam, gdzie Wes chowa swoje sekrety. Tylko ze mną dzieli się nimi. I przysłał mi to, powierzając mojej opiece.

Co oznacza, że on... żyje.

Do nikogo nie dzwonię. Nie proszę o pomoc. Po prostu zabieram się za przypinanie nogi. Ręce mi się trzęsą, kiedy próbuję to zrobić jak najszybciej.

W końcu staję na obu nogach, łapię równowagę i chowam do tylnej kieszeni spodni klucze i telefon. Na blacie w kuchni zostawiam tacie kartkę, informującą, że poszłam na krótki spacer. Ucieszy się. Może mniej, jeśli dowie się, jak daleko rzeczywiście się wybieram. A może to akurat ucieszyłoby go jeszcze bardziej.

Wychodzę przez garaż, unikając kilku stopni na betonowym ganku. Nie jestem jeszcze dobra w pokonywaniu przeszkód, ale podjazd jest pusty, tak samo jak garaż. Tata o to dba.

Dzięki małemu spadkowi terenu nabieram prędkości i bardzo staram się

utrzymać tempo, kiedy docieram do końca naszej przecznicy. Zatrzymuję się na rogu, przysiadam na niewysokim murku i pocieram rękami uda, pobudzając krążenie. Ból zaczyna zakradać się do mojego ciała, ale nie mogę się zatrzymać.

Po kilku minutach wstaję i znowu zaczynam iść. Choć tym razem wolniej, zmuszam się do stawiania jednej nogi przed drugą. Mijam ulicę Kyle'a, aż w końcu docieram do znajomego rozwidlenia, skąd już blisko do domu Stokesów. Robię sobie jeszcze jeden postój, przytrzymując się znaku drogowego.

Przed domem stoi stary van z podnośnikiem dla wózka, a garaż jest otwarty. Niedaleko wejścia ustawiono kilka kartonów.

– To też mam zanieść? – pyta TK. Wychodzi z domu tyłem do mnie.

– Tak, dzięki. – Ze środka dochodzi głos jego taty.

TK odwraca się i podskakuje. Na mój widok klnie pod nosem, ale szybko przywołuje się do porządku i mnie przytula.

– Cholera, przepraszam. Ty... przestraszyłaś mnie – mówi.

Zaciskam palce na jego ramionach, szukając w nich podobieństw do Wesa. Nie znajduję ich, jednak i tak miło jest być przytulaną.

– Strasznie cię przepraszam. Ja... wyszłam po prostu na krótki spacer i dotarłam aż tutaj – kłamię. Omiotam spojrzeniem wszystko dokoła, licząc na jakiś znak. Czemu Wes miałby tu się ukrywać?

– To super – oświadcza TK i spuszcza wzrok, ale zaraz go podnosi. Stara się mnie nie urazić, patrząc na moją nogę.

– Spoko. Możesz sobie patrzeć – mówię. – Właściwie... to mogłabym chwilę odpocząć?

– Och... jasne. Później zajmę się tymi kartonami. Wejdźmy do domu. Tata bardzo ucieszy się na twój widok. Mama też jest – mówi.

Stawia kartony obok podjazdu, gdzie znajduje się już kilka innych.

Zauważam na nich naklejki z napisami „bluzy” czy „karty baseballowe”. To chyba rzeczy Wesa.

Nie pytam o to TK, zamiast tego wchodzę za nim do domu. Najszybciej, jak tylko mogę, podchodzę do stołu i opadam na krzesło.

– Dzięki – mówię. Wyciągam przed siebie nogę i ponownie pocieram udo.

– To boli? – pyta TK. Za nim staje Levi i uderza go w tył głowy. – Hej... ałaaaa! Po prostu byłem ciekawy.

Levi patrzy na brata i mruży oczy.

– W porządku – śmieję się cicho. – Naprawdę. Wolę, jak ludzie zadają mi pytania, niż próbują unikać tematu. W tej chwili? Boli jak diabli.

Podwijam nogawkę spodni dresowych, pokazując, gdzie proteza łączy się z nogą. Skóra jest czerwona i podrażniona i wiem, że jutro przyjdzie mi za to zapłacić. Ba, płacę już teraz.

– I tak twardzielka z ciebie – stwierdza TK, nie odrywając wzroku od metalowego pręta, który łączy się z bardzo prosto wyglądającą stopą i butem.

Śmieję się.

– Zawsze będę większą twardzielką od was.

Levi śmieje się przesadnie głośno i wymierza palec w brata, po czym wycofuje się do kuchni, mijając po drodze tatę. Nie miałam pojęcia, że tak bardzo brakowało mi tego uczucia – takiej interakcji.

– Joss. – Bruce wypowiada moje imię z szacunkiem należnym dawno niewidzianemu krewnemu. Szybko do mnie podchodzi i mocno przytula. – Tak się cieszę, że zajrzałaś.

– Dzięki – mówię i patrzę mu w twarz.

Widnieje na niej smutek. Bruce odkasłuje i odsuwa go od siebie, żebyśmy mogli porozmawiać. Oboje to jednak czujemy – wyrwę po Wesie. Tylko

że... bilet. Mam ochotę mu go pokazać, ale coś mi mówi, że nie mogę albo że nie powinnam.

– Przepraszam, że cię nie odwiedziliśmy. W szkole rozmawialiśmy z twoim tatą i zamierzaliśmy do was wpaść. Tylko że jesteśmy tacy zabiegani – mówi i przeczesuje palcami przerzedzające się włosy.

– W porządku, rozumiem.

Dzięki Taryn jestem ze wszystkim na bieżąco. Wiem, że chłopcy szukali Wesa jeszcze długo po zakończeniu oficjalnej akcji poszukiwawczej. Po tygodniu wozy transmisyjne odjechały spod ich domu, kierując się ku kolejnej katastrofie czy tragedii. Tymczasem Bruce, Maggie i ich chłopcy ze wszystkich sił próbowali posklejać kawałki swojego życia.

– Josselyn – wita mnie Maggie, wchodząc do pokoju za mężem. Jej uśmiech ląduje na mnie niczym leciutkie piórko.

– Hej – mówię i również się uśmiecham. Choć miałam wielką ochotę powiedzieć Bruce’owi o bilecie, jeszcze bardziej chciałabym poinformować o nim Maggie. Jej potrzebne jest pocieszenie, ale nie wiem, co on oznacza. I nie chcę dawać fałszywej nadziei.

– Co u twojego taty? – pyta, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z mojej twarzy. Jest jednak inaczej niż wtedy, kiedy inni starają się nie patrzeć na protezę. Ona nie unika mojej nogi dlatego, że ją to krępuje, Maggie robi to dlatego, że proteza przypomina jej o synu.

– Wszystko dobrze. Właśnie pojechał po coś na obiad. Powinnam już wracać. Wyszłam jedynie na dłuższy spacer – powtarzam swoją wymówkę.

Maggie reaguje dopiero po kilku sekundach.

– Och, cóż... Odwiedzisz nas niedługo? Może... kolacja albo coś w tym rodzaju?

Ściska ramię męża i wychodzi z pokoju. Bruce śledzi ją wzrokiem, dopóki nie znika.

– Nie jest jej łatwo – mówi i bierze głęboki oddech. – Nam wszystkim.

– Mnie też nie. – Te słowa wyślizgują się z moich ust. Zaciskam je i spuszczam wzrok na dłonie. W tym domu czymś niewłaściwym wydaje się być przyznanie do cierpienia większego niż to, które teraz jest udziałem tej rodziny. Oni przywdziewają rozpacz niczym ciężki płaszcz, ich ciała próbują sobie przypomnieć, jak to jest normalnie funkcjonować, ale nastroje są mroczne i przepełnione smutkiem.

Tym razem trudniej jest mi wstać. Daje o sobie znać zmęczenie, a sytuacji nie poprawia świadomość, że czeka mnie kolejny długi spacer, tym razem pod górkę. Wychodzę przez garaż za TK i Levim. Kilka kroków za mną podąża Bruce i nadzieja, która mnie tu przyniosła, teraz wydaje się znacznie mniejsza. Znam ten bilet – wiem, że należał do Wesa, i wiem, że to on mi go wysłał. Nie jest to coś, z czego by się zwierzył komukolwiek innemu. Może jednak zawiesił się gdzieś w systemie pocztowym, ukrył w naszej skrzynce albo najpierw został dostarczony pod niewłaściwy adres. Może zgranie w czasie było jedynie przypadkiem.

– To wszystko? – rozlega się dudniący głos. Wychodzę z garażu i widzę potężnego mężczyznę siedzącego na wózku inwalidzkim. Jest może z pięć czy dziesięć lat starszy od Bruce’a, ale niesamowicie do niego podobny. Schyla się, żeby podnieść jeden z kartonów. Kiedy się prostuje, dostrzega moją nogę i zamiera.

– Ach, cieszę się, że jeszcze tu jesteś. Shawn, chcę, żebyś kogoś poznał – mówi Bruce.

W mojej głowie pojawiają się strzępki wspomnień i tego, co powiedział mi Wes. Przekopuję się przez fakty, nie mając pewności, czy dobrze je zapamiętałam, ale intuicja mi mówi...

– Shawn, to jest Josselyn. Była przyjaciółką Wesa. Nadal jest. Jej tata trenował wszystkich chłopców – wyjaśnia Bruce. Pilnuje się, żeby

zaznaczyć, iż nadal jestem ważną częścią ich rodziny i życia. Jego słowa są słodkie, ale nie myślę o nich zbyt długo. Shawn. *Shawn*. – Joss, Shawn to mój brat. Był pierwszym opiekunem społecznym Wesa.

Tak. Wiedziałam. W chwili, kiedy usłyszałam znajomy tembr głosu wiedziałam, że jest spokrewniony z Bruce'em i serce mi powiedziało, kto to jest. Ten człowiek – ten człowiek to wybawca Wesa, ale przecież on nie żyje.

– Shawn, miło cię poznać – mówię. Podchodzę do niego powoli i wyciągam rękę. Ujmuje moją dłoń, nakrywa ją swoją i ostrożnie się uśmiecha.

– Ciebie także miło poznać, Joss – mówi, patrząc na mnie z większą bezpośredniością, niż ktokolwiek inny od miesiący.

Trzyma moją rękę przez kilka sekund i przygląda mi się uważnie. Na jego ustach błądzi lekki uśmiech. Przypomina to tango – oboje zerkamy na siebie nawzajem, próbując zdecydować, co wie to drugie i czy sobie zaufać.

– Shawn przyjechał po część rzeczy Wesa. Na przechowanie. Nie wymazujemy go ani nic w tym rodzaju. To tylko...

– Rozumiem. Czasem trudno jest na to wszystko patrzeć – mówię i puszczam rękę brata Bruce'a. – To musi być bardzo trudne dla Maggie.

Ojciec Wesa robi powolny wdech, zaciska usta i kiwa głową.

– To prawda – przyznaje.

Odwracam głowę i widzę, że Shawn właśnie jedzie przez podjazd, a obok niego idzie TK z pozostałymi kartonami. Udaję się za Bruce'em i przyglądam się, jak wkładają ostatnie kartony do vana, po czym pomagają Shawnowi ustawić jego wózek na rampie. Wciska jakiś guzik i rampa podnosi go na wysokość podłogi w samochodzie. Wtedy przesiada się z wózka na obrotowy fotel dla kierowcy.

TK robi krok w przód, żeby zamknąć przesuwne drzwi, ale Shawn unosi rękę, powstrzymując go, następnie wymierza palcem we mnie.

– Kiedy lekarz mi powiedział, że jestem skazany na wózek, miało to także oznaczać pożegnanie z jazdą samochodem – mówi. – Bzdura. Nie pozwól, aby okoliczności dyktowały, do czego jesteś zdolna. Każdy z nas jest na swój sposób wyjątkowy. Wes mnie tego nauczył.

Patrzę na niego bez słowa i kiwam z uśmiechem głową. Wszyscy jesteśmy wyjątkowi. Także Wes. Ty to wiesz. Ja to wiem. I on żyje.

– Będę o tym pamiętać – mówię. TK zamyka drzwi, ale nim Shawn odwraca się w stronę kierownicy, on i ja przyglądamy się sobie jeszcze przez chwilę.

– Odwieźć cię do domu, Joss? – pyta Bruce. Otwieram usta, żeby przytaknąć, ale po chwili je zamykam. Zaciskam zęby, bo wiem, że będzie mnie bolało w sensie fizycznym, ale nie szkodzi. Dlatego, że jestem w stanie wrócić pieszo. I ja także jestem wyjątkowa.

– Nie trzeba. Dobrze mi to robi – mówię, unosząc brew.

– W porządku. – Cichy śmiech na chwilę niemal pozbawia jego oczy smutku. – Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to dzwoń.

Kiwam głową, po czym odwracam się i rozpoczynam znacznie wolniejszą drogę do domu. Oglądam się raz czy dwa i widzę, że rodzina Stokesów stoi na końcu podjazdu, patrząc, czy dają sobie radę.

Kiedy skręcam za róg, wydaję telefon, przewijam wiadomości i otwieram tę ulubioną. Kilka razy zaczynam odpisywać, ale wszystko kasuję, uznając, że zachowuję się nedorzecznie. Ostatecznie dochodzę do wniosku, że nie mam nic do stracenia, więc wysyłam SMS-a do mojego bohatera.

Dziękuję Ci.

Przez długą chwilę wpatruję się w wyświetlacz, a przez kilka kolejnych minut cała spinam się, czekając na odpowiedź. Po jakimś czasie chowam telefon do kieszeni, ale co minutę czy dwie wydaję go i sprawdzam.

Kiedy docieram do domu, mój ojciec chodzi po podjeździe tam i z

powrotem. Zaczyna iść w moją stronę, kiedy jednak dostrzega na mojej twarzy wyraz determinacji, zatrzymuje się, ręce splata na karku, a jego klatka piersiowa unosi się i opada.

– Przepraszam. Powinnam była zadzwonić albo napisać – mówię, kiedy do niego podchodzę. Opuszcza wzrok na moją nogę. Widzę, że martwi się. – Boli, ale chciałam... chciałam poznać swoje ograniczenia.

Kiwa głową. Marszcząc czoło, dotyka brody. Najpierw jedną ręką, potem drugą. Próbuje ukryć emocje, ale ja je widzę. Po raz pierwszy od miesiący walczę, a tego właśnie dla mnie pragnie.

– Twoje ograniczenia – szepcze zduszonym głosem.

Przygryzam dolną wargę i kiwam głową. Kładę rękę na jego ramieniu, żeby stabilniej stać.

– Okazuje się, że ich nie mam.

Jego ciałem wstrząsa śmiech.

– No to świetnie. Co powiesz na to, żebyśmy zrobili nam coś do jedzenia? – pyta. Obejmuje moje plecy, a ja opieram się o niego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Mój ojciec bierze mnie na ręce i niesie do domu. Pozwalam mu na to.

– Joss, już czas.

Tata puka. Takie samo pukanie, taka sama cicha pobudka. Taka sama poranna rutyna. Dzisiaj jednak już nie śpię. Jestem gotowa.

– No to jedźmy – mówię i otwieram szerzej drzwi.

Mój ojciec pozwala mi wyminąć się w ciemnym korytarzu. Słońce dopiero wschodzi. Ja nie śpię już od kilku godzin. Nie z powodu bólu. Po prostu czekałam na ten dzień. Jestem na niego gotowa.

Biorę z blatu zapakowaną kanapkę i oglądam się, patrząc na tatę,

stojącego za mną z teczką pod pachą. Jego uśmiech jest subtelny. Ukrywa go. To część jego techniki, co nie znaczy, że rodzic powinien stosować jakąkolwiek technikę w kontaktach ze swoim dzieckiem, ale u niego, bardziej trenera niż rodzica, granice się zacierają. Kiedy mnie trenuje i robię coś dobrze, na jego twarzy pojawia się uśmiech, ale na bardzo krótko. Czasem nawet nie zdążę go zauważyć. Teraz zdążyłam.

Wychodzimy z domu i za nami zamykają się drzwi. Tato opuszcza bramę garażu, a ja czekam przy samochodzie. Wciska guzik na pilocie i wsiadam.

Podczas drogi oboje jemy kanapki. Cieszę się, że o nic mnie nie pyta. Nie uporządkowałam sobie jeszcze priorytetów, ale wiem, czego chcę. Wiem, do czego jestem zdolna. A to dużo. Mój ojciec też to wiedział. Dlatego właśnie naciska. Na swój sposób.

Moje oczy nadal spoglądają na mijane tereny. Robię to jeszcze częściej, odkąd wiem. Wes gdzieś tam jest. Nie mam pojęcia, dlaczego się ukrywa, ale wierzę, że istnieje ku temu powód. Co ważniejsze, moje serce wierzy, że znowu go zobaczę. A jego sekret utrzymam w tajemnicy – bez względu na to, co jest tym sekretem.

Podjeżdżamy pod ośrodek rehabilitacyjny i przed wyjściem z samochodu odpinam pasy i odwracam się w stronę taty. Bierze głęboki oddech i kładzie ręce na kolanach.

– Chcę tego wszystkiego – mówię.

Nie patrzy na mnie, ale na jego twarzy znowu pojawia się ten uśmiech, tym razem na nieco dłużej.

– Co Becca może dla mnie zrobić?

Wczoraj wieczorem poczytałam o niej w internecie. Jej osiągnięcia są naprawdę imponujące, ta kobieta jest godnym przeciwnikiem nawet w pełni sprawnych sportowców. Poza tym w niesamowicie otwarty sposób opowiada o swoich zmaganiach z depresją i o tym, jakie ważne jest posiadanie kanału

do ujścia emocji. Dla niej takim kanałem jest trenowanie innych w przerwach pomiędzy działaniami nakierowanymi na własne cele – do tej pory udało jej się zdobyć całkiem sporo złotych medali. Mieszka w Los Angeles i wiem także, że stawki za treningi ustalane są indywidualnie. Co znaczy, że jest droga.

– Dzięki niej możesz wrócić na boisko i to na takim poziomie, że zostaniesz zauważona – odpowiada tata i przechyla głowę.

– Koszty...

– Już tym się zająłem – przerywa mi. Wysiada z samochodu, kończąc rozmowę, ale ja otwieram drzwi i podążam jego śladem tak szybko, jak tylko jestem w stanie.

– Tato, to nieprawda i wiesz o tym. Nie stać nas na to, więc jak mogę pomóc? – pytam.

Na kilka sekund nieruchomieje z ręką na masce i spuszczoną głową.

– Josselyn, popełniłem wiele błędów. – Kręci głową i śmieje się ze smutkiem. – Monumentalnych błędów... które najpewniej naprawiać będę aż do śmierci. – Podnosi na mnie wzrok i ma szkliste oczy. – Zawiodłem cię. Porzuciłem cię, kiedy najbardziej potrzebowałaś ojca. Wpadłem do egoistycznej, mrocznej, dręczonej przez demony otchłani, która pewnie już zawsze będzie mnie do siebie przywoływać, ale prędzej mnie piekło pochłonie, nim znowu cię porzucę. Nie teraz. Nie, moja dziewczynko. Nie teraz.

Patrzę mu w oczy i serce puchnie mi od jego słów. Zaciskam usta i wypuszczam powietrze przez nos.

– To jakiś punkt z programu dwunastu kroków, który musisz odhaczyć? Bo jestem przekonana, że i tak nas na to nie stać – mówię celowo lekkim tonem, choć tylko częściowo żartuję.

Tato chichocze i robi krok w moją stronę.

– Nie... i tak – odpowiada. – Rozmawiałem o tym z Meredith. O tym, że naprawdę muszę przystąpić do działania i że to nie będzie proste, ale pieniądze się znajdują. Poza tym jest jeszcze kwestia ubezpieczenia i nie spocznę, dopóki nie dostaniesz tego, na co zasługujesz.

– No tak, spoczynek nie jest w twoim stylu – mówię ze śmiechem.

Wyciąga rękę w moją stronę, a ja ją ujmuję. Nasze palce się splatają. Nie robiliśmy tego od czasu, kiedy jako dziecko uczyłam się jeździć przed domem na wrotkach.

– Chodźmy. Becca czeka – mówi teraz. Patrzę na niego z ciekawością. Tato się śmieje i obejmując, prowadzi mnie w stronę wejścia. – Coś mi mówiło, że zmienisz zdanie. Wczoraj ją poprosiłem, aby tu wróciła.

– A gdybym nie zgodziła się dzisiaj przyjechać? – pytam, kiedy przytrzymuje mi drzwi.

Wzrusza ramionami.

– Wtedy kazałbym jej zjawić się kolejnego dnia, aż w końcu zaciągnęłabyś tutaj swój tyłek – mówi. Mrużę oczy i uśmiecham się drwiąco. – Szczerze? Wiedziałem, że w końcu to zrobisz. Jesteś lwem.

– Lwicą.

– Widzisz? Od razu mnie poprawiasz. Zawsze masz rację. Zawsze nastawiasz się na wygraną. – Bierze głęboki oddech, opuszcza wzrok na moją nogę, po czym znowu patrzy mi w twarz, jakby inwentaryzował wszystkie moje atuty i słabe punkty. – Niech niebiosy mają w opiece tego, kto będzie musiał z tobą się zmierzyć.

Przewracam oczami i uśmiecham się, ale poważnieję, kiedy mój ojciec rusza jako pierwszy. Ciężko mi na sercu na myśl o Wesie. Robię wdech i wstrzymuję powietrze w płucach. Nie mogę doczekać się, kiedy mu powiem, co zrobiłam – kiedy już tego dokonam.

Kiedy będę na szczycie.

Ponieważ tak właśnie się stanie.

A on będzie czekał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Koniec lata

MOJE CIAŁO TO JEDNO WIELKIE WYCZERPANIE. Tak jest od dwóch miesięcy. Przez całe lato pracowałam z Beccą – trzy godziny każdego dnia, czasem nawet dłużej. Złamała mnie całą – i wcale nie mam na myśli nogi i obrażeń – i wszystko, co do tej pory wiedziałam o byciu sportowcem. Nastroiła mnie od nowa, robiąc ze mnie kogoś więcej.

Zobaczyłabym tego SMS-a dopiero rano, gdyby nie ból. Pojawia się i znika. Uczę się go tolerować – część mięśni stara się zapewnić wsparcie tym, na które nie mogę już liczyć, ale dziś wieczorem... bolało mnie dosłownie wszystko.

Ten ból to jednak nic. Jest tylko wspomnieniem. Ulotnił się razem z piknięciem telefonu w ciemnym pokoju.

Przekręciłam się na bok i wzięłam go do ręki, spodziewając się, że to wiadomość od Taryn albo Kyle'a, dotycząca przyszłotygodniowego rozpoczęcia roku szkolnego, imprez z okazji końca wakacji czy czegoś w tym rodzaju. Zamiast tego ujrzałam znajome migające kropki, świadczące o tym, że ktoś właśnie pisze z telefonu Wesa.

Ostatnią wiadomość wysłałam do niego dwa miesiące temu. Dwa słowa: *Dziękuję Ci*. To było tego dnia, kiedy otworzyłam kopertę i znalazłam w niej bilet. Od tamtej pory zabieram go ze sobą na każdy trening i rehabilitację. Ściskam go w dłoni, kiedy późnym wieczorem zanoszę się płaczem. Towarzyszył mi także, kiedy od nowa uczyłam się biegać. Ten maleńki bilet daje mi siłę, kiedy jest mi najbardziej potrzebna.

Trzymam go teraz.

Tym razem nie otrzymałam żadnego tekstu, a przynajmniej na razie. Dostałam zdjęcie. A konkretnie zdjęcie zdjęcia – mojej fotografii przedstawiającej kwitnącą peonię na początku wiosny, znajduje się na tle suchych krzaków na moim ulubionym polu. Ujęcie zostało wykonane niedawno – serce mi mówi, że zaledwie kilka godzin temu.

Wes jest jedyną osobą, która mogła zabrać to zdjęcie z klasy – z wystawy naszych prac. To on wiedział, gdzie zostało zrobione.

Muszę jechać.

Kiedy zadzwoniłam do Kyle'a ten jeszcze nie spał. Chcąc spłacić do końca lata dług za furgonetkę, pracuje w Jungle Gym na swojej zmianie i mojej. Zamierzam wrócić tam wraz z początkiem roku szkolnego, ale na popołudniową zmianę. Teraz będę pracowała w recepcji. Wspinanie się po ślizgawkach jest zbyt ryzykowne.

Słyszałam w jego głosie pytającą nutkę, kiedy go poprosiłam, aby przyjechał pod mój dom i nie gasił silnika. O nic jednak nie zapytał, rzucił jedynie, abym dała mu pięć minut. Nie mijają cztery, a na końcu ulicy dostrzegam światła samochodu.

Stoję na chodniku kilka domów dalej, a kiedy Kyle wjeżdża na krawężnik, dostrzegam, że z niepokojem marszczy czoło. Wsiadam do szoferki i cicho zamykam za sobą drzwi.

– Nie chciałam obudzić taty. Zadawałby pytania... albo się martwił – mówię. – Będziesz musiał zawrócić.

– Taa... tylko pomyśl... zadawanie pytań – żartuje Kyle, po czym robi nawrotkę. Zerka w moją stronę i przekręca czapkę daszkiem do tyłu.

Śmieję się, bo wiem, co to symbolizuje. Mój ojciec to baseballowy tradycjonalista i uważa, że czapkę powinno nosić się tylko i wyłącznie daszkiem do przodu. Kyle zaczął ją odwracać w ramach solidarności ze mną,

ale na przestrzeni lat stało się to zwyczajem. Kiedy tylko coś kombinujemy, daszek wędruje do tyłu.

– No więc... czy *mi* wolno? No wiesz... zadawać pytania? – Zatrzymuje się na skrzyżowaniu, a ja kieruję go w stronę ekspresówki.

– Może – odpowiadam. Kyle unosi brew i zerka na mnie, po czym ponownie skupia się na drodze. – Okej, prawdopodobnie. I później ci wszystko opowiem, bo będę cię potrzebowała do czegoś superważnego... nim zacznie się szkoła. Na razie jednak jedź po prostu Cotton Lane, a potem skręć w drogę stanową.

Zatrzymuje się na ostatnich światłach przed skrętem w lewo, a potem powoli zostawiamy za sobą światła miasta i otula nas ciemność. Jest pierwsza w nocy i nie widać żadnego innego samochodu. Kiedy więc światła zmieniają się na zielone, on nie reaguje. Poprawia się wygodniej na fotelu i bierze głęboki oddech.

– Okej – mówi w końcu.

Uśmiecham się, a Kyle wciska gaz i wiezie nas ku ciemnej nocy. O nic już nie pyta. Nie musi. Powiem mu wszystko. Kyle to ja, a ja to Kyle – mogę mu zdradzić swoje sekrety. Uszanuje je.

Odwracam się na siedzeniu i przykładam obie dłonie do szyby. Jedną kładę na podłokietniku, po czym znajduję przycisk opuszczający szybę. Wystawiam głowę, przytrzymując ręką włosy na karku, i na kilka sekund zamykam oczy, wdychając zapach kwiatów. Sezon dobiega końca, a jesienne kwiaty nie są takie słodkie. Mimo wszystko daje się jeszcze wyczuć resztki zapachu wiosennych i letnich pąków.

– Tutaj – mówię, chowając głowę do kabiny.

Podnoszę szybę, a Kyle zjeżdża na pobocze. Wrzuca luz i zaciąga hamulec ręczny. Zostawia także włączone światła. Oboje wysiadamy z furgonetki i podchodzę do niewielkiego rowu melioracyjnego. Kyle szybko

chwyta mnie za ramię, pomagając utrzymać równowagę, żebym mogła przez niego przeskoczyć. Nauczyłam się czasem pozwalać sobie pomagać.

Oboje idziemy powoli przez suche krzaki. Część z nich została już przycięta przy samej ziemi. Widać ślady po kołach maszyny rolniczej. Miało to miejsce dziś wieczorem, już po zrobieniu zdjęcia.

Wpadam w panikę na myśl, że zdjęcie – mój trop – mogło zostać przemielone przez ostrza kombajnu lub trafić do ziemi jako kompost na kolejny sezon. Rozglądam się gorączkowo i kucam, żeby mieć lepszy widok.

– Czego szukasz, JJ? – pyta Kyle, zatrzymując się tuż za mną.

– Czegoś... znaku. Ja... nie wiem. Będę wiedziała, kiedy to zobaczę – odpowiadam. Słyszę, jak ciężko wzdycha, i wiem, że czuje konsternację i niepokój. Nie mogę mu jednak tego wyjaśnić, dopóki nie będę miała pewności, najpierw muszę to zobaczyć. Powoli kładę się na ziemi.

– Proszę. – Kyle zdejmuje koszulę i mi ją podaje. – Cała się ubrudzisz.

Biorę ubranie, po czym rozkładam je sobie pod brzuchem. Zginam rękę i opieram się o nią policzkiem. Uśmiecham się, przypominając sobie ostatni raz, kiedy tak leżałam.

– Wyłącz światła. Tylko na chwilę – mówię.

Kyle wraca do samochodu i spełnia moją prośbę, a pola ponownie zalewa ciemność, rozpraszana tylko blaskiem księżyca. Moje oczy potrzebują kilku minut na przyzwyczajenie się do niej, kiedy jednak tak się staje, widzę dookoła zarys podłoża. Zaczynam od góry i powoli opuszczam wzrok, a im dalej w pole zapuszcza się moje spojrzenie, tym większe czuję rozczarowanie. I wtedy to zauważam – róg zdjęcia wystający z krzewu peonii niczym późny pąk.

Wstaję szybko, otrzepuję się z ziemi i rzucaam Kyle'owi jego koszulę. Błyskawicznie mijam kilka rzędów i schylam się, po czym zaciskam palce na zdjęciu.

Puls mi przyspiesza, kiedy zbliżam je do twarzy. Jest moje – to ja je zrobiłam. We wszystkich rogach czuć zastygłą kropelkę kleju.

– Co to? – pyta Kyle, zaglądając mi przez ramię.

Nie widzi mojego uśmiechu ani łez gromadzących się w kącikach oczu. Niełatwo je będzie teraz powstrzymać.

– To wiadomość – mówię cicho i odwracam zdjęcie.

Możesz wszystko. Będę się temu przyglądał.

Napisał to markerem. Zostawił dla mnie, ale nadal się ukrywa. Czegoś się obawia, w historii Wesleya Christophera Stokesa kryje się coś więcej, a ja zamierzam tego się dowiedzieć.

– Możesz wziąć tydzień urlopu? Zanim zacznie się rok szkolny? – pytam Kyle’a i szybko odwracam się w jego stronę. Przekręca czapkę daszkiem do przodu, po chwili jednak ją zdejmuję i drapie się po głowie.

– Eee, nie wiem. Pewnie... pewnie mogę zapytać. Dlaczego? – pyta. W jego oczach widnieje całe mnóstwo pytań, zna mnie jednak na tyle, żeby mi zaufać. – Dokąd jedziemy?

– Najpierw do Tucson. Chcę zobaczyć grób mamy i chcę spotkać się z babcią – wyjaśniam, po czym biorę go za rękę i ponownie przeskakujemy przez rów. Kyle wyczuwa w mojej dłoni zdjęcie, a kiedy docieramy do samochodu, bierze je ode mnie. Odczytuje słowa napisane z tyłu. Podnosi na mnie wzrok i widzę, że jedyne, co muszę zrobić, to wypowiedzieć to na głos. Patrzą mu w oczy. Robię wdech i mówię, co następnie zrobimy.

– A potem odnajdziemy Wesa i go przekonamy, żeby wrócił do domu.

PODZIĘKOWANIA

DZIĘKUJĘ, ŻE UCZYNIŁIŚCIE TEN KROK RAZEM ZE MNĄ. Wiem, że ta książka jest inna od pozostałych, ale wierzę w jej wyjątkowość. I wiem, że tak Was zostawiłam... z pytaniami... i nadzieją. Obiecuję jedno: *Trzymam cię. Nie pozwolę ci spaść*. Część druga będzie równie magiczna, a może nawet bardziej wyjątkowa... dlatego, że tak twierdzi Joss Winters.

Chyba jeszcze żadnej swojej bohaterki nie pokochałam tak mocno jak tę zadziorną, jasnowłosą chłopczycę. Lubię myśleć, że do tej postaci wlałam odrobinę siebie. Zdecydowanie parcie ku wygranej, uparty feminizm i – o ile wolno mi wykazać się zuchwałością – umiejętność posłania piłki prosto w kolana przeciwnika. Tak, ten fragment to cała ja. Ale podczas kolejnych czytań, redakcji i korekt dotarło do mnie, że sporo cech Joss to nie tyle moje cechy, ale też takie, które bardzo chciałabym mieć. Nie, to nie skłonność do ryzykanctwa i autodestrukcji. Mam na myśli umiejętność stawiania czoła przeciwnościom losu i przyznawania się do porażek i słabości, nawet jeśli tylko przed samą sobą. Chociaż Wes jest silny fizycznie, to Joss nic nie jest w stanie złamać. Sporo się nauczyłam od niej i z całej tej historii.

Tyle chcę powiedzieć, ale nie mogę. Nie mogę, dlatego że wiele wątków czeka jeszcze na rozwiązanie. Część druga: *A Girl Like Me* wszystko wyjaśni. I zanosi się na fantastyczną podróż. Nie chcę jej zepsuć.

Jest jednak wiele osób, którym muszę podziękować za to, że dotarłam do punktu, w którym byłam gotowa opowiedzieć tę historię... Historię kryjącą w sobie tak wiele mnie samej, ale także... inną. Zadedykowałam ją swojemu tacie. I nie dlatego, że ma tak wiele wspólnego z książkowym Erikiem

Wintersem. Ale posiada te dobre cechy ojca Joss? Tak... to on. Tato nauczył mnie miotać. Nawet kiedy sądził, że to może i beznadziejne, godzinami stał razem ze mną na podwórku i błagał, żebym choć raz spróbowała rzucić piłkę nie od dołu. Doskonale pamiętam, kiedy w końcu mi się udało. W sumie przypominało to trochę tę scenę z *Forresta Gumpa*, kiedy on biegnie, a szyny po prostu odpadają mu z nóg. W jednej chwili posyłałam piłkę w krzaki, a w następnej... rzuciłam w rękawicę taty tak mocno, że aż miał potem sinią dłoń. To był pierwszy z wielu siniaków. A kiedy nauczyłam się odbijać, sztachety łamały się jedna po drugiej. Ileż piłek straciliśmy, kiedy posłałam je poza szkolne ogrodzenie. Piszczele taty też przeszły swoje, a ja chichotałam, kiedy wkurzony, ale cholernie dumny, pakował nas na powrót do domu. Choć w tej historii kluczowe znaczenie odgrywają miłość i czynniki magiczne, równie ważna jest relacja pomiędzy Joss a jej ojcem. Ona ją ukształtowała.

Mnie także.

Więc dzięki tato, że zarówno na boisku, jak i poza nim jesteś moim Tedem Williamsem.

Specjalne podziękowania składam koledze pisarzowi – BT Urrueli. BT to weteran wojenny z amputowaną nogą, który otrzymał medal za rany odniesione w walce, tak się jednak składa, że potrafi także niezłe wymachiwać kijem i ma zabójczy uśmiech, zdobiący okładki wielu romansów. Poznałam go, kiedy pomyśl na tę książkę dopiero rodził się w mojej głowie i nie pozwalał mi spać. Znałam już ogólny zarys historii i wiedziałam, co się przytrafi Joss. Przerazało mnie jednak to, czy przedstawię wszystko w odpowiedni sposób. Wzruszają mnie fighterzy – obserwowanie, jak wypowiadają wojnę przeciwnościom, oswajają je i przekształcają w swoje mocne strony. Pragnęłam, aby Joss stanowiła uosobienie takiej osoby. Wiedziałam jednak, że to nie może być takie proste. Musiało być autentyczne i składać hołd walce, jaką toczy podczas podążania ścieżką, którą obrała. BT,

zadzwoiłam do Ciebie i... możliwe, że byłam ciut zdenerwowana. Ty odebrałeś i podzieliłeś się swoją historią. Ofiarowałeś mi podstawy pod moje dalsze badania, pokierowałeś we właściwym kierunku, dzięki czemu strach mnie opuścił. Dziękuję Ci za wszystko, co robisz, ale najbardziej za nasze rozmowy przez telefon.

Dziękuję także Mike'owi Booi, asystentowi trenera drużyny Arizona Coyotes, za wskazówki dotyczące technik treningowych i rehabilitacji sportowców.

Ogromne podziękowania dla Advanced Prosthetics Center (Centrum Zaawansowanej Protetyki) za szczegółowe materiały związane z tematem.

Jeśli chodzi o słowa, to jest pewna grupa kobiet, bez których nie dałabym sobie rady w branży wydawniczej. Jak zawsze dziękuję Jen, Ashley, Bianca i Shelly za przygarnianie kolejnych rozdziałów. Wiem, że czekanie na poszczególne partie materiału mogło być trochę męczące. Mam nadzieję, że dobrze Was traktowałam. Nie wiem, jak się Wam odwdzięczę.

Dziękuję także Billi Joy Carson i Tinie Scott – mistrzyniom sztuki redaktorskiej. Jesteście moimi bohaterkami. Czapki z głów dla Was obu.

Nic, co się dzieje nie byłoby możliwe bez wsparcia moich chłopców. Timie i Carterze – jesteście moim światem. Kiedy mówię „Nie potrafię”, odwracacie się do mnie i każecie mi „iść i to robić”. Kiedy się waham, przypominacie że jesteście ze mnie dumni. Kiedy obgryzam paznokcie w dniu premiery, Wy mnie przekonujecie, że to Wasza ulubiona historia (nie szkodzi, że mówicie tak za każdym razem). Kocham Was chłopcy. I każdą książkę piszę tak naprawdę dla Was.

Dziękuję także moim czytelnikom – blogerom, recenzentom, osobom piszącym recenzje na portalu Goodreads, wysyłającym mi wiadomości na Facebooku, piszącym do mnie maile, nastolatkom, mamom, babciom, tatom, braciom, uczniom, a także – koniecznie! – ninjom. Każdy z Was wziął do

ręki (albo otworzył na czytniku) moją książkę. Dziękuję za tę szansę i za to, że uznaliście, iż jedna z moich historii jest warta Waszego czasu. Obiecuję, że nie spocznę na laurach. Prawdę mówiąc, zaraz zabieram się do pracy, dlatego że macie mnóstwo pytań, na które chcecie poznać odpowiedzi, no i czeka na Was przystojny, zaginiony chłopak i dziewczyna z misją.

I wszystkim Wam złożyłam obietnicę.

Trzymam Was.

O AUTORKĘ

GINGER SCOTT TO AUTORKA BESTSELLERÓW z listy Amazon, nominowana do nagród Goodreads Choice. Oto tytuły jej książek z kategorii young adult i new adult: *Waiting on the Sidelines*, *Going Long*, *Blindness*, *How We Deal With Gravity*, *This Is Falling*, *You and Everything After*, *The Girl I Was Before*, *Wild Reckless*, *Wicked Restless*, *In Your Dreams*, *The Hard Count* i *Hold My Breath*.

Drugą pasją tej miłośniczki romansów jest sport i w swoich powieściach często łączy jedno z drugim (jest także miłośniczką seksownych rozgrywających, łapaczy, miotaczy, pałkarzy itd.). Ginger praktycznie od zawsze pisała i redagowała teksty do gazet, magazynów i blogów. Opowiadała historie olimpijczyków, polityków, aktorów, naukowców, kowbojów, przestępców i miast. Więcej o jej pracy na: www.littlemisswrite.com.

W czasie, kiedy akurat nie pisze, prawdopodobnie przebywa gdzieś w pobliżu boiska do baseballu, gdzie albo patrzy, jak jej syn rzuca wysoką piłkę jak Bryce Harper, albo kibicuje ulubionej drużynie baseballowej – Arizona Diamondbacks. Ginger mieszka w Arizonie z mężem, którego poznała na studiach na Arizona State University.

Ginger online:

@TheGingerScott

Ginger Scott Author

www.littlemisswrite.com

ginger@littlemisswrite.com

TYTUŁ ORYGINAŁU:

A Boy Like You

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja i korekta: Studio Editio

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Art-Of-Photo (iStock.com)

Copyright © 2017 Ginger Scott

Copyright © 2017 for Polish edition by KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Monika Wiśniewska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2018

ISBN 978-83-66074-55-2



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek